



Gotowa narazić życie dla córki, której nigdy nie chciała urodzić

NIEOBECNA

“Odważna, bezkompromisowa bohaterka i odważny, bezkompromisowy styl. Genialny debiut - gorąco polecam.”

—LEE CHILD



SHEENA KAMAL

Sheena Kamal

Nieobecna

Tłumaczenie:
Jakub Sosnowski

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dzwonek telefonu rozległ się tuż po piątej rano.

Natychmiast się spinam, bo wiadomo, że o tej porze nigdy nie dostajemy dobrych wiadomości, a przynajmniej nie przez telefon. Czy ktokolwiek miał okazję cieszyć się przed dziewiątą rano, że bogaty krewny zostawił mu w spadku fortunę? Na szczęście już od jakiegoś czasu jestem na nogach i właśnie piję drugą filiżankę kawy. Łatwiej zniosę to, co zaraz usłyszę.

Przed chwilą wróciłam z codziennego spaceru. Oparta o murek na nabrzeżu obserwowałam spokojną wodę, szarą jak całe miasto o tej porze roku. Swoim zwyczajem próbowałam wypatrzeć ciepłe prądy z Japonii, które wpływają do północnego Pacyfiku i zmieniają lekko temperaturę przy linii brzegowej, i jak zwykle poległam. Nie udało się, nigdy się nie udaje.

Vancouver. Niektórzy twierdzą, że to piękne miasto, ale zapewne chodzi o tych, którzy nigdy nie wałęsali się po miejscach, które ja nazywam domem. Nie byli na Hastings Street, gdzie dookoła przepelnionych śmieciami kontenerów piętrzą się malownicze sterty strzykawek. Nie przeszkadza im szare niebo i szara woda, bo tutaj właśnie tak wyglądają jesienne, zimowe i wiosenne miesiące. Przyzwyczajali się do ulewnych deszczów, które padają z taką zajadłością, jakby chciały zmienić koloryt miasta, co oczywiście nie może się udać. A potem nagle przychodzi lato, tak suche i gorące, że wszystkie okoliczne lasy zaczynają płonąć. Oczywiście na wybrzeżu jest wtedy przyjemnie, ale do lata jeszcze daleko.

Patrzę na nieznajomy numer na wyświetlaczu i po chwili wahania przerywam połączenie. Po kilku sekundach telefon dzwoni ponownie. To na tyle intrygujące, że postanawiam odebrać. Doceniam wytrwałość osoby, która chce się ze mną skontaktować.

– Halo, słucham.

Chwila ciszy, potem rozmówca chrapliwym głosem wyjaśnia, dlaczego dzwoni. Słyszę w jego głosie wahanie, jakby miał mi do powiedzenia o wiele więcej, ale uważał, że to nie jest rozmowa na telefon, a już zwłaszcza z kimś, kogo w ogóle nie zna. Wyobrażam sobie, że ze zdenerwowania ma spocone dłonie. Zgadłam, bo po chwili słyszę, jak telefon upada. Rozlegają się szmery i soczyste przekleństwa.

– Jesteś tam? – pyta po kilkunastu sekundach. – Słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak, słyszałam – odpowiadam po namyśle. – Przyjdę. – Rozłączam się bez słowa pożegnania.

Everett Walsh... Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym człowieku, który twierdzi, że mogę coś wiedzieć o zaginionej dziewczynie. Niestety nie chciał zdradzić żadnych szczegółów. Może nie powinnam się z nim spotykać, jednak

wydawał się bardzo zdesperowany, a ja nie umiem odmawiać ludziom w takim stanie.

Odnajdywanie zaginionych to moja praca, ale co takiego popchnęło Everetta do telefonu o tak niehumanitarnej porze?

Rozpacz i desperacja, tak świeże i bolesne, jak otwarta rana. Nie mogę się mylić, zawsze to wyczuwam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzisiejszy poranek jest zimny, a wilgoć przenika do szpiku kości. Oczywiście właśnie tak wygląda zima w Vancouver. Przyjechałam na spotkanie z godzinnym wyprzedzeniem, dlatego siedzę na przystanku autobusowym i marznę, choć mogłam zostać w mojej wiekowej i poobijanej corolli. Mijają mnie kolejne samochody. To ciekawe, ale kierowcy zawsze starannie unikają wzroku tych, którzy bez względu na pogodę tkwią na przystankach, chyba że zatrzyma ich czerwone światło. Na szczęście w pobliżu nie ma sygnalizacji świetlnej, dlatego czuję się niewidzialna. Mam dość dobry widok na wejście do kawiarni i parking. W lokalu panuje półmrok, lepiej oświetlona jest tylko część tuż przy barze. A zatem spotkanie z Everettem Walshem będzie miało posmak tajnej schadzki. Dla mnie w porządku, ciekawe, czy on się tego nie przestraszy.

Kiedy zatrzymuje się przy mnie autobus, odprawiam go skinieniem ręki. Poirytowany kierowca na pożegnanie wyrzuca obłok spalin, które na sekundę pozbawiają mnie tchu.

Kawiarnia jest na Kingsway. Obok kilka barów szybkiej obsługi, warsztatów samochodowych i małych sklepików. Everett mieszka w Kerrisdale, zadbanym przedmieściu Vancouver, ja na drugim, wschodnim krańcu miasta. Ciekawe, dlaczego wybrał właśnie ten lokal z ładną czerwoną markizą i błagającymi o odnowienie żółtymi drzwiami. To nie jest elegancka kawiarnia, ale też żadna spelunka, coś pośredniego. Może uznał, że w takim miejscu oboje pocujemy się swobodnie.

Z moich obserwacji wynika, że w lokalu serwują obrzydliwą kawę i całkiem niezłe muffinki. Wszyscy klienci, którzy wychodzą na ulicę z papierowymi kubkami, po wypiciu kilku łyków krzywią się niemiłosiernie, a ci, którzy kupili tylko babeczkę, wydają się całkiem zadowoleni. Próbują, a potem wzruszają ramionami, jakby przyjmowali do wiadomości, że za takie pieniądze nie można więcej wymagać.

Dwadzieścia minut przed umówionym czasem po parkingu zaczyna krążyć sportowe audi w ciemnym kolorze. W środku elegancka para, oboje w okularach przeciwsłonecznych. Spoglądają w stronę kawiarni, potem odjeżdżają, ale już po pięciu minutach są z powrotem.

Parkują tuż przy wejściu do lokalu. Mężczyzna wysiada, zdejmuje okulary i wchodzi do środka. Jest niski i zwalisty, niemal pozbawiony szyi. Spod brązowej czapki bejsbolowej wystają rzednące ciemne włosy. Jest ubrany w ciemną marynarkę i wyraźnie się garbi, jakby dźwigał na barkach nieznośny ciężar. Po chwili z samochodu wysiada również kobieta. Odgarnia z twarzy rude włosy i wchodzi do kafejki. Nie zwraca uwagi na otoczenie. Jest piękna, przywykła, że

wszyscy się na nią gapią. Nie zdejmuje okularów, dobrze wie, że dzięki temu jest jeszcze bardziej seksowna i otacza ją aura tajemniczości. To zawsze działa. Kelner w średnim wieku, który podaje jej kawę, jest pod wrażeniem. Odrywa wzrok od kobiety tylko na sekundę, by przyjąć pieniądze od towarzyszącego jej mężczyzny.

A potem czekają. Oboje mniej więcej czterdziestoletni, zadbani, dobrze ubrani. Nie rozmawiają ze sobą, i jest to ciężka, wroga cisza. Kiedyś byli namiętnymi kochankami, ale lata małżeństwa zrobiły swoje, zabiły pożądanie. Mężczyzna jeszcze coś czuje do partnerki, jednak na próżno próbuje zwrócić jej uwagę. Ona go kompletnie ignoruje, wygląda przez okno i obserwuje parking. Popijają kawę, w żaden sposób nie reagując na jej podły smak. Być może zaniemówili na skutek szoku, jakiego doznały ich kubki smakowe.

Obserwuję ich przez cały czas, który pozostał do umówionego spotkania. Według mnie ta para rzadko gdziekolwiek wychodzi razem, nawet na kawę. Teraz siedzą obok siebie, bo muszą, a zatem okoliczności, które ich do tego zmusiły, to poważna sprawa. Jestem tego niemal pewna, jednak zamiast się martwić, odczuwam zaciekawienie. Oczywiście sprawdziłam ich w sieci, wiem, że oboje są architektami, ale pracują w różnych firmach. Nie wydają się groźni, dlatego wchodzę do kawiarni bocznym wejściem. Są zaskoczeni, kiedy z muffinką w ręce stają przy ich stoliku.

Kobieta lustruje moje znoszone džinsy i powyciągany stary kardigan. Natomiast mężczyzna najwyraźniej nie może oderwać wzroku od mojej twarzy. Nie mam ani bardzo jasnej, ani bardzo ciemnej karnacji, coś pośrodku, jakby ktoś wlał do błotnistej kałuży trochę mleka. Mocno zarysowane kości policzkowe i podbródek świadczący o uporze. Jednak najbardziej intrygują go moje oczy, jak wszystkich, którzy zadają sobie trud, by na nie spojrzeć. Są tak ciemne, że źrenice zlewają się z tęczówką, dodatkowo ocienione bardzo długimi rzęsami. Można by je uznać za ładne, tylko że każdego, kto popatrzy w nie dłużej, musi coś zaniepokoić. Otóż nigdy nie mrugam, naprawdę nigdy. Światło mnie nie razi, po prostu je wchłaniam. Umiem wyrazić wzrokiem, że właśnie o czymś zapomniałeś albo zrobiłeś coś głupiego.

– Everett Walsh? – Przystawiam krzesło do ich stolika i siadam. Zwracam się wyłącznie do mężczyzny, kobieta potrzebuje trochę czasu, by przejść do porządku dziennego nad moim wyglądem.

– Słucham? Tak, hm, to ja. – Zdejmuje czapkę, by otrzeć spocone czoło, i odkłada ją na stolik. Kobieta patrzy na niego z wyraźnym obrzydzeniem. – To moja żona Lynn.

– Miło poznać – rzuca Lynn tak oschle, by wszyscy zrozumieli, że jest wręcz przeciwnie. Nie zauważyli mnie, gdy siedziałam na przystanku, pewnie nawet nie zauważyli przystanku. Ludzie ich pokroju nie korzystają z publicznej komunikacji. Szczęściarze. Miejski transport w Vancouver zasłużenie cieszy się jak najgorszą

sławą. Należy go za wszelką cenę unikać. Jeżdżą nim tylko ci nieszczęśnicy, których albo nie stać na samochód, albo akurat musieli oddać wóz do warsztatu.

Widząc, że Lynn nie zamierza go choćby w najmniejszym stopniu wspierać, Everett przejmuje inicjatywę.

– Dziękuję, że zgodziłaś się z nami spotkać – mówi. – Mój telefon na pewno cię zaskoczył, nie znasz nas i...

– Kto mnie polecił? – Przecież musieli od kogoś dostać mój numer telefonu.

– Co takiego? – Everett mruga gwałtownie. – Nikt. Wynajęliśmy kogoś, żeby cię odnalazł.

– O czym ty mówisz? – Teraz to ja jestem zaskoczona, zupełnie jakbyśmy grali w grę „to ja cię bardziej zbiję z pantałyku”.

– Nasza córka zaginęła – mówi Lynn.

– Kochanie, powiedziałem jej o tym podczas rozmowy telefonicznej. – Everett patrzy na żonę z niezbyt starannie skrywaną wyższością.

– A powiedziałaś, że chodzi o jej córkę? – Lynn odwraca się w jego stronę. Przez chwilę mierzą się spojrzeniem, które wiele mówi o ich małżeństwie.

Gapię się na nią jak ciele na malowane wrota. Mam otwarte usta, jakby mięśnie poraził paraliż. Lynn triumfuje, właśnie taki efekt chciała wywołać. Brakuje mi tchu, ale przecież to niemożliwe, żeby ktoś wypompuwał z pomieszczenia cały tlen. Lynn cały czas na mnie patrzy, i chociaż się nie uśmiecha, wiem, że jest z siebie bardzo zadowolona.

Everett odchrząkuje nerwowo, otwiera usta, próbuje coś powiedzieć, ale po chwili znów je zamyka. Przez moment gapimy się na siebie, a potem Everett znajduje wreszcie dość odwagi, by powiedzieć:

– Chodzi o dziecko, które oddałaś piętnaście lat temu do adopcji. – Uważnie mi się przygląda, ciekaw mojej reakcji.

Do tej pory udało mi się zachować kamienną twarz, jednak teraz ten spokój pryska. Najchętniej bym sprawdziła, czy nadal mam grunt pod nogami i czy tylko mi się wydaje, że śnię koszmar, w którym spadam w głąb króliczej nory.

Everett wyjmuję z portfela plik fotografii i rozkłada je przede mną.

Bez słowa patrzę na pulchną nastolatkę o złotawej skórze. Ma moje oczy, chociaż nieco głębiej osadzone i o nieco innym kształcie. Są smolście czarne, wydają się bezdenne. Ciemne włosy, ciemniejsze od moich, sięgają ramion, brodę zdobi uroczy dołeczek. Wpatruję się we wszystkie szczegóły z niemal bolesną intensywnością. Chcę dotrzeć do najskrytszych zakamarków jej duszy. Już po chwili wiem, co ukrywa. Dziewczyna się uśmiecha, ale tylko ustami, jej oczy są smutne. Oszukuje obiektyw, udaje, że jest szczęśliwa.

– To Bonnie. Właściwie Bronwyn, ale mówimy na nią Bonnie – wyjaśnia Everett, a ja słyszę w jego głosie nie tylko dumę, ale też miłość.

Zerkam na Lynn, która odwraca wzrok od zdjęć. Wgryzam się w muffinkę,

by trochę zebrać myśli i zyskać na czasie.

– Zaginęła prawie dwa tygodnie temu – mówi po chwili Everett, nie doczekawszy się żadnej reakcji z mojej strony. – Myśleliśmy, że pojechała ze znajomymi pod namiot, ale...

– Ale nas okłamała. Ukradła z domu wszystkie pieniądze i kartę kredytową, z której zdołała wypłacić tysiąc dolarów. – Lynn zdejmuje okulary i dopiero teraz widzę, jak bardzo ma zaczerwienione i podkrążone oczy. Jest na skraju wytrzymałości. Dziecko, z którym wiązała tyle nadziei, któremu podała pomocną dłoń, nagle zaczęło stwarzać problemy. Zamiast w motylka, przepoczwarzyło się we wredną nastolatkę. – Przedtem też znikła, dwa razy, ale nigdy na tak długo.

– Policja nie okazała się zbyt pomocna – wtrąca Everett. – Wszczęli co prawda poszukiwania, ale kiedy ustalili, że ukradła nam pieniądze, zaczęli to traktować jak ucieczkę z domu. Niewiele zrobili, chyba tylko porozmawiali z nauczycielami Bonnie i dali sobie spokój. To dobry dzieciak...

– Nazwali ją notoryczną, niepoprawną uciekinierką – przerywa mu gwałtownie Lynn. – Okradła nas.

– To dobry dzieciak – upiera się Everett. – No, może ostatnio rzeczywiście sprawiała trochę więcej problemów. Poznała nowych przyjaciół, wracała coraz później do domu, włóczyła się z różnymi typami w workowatych spodniach, którzy słuchają hip-hopu. Podejrzewaliśmy, że zaczęła pić i eksperymentować z narkotykami. Owszem, dwa razy już uciekła z domu, ale zawsze wracała. Aż do teraz. Musiało się stać coś złego. – Everett mówi coraz szybciej, nie radzi sobie z emocjami. Przykro patrzeć na płaczącego mężczyznę, jednak nie odwracam wzroku. W takich momentach łatwo stwierdzić, czy ktoś udaje, ale rozpacz Everetta jest szczerą.

Lynn spogląda na niego przez chwilę, a potem odwraca się w moją stronę. Nie próbuje uspokoić ani pocieszyć męża.

– Sprawdziliśmy w jej komputerze historię wyszukiwań. Chociaż wiedziała, że jesteśmy temu przeciwni, zaczęła szukać w sieci biologicznych rodziców. Często wchodziła na strony tych... jak one się nazywają? – Patrzy na mnie, wyraźnie oczekując odpowiedzi, ale tylko wzruszam ramionami. – Jest niepełnoletnia, nie mogła wszcząć oficjalnych poszukiwań, tyle że w czasach internetu to żaden problem. Jest mnóstwo sposobów, by kogoś namierzyć. Te wszystkie portale społecznościowe... Mam nadzieję, że dla własnego dobra nie nawiązała z tobą kontaktu, ale jeżeli tak...

Everett pozbierał się już na tyle, by posłać Lynn karcące spojrzenie.

– Przepraszam za żonę – mówi. – Oboje jesteśmy bardzo zdenerwowani. Martwimy się o córkę.

Cóż, niestety umiem czytać między wierszami. To mnie obwiniają o złe zachowanie Bonnie. Niby jak miałabym wywierać na nią zły wpływ, skoro

widziałam ją tylko raz w życiu? Jednak oni uważają, że to przeze mnie zaczęła pić i ćpać. W jakiś tajemniczy sposób wyrwała się spod ich opiekuńczych skrzydeł i odnalazła mnie. Uciekła, by być z prawdziwą rodziną i wieść próżniacze życie od jednej bibki do drugiej. A kiedy już trochę wytrzeźwiejemy, będziemy się zaśmiewać z Everetta i Lynn, tych naiwnych idiotów, którzy tak łatwo dali się oszukać.

Ludzie często myślą się w ocenie innych. Nie obchodzi mnie opinia tej pary, mimo to odczuwam lekką satysfakcję, że ich życie – w porównaniu z moim tak dostatnie i uporządkowane – błyskawicznie zmienia się w koszmar. I nagle do mnie dociera, dlaczego Everett niemal histerycznie nalegał na nasze spotkanie.

Jestem jego ostatnią nadzieją.

– Mniej więcej pięć lat temu popadła w lekką obsesję na temat swojej biologicznej rodziny. Bez przerwy ze wszystkimi o tym rozmawiała, ale nagle przestało ją to obchodzić. Tak nam się przynajmniej wydawało. Potem odkryliśmy, że znalazła papiery adopcyjne i swoje świadectwo urodzenia. Ciężko cię znaleźć. My musieliśmy wynająć prywatnego detektywa, ale może Bonnie miała więcej szczęścia.

– Zaraz, zaraz – przerywam mu zdenerwowana. – Zgodnie z prawem powinniście dostać świadectwo urodzenia ze zmienionymi danymi. W żadnych papierach nie ma mojego nazwiska.

– Owszem, ale było z tym trochę zamieszania. Metrykę ze zmienionymi danymi dostaliśmy dopiero po jakimś czasie. Kazali mi zniszczyć prawdziwą.

– Tylko że tego nie zrobiłeś – wchodzi mu w słowo Lynn.

– Przepraszam. – Zerka na żonę. – Ile razy mam jeszcze powtórzyć, że bardzo mi przykro?

– Nie odezwała się do mnie – mówię po chwili, patrząc tęsknie w stronę drzwi. Zjadłam babeczkę, nie mam tu już nic do roboty, ale ciekawość bierze górę.

– Co pamiętacie z dnia, w którym zniknęła? – pytam.

– Powiedziała, że jedzie z przyjaciółmi pod namiot. – Lynn wzrusza ramionami.

– Tak, już to słyszałam od was. Gdzie wtedy byliście?

Patrzą na siebie lekko skonsternowani. Nie przywykli, by ktoś oceniał ich zachowanie.

– Pracowaliśmy – odpowiada Lynn, mrużąc oczy. Mówi tak głośno, że kilku innych gości kawiarni rzuca nam zaciekawione spojrzenia. Pewnie są wdzięczni za rozrywkę i cieszą się, że choć na chwilę mogą oderwać się od wstrętnej lury w kubkach.

– Może próbowała się skontaktować z biologicznym ojcem? – pyta Everett. Próbuje ponownie przejąć kontrolę nad rozmową i znów patrzy na Lynn przepraszająco. Widać, że nawykł do takiego zachowania.

Zdecydowanie potrząsam głową.

– Niestety nie mogę wam pomóc. – Wstaję od stolika i ruszam do wyjścia. Pewnie powinnam ich przeprosić, ale nigdy nie zrozumiałam tej kanadyjskiej manii wiecznego przepraszania za wszystko, nawet gdy tak naprawdę nie zrobiłeś nic złego.

Już przy drzwiach słyszę, jak Lynn syczy:

– Kolejny rewelacyjny pomysł, Ev. Po prostu genialny, moje gratulacje.

Spinam się, gdy słyszę za plecami czyjeś kroki. Są coraz bliżej, a ja mam jeszcze kawałek do samochodu. To Everett. Wciska mi do ręki fotografię Bonnie.

– Nora, przepraszam. Lynn... moja żona ma teraz trudny okres w pracy, jest zestresowana, a ostatnio zupełnie nie dogadywała się z Bonnie – szepcze.

Oczekuje ode mnie zapewnienia, że rozumiem i wybaczam, ale ja, tak jak Lynn, nie zamierzam go uspokajać i pocieszać. Mimowolnie napina mięśnie, rumieniec powoli zabarwia mu policzki, a potem pełźnie na szyję. Kiedy próbuję mu oddać zdjęcie, cofa się gwałtownie.

– Zatrzymaj je, proszę. Jeżeli się z tobą skontaktuje, daj nam znać, dobrze? Zapisałem na odwrocie numery naszych telefonów. Bonnie to dobre dziecko, naprawdę. Ja tylko chcę, żeby bezpiecznie wróciła do domu.

Dobre dziecko? Powiedział to po raz drugi, i to w taki sposób, jakby próbował przekonać nie tyle mnie, ile samego siebie. I właściwie co rozumie pod pojęciem „dobre dziecko”?

– Dlaczego wynajęliście detektywa, żeby mnie odszukał, zamiast od razu zlecić mu odnalezienie Bonnie? – I już znam odpowiedź na to pytanie: – No tak, bo myśleliście, że się ze mną skontaktowała, a od czegoś trzeba zacząć.

– Tak, ale okazało się, że to ślepa uliczka. Bonnie wie, jak się ukryć. Zniknęła jak duch, nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

Kiedy odchodzi, ja też ruszam w kierunku mojej poobijanej corolli. Bezskutecznie próbuję zapanować nad ogarniającą mnie paniką. Everett jest naprawdę zdesperowany, skoro poprosił mnie o spotkanie. Przecież nie miał pewności, że Bonnie do mnie dotarła. No dobrze, próbowała mnie odszukać, ale co z tego? Większość adoptowanych dzieci próbuje, choć na ogół bez powodzenia. Dał mi zdjęcie, chociaż wcale o to nie prosiłam. Z naciskiem powtarzał, że Bonnie to dobry dzieciak. Nie kłamał, ale próbował wpłynąć na mój ogląd sytuacji. Czego się obawia? Czy za ucieczką Bonnie kryje się coś więcej niż wybryk zbuntowanej nastolatki?

Poza tym wcale nie było trudno mnie znaleźć, skoro zachował oryginalną metrykę Bonnie. Dostał moje imię i nazwisko na tacy. Ale skąd wiedział, że zajmuję się odnajdywaniem zaginionych osób?

I czy ma świadomość, że Lynn skłamała, opowiadając o dniu, w którym zaginęła Bonnie?

ROZDZIAŁ TRZECI

Dziewczyna przykucnęła na skałach, zastanawia się gorączkowo, co dalej, jaki powinien być jej kolejny krok. Prawdopodobnie ma wstrząśnienie mózgu, a przynajmniej tak się czuje. Krwawi z głowy, strużki krwi ściekają też z ramion i nadgarstków. Kość biodrowa pulsuje tępym bólem. Dlaczego? Akurat tam jej przecież nie bili. Złowrogi łoskot fal niemal rozrywa jej bębenki w uszach. Spiętrzone bałwany uderzają w skały z zajadłością, pewnie zaraz strącą ją do oceanu. Jest na tyle przytomna, by wiedzieć, że wówczas byłaby bez szans. Woda to potężny żywioł, który na pewno by ją pokonał.

Nie powinna tak tkwić bez ruchu, musi się ruszyć.

Może wkrótce uznają, że nie przeżyła, i przerwą poszukiwania. Czepia się tej myśli jak tonący brzytwy, z trudem zbiera myśli. Mruży podrażnione oczy i próbuje zlizać kroplę słonej wody ściekającą po policzku. Inagle sobie uświadamia, że to łzy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Skrzyżowanie Hastings z Columbia znajduje się w najgorszej części Vancouver, na wschodnim przedmieściu. Władze miasta od lat szumnie zapowiadają renowację okolicy, ale na razie nic na to nie wskazuje. To po prostu podła dzielnica. Ceny wszystkich nieruchomości w Vancouver osiągnęły szczyty absurdu, jednak jeśli chcesz zaistnieć na rynku, nie możesz wynieść się na wieś. Wynajmujesz taki lokal, na jaki cię stać. W okolicy jest pełno prywatnych detektywów i równie dużo dziennikarzy, którzy pracują nad kolejną książką i z szybkością karabinu maszynowego wypluwają z siebie rewelacje na blogach.

Jestem recepcjonistką i zarazem asystentką właśnie dwóch takich facetów. Żaden z nich nie byłby w stanie płacić mi pensji, dlatego połączyli siły. Dzielimy się kosztami, to przecież jedno z najpopularniejszych haseł ekonomicznych naszych czasów, a oni po prostu wprowadzili je w życie. Przez ostatnie trzy lata pracowałam dla nich prawie za darmo, w zamian nie płacąc ani grosza za moje lokum. Tyle że moi szefowie nie mają o tym pojęcia. Myślą, że piwnica to po prostu składzik zakurzonych rupieci. Na szczęście nigdy się nie pofatygowali, by to sprawdzić. Czasami rzucają zarciki na temat poobijanej corolli, która dzień w dzień parkuje przy tylnym wejściu. Uznali, że samochód należy do faceta z firmy mieszczącej się naprzeciwko. Do dziś nie wyprowadziłam ich z błędu, bo i po co?

Na końcu ulicy pełnej pijaków, dilerów, dziwek i alfonsów zaczyna się Gastown, raj hipsterów. To strefa buforowa między światem bogatych a światem biednych. Między tymi, którzy mogą sobie pozwolić na mieszkania w eleganckich dzielnicach, a dzikimi lokatorami piwnic i opuszczonych budynków, takimi jak ja. Moi szefowie mieszkają w Kitsilano, blisko plaży i wystarczająco daleko od slumsów, wśród których wynajmują biuro. Sebastian Crow jest rozwodnikiem o pochylonych ramionach, a Leo Krushnik to najbardziej ekscentryczny homoseksualista, jakiego kiedykolwiek poznałam. Są w sobie szaleńczo zakochani, ale Leo mocniej angażuje się w ten związek. Seb jest wybitnie utalentowanym korespondentem zagranicznym, który dość późno odkrył swój homoseksualizm. Miał wówczas czterdzieści trzy lata, właśnie dochodził do siebie po traumatycznych przeżyciach w Kosowie i tkwił w małżeńskim związku z pewną prawniczką. Być może nigdy nie wyszłoby na jaw, że romansował z prywatnym detektywem zatrudnianym przez żonę, jednak Seb postanowił się ujawnić. Rzucił wszystko i pomógł Leo rozkręcić prywatne biuro detektywistyczne. Nadal pracuje jako dziennikarz, ale jego kariera nieco wyhamowała, za to pozycja Leo zaczęła gwałtownie rosnąć.

To daje do myślenia, zawsze umiałam wyciągać wnioski z cudzych doświadczeń. Czego się nauczyłam? Że nigdy nie należy otwierać firmy

z kochankiem, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. Na pewno będę umiała oddzielić życie zawodowe od prywatnego, nie chcę skończyć jak Seb. Ten biedak rzadko ma chwilę wytchnienia i czas na własne sprawy, głównie gdy Leo załatwia coś poza biurem.

– O, wreszcie raczył się zjawić nasz niezawodny wykrywacz kłamstw – wita mnie Leo, gdy wchodzi do biura.

Spóźniłam się, chyba po raz pierwszy. Mieszkanie w piwnicy pod biurem ma swoje zalety, niestety dzisiejsze spotkanie z Walshami wytrąciło mnie z rytmu. Nie zdobyłam nowego klienta, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, ale wcale nie zamierzam się tłumaczyć. Leo lustruje mnie uważnie, odrywając wzrok od jakichś papierów. Nosi okulary w modnych oprawkach i świetnie skrojone garnitury. Jego wizerunek zupełnie rozmija się z tym, jak większość z nas wyobraża sobie prywatnego detektywa. Właśnie dlatego jest taki dobry w swoim fachu. Ludzie go nie doceniają, a to duży błąd.

Seb otwiera drzwi swojego gabinetu, staje w progu i patrzy na mnie. Okulary w taniej oprawce zsunęły mu się do połowy nosa.

– Nora, wszystko w porządku? – pyta. Moje spóźnienie zakłóciło jego codzienną rutynę. Sam musiał sobie zaparzyć kawę i pewnie zastanawia się dlaczego.

– Tak – odpowiadam i wsuwam się za biurko. Czerwona dioda na telefonie nie mruga, zatem na szczęście nikt nie dobijał się do biura. – Przepraszam za spóźnienie.

– Możesz się częściej spóźniać. – Leo próbuje rozładować trochę napiętą atmosferę. – Serio, zacznij wreszcie korzystać z życia. Wyjdź gdzieś od czasu do czasu, kup sobie kilka fajnych ciuszków.

Leo dobrze wie, że nie posłucham żadnej z jego rad, których zresztą udziela mi od dawna. Nigdy nie snuję zabawnych ani sentymentalnych opowieści o moim prywatnym życiu, mam dwie pary wytartych dżinsów i trzy powyciągane swetry, którymi zasłaniam dziury w koszulkach.

Właśnie zamierza wygłosić kolejny wykład o tym, że kilka markowych ciuchów to tak naprawdę przemyślana inwestycja, gdy ktoś z impetem otwiera wejściowe drzwi. Tak energicznie, że z głośnym łoskotem uderzają o ścianę. Cała nasza trójka krzywi się niemiłosiernie jak po zjedzeniu kilku cytryn. Do środka wkracza szczupła blondynka. Nie zwraca uwagi na mnie i Seba, skupia się wyłącznie na Leo. To nasza najwierniejsza klientka.

– Mam dla ciebie robotę – rzuca.

– Melisso... – zaczyna Leo.

Jednak ona nie pozwala mu dokończyć zdania.

– Zobowiązałeś się dbać o interesy i zdrowie psychiczne ojca mojego dziecka, nieprawdaż? – syczy, mrużąc groźnie oczy. – Jeżeli znów wpadnie

w depresję, to przestanie płacić alimenty na Jonasa. Pieniądze z pierwszej książki już dawno wyparowały, a drugiej na pewno nie odda w terminie. Zamiast pisać, zabawia się prowadzeniem bloga. Na litość boską, tak chce zarabiać na utrzymanie? Żaloszne – peroruje pewnym siebie tonem, chce, by do nas dotarło, że jest świetnie poinformowana. Ekszona Seba nie zamierza owijać w bawełnę, nie zawaha się uciec do emocjonalnego szantażu. Może sobie na to pozwolić, ma znacznie wyższe dochody od byłego męża. Często traktuje ich syna jak kartę przetargową. Jeszcze pielęgnuje nadzieję na uratowanie małżeństwa, jeszcze nie wierzy, że Seb do niej nie wróci, bo woli być z Leo. – Mamy tydzień na odnalezienie tego faceta. – Rzuca na moje biurko plik dokumentów.

– Nie potrzebujemy twoich zleceń. – Seb wzdycha ciężko. – Ile razy mam to powtarzać?

– Cóż, mnie się przydadzą. – Leo uśmiecha się kwaśno. – Oczywiście o ile zaakceptujesz moje warunki. Jestem najlepszym prywatnym detektywem w mieście. Proszę, weź naszą ulotkę. No i mogłabyś nas polecić swoim przyjaciółom.

Wszyscy dobrze wiemy, że Melissa, coraz bardziej rozchwytywana pani adwokat, nie ma przyjaciół. Leo wbił jej szpilę, jest tego świadoma. Patrzy na niego wrogo, jest wściekła, bliska ataku furii. Nadal nie rozumie, dlaczego Seb ją zostawił dla emigranta z Polski cierpiącego na nadwagę. Jak to się stało, że prywatny detektyw, z którego usług od czasu do czasu korzystała, omotał jej męża? I to w momencie, kiedy zleciła Leo śledzenie Seba, zaniepokojona, że mąż się od niej coraz bardziej oddala. A potem Seb oświadczył, że jest gejem, i zrobił to tak po prostu, jakby chodziło o zmianę opon. Jej świat się zawalił, jeszcze się z tym nie pogodziła.

– No to do przyszłego tygodnia – rzuca w przestrzeń.

Kiedy wychodzi równie głośno i energicznie, jak weszła, wszyscy oddychamy z ulgą.

Seb przez chwilę patrzy na Leo, potem znika w swoim gabinecie i delikatnie zamyka drzwi. Leo zaczyna przeglądać papiery na biurku. Wszyscy robimy dobrą minę do złej gry, nikt się nawet nie zająknie, że bardzo potrzebujemy nowych zleceń i nie możemy wybrzydzać. Owszem, książka Seba o ludobójstwie w Kosowie odniosła ogromny sukces, również komercyjny, ale to było dwa lata temu. Zarobione pieniądze wydał na dom, resztę pochłonęła sprawa rozwodowa.

Zaczynam przeglądać dokumenty przyniesione przez Melisę. Właśnie na tym polega moja praca.

Odszukuję świadków i przesłuchuję ich, próbując ustalić, czy kłamią. Jestem w tym dobra, umiem czytać między wierszami i wyczuwam, gdy ktoś chce coś ukryć. Leo zaproponował, że opłaci mi specjalistyczny kurs, na którym uczą takich rzeczy, ale po pierwsze, i tak go na to nie stać, a po drugie, zależy mi na tym, by

jak najmniej osób wiedziało, co naprawdę potrafię. Czasami lepiej nie ujawniać swoich zdolności. Właśnie tego nauczyło mnie życie, i była to bardzo kosztowna lekcja.

Skupiam się na pretensjonalnym zdjęciu Harrisona Baichwala. Uśmiecha się promiennie, patrzy prosto w obiektyw. Pierwsze, co rzuca mi się w oczy, to że krzaczaste brwi i wypielęgnowana broda zakrywają sporą część twarzy. W tle widać falochron i lazurowe niebo bez jednej chmurki. Mężczyzna na tym pogodnym zdjęciu jeszcze cieszy się słońcem, jeszcze nie ma pojęcia, jak mroczna może się okazać jego przyszłość. Był świadkiem morderstwa, ale podczas przesłuchania uparcie twierdził, że nic nie widział i nic nie słyszał, a zaraz potem zapadła się pod nim ziemia.

Muszę przestać myśleć o zaginionej córce i skupić się na pracy. Niestety wyobrażenia nadal podsuwa najczarniejsze scenariusze. To normalne, gdy dowiadujemy się, że młoda kobieta nie daje znaku życia. I po co się okłamuję, że jej los jest mi obojętny, że przecież wcale jej nie znam? Jest nie tylko obecna w mojej świadomości, ale przez te lata zadomowiła się tam na dobre.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ludzie kłamią zawsze i na każdy temat. Mijają się z prawdą, nawet kiedy zadajesz im bardzo konkretne i szczegółowe pytania. Jak przyłapać kogoś na kłamstwie, nawet notorycznego blagiera? Naucz się zadawać właściwe pytania. Na przykład kiedy spytasz:

– Kochanie, gdzie byłeś poprzedniej nocy? – sam zapędzasz się w ślepą uliczkę.

Nawet początkujący kłamca bez trudu wymyśli na poczekaniu kilka świetnych wykrętnych odpowiedzi i wymówek. Dlatego lepiej spytać:

– Czy bzykałeś wczoraj od dwudziestej pierwszej trzydzieści siedem do dwudziestej drugiej osiemnaście kasjerkę ze stacji benzynowej?

Na tak zadane pytanie każdy początkujący lub nieudolny blagier natychmiast odpowie zgodnie z prawdą, bo będzie zbyt zszokowany, by improwizować. Wytrawny kłamca na pewno się nie podda. Zasugeruje, że prawdopodobnie twoja najlepsza przyjaciółka widziała kogoś ładnego podobnego do niego. Możliwe, że ktoś taki wchodził z kasjerką do motelu, ale przecież była noc. A w nocy jest ciemno, wtedy wszystkie koty są czarne. Nie zamierza się do niczego przyznawać, bo przecież zachował wszelkie środki ostrożności. Upewnił się, że tej nocy nie będzie pełni, zarezerwował pokój oddalony od ulicy. Nawet jeśli prywatny detektyw udokumentował jego zdradę, wytrawny kłamca i tak będzie szukał wyjścia z sytuacji. Zacznie ci zadawać mnóstwo pytań, by ustalić, jak dużo wiesz. Wkrótce to ty poczujesz się winna, że mu nie ufasz.

Niektórzy kłamią jak z nut, ale zdradza ich mowa ciała. Mrugają, przygryzają wargę, gładzą podbródek lub bębnią palcami w stół. Czasami zmienia im się tembr głosu. Jestem bardzo wyczulona na takie sygnały, trudno mnie oszukać.

Oczywiście kłamią zarówno mężczyźni, jak i kobiety, młodzi i starzy. Kłamstwo jest nieodłączną częścią ludzkiego życia. Kłamią prawie wszyscy i większość robi to na tyle dobrze, że jest w stanie oszukać najbliższych.

Prawie wszyscy, ale nie ja. Nie umiem kłamać, nawet gdy sytuacja tego wymaga. Raczej przemilczę prawdę, niż coś zmyślę.

Wpatruję się w zdjęcie Harrisona Baichwala i zastanawiam się, co takiego zeznał, że woli nie pokazywać się w sądzie. Czego się boi, przed czym ucieka?

Leo nie jest naiwny. Dobrze wie, że brakuje mi kwalifikacji do pracy w jego agencji, dlatego najważniejsze sprawy zleca Steviemu Warsame'owi, młodemu somalijskiemu ekspliniarzowi z Alberty. Stevie jest naszym sprawdzonym współpracownikiem, zawsze zajmuje się tylko jednym zleceniem. Bystry, ale tempem pracy nie oszałamia. Gdy wpada do nas po kolejny czek, często mi

powtarza, że pośpiech jest dobry tylko przy łapaniu pcheł. Obserwuj, słuchaj, a dopiero potem wyciągaj wnioski. To jedyny sposób, by uzyskać pełny obraz sytuacji.

Leo szybko się zorientował, że nie powinien polegać wyłącznie na oficjalnych, łatwo dostępnych dokumentach, i potrzebuje kogoś, kto ma kontakty w policji. Stevie wydawał się stworzony do tej pracy. Poza tym jest dobry w swoim fachu i nigdy nie odmawia przyjęcia żadnego zlecenia. Wie, jak śledzić ludzi, żeby nic nie zauważyli, i może dlatego ma bzika na punkcie własnej prywatności. Kiedy pracuje nad sprawą, trudno go namierzyć, nawet gdy grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Trzeba czekać, aż sam się z nami skontaktuje.

Właśnie dlatego mniej ważne sprawy trafiają na moje biurko. Brak mi umiejętności i doświadczenia Stewiego, ale moje śledztwa zazwyczaj kończą się sukcesem.

Notatki, które sporządzam podczas rozmów ze świadkami, szybko zwróciły uwagę moich szefów. Zauważyli, że zawsze wykrywam kłamstwo. Ta umiejętność nie opiera się na żadnych naukowych podstawach, zresztą sporo osób w ogóle kwestionuje istnienie jakichkolwiek naukowych podstaw w tej dziedzinie. Nie mam też geniuszu i zdolności dedukcyjnych Sherlocka Holmesa, nic z tych rzeczy. To coś prostszego, co trudno mi nazwać. Oczywiście jestem dobrym obserwatorem, ale poza tym gdy ktoś kłamie, zaczynam czuć się nieswojo. Im bardziej ktoś się stara mnie oszukać, tym gorzej to znoszę. I zawsze wiem, kiedy świadek próbuje mataczyć albo po prostu uratować własny tyłek. Nie umiałabym tego udowodnić, ja tylko czuję, że coś jest nie tak. Dzięki latom spędzonym w rodzinach zastępczych doprowadziłam te zdolności do perfekcji.

Harrison Baichwal może i nie jest kłamcą, ale na pewno próbuje coś ukryć. W jego sklepie całodobowym nastolatek śmiertelnie postrzelił młodą kobietę, matkę dwojga dzieci. Użył broni należącej do jego rodziców, na którą zresztą mieli pozwolenie. Dziani rodzice natychmiast wynajęli Melissę, by próbowała udowodnić, że tego dnia ich syn nawet nie zaglądał do sklepu. Tylko że Harrison najwidoczniej nie chciał się bawić w tę grę, a skoro zniknął, nie można mu było dostarczyć wezwania do sądu. Moim zadaniem było odkryć, gdzie i dlaczego się ukrywa.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie zamierzam kłamać, bo jak już powiedziałam, nigdy tego nie robię. Zanim na dobre wytrzeźwiałam, przeżyłam wiele mrocznych lat. Miałam trzy poważne nawroty choroby alkoholowej. Podczas ostatniego, kiedy od dwóch tygodni staczałam się po spirali coraz niżej i niżej, pewnego dnia usłyszałam dobiegający z dworu dziwny dźwięk, ni to szept, ni to posapywanie. W pierwszej chwili uznałam to za jeden z objawów gigantycznego kaca. Przez godzinę tkwiłam skulona na łóżku z kocem zarzuconym na głowę, ale potem wpadłam w furję. No dobra, mam zwidy, to początek paranoi. Napiję się piwa, żeby zebrać się do kupy, i sprawdzę, co się dzieje.

Wyszłam z piwnicy uzbrojona w klucz do opon. Przy tylnym wejściu do biura natknęłam się na futrzaną kulkę, która wyraźnie zde gustowana obwąchiwała pojemnik z niezbyt świeżą chińszczyzną, którą wczoraj wyrzuciłam. Puszysta kulka spojrzała na mnie okrągłymi ślepkami, a potem z gracją rozprostowała kości. Próbowałam ją odpędzić, ale zignorowała moje wysiłki, zresztą przyznaję, niezbyt energiczne. Nazwałam ją Sapką. Tego dnia przestałam pić, bo każdy alkoholik to główniany opiekun, co wiem z własnego doświadczenia. Jeżeli już ktoś sam siebie wybiera, docień to i zrób, co w twojej mocy, by go nie zawieść. Wybrańców jest niewiele, ciesz się, że dołączyłeś do tego elitarnego grona. Każda istota, nawet parszywy kundel, zasługuje na szansę.

Sapka jest szara, dzięki czemu idealnie wtapia się w otoczenie. Jej kolor współgra z kolorem chodników i chmur, które tak często wiszą nad miastem. Przemierza ze mną ulice dniem i nocą, widzi rzeczy, których inni nawet nie chcą zauważyć. Nie jestem wielbicielką zwierząt, ale z Sapką łączy mnie prawdziwa więź, to moja bratnia dusza. Ten pies codziennie mi przypomina, że na świecie jest wiele istot, które miały mniej szczęścia niż ja. Często wpatruje się we mnie smutnymi ślepiami, wygląda przy tym jak kupka nieszczęścia, która przeprasza, że żyje. Nigdy się nie dowiem, czego doświadczyła, skoro postanowiła rozpocząć nowe życie w najgorszej części miasta.

Już pierwszego dnia okazało się, że może być cennym pomocnikiem. Zabieram ją, gdy szukam informacji i ewentualnych świadków, bo ludzie spacerują z psami o najdziwniejszych porach dnia i nocy. Nikogo to nie dziwi, przecież wszyscy wiedzą, że psy należy wyprowadzać. Właśnie dlatego właściciele czworonogów nie wzbudzają podejrzeń, a nawet jeszcze lepiej – nikt nie zwraca na nich uwagi. Dzięki temu Sapka stanowi rewelacyjną przykrywkę podczas pracy śledczej. Jest też w idealnym wieku, już nie rozkoszny szczeniaczek, a jeszcze nie stary, łysiejący i spasiony pies. Wszyscy mijają ją obojętnie, jakby była niewidzialna. W tym jesteśmy do siebie bardzo podobne, różni nas tylko to, że ja

od dawna nie odczuwam popędu seksualnego.

Co innego Sapka, wiecznie napalona i gotowa do kolejnej przygody. Dziwna sprawa, bo weterynarz zapewnił mnie, że jest wysterylizowana. Ta suczka, mieszaniec charta i wilczura, to prawdziwa nimfomanka. Kiedy ją znalazłam, miała zadbane futro i zdrową skórę, w ogóle była w niezłej kondycji. Ktoś o nią dobrze dbał, a potem być może po prostu wyrzucił za drzwi. Gdy tylko jakiś pies obwąchuje ją dłużej niż pięć sekund, natychmiast ochoczo nadstawia tyłek. Później popada w smętny nastrój, zupełnie jakby się wstydziła swojego postępku. Zachowuje się tak po każdej burzy hormonów. Nie wściekam się na nią, nigdy.

Dzięki Sapce pobieram darmowe lekcje pobłażliwości.

– Ale z ciebie puszczałka – mówię czule po jej kolejnym seksualnym wyskoku.

Zaczyna wtedy żałośnie zawodzić, a potem zanurza cały pyszczek w misce z wodą, zupełnie jakby próbowała się utopić.

Gdy Leo i Seb wreszcie idą do domu, schodzę do piwnicy i budzę Sapkę. Ożywia się zwykle dopiero po zachodzie słońca, zupełnie jak ja.

– Musimy kogoś poszukać – mówię do niej.

Unosi ogon, jakby rozważała, czy warto nim pomachać, ale potem z głośnym plaśnięciem opuszcza go na podłogę. Po chwili biegnie do drzwi gotowa do wyjścia. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale tak jak ja uwielbia śledzić ludzi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdyby Kanadyjczycy zechcieli rozmnażać się na tyle energicznie, by osiągnąć wymarzone 2,1 dziecka na rodzinę, rząd nie musiałby prowadzić tak ekspansywnej polityki imigracyjnej. Tymczasem teraz na rodzinę wypada mniej niż dwoje dzieci, co w przyszłości może zaowocować katastrofą demograficzną, a nasza gospodarka się załamie. Kto, do diabła, będzie dostarczać do naszych sklepów zdrową, ekologiczną żywność? Skrajni prawicowcy i zwolennicy zamkniętych granic mogą wrzeszczeć co sił w płucach, ale dopóki nie zaczną płodzić więcej dzieci, przyszłością Kanady jest tak przez nich znieawidzone multikulti. Tylko w ten sposób można zapewnić społeczeństwu względne bezpieczeństwo.

Kanada to tygiel różnorodnych kultur, co musi nieuchronnie prowadzić do konfliktów. Na razie nie dochodzi do poważnych incydentów, większość białych Kanadyjczyków ogranicza się do cierpkich rasistowskich uwag podczas gry w golfa. Myślę o tym, gdy siedząc przed wejściem do sklepu, obserwuję mijających mnie Hindusów. To przybysze zarówno z Indii, jak i z Fidzi, najliczniej reprezentowana grupa imigrantów z Azji Południowej. Jednak klienci sklepu to prawdziwy przegląd różnych ras i kultur, przecież wszyscy potrzebują gumy do żucia i pastylek na ból gardła.

Siedzimy z Sapką na ławce po drugiej stronie ulicy tuż naprzeciwko wejścia do sklepu i obserwujemy kobietę za ladą. W średnim wieku, trochę brzuchata, z długimi nienaturalnie czarnymi, zapewne farbowanymi włosami, które przytrzymuje kolorowa opaska. Jestem pełna podziwu, jak świetnie sobie radzi. Oszczędna w ruchach, spokojna, szybko odnajduje żądany towar i cierpliwie odpowiada na pytania klientów. Pomocna i grzeczna na tyle, na ile wymaga tego sytuacja. Ani zbyt opryskliwa, ani przesadnie serdeczna. Kiedy w sklepie akurat nie ma klientów, porządkuje towar na półkach.

Tak nie zachowuje się kobieta, która martwi się o los męża.

Dokładnie o siódmej wieczorem w sklepie pojawia się młody mężczyzna i przejmuję zmianę, a Bidi Baichwal wychodzi do domu. Nie śledzę jej, przecież dobrze wiem, gdzie mieszka z rodzicami, chwilowo zaginionym mężem i nastoletnim potomstwem. Takie śledztwo oczywiście wymaga pracy zespołowej, jednak obecnie ze Steviem Warsame'em nie mamy kontaktu, a Leo zajmuje się inną ważną sprawą, jestem więc skazana na własne siły. Zakładam, że Bidi pojedzie prosto do domu, bo jest zmęczona po długim dniu pracy, a poza tym na pewno chce spędzić trochę czasu z dziećmi. Skupiam się na obserwacji młodego sprzedawcy, kuzyna Bidi, który rok temu przyjechał z Indii. W dokumentach dostarczonych przez Melissę wyczytałam, że nazywa się Amir. Jest dobrym

pracownikiem, ale ma tak smętny wyraz twarzy, że mógłby konkurować z Sapką o tytuł najbardziej żalospnego stworzenia. Bardzo się stara, tyle że mówi po angielsku znacznie gorzej niż Bidi, dlatego obsługuje klientów o wiele wolniej. Nikt nie zwraca na to uwagi, wszyscy są cierpliwi, bo w wyglądzie i sposobie bycia Amira jest coś takiego, że ludzie odruchowo chcą mu pomóc.

Mija kolejna godzina, ruch powoli zamiera. Jest spokojnie, zupełnie jak tuż przed świtem, gdy cisza staje się tak przeraźliwa, że aż uniemożliwia sen. O tej porze moje koszmary zawsze wypełzają z kątów gotowe do ataku i szukające kolejnej pożywki. Nie pozwalam sobie na myśli o Bonnie. Przecież nawet jej nie znam, nic o niej nie wiem, nie mam pojęcia, od czego miałabym zacząć poszukiwania. Oczami wyobraźni widzę twarz mojej siostry Lorelei. Co bym zrobiła, gdyby Lorelei zaginęła? Na pewno nie siedziałabym na tej ławce, tylko działała.

O jedenastej Amir zamyka sklep. Idę za nim aż do bloku oddalonego o kilkaset metrów od domu Bidi. Większość okien jest ciemna, niewiele tu nocnych marków. Amir wchodzi do środka, po chwili widzę zarys czyjejś sylwetki w oknie na trzecim piętrze. A więc ktoś na niego czekał.

Obserwuję okno, ale po chwili światło w mieszkaniu gaśnie. I wreszcie pozwalam sobie pomyśleć o zaginionej dziewczynie, która odziedziczyła po mnie oczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

U Everetta i Lynn jest zupełnie ciemno, pewnie już poszli spać. Księżyc zasnuły chmury, w pobliżu nie ma żadnych latarni, ciemność wydaje się nieprzenikniona, ale i tak widzę, że to piękny piętrowy dom. Zadbany ogród, a na drzwiach drewniana tabliczka z napisem „Witaj w domu”. To dzieło amatora, zapewne Everetta. Jego i być może Bonnie. Czy zrobili je wspólnie? To jedyna oznaka, że w tym domu może mieszkać dziecko. A jednak dobrze trafiłam, bo to adres, który Everett nabazgrał na odwrocie zdjęcia podczas naszego spotkania.

Skupiłam całą uwagę na tabliczce, dlatego zbyt późno zauważyłam, że mężczyzna w parkującym nieopodal sedanie obserwuje dom. Jeżeli zacznę uciekać, wydam mu się podejrzana, więc powoli ruszam przed siebie. Mężczyzna nie śpi, a zatem to nie gliniarz. No i je jabłko. Być może jacyś gliniarze też od czasu do czasu podjadają owoce, ale ja nigdy z czymś takim się nie spotkałam. Poza tym Everett powiedział, że policjanci potraktowali zaginięcie Bonnie jako ucieczkę, więc raczej wątplię, by nagle zmienili zdanie.

Kiedy go mijam, zerka na mnie i Sapkę. Patrzy na moją twarz i ciemne włosy wystające spod kaptura, ale zaraz przestaje się mną interesować i odwraca wzrok.

Nie martwię się, że widział moją twarz, bo rano i tak nie będzie pamiętał, jak wyglądałam. Gdyby ktoś bardzo naciskał, pewnie powie, że prawdopodobnie jestem biała, średniego wzrostu i drobnej budowy ciała. No, może jeszcze doda: zero biustu, okropnie ubrana, z brzydkim psem.

Skrećam za dom i znajduję miejsce poza zasięgiem jego wzroku. Przez chwilę zastanawiam się, czy Everett i Lynn wynajęli go, by wypatrywał Bonnie. Nie, to bez sensu, po co mieliby to robić, skoro są w domu.

Ktoś ich śledzi, a zatem sprawa się komplikuje.

W sypialni nad garażem zapala się światło, ktoś uchyla okno i na zewnątrz wydobywa się smuga dymu. Widzę, jak szczupła dłoń próbuje go rozwiać. To na pewno Lynn, która nie chce, by Everett przyłapał ją na paleniu papierosów. Z mojego miejsca nie jestem w stanie stwierdzić, czy mężczyzna w sedanie zauważył tę scenkę, czy wszystko zanotował, by potem umieścić w raporcie. A to przecież ważne. Kobieta, którą dręczą wyrzuty sumienia, nie może spać i pali papierosy w sypialni zaginionej córki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wróciłam do domu tuż przed świtem i spałam do dziesiątej. Seb i Leo w piątki pracowali w domu, czasami też w poniedziałki, środy i czwartki, a regularnie pojawiali się w biurze tylko we wtorki. Seb jak zwykle zostawił mi sporo nagranych wywiadów do przepisania, więc miałam co robić. Spodziewałam się, że około południa zadzwoni Leo, by zapytać o postępy w śledztwie w sprawie zaginionego Harrisona Baichwala.

Seb musiał chwilowo odłożyć na bok pracę nad kolejną książką, tym razem o niespójnej polityce zagranicznej Kanady. Brał sporo zleceń, przecież z czegoś trzeba opłacać rachunki. Nie zarabiał na tym kokosów, bo w czasach internetu każdy z dostępem do Wi-Fi, a zatem do informacji, uważa się za dziennikarza śledczego. To właśnie dlatego Seb pisze również teksty na blogu informacyjnym „Kruk”, opłacanym przez kilka gazet. To zajęcie pochłania mnóstwo czasu, ale dzięki niemu w ogóle dostaję pensję, więc nie ma co narzekać.

Przeszłam na palcach obok śpiącej Sapki i ruszyłam po schodach do biura. Skrzydło, w którym pracowaliśmy, było prawie puste. Nasi jedyni sąsiedzi to mała agencja reklamowa, widocznie bez zleceń, ponieważ wiecznie zamknięta na głucho.

W biurze jak zwykle nie mrugała czerwona dioda na aparacie telefonicznym, ale ktoś do mnie dzwonił na komórkę. Zostawiłam ją wczoraj na biurku i nawet nie zauważyłam jej braku. Właściwie dzwonili do mnie tylko Leo i Seb, prawie zawsze wyłącznie w godzinach pracy. Teraz nie rozpoznałam numeru, ale była też wiadomość w poczcie głosowej.

Pamiętam ten głos. Zmieniony przez setki wypalonych papierosów i hektolitry mocnej kawy stał się bardziej chrapliwy, ale wiem, do kogo należy, bo kiedyś nieźle znałam tego dziennikarza.

– Nora... przepraszam, zapomniałem, że prosiłaś, by nigdy nie używać twojego prawdziwego imienia. Kurwa. A zatem, Mario, cholernie trudno było cię znaleźć. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko gra. To awaryjna sytuacja, inaczej nie zawracałbym ci dupy. Muszę ci coś powiedzieć, ale to nie jest rozmowa na telefon. Spotkajmy się jutro rano, w miejscu, w którym widzieliśmy się ostatnio, pamiętasz gdzie? Przyjdź, to ważne...

Wiadomość urywa się nagle. Albo padła mu bateria, albo skończył się czas przeznaczony na nagranie. Chociaż rozmówca nie dokończył ostatniego zdania, wiem, że było tam ostrzeżenie. Odsłuchuję wiadomość kilka razy, a potem opadam na jeden z foteli zostawionych przez poprzednich najemców.

Boję się, za dużo się ostatnio wokół mnie dzieje. Najpierw telefon od Everetta, teraz od dziennikarza. Wygląda na to, że przeszłość zaczyna się o mnie

upominać i deptać mi po piętach. Skrobie pazurem w wieko trumny, w której ją kiedyś pochowałam.

I nagle czuję, że po prostu muszę się napić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czasami tuż po przebudzeniu wygrzebuję ze sterty rzeczy małe lustro i gapię się na moje odbicie. Widząc swoją twarz, za każdym razem nieodmiennie przeżywam szok. Unikam patrzenia w lustro, zupełnie jak wampir. Jednak w odróżnieniu od wampira oczekuję, że zobaczę swoje odbicie, chociaż nie jest to przyjemny widok, z pewnością wymagający poważnej interwencji kosmetycznej lub chirurgicznej.

Patrzę teraz na śniadą zjawę, raczej w średnim wieku, jednak bez dramatycznych objawów postępującego wieku. Wzdrygam się na widok kobiety z lustra, która mi się przygląda w porannym świetle przesączającym się do pokoju. Może i nie mam za dużo zmarszczek, ale z każdym rokiem moje pośladki opadają coraz niżej, tracą jędrność. Ci, co oglądają reklamy, wiedzą, że to oznaka starości, której łatwo zaradzić. Podobno lifting takich sflaczałych mięśni to banalny zabieg, ale mnie oczywiście na to nie stać. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach, nie oszczędzałam na czarnej godzinę, a kiedy akurat byłam przy forsie, wszystko przepijałam.

Seb i Leo uważają, że nie jestem seksowna, co według nich daje mi dodatkowy plus. Nie rozpraszam klientów i raczej nie ucieknę z żadnym kochankiem, porzucając pracę. Trudno dyskutować z tymi argumentami, niestety w większości prawdziwymi. Zresztą moja niezbyt atrakcyjna powierzchowność bardzo pomaga w pracy śledczej. Kobieta w średnim wieku to dla większości ludzi istota niewidzialna. Jestem tym lepszym detektywem, im mocniej grawitacja upomina się o moje pośladki.

Kiedy pewnego dnia odzyskałam przytomność w szpitalu, zaczęłam nosić pieluchomajtki. Uznałam, że zasługuję na takie upokorzenie. Jednak w grupie wsparcia dla trzeźwiejących alkoholików przekonali mnie, że nie powinnam się karać i nie mam się czego wstydzić. Wtedy w ramach buntu właściwie w ogóle przestałam używać bielizny. Tylko że teraz mogę jej potrzebować. Wkładam najmniej zniszczone elastyczne majtki i dzwonię do moich szefów. Zapewniam, że mogę nadal pracować nad sprawą Harrisona Baichwala, ale raport przygotuję dopiero jutro. Tak, mam kilka nagranych wywiadów do przepisania, zrobię to później.

Współczesna technologia to cudowna sprawa. Możesz pracować przy swoim kuchennym stole, tuląc się czule do ukochanej osoby. Właśnie to w tej chwili zapewne robią Seb i Leo.

– W porządku, Nora – mówi Seb. W tle słyszę, jak Leo obrzuca barwnymi wyzwiskami ekspres do kawy. – A poza tym wszystko w porządku?

– To zależy, co rozumiesz przez stwierdzenie „w porządku”.

– Pytam, czy z tobą wszystko w porządku, czy dobrze się czujesz.

– Tak – odpowiadam świadoma, jak względne jest to stwierdzenie.

Jasne, wielu ludzi miewa się znacznie gorzej ode mnie, ale cała rzesza jest ode mnie szczęśliwsza, bo kimże jestem? Była alkoholiczka, trzeźwa od trzynastu lat, równie długo żyjąca w celibacie, bez przyjaciół i pieniędzy. Niekochana i nieumiejąca kochać, przemierzam miasto z jedyną istotą, która wzbudza we mnie cieplejsze uczucia, chociaż można ją bez przesady nazwać psią dziwką. Inni na moim miejscu być może wysłuchaliby rzewnej piosenki country, a potem rzucili się z mostu.

Sapka czeka na mnie przy drzwiach. Wyczuwa mój strach i zaczyna się zastanawiać, czy też powinna się bać, czy może czas znaleźć sobie inne przytulisko. Nigdy się nie okłamujemy, jesteśmy wobec siebie brutalnie szczerze. Obie wiemy, że została ze mną, bo regularnie ją karmię.

Przez resztę dnia przeglądam internet, korzystając z biurowego Wi-Fi. W piwnicy działa o wiele wolniej, ale to niewygórowana cena za darmowe łącze. Moja komórka dzwoni co kilkanaście minut. Dziennikarz próbuje się ze mną za wszelką cenę skontaktować, ale olewam to.

Włączam piosenkę Niny Simone, która natychmiast zagłusza moje myśli. Ta kobieta skupia na sobie całą uwagę słuchacza, wszyscy toną w jej głosie, chwytliwe frazy sprawiają, że zewnętrzny świat znika. Potem słucham Muddy'ego Watersa, Percy'ego i wreszcie na deser Toma Waitsa. Kiedyś trochę sama bawiłam się bluesem, jednak po latach zrozumiałam, że będę miała więcej pożytku ze słuchania innych, bo i tak nigdy nie osiągnę mistrzostwa. Smakuję te chwile, zachwycona, że chociaż przez jakiś czas nie muszę pracować. Na szczęście Seb i Leo są dobrymi szefami, nie zadają zbyt wielu pytań.

Marzę, by się napić, pragnę drinka tak bardzo, że zaczyna mnie boleć żołądek. To szokujące, ale moje ciało nadal pamięta, jak cudownie jest zapaść w alkoholowy niebyt. To najlepsza ucieczka od codzienności, w której wszystko, czego dotkniesz, zamienia się w gówno.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czekam, aż zapadnie ciemność, a potem wybieram numer, na który już nigdy nie powinnam dzwonić. Podnosi słuchawkę po piątym sygnale. Nie krzyczę tylko dlatego, że obezwładnia mnie strach i mam ściśnięte gardło.

– Muszę się z tobą zobaczyć – mówię. – Za godzinę przy moście.

– Nora? – chrypi jak ktoś przebudzony z głębokiego snu. Nie jest jeszcze późno, a on z trudem zbiera myśli. Dlaczego? Pewnie zdrzemnął się na biurku z nieodłącznym kubkiem kawy pod ręką. – Cholera jasna – szepcze zdenerwowany i nagle rozbudzony.

– To naprawdę ważne.

Wzdycha ciężko, ale wiem, że przyjdzie.

Wyruszamy z Sapką na długi spacer. Nie wzięłam jej na smycz, wybieram ciemne boczne uliczki, na których raczej nikogo nie spotkamy. Nikt nie będzie się czepiał, że pies biega luzem.

Podobno sponsor powinien być na każde wezwanie. Pocięszać, dzielić z tobą troski i radości, pilnować, byś po raz kolejny nie rozbił się o rafy, dużo rozmawiać. Jednak ja spędziłam z moim byłym sponsorem wiele godzin, po prostu milcząc. Na ogół siedzieliśmy w jego samochodzie zaparkowanym przy moście Lions Gate. Popijaliśmy kawę i patrzyliśmy na miasto, które powoli układało się do snu. Nie opowiadałam mu o moich kłopotach, on nie mówił o swoich. Później moczopędna kawa zmuszała nas do poszukania ustronnego miejsca i każde ruszało w swoją stronę. Noc to najgorsza pora dla samotnych, których dręczą demony. Gdy zachodzi słońce, mrok wydaje się gęstnieć, cienie przybierają groźne kształty, twoja wyobraźnia pracuje pełną parą. Jeżeli się złamiesz i wypijesz jednego drinka, tak dla smaku, a potem następnego i kilka piw... Sponsor doskonale wyczuwał mój nastrój, wiedział, co się ze mną dzieje.

Pewnej nocy, gdy poklepał mnie po ramieniu, złapałam go za nadgarstek i walnęłam zaciśniętą pięścią prosto w nos. Mocno krwawił, ale w ogóle się tym nie przejął. Błyskawicznie wykręcił mi ręce za plecy i skuł kajdankami. Zorientowałam się, dopiero gdy poczułam na skórze chłód metalu. To była dla mnie niezła nauczka, dowiedziałam się, że niektórzy ludzie jeszcze pilniej strzegą swych sekretów niż ja.

Po tym incydencie doszedł do wniosku, że nie jesteśmy zgranym duetem i nie będzie w stanie zaofiarować mi takiej pomocy, jakiej potrzebuję. Cokolwiek to miało znaczyć.

Kiedy podchodzę do mostu, mój były sponsor już na mnie czeka na parkingu. Jest bardzo wysoki, dlatego z trudem wysiada z mini coopera, którego za żadne skarby świata nie chciał wymienić na samochód o bardziej odpowiednich

gabarytach. Według mnie to pamiątka po nieudanym małżeństwie z wielbicieleką klaustrofobicznych przestrzeni.

– Mówiłem, żebyś sobie znalazła nowego sponsora – rzuca na mój widok zamiast powitania.

Chociaż od naszego ostatniego spotkania minął zaledwie rok, zmienił się nie do poznania. Bardzo się staram, ale nie umiem oderwać wzroku od lekko zdeformowanego nosa, bardzo zaczerwienionych oczu i stanowczo za długich, potarganych włosów. Zupełnie jakby porażka, którą poniósł jako mój sponsor, pchnęła go z powrotem w szpony nałogu.

– I tak też zrobiłam, ale on zadaje za dużo pytań. Kto wie, może jest szpiegiem?

Wzdycha ciężko, jakbym właśnie wbiła mu w tyłek ogromny cierń. Zawsze uważał mnie za dopust boży. Koledzy z policji nadali mu przezwisko Bazooka, chociaż nie był ani głośny, ani porywczy, po prostu tak przerobili jego imię. Jednak po mistrzostwach świata w piłę nożnej, które odbyły się w Brazylii, został Brazuką, czyli Brazylijczykiem. Tak naprawdę był w połowie Portugalczykiem, a w połowie Anglikiem wychowanym w Kanadzie.

Próbowałam dopatrzeć się w jego rysach czegoś egzotycznego, jednak po południowym przodku odziedziczył jedynie bardzo ciemne oczy i śniadą cerę. Tak naprawdę jest typowym Angolem, zawsze zdystansowanym, z potężnym kompleksem niższości. Wysoki i chudy, lekko utyka, nieco mocniej, gdy pada deszcz, czyli przez siedem miesięcy w roku. Na początku myślałam, że chodzi tak specjalnie, by wzbudzać litość, że to jego sposób na podryw. Stanowczo zaprzeczył. Trochę powęszyłam i dowiedziałam się, że został ranny na służbie. Tej nocy, kiedy mnie skuł, powiedział, że nie jest mundurowym policjantem, tylko detektywem, a reszta nie powinna mnie obchodzić.

– Wiesz, nie tylko agenci interesują się innymi ludźmi. Niektórzy chcą po prostu pogadać – mówi cicho.

– A tobie gadanie pomogło?

– Po co chciałaś się spotkać? – pyta po dłuższej chwili milczenia. Rejestruje moje znoszone spodnie i dziurawą bluzę z kapturem. – Potrzebujesz forsy?

– Chcę, żebyś dla mnie sprawdził ten numer rejestracyjny. – Podaję mu skrawek papieru.

Oczywiście mogłabym poprosić Steviego, dla niego byłaby to pestka, jednak nie chcę, by ktokolwiek w biurze zaczął wypytywać mnie o Bonnie. Im mniej o mnie wiedzą, tym lepiej. Również dla nich. Z przyczyn, których postanowiłam nie zgłębiać, bardzo zależy mi na wiarygodności.

– Ty nie żartujesz – stwierdza, gdy już przestaje się śmiać.

– Chodzi o zaginioną dziewczynę – wyjaśniam. – Ten samochód parkował wczoraj w nocy przed jej domem. A facet, który siedział w środku, na pewno nie

był gliną.

– Policja...

– Gówno ich to obeszło. Wiesz, ona ma trochę za ciemne włosy i zbyt śniadą karnację.

Wzdryga się lekko, pewnie miał to być wyraz oburzenia, jednak ma na tyle przyzwoitości, że wydaje się zawstydzony. Może powinnam go przeprosić, ale oboje wiemy, że wcale nie przesadziłam. Na północy prowincji mogłaby powstać potężna rzeka z łez dziewcząt i kobiet, które nie były dość jasnowłose. W ich przypadku wymiar sprawiedliwości okazał się wyjątkowo opieszale, zrozpaczone rodziny na próżno domagają się porządnego śledztwa. Takie zaniedbania policji i urzędów powoli pożerają Kanadę niczym rak, a problem ożywa zawsze tylko podczas kolejnych kampanii wyborczych.

– Dlaczego interesujesz się tą sprawą? – pyta.

Dobre pytanie, sama jestem ciekawa, co mnie popycha do szukania Bonnie. Przecież mu nie powiem, że odziedziczyła po mnie oczy i to już wystarczający powód, bym przejmowała się jej losem. Dlatego wzruszam tylko ramionami i czekam na jego reakcję. Jeżeli odmówi, dam sobie spokój, zadowolona, że chociaż próbowałam. Ostatecznie to nie moja sprawa. Oddałam dziecko ludziom, którzy mieli wszelkie dane, by być lepszymi rodzicami ode mnie. A jednak zawiedli ją, tak samo jak ja.

– Ile ma lat?

– Piętnaście.

– Zaginęła czy uciekła?

– Rodzice uważają, że uciekła, ale według mnie zaginęła.

– To teraz rozumiem, dlaczego policja nie potraktowała sprawy poważnie. – Uśmiecha się kpiąco.

– Posłuchaj, oszczędź mi tych gadek. Chcę tylko wiedzieć, na kogo jest zarejestrowany ten samochód.

Brazuka wreszcie bierze ode mnie kartkę, próbując dojrzeć coś w ciemności.

– Na górze zapisałam markę i model. – Wskazuję palcem.

– Dobra, ale potem nigdy więcej do mnie nie dzwoń. Zdaj się na policję, są w tym lepsi, niż ci się wydaje.

Śmieję się cicho, ale nagle do mnie dociera, że wcale nie żartował.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy wspominam siebie sprzed lat, odczuwam litość i tylko niewielki wstyd. Przed dwudziestu laty byłam naiwną dziewczyną śpiewającą bluesa, groteskową postacią jak z komiksu, która żyje marzeniami i wierzy, że wystarczy mocno chcieć, by sny stały się rzeczywistością.

Żałosne.

Jednak przetrwałam, wyszłam na prostą, ale to była bolesna lekcja. Nie, to nie tak, że już nic mnie nie zdziwi, po prostu widziałam za dużo, dlatego dawno pozbyłam się złudzeń. Zatem wcale nie jestem zaskoczona, gdy widzę piękną rudowłosą kobietę całującą się na parkingu z facetem, który nie jest jej mężem. Już wiem, dlaczego kłamała, że tego dnia, kiedy zaginęła jej córka, była w pracy. Prawdopodobnie zabawiała się z kochankiem. Zastanawiam się, czy odczuwa wyrzuty sumienia, że nie potrafiła stworzyć domu, w którym jej córka czułaby się szczęśliwa. Co było w tej rodzinie nie tak? Dlaczego Bonnie uciekała? Może teraz też nie zaginęła, tylko miała wszystkiego dość i postanowiła rozpocząć gdzieś nowe życie. Te myśli kąsają mnie jak głodne psy, nie dają spokoju.

Skulona w ciemnym zaułku prawie nie oddycham, nawet nie drgnie mi powieka.

Mężczyzna wsuwa dłoń pod zakiet rudowłosej, ale ona go odpycha i wsiada do samochodu. Odjeżdża nieświadoma, że obserwuję ją z ukrycia, a całą scenę zarejestrowały kamery na parkingu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ludzie zakładają, że z powodu pochodzenia mam świetną orientację w terenie. Nic bardziej mylnego. Jestem mieszanką etniczną, która niejednego przyprawiłaby o zawrót głowy. A co do orientacji w terenie, to w lesie gubię się równie łatwo, jak każdy turysta bez GPS-u. Nie znoszę zapachu sosen i wilgotnej ziemi. Nie życzę sobie spotkań z niedźwiedziem, kuguarem, wilkiem, kojotem, węzem czy innym równie paskudnym stworzeniem. Łono natury? Wolne żarty, to przecież kłujące badyle i pełzające lub fruujące robale, które tylko czyhają, by cię użądlić. Obrzydlistwo. Romantyczne przechadzki po lesie to nie dla mnie, dziękuję bardzo. Najlepiej czuję się w ciemnych i brudnych zaułkach. W mieście mogę się natknąć co najwyżej na kolejnego włóczęgę, a pojemniki pełne zużytych strzykawek na pewno nie zrobią mi krzywdy. Wolę swojskie zagrożenia, dobrze je poznałam i wiem, jak sobie z nimi radzić. A na przykład taki niedźwiedź... cóż, to zupełnie nieprzewidywalna bestia, licho wie, co mu strzeli do łba.

Siedzę przed budynkiem w Surrey i obserwuję Amira, kuzyna Bidi, który wybiera się do pracy dwie godziny przed początkiem zmiany. Na chwilę zatrzymuje się w holu, uważnie rozgląda, i dopiero po kilku sekundach wychodzi na ulicę. Rusza energicznie przed siebie, ale od czasu do czasu zerka czujnie przez ramię.

Tym razem nie zamierzam go dalej śledzić. Kupuję kawę w pobliskim barku i nadal czekam. Miejscowy włóczęga zerka na mnie z obawą i natychmiast przyśpiesza. Po mniej więcej godzinie moja cierpliwość zostaje wynagrodzona. Na pobliski parking wjeżdża SUV z przyciemnionymi szybami. Z jednego z budynków wychodzi śniady mężczyzna i podaje kierowcy, białemu chłopakowi, wypchaną torbę. Do samochodu podchodzi trzech Azjatów i czarnoskóra dziewczyna. Na pozór ignorują wymianę, której są świadkami. Dwoje z nich nachyla się do okna przy fotelu kierowcy i zamieniają kilka słów, potem samochód odjeżdża. Jestem gotowa założyć się o każde pieniądze, że w torbie była brudna forsa.

Chociaż prawdopodobnie właśnie byłam świadkiem przestępstwa, zamiast oburzenia odczuwam lekki podziw. Tylko w Kanadzie gangi nie są organizowane na zasadzie wspólnoty etnicznej. Żądza zysku jednoczy ludzi i nie omija żadnej rasy, jest motorem działania bez względu na kolor skóry.

Chłopak, który oddał kierowcy torbę, wchodzi do budynku tak pewnym krokiem, jakby należała do niego cała okolica. Zaczynam się zastanawiać, skąd pochodzą jego znajomi. Po pierwsze, i tak bym nie zgadła, a po drugie, nie mnie oceniać innych. Moje związki z przodkami umarły dawno temu, razem z moim ojcem. Gdyby to mój ojciec prowadził tutaj śledztwo i zobaczył indiańskiego chłopaka, członka wielorasowego gangu, pewnie powiedziałby, że ten chłopak

przynajmniej ma poczucie przynależności.

Oto słodkie owoce przymusowej asymilacji.

Kanada zrobiła wiele, by zlepić z różnych ras jeden naród. Powszechnie się uważa, że działania władz ograniczały się do umieszczania indiańskich dzieci w szkołach z internatem, ale to nieprawda. Próbowano wielu innych metod, szukając tych najbardziej skutecznych. Tak było w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dzieci tubylców masowo oddawano do adopcji, niektóre trafiły do USA, inne do Europy lub nawet Nowej Zelandii. Chodziło o to, by nigdy się nie dowiedziały, kim tak naprawdę są.

Kiedy mój ojciec wrócił z Detroit do Kanady, czuł się jak człowiek bez korzeni. Wiedział tylko tyle, że urodził się w Manitobie, ale nie sposób było ustalić, czy jego przodkowie należeli do jednego z sześćdziesięciu trzech miejscowych indiańskich szczepów, czy może byli Metysami. Wszystkie dokumenty dawno zaginęły, a może zostały zniszczone. Ojciec na pewno nigdy nie czuł się tak dobrze we własnej skórze, jak dzieciak, którego obserwuję. I to właściwie jedyne, co mnie z nim łączy.

Był outsiderem, tak jak ja.

Kierowca SUV-a zatrzymuje się na chwilę, by porozmawiać przez komórkę, a po kilku sekundach odjeżdża. Nie zauważył mnie, ale nawet gdyby było inaczej, pewnie i tak w żaden sposób by nie zareagował. Odczuwam zadowolenie, bo wydaje mi się, że oto znalazłam najważniejszy fragment układanki. Dzieciaki, które obserwowałam, to pewnie dilerzy, drobne płotki, które pracują dla kogoś znacznie potężniejszego. Amir nie wygląda na członka gangu, pewnie tylko zmuszają go czasami do wyświadczenia jakiejś przysługi, a on nie może odmówić. Wie coś, czego nie powinien wiedzieć. To według mnie taka sama historia jak z zaginionym Harrisonem Baichwalem.

Moja komórka piszczy cicho, sygnalizując nadejście SMS-a. Czytam na wyświetlaczu:

Teraz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tym razem to ja docieram na miejsce spotkania przy moście Lions Gate jako pierwsza, chociaż straciłam sporo czasu w korkach, które jak zwykle o tej porze utrudniają ruch, a czasem w ogóle paraliżują tę część miasta. Obserwuję wodę i marzę, by wreszcie zrobiło się trochę cieplej. Deszcz co prawda przestał padać, ale tylko chwilowo, bo ciemne chmury zapowiadają kolejne opady.

– Hej – mówi ktoś cicho tuż za moimi plecami.

Brazuka wygląda jeszcze gorzej niż ostatnio. Wcale nie zaczął znowu pić, jak początkowo sądziłam. Teraz widzę, że jest skrajnie wyczerpany, jakby ktoś wypuścił z niego całe powietrze. Wydaje się jeszcze bardziej wychudzony, zaczynam więc podejrzewać, że ma chory żołądek.

Ściska kurczowo barierkę i wpatruje się w wodę tak intensywnie, jakby szukał odpowiedzi na pytania o sens życia. Wygląda żałośnie, jak człowiek, który pozbył się resztki złudzeń.

– Masz to, o co prosiłam? – pytam niecierpliwie.

– Opowiedz mi o tej dziewczynie.

Nie byłam przygotowana na pytania o Bonnie, Everetta i Lynn, ale wyczuwam, że Brazuka już nie traktuje sprawy lekko. Coś go zaintrygowało, nagle przestaje gderać, że zawracam mu głowę głupotami.

A może po prostu nie umie zachowywać się inaczej, bo jest gliniarzem?

– Niewiele o niej wiem. – Wzruszam ramionami. – Jedyńca, rodzice są architektami, mają ładny dom w Kerrisdale. Uciekała już z domu, ale podobno nigdy nie zniknęła na tak długo.

– Prowadzisz śledztwo na polecenie Krushnika czy pracujesz nad sprawą z Sebastianem Crowem? – Widząc, jak bardzo się spinam, mówi: – Zdziwiona? Od dawna wiem, gdzie pracujesz. Zerwałaś ze mną kontakty, a nagle prosisz o przysługę. Coś musi być na rzeczy, prawda?

Jasne, ma rację, to ja go odszukałam, i w ten sposób ponownie zaprosiłam do swojego życia. Koniec z anonimowością, teraz jesteśmy po prostu byłymi alkoholikami.

– Skąd wiesz, gdzie pracuję?

– Obserwuję cię od roku, od kiedy złamałaś mi nos. Nie sądzisz, że należą mi się przeprosiny?

– Jakoś zabrakło ci odwagi, by się ich domagać.

– To nie brak odwagi, tylko przekonanie, że przeprosiny nie mogą być wymuszone, powinny płynąć z głębi serca.

Celny cios, ale niezbyt mnie zabolął. Zawsze miałam w głębokim poważaniu tak zwane dobre maniery, chociaż przyznaję, czasami ułatwiają życie. Tyle że

również bardzo uprzejmi ludzie bywają bezwzględni, świetnie o tym wiem.

– Do kogo należy ten samochód? – pytam.

Wyczuwam, że coś przede mną ukrywa. Zamiast podać mi informacje przez telefon, wolał się ze mną spotkać. No chyba raczej nie dlatego, że ciąży mu samotność. Musiał odkryć coś naprawdę intrygującego.

Po raz kolejny nie odpowiada na pytanie, tylko śledzi wzrokiem przepływający w oddali potężny tankowiec.

– Kim jest dla ciebie ta dziewczyna? Co cię z nią łączy? – pyta.

Stoimy przy balustradzie. Unikamy patrzenia na siebie, wpatrujemy się w ciemną wodę. Rozważam, czy go okłamać. Jasne, dałabym radę, ale chyba głupio bym się poczuła. Dlatego nie odpowiadam, zerkam tylko przez ramię. Brazuka najpierw przestępuje z nogi na nogę, a potem zaczyna masować kolano.

– Znowu będzie padać – mówi tonem starego faceta, który uwielbia prognozować pogodę na podstawie swoich licznych schorzeń.

Co prawda ma dopiero czterdzieści parę lat, ale lubi zgrywać starszego. To zagranie taktyczne i muszę przyznać, że całkiem udane i niepozbowione wdzięku. Czasami naprawdę łatwo zyskać sympatię rozmówcy, rozprawiając o pogodzie.

– To przecież zima w Vancouver – mówię, dając do zrozumienia, że nie mam ochoty słuchać takich banałów.

Mój zgryźliwy ton nie robi na nim wrażenia. To on jest górą, ma coś, na czym mi zależy, wie, że może to rozegrać na swoich zasadach.

– Myślę o zmianie klimatu, o przeprowadzce w miejsce, gdzie jest zawsze ciepło – mówi.

– Podobno Sahara jest piękna. I mnóstwo tam przyjaznych skorpionów.

Uśmiecha się lekko, a potem wreszcie przechodzi do rzeczy:

– Nora, ten samochód, o który pytałaś, należy do firmy WIN Security.

– Do prywatnej firmy ochroniarskiej?

– Tak. Powiedz szczerze, czy naprawdę chodzi tylko o dziewczynę, która uciekła z domu? Firmy ochroniarskie bardzo rzadko zajmują się takimi sprawami, większość specjalizuje się w grubszych aferach korporacyjnych.

– Ale przyjmują zlecenia od prywatnych osób?

– Tak, ale na ogół od klientów z firm, dla których świadczą usługi. Nie zajmują się zaginionymi dziewczynami, poza tym drogo sobie liczą za usługi. Mówiłaś, że facet w samochodzie obserwował dom, tak? Wątpię, by ktoś miał ochotę bulić ogromną kasę tylko za to, by świetny fachowiec czekał na zabłąkaną nastolatkę. To się nie trzyma kupy.

No tak, niby dlaczego Everett i Lynn, chociaż nieźle sytuowani, mieliby tracić majątek na tak banalną usługę?

– A mógłbyś sprawdzić, dlaczego WIN Security obserwuje ten dom?

– Nie tak się umawialiśmy, pamiętasz? Miałem sprawdzić, na kogo jest

zarejestrowany samochód, a potem obiecałaś dać mi spokój.

– Nic takiego nie obiecywałam.

– Czyli prosisz mnie o pomoc?

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Wiem, że Brazuka tym razem nie żartuje.

– Dziękuję za informację. – Odwracam się do niego plecami.

– Dokąd idziesz? Hej, wracaj!

Przez chwilę rozważa, czy powinien za mną pobiec, ale jestem od niego o wiele szybsza. Kiepsko to wygląda, kiedy kulejący facet goni młodą kobietę, a jeszcze gorzej, gdy ona wrzeszczy:

– Daj mi spokój, nie kupię od ciebie działki, nie jestem narkomanką!

Chociaż to ostatnie stwierdzenie nie odbiega od prawdy, prawdą jest też to, że nie mam zbyt wielu powodów do dumy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przed domem w Kerrisdale znów parkuje sedan, tym razem innej marki i w innym kolorze, ale na fotelu kierowcy siedzi ten sam facet. Zabija czas, podjadając coś z metalowego pojemnika, chyba borówki. Jak miło z jego strony, chętnie skorzystam z tego braku czujności. Słucha transmisji radiowej z wczorajszego meczu hokejowego miejscowego klubu Canucks. Na chwilę podnosi głowę, by zerknąć bez zbytniego zainteresowania na Lynn, która właśnie wychodzi z domu, nie trując się zamykaniem drzwi. Gdy Lynn wsiada do audi i odjeżdża, facet zaczyna szukać w schowku kolejnej zdrowej przekąski. Korzystam z szansy i wkradam się do domu.

Większość Kanadyjczyków zamyka drzwi wejściowe tylko wtedy, gdy wychodzą wszyscy domownicy. Karygodna nieostrożność, po co ułatwiać życie przestępcom? Na szczęście ja nie mam złych zamiarów, chcę tylko trochę powęszyć. Z piętra dobiega szum prysznic, a to oznacza, że zaraz mogę się natknąć na Everetta. Szybko schodzę do piwnicy, mijam pralnię i chowam się w składziku.

Patrząc na wzorowo uporządkowane półki, na rzeczy poukładane według określonego schematu. Godna podziwu precyzja wymagająca sporo wysiłku. Zeznania podatkowe? Najwyższa półka po lewej. Sprzęt sportowy? Środkowa półka. Zimowe ubrania? Proszę bardzo, środkowy regał.

Jeden karton na najwyższej półce zasługuje na uwagę, bo tylko on jest niepodpisany. W środku znajdują ogniotrwałą kasetkę, którą na pewno uda mi się otworzyć. Zawsze noszę kilka spinek do włosów, tak na wszelki wypadek. Naprawdę nie lubię grzebać w cudzym życiu, chociaż Leo twierdzi, że jestem w tym kierunku niezwykle utalentowana. Cóż, kiedy załamuje się twoja kariera pieśniarki bluesowej, musisz poszukać innego sposobu na życie. Vancouver to deszczowe miasto i jeśli nie stać cię na kupno eleganckiego kapelusza, spróbuj zarobić przynajmniej na kurtkę z kapturem albo porządny parasol. Los postawił na mojej drodze dziennikarzy, którzy doprowadzili mnie do Leo i Seba. Nie pytają, gdzie nauczyłam się otwierać spinką zamki, nie wiedzą, że podczas szkolenia w Kanadyjskich Siłach Specjalnych spałam obok pewnej młodej degeneratki, która bez trudu otwierała każde drzwi. Czasami tylko dlatego, że nie chciało jej się dłużej czekać, aż ktoś zareaguje na pukanie.

Ktoś już próbował dobrać się do kasetki, ale nieudolnie, o czym świadczą liczne zadrapania na powierzchni. W środku są dokumenty adopcyjne, również kopia podania wysłanego przez Lynn i Everetta do ośrodka adopcyjnego. Z papierów wynika, że dobrze się przygotowali do roli rodziców. Zakochani i bogaci, o czym świadczą wyciągi z ich konta. Odnajduję też metrykę urodzenia

Bonnie, tę, na której widnieje moje imię i nazwisko. To głupota, że nie zniszczyli dokumentu, musieli przecież wiedzieć, że właśnie od tego ich wyrosnięta już córka rozpocznie poszukiwania.

Patrzę na moje nazwisko i czuję, jak poranna kawa zamienia się w żołądku w żrący kwas. Nie chciałam tego dziecka, nawet na nie nie spojrzałam. Kiedy pielęgniarka owinęła wrzeszczące maleństwo w kocyk i próbowała mi je pokazać, odwróciłam głowę. Udawałam, że jestem gdzie indziej, że to nie dzieje się naprawdę, wcale nie jestem w szpitalu, nie ma tu żadnych lekarzy i pielęgniarek, a już na pewno noworodków. Próbowałam zapomnieć to wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, niestety teraz wspomnienia powracają, są niezwykle żywe, pełne kolorów, zapachów i dźwięków. Płacz dziecka. Moje wyczerpanie. Obezwładniający ból, a potem jakby mrowienie od pasa w dół. Poród był szybki i łatwy, równie łatwo oddałam dziecko, licząc, że ktoś zapewni mu dostatnie życie, bo ja nie miałam wiele do zaoferowania. Lepszy los dzięki obcym ludziom, których imion nie miałam nigdy poznać. Wtedy wcale z tego powodu nie rozpaczałam, przepełniała mnie ulga. Jednak teraz... zalewa mnie fala wściekłości, że nie dotrzymali swojej części umowy. Jedyne obietnice, których nie wolno łamać, to te dotyczące dzieci.

Bonnie nie powinna żyć na ulicy, nie tak miało być. Oddając ją do adopcji, wierzyłam, że nigdy nie pójdzie moją drogą, nie będzie mnie w niczym przypominać.

Najchętniej od razu, napędzona złością, wygarnęłabym Everettowi, co o tym wszystkim myślę. Na szczęście wiem, że samokontrola popłaca, a działanie pod wpływem emocji przynosi więcej szkody niż pożytku.

Słyszę dobiegające z góry przekleństwo. Everett pewnie ma kłopot z zapięciem guzika czy zawiązaniem krawata, a nie chce się spóźnić do pracy. A niech się spóźni, dobrze mu tak, myślę złośliwie. Kilka minut później słyszę trzaśnięcie tylnych drzwi, ale jeszcze nie wychodzę z ukrycia. Dopiero po chwili zaglądam do pralni i wyjmuję z pralki męską koszulę. Nie widzę żadnych plam, wyczuwam tylko drogą wodę kolońską i ledwie uchwytny zapach jaśminu.

Kiedy już jestem pewna, że nawet jeżeli Everett czegoś zapomniał, jest za daleko od domu, by wrócić, wchodzę na górę. Jestem zła, mimo to doceniam wyrobiony gust gospodarzy. Dom prezentuje się dobrze nie tylko na zewnątrz, wewnątrz jest eleganckie, ale zarazem przytulne. Dominują stonowane beże rozbite plamami żółci i wyrazistej czerwieni. Na gzymsie kominka stoi mnóstwo rodzinnych zdjęć, na których wszyscy wydają się szczęśliwi. Lynn też szczerzy się do obiektywu, co mnie mocno dziwi, bo myślałam, że nawet tego nie potrafi. Im starsze zdjęcia, tym szerszy uśmiech, a na najstarszej fotografii trzyma w objęciach śpiące niemowlę. Widać, że jest bardzo podekscytowana i trochę zdenerwowana. Ma taką minę, jakby właśnie dostała gwiazdkę z nieba.

Długo wpatruję się w zdjęcie, a potem ostrożnie odstawiam na miejsce. Dużo ludzi wieszka lub rozstawia w domu fotografie, by ocalić od zapomnienia chwile szczęścia, ale ja moje dobrze ukryłam przed obcym wzrokiem, nikt oprócz mnie nie ma prawa ich oglądać. Tylko czasami, w chwili słabości, zdmuchuję kurz i wpatruję się w nie uważnie. Częściowo dlatego, że ja i siostra nie wychowałyśmy się w domu ozdobionym pogodnymi fotkami, zresztą wątpię, czy w ogóle ktokolwiek robił nam kiedykolwiek zdjęcia. A częściowo również dlatego, że wiele wspomnień utraciłam na zawsze. Pewnego dnia wieczorem śpiewałam jak zwykle w barze, a potem nagle obudziłam się w szpitalu na prześcieradle poplamionym moją krwią. Byłam tak brudna i cuchnąca, jakbym całe wieki leżała z twarzą wciśniętą w ziemię.

Wchodzę po schodach do pokoju nad garażem. Łóżko jest przykryte jaskrawozieloną narzutą. Wzdrygam się oszołomiona kolorem, od którego bolą oczy. A zatem Bonnie nie odziedziczyła po mnie zamiłowania do spokojnych, stonowanych barw. Na ścianie olbrzymi plakat opalonego chłopaka o imieniu Jacob. Jego twarz wydaje mi się znajoma, ale nie umiem jej umiejscowić. W życiu nie spotkałam nikogo równie przystojnego. W ramce lustra nad komodą zauważam zdjęcie Bonnie z koleżanką. Obie pokazują języki, tyle że Bonnie wydaje się szczerze rozbawiona, a druga dziewczyna lekko zniecierpliwiona i znudzona. Trochę wyżej zdjęcie Bonnie w kostiumie kąpielowym, upozowane jak podczas sesji do gazety.

Podchodzę do biurka i zaczynam przeglądać szkolne zeszyty. No, wreszcie jakiś triumf genetyki, coś, co mnie łączy z córką. Mało notatek, za to dużo liścików, marginesy pełne bazgrołów i rysunków, które są dowodem artystycznego antytalentu. Zero kunsztu, jedynie odzwierciedlenie aktualnego nastroju. Prawie wszystkie rysunki przedstawiają wykrzywioną złością twarz, czasami lekko demoniczną, ale to chyba niezamierzony efekt. Rysy twarzy się zmieniają, niezmienny pozostaje tylko kształt oczu. Są lekko skośne, w kształcie migdała. Nieprzeniknione, jak moje. Odkładam zeszyty i zaczynam przeszukiwać szafę, komodę i szuflady biurka. Nie znajduję nic interesującego, a zatem dziewczyna jest inteligentna i nawet jeśli robi coś niewłaściwego, umie zacierać ślady.

Pokój Lynn i Everetta jest jasny i przestronny, ale zdecydowanie pozbawiony charakteru. Wszystko stoi tam, gdzie powinno, wzorowy porządek, chociaż oboje pracują na pełen etat i wychodzą do pracy przed siódmą. Żadnych pomiętych ubrań na podłodze czy na łóżku, żadnych niedomkniętych słoiczek z kremem ani pokruszonych cieni do powiek. Gospodarze są niezwykle porządni i zorganizowani. Aż trudno mi sobie wyobrazić, że kiedykolwiek uprawiali w tym perfekcyjnie posłanym łóżku seks. Na ogół nie lubię zastanawiać się nad takimi sprawami, ale teraz mnie to zupełnie nie rusza.

Okej, pora przyjrzeć się reszcie domu.

Obwąchałam wszystkie męskie ubrania i kosmetyki w sypialni i łazience, ale nie natknęłam się na żaden środek o zapachu jaśminu. Właśnie stałam przy oknie w łazience, kiedy kątem oka zobaczyłam przemykającą przy tylnym wejściu zakapturzoną postać. W pierwszej sekundzie pomyślałam, że to facet z agencji ochroniarskiej, ale zmieniłam zdanie, kiedy intruz zatrzymał się, by zerknąć na okno pokoju nad garażem. Nie ta sylwetka, bardzo niezgrabne, kanciaste ruchy. To musi być nastolatka.

Zbiegłam na dół, zdjęłam siatkę ochronną z dolnej części drzwi i wyślizgnęłam się na zewnątrz. Zgoda, może to i niezbyt efektowny sposób ucieczki, za to bardzo skuteczny. Schowana za rozłożystym krzakiem widzę, że dziewczyna wchodzi i wychodzi w ten sam sposób.

Idę za nią przez pobliski park. Maszeruje w dobrym tempie, ale ja jestem szybsza. Udaje mi się ją dopaść, zanim dociera do szkolnego boiska. Jednym płynnym ruchem przyciskam ją do drzewa. Otwiera usta gotowa krzyczeć, a wtedy szybko się cofam i unoszę ręce, by zobaczyła, że nie mam żadnej broni. Chociaż nadal ma otwarte usta, trochę się uspokoiła, widząc, że jestem kobietą. Karygodna lekkomyślność, jednak tym lepiej dla mnie.

– Ożeż, coś ty za jedna? – pyta, patrząc na mnie zmrużonymi ze złości oczami w kolorze błękitu.

Rozpoznaję dziewczynę ze zdjęcia, które oglądałam w pokoju Bonnie. Dość ciemna blondynka z platynowymi pasemkami. Na twarzy gruba warstwa podkładu, ale i tak nie udało jej się zamaskować pryszczki pokrywających policzki i brodę. Jest ubrana w króciutką, ledwie zakrywającą pośladki spódniczkę, bluzę z kapturem i biały T-shirt. Wygląda jak młodociana prostytutka, tyle że to markowe ciuchy. Jasne, musi mieć dzianych rodziców, skoro stać ich na czesne w tej szkole, przecież jesteście w jednej z najdroższych dzielnic miasta.

– Szukam Bonnie – mówię.

– A co, wisi ci kasę? – Pociąga nosem i uważnie mnie lustruje.

– Jestem jej matką. – Mówiąc to, czuję, jakby ktoś walnął mnie prosto w splot słoneczny. Chwilę trwa, zanim udaje mi się pozbierać i stłumić panikę. – Widziałam, jak zakradasz się do jej domu. Prosiła, żebyś jej przyniosła kilka rzeczy?

Przez chwilę znów stoi z otwartymi ustami, ale szybko je zamyka, gdy wokół przelatuje jakiś bzyczący owad. Zaczyna się śmiać, i to tak głośno, że w pierwszym odruchu mam ochotę wymierzyć jej siarczysty policzek. Zachowuje się arogancko, jednak w głębi duszy wiem, że to tylko trochę zahukany dzieciak, który rozpaczliwie pragnie miłości i akceptacji.

– A więc wreszcie cię znalazła? To z twojego powodu bez przerwy siedziała w necie.

– Nie, nie znalazła, to jej rodzice mnie odszukali.

– Pan Śliski Przyjemniaczek i Królowa Śniegu?

– Znasz ich?

– Jasne, aż za dobrze. Przyjaźnię się z Bonnie od ośmiu lat. Mam na imię Mandy – oznajmia, chociaż wcale o to nie pytałam, i znów uważnie mi się przygląda. – Nie jest do ciebie podobna, ale ma takie same oczy, tyle że trochę ładniejsze.

– Powiedziała, że jedzie z tobą pod namiot...

Mandy wypluwa gumę i zakopuje ją czubkiem buta.

– Tak, ze mną i moimi rodzicami. Nie miałam pojęcia, że zamierza uciec, nic mi nie powiedziała, chociaż nigdy bym jej nie wydała. Zadzwoiła do mnie poprzedniej nocy, wrzeszczała i płakała, że już dłużej nie wytrzyma, ale jest za bardzo wkurzona, żeby powiedzieć, o co chodzi, i opowie mi wszystko, jak wrócę z wycieczki. A potem się dowiedziałam, co nagadała swoim starym. Że niby jedziemy razem i wpadniemy po nią koło ósmej. Obiecała do nich zadzwonić, jak już będziemy w drodze. Miałam przez nią przesrane, bo wszyscy podejrzewali, że ją kryje. Niezła z niej suka.

Mimo grubej warstwy podkładu widać, jak bardzo zbladła. Nie wścieka się, że Bonnie kłamała, ubodło ją, że nie zaufała również jej, najlepszej przyjaciółce.

– A skoro już pytasz, wcale nie poszłam po jej rzeczy, tylko sprawdzić, czy może wróciła, bo jest mi winna kasę. Jestem bez forsy, ojciec obciął mi kieszonkowe, dlatego że... Och, nieważne, po prostu chciałam, żeby oddała mi pieniądze.

– Ile jest ci winna?

– Niewiele, około dwudziestu dolarów. – Mandy wzrusza ramionami. – Tyle że akurat teraz bardzo by mi się przydały. Pewnie oddała wszystko temu dupkowi, z którym się spotyka. Bez przerwy ode mnie pożyczała, bo on był zawsze bez grosza. Pewnie zwiali razem, tak mi się przynajmniej wydaje.

Everett i Lynn nie wspominali, że Bonnie ma chłopaka, a zatem to był kolejny z jej brudnych sekretów. W jej pokoju nie odkryłam żadnych śladów, no, może tylko plakat przystojnego Jacoba na ścianie. Coś mi jednak mówi, że chodzi o zupełnie innego chłopaka.

– Kto to jest i co o nim wiesz? – pytam.

– Tommy Jones – odpowiada wyraźnie zdeglustowana, marszcząc brwi. – Był w naszej szkole jeden semestr, bo w pobliżu mieszka jego ciotka, ale jej facet nie znosił Tommy'ego, więc kazała mu się wynosić. Wiesz, na jaki haczyk złapał Bonnie? Ma domieszkę inuickiej krwi, a ona ostatnio namiętnie grzebała w tym etnicznym gównie. Pewnie zaczęła się tym interesować, od kiedy Śliski Przyjemniaczek napomknął, że jej biologiczna matka ma domieszkę indiańskiej krwi.

Chciała mnie obrazić, ale ja już dawno przywykłam. Po każdym, kto spędził

w rodzinach zastępczych tyle czasu co ja, takie uwagi spływają jak woda po kaczce. Uderza mnie natomiast co innego. Jak mało wiedzieli o mnie ludzie, którzy adoptowali moje dziecko. Nigdy też nie wpadło mi do głowy, że Bonnie zechce się dowiedzieć, kto wydał ją na świat.

– Mówiłaś komuś o Tommym?

– Tylko temu drugiemu gliniarzowi. Ten pierwszy mnie wkurzył. Jak niby miałam z nim gadać, skoro moja matka krążyła wokół nas jak wściekła suka? Ten drugi był bardziej kumaty, czekał na mnie przed szkołą i chciał pogadać bez świadków.

– Jak wyglądał ten drugi gliniarz?

– A co, piszesz książkę? – pyta ze złością, mrużąc oczy.

Uśmiecham się, bo obie wiemy, że zdradziła mi więcej, niż zamierzała, ale nie powiedziała całej prawdy.

– Nie, ale jeśli mi nie pomożesz, opowiem twoim rodzicom o Tommym, a tego byś bardzo nie chciała, prawda? Widać masz swoje powody.

– Pierdol się, suko – syczy czerwona ze złości.

Podchodzę, łapię ją za dłonie i przytrzymuję za pniem drzewa. Próbuje kopnąć mnie kolaniem w żołądek, ale w porę się uchylam. Coraz bardziej przestraszona, wreszcie nieruchomieje. W jej oddechu wyczuwam tytoń i mentol. Chociaż jest ode mnie wyższa i mocniej zbudowana, to ja jestem silniejsza.

– Twoi rodzice nie wiedzą, że i ty, i Bonnie uprawiacie seks, prawda? Boisz się, że kiedy ją znajdą, opowie, z kim spałaś.

Zaczyna gwałtownie kasłać, a potem mówi:

– Dobra, może czasami mnie wnerwia, ale nigdy by mi tego nie zrobiła. Jest moją najlepszą przyjaciółką.

– A więc chodzi o Tommy’ego? – szepczę. – To jego nie znosisz. Co takiego o tobie wie? Że zrobiłaś skrobankę? – strzelam na ślepo, ale celnie. Mandy już się nie stawia, teraz jest przerażona. – Wiesz, że mogę zadzwonić do kliniki i zapytać?

– Powiedzieli, że rodzice nie muszą nic podpisywać i nigdy się nie dowiedzą. Dane medyczne są tajne.

– Na tym świecie żadne dane nie są bezpieczne, zwłaszcza że jesteś nieletnia. Rodzice mają prawo zażądać wglądu do twojej karty zdrowia. – Trochę mi głupio, że ją okłamuję, ale zabrnęłam za daleko, by się wycofać.

– Bonnie poprosiła Tommy’ego, żeby po zabiegu odwiózł mnie do domu – mówi żałośnie. – Ona nie ma prawa jazdy. Tommy zrobiłby dla niej wszystko, dlatego wziął bez pozwolenia samochód faceta, z którym mieszka jego ciotka. Wszystko się wydało, facet się wściekł, a ciotka wyrzuciła Tommy’ego z domu. Tommy nigdy mnie nie lubił, a po tej historii zaczął nienawidzić. To przeze mnie wpadł w kłopoty. – Płacze coraz głośniejsze, a ja jestem na siebie coraz bardziej zła. Jak mogłam zapomnieć, że nastolatki są takie wrażliwe?

– Jak wyglądał ten drugi gliniarz? – pytam.

Zastanawia się przez chwilę i ściera ślady łez, przy okazji rozmazując po całej buzi czarny tusz.

– Przystojny, profesjonalista. Biały, mniej więcej trzydziestoletni. Krótkie włosy, szatyn, o wiele lepiej zbudowany niż ten pierwszy gliniarz. Kiedy na mnie czekał, jadł jeden z tych batonów energetycznych, no wiesz, z suszonych owoców i różnych ziaren. Trochę mnie to zdziwiło, bo zawsze myślałam, że gliniarze opychają się pączkami.

– Rozumiem. – Mandy właśnie dokładnie opisała faceta sprzed domu Everetta i Lynn. A zatem nie tylko obserwował dom, zbierał też informacje na temat Bonnie. Prywatny detektyw, który podaje się za policjanta i przesłuchuje nastolatkę bez obecności rodziców? Śmierdząca sprawa nawet jak na moje niezbyt wygórowane standardy. – Kiedy z nim rozmawiałaś?

– Trzy dni temu. No dobra, coś jeszcze? Muszę iść do szkoły.

– Jedna sprawa. Masz może zdjęcie Tommy’ego? – Widząc jej wahanie, szybko dodaję: – Posłuchaj, chcę tylko znaleźć Bonnie. Pokaż mi zdjęcie jej chłopaka i natychmiast znikam.

Marzy, by jak najszybciej zakończyć naszą rozmowę. Sięga do torby po komórkę, po chwili podsuwa mi pod nos wyświetlacz. To zadziwiające, jak ochoczo dzisiejsze dzieciaki dokumentują swoje życie. Na zdjęciu Bonnie i Tommy pałą skręta i popijają coś z papierowych kubków. Więc to kolejny powód, dla którego Mandy nigdy nie opowiadała rodzicom o chłopaku Bonnie. Ktoś sfotografował ich z góry, dlatego niewiele udaje mi się zobaczyć. Tylko tyle, że Tommy to jeszcze dzieciak. Ma ciemne oczy i kruczoczarne włosy, tak lśniące, że mógłby reklamować szampony i odżywki.

– A jakieś inne zdjęcie? – pytam.

– Tutaj lepiej go widać – mówi, odszukując filmik. – Oboje świetnie tańczą, poznali się zresztą na próbie. Kilkoro dzieciaków z jej grupy postanowiło założyć zespół, ale na to trzeba forsy. Bonnie zapłaciła za Tommy’ego.

Na filmiku widzę grupkę breakdancerów w niezbyt skomplikowanym układzie choreograficznym. Od razu zauważam Tommy’ego, ale nigdzie nie mogę wypatrzeć Bonnie, udaje mi się dopiero po chwili. Jest dobra, nie wypada z rytmu. Kamera przez chwilę koncentruje się na Bonnie, a ja natychmiast wyczuwam, że to dziewczyna z charakterem, żaden tam delikatny kwiatusek. Tym lepiej dla niej. Jeśli naprawdę wylądowała na ulicy, ma większe szanse na przeżycie.

Kiedy filmik dobiega końca, Mandy wzdycha i chowa komórkę do torby.

– Niepotrzebnie za niego płaciła – mówi. – Od razu widać, że to dupek i nieudacznik. – Odwraca się, gotowa odejść, ale zastępuję jej drogę.

– Jeszcze coś.

– Obiecałaś...

– Tak, miała być jeszcze jedna sprawa, ale teraz chodzi o coś innego. Potem naprawdę dam ci spokój.

– Czego chcesz?

– Gdzie mogę znaleźć Tommy'ego?

– Wrócił do matki. Zapomniałam, przy jakiej ulicy mieszka, zaraz, chyba Ende- coś tam, niedaleko Kelowny. Pracuje w jakiejś piekarni albo młynie. To tam powinnaś szukać Bonnie. Jeśli znajdziesz tę sukę, powiedz, żeby do mnie zadzwoniła. Chciałabym odzyskać moje pieprzone pieniądze.

Znów jest arogancka, jakby powróciła do roli, która wychodzi jej najlepiej. Odwraca się i stukając obcasami, rusza w stronę szkoły.

Wracam do Sapki, która cierpliwie na mnie czeka w corolli zaparkowanej kilka przecznic od domu Walshów. Jak mogłam zapomnieć, czym grozi rozmowa z nastolatką? Chyba zbyt dawno tego nie robiłam. Nastolatki są impulsywne i przewrażliwione, nie kłamią bez przerwy, ale bez mrugnięcia okiem wciskają kit rodzicom, na przykład na temat swojego życia seksualnego.

Im dłużej zastanawiam się nad zniknięciem Bonnie, tym bardziej jestem w kropce. No dobrze, ma chłopaka, ale to żaden powód, by dom Walshów był pod obserwacją prywatnej firmy ochroniarskiej. W dodatku jeden z pracowników tej firmy podawał się za gliniarza, by wydusić informacje z najlepszej przyjaciółki Bonnie. Gdyby wynajęli go Lynn i Everett, nie wmawiałby Mandy, że jest policjantem. W tej układance nic się nie klei, ale przynajmniej wiem, gdzie powinnam rozpocząć poszukiwania. Szkoda tylko, że facet z firmy ochroniarskiej ma nade mną trzydniową przewagę. Jednak skoro wciąż tu sterczy, nie pofatygował się do Kelowny. Z drugiej strony wciąż go nie odwołali, więc sprawa musi być poważna.

O co w tym wszystkim chodzi? Czasami motyw jest widoczny jak na dłoni, niestety tym razem gubię się w domysłach. Dlaczego firma ochroniarska tak bardzo interesuje się zaginioną dziewczyną z dobrego domu?

Zamiast przywitać mnie radośnie, Sapka patrzy na mnie oskarżycielsko. Czuję zapach mojego potu i adrenaliny i pewnie się zastanawia, dlaczego jej ze sobą nie zabrałam.

– Nie musisz we wszystkim uczestniczyć – mówię rażno, by udowodnić i jej, i sobie, że to ja jestem przewodnikiem naszego dwuosobowego stada. Jednak Sapka nie chce pić wody, którą dla niej przyniosłam, i uparcie wygląda przez okno. Jest obrażona i chce mnie ukarać. Kiedy przejeżdżam obok domu Walshów, zauważam kolejnego sedana zaparkowanego w bocznej uliczce.

Głupieję od tego jeszcze bardziej. W tej sprawie jest za dużo wątków, za dużo tajemnic i za dużo dziwnych okoliczności, a przecież chodzi tylko o zaginioną nastolatkę.

Jeżeli absolutnie nie mam pojęcia „dlaczego”, to może chociaż spróbuję

znaleźć odpowiedź na pytanie „kto”.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WIN Security mieści się w trzypiętrowym ceglanym budynku na zachodnim Broadwayu, na obrzeżach ścisłego centrum. Postanawiam pójść tam na piechotę, ale tym razem bez Sapki. Nie protestuje, że zostawiam ją w domu. Przez chwilę na mnie patrzy, a potem wraca na swoje posłanie. Nie musi manifestować niezadowolenia, i tak wiem, że jest rozzalona. Samice, które od dawna spędzają z sobą tak wiele czasu, doskonale wyczuwają swoje nastroje.

– Przyniosę ci coś pysznego – obiecuję, żeby rozładować atmosferę. Unosi łeb i patrzy na mnie wzrokiem pozbawionym wszelkiej nadziei, zupełnie jakby żegnała się ze mną na zawsze. Spodziewa się najgorszego, co mnie rozjusza. Dlaczego nawet ona wątpi w moje dobre intencje? – Niedługo wrócę – mówię, a jednak Sapka najwyraźniej nie daje wiary moim słowom i odwraca łeb. – Co z ciebie za pies, skoro zachowujesz się jak kot? – krzyczę, ale udaje, że nie słyszy. Ale z niej podła suka.

Na zewnątrz obszarpany włóczęga grzebie w pojemniku na śmieci. Dyskretnie oglądam zaparkowaną w pobliżu corollę, by sprawdzić, czy nie zadrapał karoserii, ale znajduję tylko stare rysy i wgniecenia. Mijam go, udając, że nie widzę, jak ogląda nadgryzioną kanapkę, którą ktoś wyrzucił do kosza. Desperacja uczy pokory, sprawia, że zapominamy o dumie. Ludzie unikają patrzenia w oczy tym, którzy znaleźli się na dnie. Wiem, bo kiedyś wszyscy unikali również mojego wzroku, i trudno ich za to winić.

– Masz może jakieś drobne? – pyta, nie patrząc na mnie.

Ja też na niego nie patrzę, tak jest wygodniej dla nas obojga. Wygląda, jakby dobiegał sześćdziesiątki, chociaż równie dobrze może mieć dziesięć, a nawet dwadzieścia lat mniej. Zależy, od jak dawna żyje na ulicy.

Podaję mu batonik z ziaren i suszonych owoców, który znalazłam w kieszeni. Przygląda mu się podejrzliwie, a ja szybko odchodzę. To jego wybór, co je, a czego nie tyka. Nie zamierzam tłumaczyć, dlaczego dałam mu batonik zamiast pieniędzy. Nigdy nie noszę przy sobie forsy. Jeżeli ktoś mnie napadnie, będzie musiał się zadowolić zdrową przekąską, co być może skłoni go do zastanowienia się, czy aby na pewno dokonał właściwych życiowych wyborów.

Przemierzam ruchliwe ulice w czarnych legginsach i kurtce z fluorescencyjnymi naszywkami. Wydałam jeszcze dwadzieścia dwa dolary na kask dla rowerzystów i dużą kurierską torbę. Mam nadzieję, że ta inwestycja okaże się opłacalna.

Kiedy skręcam w Broadway, zaczyna mżyć. Chociaż raczej nikogo nie dziwi mój widok i nikt się nie zastanawia, gdzie się podział mój rower, na wszelki wypadek przyśpieszam. Do siedziby WIN Security docieram tuż po lunchu,

większość ludzi właśnie wraca do pracy. Pełni węglowodanów i gazowanych napojów marzą, by znaleźć jakiś spokojny kącik na drzemkę. Są na tyle rozleniwieni, że prawdopodobnie nie wzbudzę ich podejrzeń.

Ceglany budynek niczym się nie wyróżnia. Jest zadbane, ale nie rzuca się w oczy. Wślizguję się do środka tuż za dwoma facetami w kwiecistych koszulach i okularach. Wiem, że na obrazie z rozmieszczonych wszędzie kamer pojawię się jako lekko rozmazana smuga.

Jeden z nich mnie zauważa. Balansując tacką z kubkami kawy na wynos, przytrzymuje dla mnie drzwi. Drugi trzyma identyczną tackę. Sądząc po ciuchach, to informatycy. Przechodzę obok tego, który przytrzymuje drzwi, i prawie niezauważalnie trącam ramieniem tackę. Facet traci równowagę i pewnie zaraz się wyłoży. Proszę, proszę, co za łamaga. Kolega wyciąga rękę, by mu pomóc, ale przy okazji upuszcza tackę. Strumienie gorącej kawy atakują mnie z obu stron.

– Ale z was dupki! – wrzeszczę. – I co narobiliście? Jeżeli zniszczyliście przesyłkę, podam was do sądu i zażądam odszkodowania. Wyrzucą mnie przez was z roboty i z czego będę żyć?

Pojawia się recepcjonistka, zapewne by fachowym okiem ocenić rozmiar katastrofy.

– Wszystko w porządku? – pyta, zerkając z naganą na speszonych informatyków.

– Nie, wcale nie jest w porządku – odpowiadam niecierpliwie. – Muszę skorzystać z łazienki, natychmiast. – Podsuwam jej pod nos oblaną kawą torbę kurierską.

– Łazienki są wyłącznie dla pracowników – odpowiada, zerkając na kamery. Jedna jest wycelowana w drzwi wejściowe, druga w biurko przy recepcji. Siedzący tam facet obserwuje całą scenę z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– A czy wasi pracownicy codziennie oblewają gości gorącymi napojami? – pytam wyniośle i posyłam jej mordercze spojrzenie, sugerujące, że rzeczywiście nie zawaham się wystąpić o odszkodowanie.

Mruga gwałtownie, gotowa spuścić mnie na drzewo, jednak wyczuwa, że nie poddam się bez walki.

– No tak, zakaz zakazem, ale mamy wyjątkową sytuację. Proszę za mną – mówi wreszcie z rezygnacją.

Mądra babka.

– Frank, zastąp mnie na chwilę – mówi do faceta w recepcji. – A wy dwaj – zwraca się do informatyków – idźcie po nową kawę. I tym razem nie na koszt firmy. Zrozumiałeś, Walterze? – Obdarza Waltera wymownym spojrzeniem i mija bez słowa drugiego informatyka, którego imienia pewnie nawet nie pamięta.

Faceci w kwiecistych koszulach robią minę skarconych szczeniaków, ale milczą. Co niby mieliby powiedzieć? Że to ja ich specjalnie potrąciłam? Nie brak

im rozumu ani przyzwoitości, przyjmują do wiadomości, że dzisiejszy dzień jest pechowy i muszą z własnej kieszeni zapłacić za dwie tacki cholernie drogiej, sądząc po logo na kubkach, kawy.

Kiedy mijamy wyłożoną boazerią recepcję, wewnątrz staje się ładniejsze, lepiej zaprojektowane i urządzone. Teraz już nikt nie może wątpić, że jesteśmy w siedzibie największej w Vancouver firmy ochroniarskiej. Korytarze są na tyle szerokie, by ludzie mogli się swobodnie mijać, lecz nie na tyle przestronne, by zagrażało to bezpieczeństwu i by nie obejmował ich obraz z wszędobylskich kamer. Cieszę się, że kupiłam wystarczająco duży kask, by zasłonił część twarzy. Tak naprawdę widać tylko mój podbródek, a chyba niewiele można wywnioskować akurat z tej części ludzkiego ciała. Zakładam, że ktoś uważnie obserwuje obraz z kamery. Tak podpowiada mi intuicja, no i zdrowy rozsądek.

Recepcjonistka wkłada kartę do zamka w drzwiach łazienki i po chwili czerwone diody świecą na zielono. Chce wejść za mną do środka, dlatego mówię:

– Przepraszam, że odrywam panią od pracy, ale to trochę potrwa.

Zastanawia się przez moment, patrzy na zegarek, po czym mówi:

– Lepiej pójde sprawdzic, czy Frank sobie ze wszystkim radzi. Proszę zostac w łazience, dopóki po panią nie przyjde. Tutaj naprawdę nie wolno wchodzić nikomu poza pracownikami. – Patrzy na mnie, jakbym specjalnie oblała się kawą. Na szczęście nie domyśla się, że właśnie tak było.

Czekam, aż umilknie stukot jej obcasów, wtedy wrzucam torbę do umywalki i obmywam ją, potem starannie wycieram papierowymi ręcznikami buty. Wychodzę z łazienki i robię minę kompletnie zagubionej osoby, chociaż nigdy nie spotkałam kuriera, który miałby duże kłopoty z dotarciem do celu. Na korytarzu, który co rusz rozwidla się w różnych kierunkach, jest sterylnie czysto, zupełnie jak w szpitalu. Gdy tylko natykam się na kamerę, udaję, że sprawdzam wiadomości w komórce. Wszystkie drzwi są zamknięte, można je otworzyć tylko elektronicznym kluczem. I właśnie kiedy pomału zaczynam tracić nadzieję, jedno z nich otwierają się gwałtownie tuż przed moim nosem, niemal powalając mnie na podłogę.

– Nie wiem, czemu to tak długo trwa. Cholerne żółtodzioby – rzuca w stronę pokoju kobieta o zmęczonych oczach. Ubrana w luźne spodnie i bluzkę w paski wygląda jak żeńska wersja informatyków, których specjalnie potraçałam.

– Przepraszam...

– Tak? O co chodzi? – Patrzy na mnie zaskoczona, a mnie udaje się zerknąć do dużego pokoju podzielonego na boksy. – Przesyłki należy zostawiać na recepcji – poucza mnie, bo wreszcie zauważyła mój kask i torbę kurierską.

– Mam do przekazania śpiewany telegram. Dla Waltera, który dzisiaj obchodzi urodziny. To specjalny prezent od jego babci.

Kłamstwo wiele mnie kosztuje, pocę się jak diabli i mówię nienaturalnie

pisikliwym głosem. Na szczęście kobieta nie dostrzega nic podejrzanego, nie dziwi jej mój wygląd ani zachowanie. Przez chwilę mruga zdezorientowana, jej mózg przetrawia informacje, a potem wybiera tę najważniejszą i najbardziej atrakcyjną. Odwraca się w stronę pokoju i krzyczy:

– Hej, ludzie! Babcia przesłała Waltowi śpiewany telegram urodzinowy! Będzie zabawa.

– Mogłabym poczekać przy jego biurku? Chodzi o to, żeby był jak najbardziej zaskoczony. Jak niespodzianka, to niespodzianka – mówię, przekrzykując salwy śmiechu dobiegające z pokoju.

– No dobra. Lecę się wysikać, zanim Walt wróci. Nie chcę stracić zabawy. – Wskazuje pusty boks w rogu pokoju. – Możesz tam poczekać, tylko niczego nie dotykaj.

Przechodzę na wskazane miejsce, rozdając uśmiechy i skinięcia głową pozostałym informatykom. Z twarzami opromienionymi światłami monitorów wyglądają jak zbiorowisko duchów. Wyczuwam ich podekscytowanie na myśl, że Walter zaraz zostanie publicznie ośmieszony. Telegram urodzinowy od babci? Wow, niezły obciach.

Wiem, że zostało mi jeszcze kilka cennych minut, muszę je jak najlepiej wykorzystać. Laptop Waltera jest co prawda otwarty, ale oczywiście chroniony hasłem. Czekam, aż wszyscy wrócą do pracy i przestaną zwracać na mnie uwagę. Kładę torbę przed laptopem, pochylam się i szybko wpisuję „hasło”. Nic z tego, ale warto było spróbować.

Rozglądam się po boksie, próbując cokolwiek wywnioskować o charakterze Waltera, ale albo jest pozbawiony osobowości, albo interesuje go wyłącznie praca. Żadnych zdjęć ani prywatnych notatek. Biedaczek. Mam coraz mniej czasu, z trudem panuję nad narastającym zdenerwowaniem.

Drzwi do pokoju otwierają się, w progu staje recepcjonistka i kobieta, która mnie tu wpuściła. Obie są zdezorientowane i trochę speszzone. Wiem, że mój czas dobiegł końca. Kiedy recepcjonistka wskazuje mnie palcem, szybko wsuwam do torby laptop Waltera. Wychodzę z boksu i właśnie wtedy drzwi otwierają się ponownie. Walter i kolega, obaj z tackami pełnymi kawy na wynos. Rany, wrócili wcześniej, niż zakładałam, pewnie złożyli zamówienie przez telefon.

Nigdy nie przepadałam za wczesną erą jazzu. Można się było tak zagubić w improwizacjach, że potem trudno było wrócić do podstawowej linii melodycznej utworu. Z drugiej strony lubię to uczucie, kiedy nie masz pojęcia, co wydarzy się za kilka sekund, ale wiesz, że będzie warte każdych pieniędzy. Patrzę na recepcjonistkę, potem na informatyków. Większość z nich z otwartymi buziami czeka na rozwój wypadków. Nagle przestają żałować, że wyprasowali ciuchy, zmienili bieliznę i przyczołgali się do roboty, bo jeszcze długo będą wspominać ten dzień.

Uprzedzam recepcjonistkę, która już otwiera usta, nawiązuję kontakt wzrokowy z Walterem i zaczynam śpiewać „Happy Birthday”. Mój chrapliwy kontralt czyni z banalnej piosenki utwór, jakiego nigdy nie słyszeli. Rozmowy cichną, większość wstrzymuje oddech. Nie śpiewałam od piętnastu lat, ale moje struny głosowe nie zapomniały, jak to się robi. To odruch, który tłumi uczucie strachu i zagłusza zdrowy rozsądek. Kiedy podchodzę do Waltera, tacka w jego dłoniach zaczyna niebezpiecznie się przechylać. Nadmiernie przeciągam ostatnią frazę, wydaje się brzmieć w nieskończoność.

Kiedy byłam dzieckiem, Lorelei, moja piękna jak aniołek siostra, umiała uśmiechać się tak słodko, że każdy zapominał o bożym świecie. A ja? Możesz dowolnie długo patrzeć na moją twarz, a i tak jej nie zapamiętasz. Przeciętność w stanie idealnym. Jednak kiedy zaczynam śpiewać... cóż, tego na pewno nie zapomnisz. Pewnie ludzie w tym biurze nawet nie wiedzą, jak świetna jest tu akustyka. Wysoki sufit, drewniana podłoga, mało mebli. Idealne warunki koncertowe.

Wszyscy patrzą na mnie oszołomieni, a ja odczuwam przewrotną dumę, że nadal nie straciłam tego daru, chociaż już dawno przestało mi na tym zależeć. Wciąż umiem sprawić, że słuchacze zamierają z otwartymi ustami, ogrzewam ich zimne serca i mogę z nimi zrobić absolutnie wszystko. Kiedy kończę, a oni wciąż patrzą na mnie jak zaczarowani, szybko przekazuję Walterowi życzenia od babci i ruszam w stronę drzwi. Słyszę za plecami, jak Walter protestuje, że nie ma dziś urodzin, a jego babcia już od kilku tygodni przemierza oceany na luksusowym statku. Wychodzę na korytarz, nie reagując na te zarzuty. Szczerze mówiąc, trochę mi żal biednego Waltera, bo koledzy nieprędko zapomną o tym incydencie.

Recepcjonistka, bystra i podejrzliwa, dogania mnie z prędkością, jakiej by się nie powstydział żaden kenijski biegacz. Jezu, ależ ona ma parę.

– Chyba kazałam ci poczekać w łazience, prawda? – mówi, nie zwalniając ani na sekundę.

– Trochę tam śmierdziało.

– Co ty powiesz. Nie mówiłaś, że chodzi o śpiewany telegram. Myślałam, że masz dostarczyć zwykłą przesyłkę kurierską – mówi, i teraz obie już prawie biegniemy i obie marzymy, bym jak najszybciej znikła. – Kiedy kawa ochlapała torbę...

– Mam tam... słowa piosenki – tłumaczę, gdy wreszcie docieramy do drzwi wejściowych.

– Nie znasz słów „Happy Birthday”? – Przytrzymuje drzwi, uniemożliwiając mi wyjście. Napinam mięśnie, gotowa ją odepchnąć. Jest szczupła, ale w świetnej formie. Widzę rysujące się pod materiałem bluzki bicepsy. Patrzy na mnie uważnie, marszcząc brwi. – Masz naprawdę świetny głos, ale nie możesz tak po prostu bez pozwolenia wchodzić do biura. To bardzo nieprofesjonalne. Z jakiej

firmy jesteś? „Śpiewający Telegram”?

– Mm – mruczę niewyraźnie, co przyjmuje za potwierdzenie. Schylam się i przechodzę pod jej wyciągniętą ręką.

Zauważam biegnącego w moją stronę ochroniarza. Jest szybki, ale wolniejszy od recepcjonistki. Kiedy dociera do holu, ja już jestem na ulicy. Wiem, że zaraz mnie dogoni, dlatego szybko zatrzymuję przejeżdżającą taksówkę.

– Poproszę na Waterfront Station – mówię.

– Co, ukradli ci rower? – pyta taksjarsz, zerkając na moją torbę kurierską.

Nie odpowiadam, dość już się dzisiaj nakłamałam. Mam w torbie skradziony laptop, który w dodatku łatwo namierzyć. A może wcale nie, tylko wyobraźnia podsuwa mi takie czarne scenariusze? Wyjmuję komórkę i piszę SMS-a:

911, Waterfront Station.

Potem chowam telefon do kieszeni.

Taksówkarz bierze moje milczenie za odpowiedź twierdzącą. Potrząsa głową i nieprzepisowo zmienia pas. Gonią nas klaksony wściekłych kierowców. Nie tak miało być, planowałam zniknąć z WIN Security po angielsku, jednak nie zakładałam, że zwinę laptop.

– To miasto schodzi na psy – oznajmia taksówkarz, który jak mogę przeczytać na plakietce, ma na imię Maurice. – Śmieci, narkomani, złodzieje. Każdego dnia widzę rzeczy, od których robi się niedobrze. Przyjechałem do Kanady w poszukiwaniu lepszego życia, ale wszędzie jest to samo gówno.

– Przynajmniej masz tutaj darmową opiekę zdrowotną, prawda?

– A niby na co, paniusiu, idą moje podatki?

Studiuję jego profil i próbuję ustalić, skąd pochodzi, ale w sumie to bez znaczenia. Ma rację, wszędzie jest to samo gówno. Czy oddając Bonnie do adopcji, naprawdę zafundowałam jej lepsze życie? Teoretycznie tak. Wychowała się w dobrobycie, miała oboje rodziców, a jednak coś poszło nie tak.

Taksówka się zatrzymuje, więc muszę zapłacić. Kolejny niespodziewany wydatek. Mają rację ci, którzy twierdzą, że dzieci to najprostsza droga do bankructwa.

– Mam nadzieję, że odzyskasz rower – mówi Maurice i odjeżdża.

Odpinam kurtkę i razem z kaskiem wrzucam do pojemnika na śmieci przed najbardziej zatłoczonym dworcem w mieście. Naciągam kaptur i wślizguję się do środka. Teraz pozostaje tylko czekać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zjawia się ubrana na czarno, w dodatku w czarnej peruce i z wyrazistym gotyckim makijażem. Przynajmniej zrezygnowała z biżuterii, zostawiła tylko kolczyk w brwi i nosie. To jej najskromniejszy wizerunek, jaki do tej pory miałam okazję poznać. W połowie Holenderka, w połowie Japonka, ale teraz na nią patrząc, nikt nie umiałby powiedzieć, jak właściwie wygląda. Ludzie zwracają uwagę na ciuchy i makijaż, nie na osobę ukrywającą się pod tym sztafażem.

Siada obok mnie na ławce i pyta ochryple, głosem tylko trochę niższym od mojego:

– Co to za alarm? Wiesz, że dzisiaj tańczę? Dziecinko, te nogi same się nie ogolą.

– Muszę znać hasło. – Podaję jej zwędzony laptop.

– Myślałam, że uczciwie zarabiasz na chleb. Zaczęłaś kraść? – mruczy zdegustowana. Otwiera laptop i dłońmi w rękawiczkach czule gładzi klawiaturę. – Piękna rzecz.

– Mam pracę, ale tym razem chodzi o coś innego. To laptop z WIN Security.

– Złotko, ukradłaś laptop firmie ochroniarskiej? – pyta oszołomiona. – Wiesz, że bez trudu cię namierzą.

– Nie prosiłabym o przysługę, gdyby to nie było ważne.

– Nie przysłałabym, gdybym myślała inaczej – odpowiada, obserwując mnie uważnie.

Ze wszystkich żalonych rozbitków, jakich spotkałam na swej drodze, ona jest najżałośniejsza. Jej życie to cierpienie i nieustający ból istnienia. W nocy jest drag queen o imieniu Simone, za dnia odnoszącym sukcesy informatykiem, specjalistą od zabezpieczeń sieciowych o imieniu Simon. To ona zaproponowała, by Brazuka został moim sponsorem. Pewnie początkowo dla żartu, bo chciała się na nim za coś odegrać. Kto mógł przewidzieć, że ta historia rzeczywiście zamieni się w ponurą farsę?

– Kotku, czasami przekraczam granicę prawa, ale tym razem spasuję – dodaje. – To zbyt niebezpieczne, nawet dla mnie.

– To sprawa życia i śmierci. – Wiem, że jeśli chcę, by złamała dla mnie zasady, muszę podać naprawdę dobry powód.

Patrzy na mnie przez kilka minut, a ja mam okazję podziwiać jej kunsztowny makijaż. Jak ona, do cholery, robi te idealne kreski wokół oczu? Ja też kupiłam kiedyś konturówkę, ale kiedy skończyłam się malować, wyglądałam jak przestraszony szop pracz.

– No dobra, daj mi trochę czasu. Dopóki laptop jest wyłączony, nic nam nie grozi. Masz szczęście, bo wiem to i owo o WIN Security.

Simone robi, co do niej należy, a ja nerwowo spaceruję po sali. Nie zadaję pytań, nie przeszkadzam jej, ale zżera mnie ciekawość. Umiem obsługiwać komputer na tyle, na ile nauczyli mnie tego na kursach organizowanych przez miejską bibliotekę. Tam nie wolno pytać, jak złamać czyjeś hasło czy jak zostać hakerem.

– Weszłam – mówi, kiedy znów siadam na ławce. – A czego konkretnie szukamy?

– Nazwisko Walsh, imiona Everett, Lynn albo Bronwyn.

Przeszukuje bazę danych, ale nic nie znajduje.

– Jesteś pewna, że chodzi właśnie o nich?

– Tak, powinno być coś na ich temat. – Jak inaczej wytłumaczyć obecność ludzi z WIN Security przed domem Walshów?

– Nie mamy dużo czasu – przypomina mi.

Mija nas ochroniarz, z jego miny i postawy wnioskuję, że zaraz się nami zainteresuje.

– Pokaż listę ich klientów – mówię.

Stuka w kilka klawiszy i po chwili na monitorze pojawia się lista nazwisk. Przewija ją powoli, a ja robię zdjęcia komórką. To wszystko trwa całe wieki i obie zaczynamy się bardzo pocić. Już po wszystkim Simone odkłada laptop i bez słowa odchodzi. Wsuwam laptop do torby i ruszam w przeciwnym kierunku. Kiedy jestem na zewnątrz, podchodzę do barierki na nadbrzeżu i wrzucam torbę do wody. Wokół jest tak głośno, że nawet nie będzie słychać plusku.

Nie czekam, by się o tym przekonać.

Odchodzę najszybciej, jak umiem, nie oglądając się za siebie, chociaż mnie kusi, by chociaż zerknąć przez ramię. Udaję, że nic się nie stało, nauczyłam się takiego zachowania od Simone. Ale kradzież... w tym zawsze byłam dobra.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Stoję przed blokiem w Surrey, trzymając pudełko z parującą pizzą, która mnie przyjemnie ogrzewa. Ulice są pełne, ludzie właśnie wracają na noc do domu. Od czasu do czasu ktoś rzuca mi pożądlive, wygłodniałe spojrzenie, bo otacza mnie chmura smakowitego zapachu. W oknie na trzecim piętrze, które obserwuję, palą się światła. Przynajmniej w jednej sprawie mi się dzisiaj poszczęściło.

W moją stronę kuśtyka starsza kobieta w za dużym płaszczu. Patrzy pod nogi, na pełen dziur chodnik, wyraźnie koncentrując się na każdym kolejnym kroku. Kiedy wygrzebuje z kieszeni klucze i otwiera drzwi, przytrzymuję je nogą i po chwili wślizguję się do środka. Wzruszam przepraszająco ramionami, dając do zrozumienia, że umieram z głodu i w tej chwili zaspokojenie tej podstawowej potrzeby jest dla mnie ważniejsze niż zasady bezpieczeństwa obowiązujące mieszkańców naszego bloku. Co poradzić, samo życie. Przez chwilę przygląda mi się uważnie, a potem bez słowa sunie w swoją stronę. Upewniam się, że oprócz zamkniętych na klucz drzwi wejściowych i domofonu nie ma tu innych zabezpieczeń. Wjeżdżam windą na trzecie piętro i pukam do drzwi Amira. Słyszę czyjeś nieśpieszne kroki, a potem jakiś ruch przy judaszu.

– Dostawa pizzy – mówię.

– Nie zamawiałem pizzy – dobiega zza drzwi przyjemny głos z silnym akcentem.

– Mam zanotowane, że to dla Amira. Przepraszam za spóźnienie. – Podsuwam pudełko do judasza, by mógł je obejrzeć. Liczę na to, że jego żołądek upomni się o swoje prawa i zagłuszy wątpliwości.

Moje założenie okazuje się trafne. Drzwi otwierają się i w progu staje Harrison Baichwal. Nie spuszcza wzroku z pudełka z pizzą.

– Amir wyszedł do pracy – mówi. – Jak pani tu weszła? Nie słyszałem domofonu.

– Akurat ktoś otwierał drzwi, więc skorzystałam z okazji. – Wzruszam ramionami.

Teraz, kiedy może mi się dokładniej przyjrzeć, dociera do niego, że nie jestem dostawcą pizzy. Jestem inaczej ubrana i nie mam termoizolacyjnej torby. Wstrząsa nim dreszcz, jego oczy rozszerzają się ze strachu.

– Kim pani jest? – pyta szeptem.

– Kimś równie głodnym jak pan. Kimś, kto wie, jak pan się nazywa, panie Harrison. Pogadamy o tej nocy, kiedy w pańskim sklepie zabito kobietę? Na korytarzu, żeby wszyscy słyszeli? A może jednak woli pan rozmowę w cztery oczy?

Przez chwilę się waha, a potem zaprasza mnie do środka. Od razu widać, jak

spędza wolny czas. Mieszkanie jest nieskazitelnie czyste. Żadnych paprochów ani plam na podłodze. Meble, chociaż każdy z innej parafii i kupiony zapewne na garażowej wyprzedaży, porządnie odkurzone. Wielka szkoda, że to nie ze mną zamieszkał pan czyścioszek Harrison, ale Sapka nigdy by na to nie pozwoliła. Pilnie strzeże swej prywatności, tak jak ja. Nigdy nie zapraszamy gości do naszej piwnicy.

Harrison na moment znika w kuchni, po chwili wyłania się, niosąc dwa talerze.

– Już mówiłem, że nie będę zeznawał w sądzie. Zrobiłem wszystko, o co prosiliście. Nikt nie wie, gdzie się ukrywam.

– Ja wiem.

Na chwilę zamiera. Potem otwiera pudełko, kładzie na każdym talerzu po jednym kawałku pizzy.

– Wynajął mnie adwokat dzieciaka – mówię.

– Nie jest pani...

– Nie.

Odstawia talerz z pizzą, której nawet nie zdążył spróbować, i pyta:

– Czy powiedziała pani policji, gdzie jestem?

– Na razie nie. Nie wolno olewać wezwania do sądu, to poważne wykroczenie. Jeszcze ma pan szansę naprawić ten błąd.

Moje przemówienie sływa po nim jak woda po kaczcce. Gwałtownie wstaje i zaczyna nerwowo krążyć po pokoju.

– Dobrze wiem, że to poważne wykroczenie. Mieszkam tu od dwudziestu lat, pracuję po czternaście godzin na dobę, płacę w terminie podatki i przestrzegam prawa. Tyle że tym razem nie mam wyboru.

– I co panu robią? Czy dzieciaki z tutejszego gangu zagroziły, że jeśli pan będzie zeznawać, puszczą z dymem pana sklep? Przecież jest pan ubezpieczony, prawda?

Potrząsa głową, wyraźnie zde gustowany.

– A wam zawsze tylko forsa w głowie. Nie muszą niszczyć mojego sklepu, bo dobrze wiedzą, gdzie mieszkam. Rozumie pani? – Próbuje się uspokoić, potem prosi zdesperowany i coraz bardziej przestraszony: – Błagam, niech pani nie informuje policji, gdzie się ukrywam. – Nagle przypominam sobie rozmowę z Everettem i teraz wyczuwam ten sam strach. Strach ojca, który drży o bezpieczeństwo swojego dziecka. – Obiecałem bardzo groźnym ludziom, dilerom narkotykowym, że nie będę zaznawać. Zamieszkałem u Amira, żeby ukryć się przed adwokatem. Muszę chronić moją rodzinę.

– Ten dzieciak, który wszedł do pańskiego sklepu i zabił kobietę, nie był sam, prawda?

– A co to za różnica? Ten chłopak wszedł do mojego sklepu z bronią w ręku.

– Przez chwilę znów chodzi od ściany do ściany, wreszcie przeczesuje ręką włosy i podejmuje decyzję: – No dobra, powiem pani, jak było. Tak, był jeszcze jeden, stał na czatach przy wejściu, chociaż mam tam kamerę. Przyszli mnie okraść. Dałem temu, który wszedł do środka, wszystkie pieniądze z kasy, ale w sklepie była jeszcze jedna klientka. Chłopak jej na początku nie zauważył, a kiedy wyszła zza regału, wpadł w panikę. Właściwie broń sama wystrzeliła, to był wypadek.

– Dlaczego Amir nie przyszedł wtedy do pracy? Bo przecież tak to zaplanowali, że napadną na sklep podczas jego zmiany, tak?

– Proszę go o nic nie oskarżać, to dobry chłopak. Któregoś dnia szli za nim aż do domu, uprzedzili, że napadną na sklep, i żeby nie robił nic głupiego. Zagrozili, że jeśli nie posłucha, przyjdą, kiedy w sklepie będzie Bidi albo ja. Nie chcą nas straszyć, bo jesteśmy starzy i mamy dzieci na utrzymaniu, więc lepiej to załatwić podczas jego zmiany. On... no, po prostu nie wiedział, co robić, nie jest przestępcą. Nie mógł spać, zaczął łykać proszki nasenne...

– Zaspał, i dlatego nie przyszedł do pracy.

– Tak, nie przyszedł mnie zmienić.

– Proszę opowiedzieć wszystko policji. Na pewno dadzą panu ochronę. To nie jakiś tam napad na sklep, zginęła kobieta, która miała dzieci. – Sama nie wierzę, że to powiedziałam.

Widać jednak bez zbytniego przekonania, bo Harrison Baichwal patrzy na mnie jak na pierwszą naiwną.

– Jasne, powinienem zdać się na policję, jak każdy w tej dzielnicy – niemal warczy. – Nie ufam nikomu, nie w tak ważnej sprawie jak zdrowie moich bliskich. Zależy mi tylko na żonie i dzieciach. Przyjechałem do Kanady, żeby im zapewnić lepsze życie. Każdy mężczyzna powinien chronić swoją rodzinę. Po procesie wrócę do sklepu i wszystko będzie jak dawniej. Tak mi powiedzieli.

– Dilerzy? – pytam, nie kryjąc niedowierzania.

– Tak, dilerzy, i co z tego? Muszę im wierzyć, nie mam wyboru. Rozumie pani?

Długo siedzimy w milczeniu, ja i ten śmiertelnie przestraszony mężczyzna. Dobrze wiem, czym jest strach. Zastanawiam się, czy dręczą go koszmary senne, czy zamykając oczy, obmyśla czarne scenariusze, czy wciąż rozpamiętuje, co widział tamtej feralnej nocy.

I tkwimy tak zanurzeni we własnej przeszłości, pełnej błędów i złych decyzji. Pizza stygnie na stole, ale oboje straciliśmy apetyt. Nie wiem, co powinnam zrobić, po prostu nie wiem. Wstaję i wychodzę. Na zewnątrz jeszcze zatrzymuję się przed budynkiem i patrzę w okno na trzecim piętrze. Światło zgasło, ale zauważam falowanie firanki. Czuję, że Baichwal mnie obserwuje, czeka na mój kolejny krok. Oboje wiemy, że jego los jest w moich rękach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po powrocie do biura okazuje się, że chociaż jest dość późno, Leo i Seb jeszcze nie pojechali do domu. Od razu wyczuwam, że coś jest nie tak, bo drzwi do gabinetu Leo są zamknięte, chyba po raz pierwszy, odkąd pamiętam. Przez szybę widzę trzy krążące po pokoju cienie. Dwie znajome sylwetki, Seba i Leo, i ktoś obcy. Słyszę głosy, ale nie rozróżniam poszczególnych słów, dlatego kryję się za olbrzymim fikusem i przystawiam ucho do drzwi. Teraz słyszę wszystko wyraźnie.

– Czyli jest dobra w wykrywaniu kłamstw? – pyta nieznajomy, a w jego głosie pobrzmiewa szczere zdziwienie. Nie rozpoznaję akcentu, jednak wychwytyuję w nim znajome nuty.

– Tak, ale nie skończyła żadnego kursu – odpowiada Seb.

– Amatorka?

– Najzdolniejsza, z jaką mieliśmy okazję pracować. Wszyscy tak zwani eksperci mogą jej czyścić buty. Wiem, o czym mówię, bo kilka razy korzystaliśmy z ich usług – dodaje Leo, zresztą mijając się z prawdą. Jednak wątpię, by nieznajomy to zauważył. Chyba rzeczywiście uwierzył, że często prosimy o pomoc ekspertów.

– Hm, zatem jest nie tylko sekretarką?

– Nie zamierzamy rozmawiać o zakresie jej obowiązków – odpowiada Seb, a ja słyszę, że jest coraz bardziej zniecierpliwiony i chce zakończyć rozmowę. – Czy mógłby pan wreszcie wyjaśnić, o co właściwie chodzi?

– Wiecie, kim jest ta kobieta?

– Co to za pytanie? Oczywiście, że wiemy – oburza się Leo, ale ja wiem, że nieznajomy zasiał ziarno wątpliwości.

– Nora Watts, urodzona w Winnipeg. Ojciec popełnił samobójstwo, o matce nic nie wiadomo. Jako nastolatka wędrowała od jednej rodziny zastępczej do drugiej, a od kiedy odeszła z Kanadyjskich Sił Specjalnych, jej adres jest nieznany. Nie ma czystej kartoteki, była aresztowana za bójkę w barze.

– Skazana? – pyta Seb.

– Nie, wycofano zarzuty.

– A kiedy to było? – pyta Seb i właśnie za to go kocham. Nie wydaje opinii, dopóki nie pozna wszystkich faktów. Właśnie dlatego jest świetnym dziennikarzem śledczym i kiepskim partnerem w związku. Nie pozwala sobą manipulować, jest uodporniony na emocjonalny szantaż.

– Sześć lat temu – odpowiada nieznajomy.

– No to po co pan przyszedł? Czego pan od niej chce? – Widzę, że Leo przestał krążyć po pokoju i zatrzymał się przy oknie.

– Jest zamieszana we włamanie.

– Jest pan z WIN Security?

– Tak.

– Włamała się do waszej firmy czy sprawa dotyczy waszego klienta?

Nieznajomy długo milczy, zapewne nie chce przyznać, że ktokolwiek mógłby się włamać do największej firmy ochroniarskiej w mieście.

– Nie wolno mi o tym mówić, ale będę wdzięczny za wszelkie informacje na temat pani Watts – odpowiada wreszcie.

– Rzadko jej teraz coś zlecamy – mówi Leo. – Wie pan, kryzys, redukcja etatów, mało klientów.

– Dzwonimy do niej, kiedy jest potrzebna, nie przychodzi codziennie do biura – dodaje Seb. – Na przykład w tym tygodniu ani razu nie korzystaliśmy z jej usług. – Jeżeli ten facet z firmy ochroniarskiej ma choćby minimalne doświadczenie w przesłuchiowaniu świadków, musi być świadomy, że go okłamują.

– Czy w takim razie mogę prosić o numer jej telefonu? – nie poddaje się nieznajomy.

– Jeżeli zajdzie taka potrzeba, prześlemy taką informację stosownym władzom. A teraz proszę opuścić nasze biuro.

Ponownie zapada cisza. Nieznajomy dobrze wie, że nie ma żadnych podstaw prawnych, by żądać mojego numeru.

– Rozumiem – mówi wreszcie spokojnie, ale to taki spokój, jaki daje się odczuć tuż przed strzelaniną. – Proszę przy najbliższej okazji poprosić, by do mnie zadzwoniła. – Nieznajomy wręcza wizytówkę i rusza do drzwi.

O cholera, niedobrze. Wysuwam się zza fikusa i zastanawiam, czy wyjść z biura, czy przejść do kuchni.

– Proszę poczekać! – woła Leo.

Leo nie wie, o co chodzi, ale nie chce kłopotów. Wychodzę po cichu z biura i biegnę piętro wyżej, gdzie mieści się salon masażu. Wszystkie drzwi są zamknięte, znalazłam się w pułapce. Stoję na schodach i słyszę ciężkie kroki piętro niżej. Ten facet wcale nie zamierza od razu wyjść. Co jeszcze powiedzieli mu Seb i Leo? Dlaczego tak się mną interesuje? Jestem roztrzęsiona, bo dotąd udawało mi się ukryć mnóstwo niewygodnych faktów z mojej przeszłości, ale teraz być może będę musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

Ostrożnie spoglądam w dół i widzę, jak potężnie zbudowany i ogolony na łyso facet zmierza do wyjścia z budynku. Jednak zamiast otworzyć drzwi, odwraca głowę i patrzy prosto w moim kierunku. Przykucam i przez kilka sekund wstrzymuję oddech. Rozglądam się nerwowo, ale na pustym korytarzu nie ma niczego, czym mogłabym się bronić. Ostrożnie wyciągam z kieszeni pęk kluczy. Jeden do samochodu, trzy do wszystkich wejść do budynku, ostatni do piwnicy, w której czeka na mnie Sapka. Pięć, trochę mało, ale nie mam nic więcej. Wkładam klucze między palce, zaciskam pięść i czekam.

– Jest tam kto? – woła nieznajomy i wchodzi na pierwszy stopień.

Słyszę wyraźnie jego głos i już wiem, dlaczego wydał mi się znajomy. Zaczyna mi brakować tchu, ślina nabiera posmaku żółci, żołądek sygnalizuje, że poczułabym się lepiej, gdybym zwymiotowała. Przez chwilę spowija mnie czerwona mgła. Minęło piętnaście lat, ale wciąż pamiętam ten niski i spokojny głos. To on wydawał krótkie rozkazy, gdy owijali moje poobijane ciało w pokrwawione prześcieradło.

Właśnie to zapamiętałam najlepiej. Dotyk materiału na nagim ciele i spokojny głos faceta, który dysponował, co ze mną zrobić.

Stało się, przeszłość mnie dopadła. To nie przypadek, że Bonnie zaginęła, to nie przypadek, że ten facet zaczął o mnie wypytywać. Nie chodzi o skradziony laptop WIN Security, chodzi o mnie. Już się domyślam, kto mnie szuka, i jestem przerażona, że dotarł tak blisko. To ten, który wypielęgnowanymi dłońmi trzymał mnie za gardło, przyciskał do łóżka, potem przeciągnął po zimnej drewnianej podłodze i kazał porzucić w lesie.

Mam ochotę histerycznie się roześmiać, z trudem się od tego powstrzymuję. Everett Walsh trafił w dziesiątkę, pytając o biologicznego ojca Bonnie. Może zbyt szybko uznałam ten trop za nieistotny. Powinnam była wcześniej rozważyć tę opcję, zastanowić się, co to oznacza.

W holu rozlegają się kolejne kroki.

– Odprowadzę pana do wyjścia – mówi Seb, a ja po chwili słyszę miłe dla ucha trzaśnięcie drzwi. Siedzę na schodach jeszcze dziesięć minut, ściskając w spoczonej dłoni pęk kluczy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Czuję na sobie wzrok Sapki i chyba wiem, co teraz dzieje się w jej głowie. Pewnie zastanawia się, dlaczego jej osobisty dostawca pożywienia siedzi tak długo po ciemku i wpatruje się w cztery otwarte buteleczki środków przeciwbólowych. To leki dostępne bez recepty, żaden tam fentanyl czy percocet, chociaż takie też bym bez trudu zdobyła. Jednak nawet te ogólnie dostępne spełnią swoje zadanie, jeśli wiesz, ile trzeba połknąć.

Dochodzi północ, mój telefon wciąż leży tam, gdzie go rzuciłam po przejrzeniu danych skradzionych z laptopa WIN Security. Na żadnej liście klientów nie ma Bonnie, Lynn ani Everetta. A zatem jest tak, jak zaczęłam podejrzewać. Cokolwiek przydarzyło się Bonnie, wymknęło się spod kontroli. Poszło tak źle, że ludzie z firmy ochroniarskiej zaczęli obserwować dom Walshów, chociaż w oficjalnych dokumentach WIN Security nie ma śladu takiego zlecenia.

Kusi mnie, żeby połknąć zawartość buteleczek, ale coś mnie powstrzymuje. Nienaturalny spokój, a właściwie niemoc.

Pewnie wszystkim wydaje się, że wiedzą, czym jest syndrom stresu pourazowego. Ale ja nie mam na myśli stanu, o którym z taką lubością rozprawiają gadające głowy w telewizji. Ten syndrom nie dotyczy jedynie żołnierzy, którzy podczas akcji zbrojnych widzieli tyle okrucieństwa, że przechodzą załamanie i często gubią się w odmęcie własnych emocji. Chodzi mi o sytuację, kiedy człowiek widział lub przeżył coś tak strasznego, że nie umie opisać tego żadnymi słowami i czasami wątpi, czy to wydarzyło się naprawdę, czy to tylko wytwór jego chorej wyobraźni. To takie zdarzenia, które zdają się przeczyć twierdzeniu, że jesteśmy ludźmi.

Popadłam w taki stan, chociaż przyznaję, że nie na długo. Nigdy potem nie widziałam i nie przeżyłam czegoś tak okropnego. Nie byłabym w stanie nikomu wyjaśnić, jak ogromne przerażenie czułam, gdy odzyskałam przytomność po długim niebycie wypełnionym koszmarowymi snami. Jak bardzo się bałam, gdy okazało się, że jestem w ciąży, gdy zrozumiałam, że jawa bywa równie straszna, jak męczące sny. Rosnący brzuch oznaczał, że kilka miesięcy temu coś się wydarzyło, ale nie pamiętałam, jak i kiedy. Właściwie to oczywiste, co się stało, ale wyobraźnia i tak podsuwa ci najdziksze wizje. Kto? Dlaczego? To musiało się stać wbrew mojej woli, ale mimo to niczego nie pamiętałam. Desperacko próbowałam cokolwiek sobie przypomnieć, zrozumieć, tyle że nie byłam w stanie. Pewnie najlepiej byłoby w takim razie udawać, że właściwie nic się nie stało. Urodzę dziecko, oddam do adopcji, a potem o wszystkim zapomnę. Ale to tak nie działa.

Nie da się uciec od faktów, zawsze cię dogonią, a moja córka przypomniała

o swoim istnieniu z głośnym przytupem. Zaginęła, i to zdarzenie wywołało lawinę kolejnych, przez co znalazłam się na krawędzi.

Sapka wstaje z posłania i skrada się w moją stronę. Kiedy przechodzi obok stolika, zrzuca ogonem buteleczki, a tabletki rozsypują się po podłodze. To wygląda na zwykłą niezręczność, ale wiem, że zrobiła to specjalnie. Za dobrze ją znam. To mój jedyny i najlepszy anioł stróż. Można by pomyśleć, że ta suczka jest bardzo uczuciowa, jednak jej działania mają czysto pragmatyczny wymiar. Jeśli umrę, będzie musiała poszukać nowego dostawcy żywności. Podjęła decyzję za mnie, a ja jeszcze nie upadłam tak nisko, żeby zbierać rozsypane po podłodze tabletki.

Znajduję komórkę, na szczęście nieuszkodzoną, w odległym kącie pokoju i odsłuchuję stare wiadomości. Wszystkie, których istnienie unieważniałam, uznawałam za niebyłe, a jednak ich nie skasowałam.

Mam wrażenie, że patrzę na zjawę z mojej przeszłości, ale dzisiejszej nocy dam sobie z tym radę. Wysyłam SMS-a i niemal natychmiast dostaję odpowiedź, taką, jakiej się podświadomie spodziewałam:

Jutro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następnego dnia po południu czekam na zjawę z mojej przeszłości przed najpiękniejszym budynkiem w mieście. Miejska Biblioteka Publiczna ma kształt elipsy i została zbudowana na planie rzymskiego Koloseum. Wysoka na osiem pięter, jest częścią większego kompleksu. Dwoje wejściowych drzwi prowadzi do olbrzymiego holu. Po jednej stronie mieszczą się przeszklone i zwieńczone szklanym dachem pomieszczenia biblioteczne, po drugiej butiki i biura.

Stoję na piątym piętrze i patrzę na ptaki, które utknęły w tej pięknej szklanej pułapce i bezskutecznie szukają drogi ucieczki. Obserwuję sklepy naprzeciwko i wejście do holu. Oglądam plakaty i po raz kolejny odczuwam podziw dla artysty, który je stworzył. Na wszystkich jest wyciągnięta dłoń, za każdym razem uchwycona w nieco innym geście powitania, ale zawsze wiadomo, że chodzi o zachętę do wejścia.

Lubię tu przychodzić, dlatego wcale mi nie przeszkadza, że czekam już półtorej godziny. Wreszcie przyjmuję do wiadomości, że mnie wystawił do wiatru. Zaczynam się coraz bardziej denerwować, ale nagle widzę muskularnego mężczyznę przepychającego się do biblioteki przez kolejne grupy zwiedzających. Różni się od nich, bo ani nie jest ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, ani nie rozgląda się wokół ze skupionym wyrazem twarzy. Teraz nie siedzi w samochodzie i nie raczy się zdrowymi przekąskami, dlatego nie od razu rozpoznaję faceta, który obserwował dom Walshów. Przystaje na środku holu i spogląda w górę. Nasze oczy spotykają się na krótko, lecz na wystarczająco długo, bym zobaczyła na jego twarzy błysk rozpoznania. Może zauważył mnie, kiedy kręciłam się przy domu Bonnie, może kiedy przemierzałam korytarze WIN Security, a może to tylko moje intensywne spojrzenie zwróciło jego uwagę. Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, muszę szybko dostać się do ruchomych schodów.

Nie mogę skorzystać z windy, to byłaby skrajna głupota, bo przecież nigdy nie wiadomo, na kogo się natkniesz, gdy drzwi się rozsuną. Zjeżdżam głównymi schodami na trzecie piętro.

Kucam między wózkami z nieposortowanymi książkami. Kiedy spodziewasz się ataku, zwłaszcza osoby większej i silniejszej od ciebie, najważniejszy jest element zaskoczenia. Zaskoczenie, przemyślana taktyka i takie wykorzystanie własnego środka ciężkości, by zniwelować różnicę wzrostu. Mniejsza osoba nigdy nie powinna działać szybko, bez namysłu, nie wolno uprzedzać przeciwnika o swoich ruchach. Jeżeli o tym zapomnisz, wylądujesz nieprzytomna w lesie, naga i poobijana, owinięta jedynie w brudne prześcieradło.

Słyszę kroki i chociaż jeszcze nikogo nie widzę, popycham wózek w kierunku tego dźwięku. Facet próbuje uskoczyć, ale wózek uderza go w goleń

i z głośnym łoskotem przewraca. Próbuje jeszcze zepchnąć na niego regał z książkami, ale jest przytwierdzony do podłogi. No jasne, to zbyt ważna biblioteka, by nie pomyślano o podstawowych środkach bezpieczeństwa. Klnę cicho, łapię drugi wózek z książkami i pędzę prosto na leżącego faceta. Komicznie macha nogami, próbując się odsunąć, ma szeroko otwarte oczy. Wygląda jak postać z głupawego komiksu. I tak jak w komiksie, rozlega się suchy, nieprzyjemny trzask, gdy rozpędzony wózek zderza się z jego ciałem. Nie zamierzam sprawdzać, jak bardzo go poturbowałam, nie mam chwili do stracenia.

Ze schodów zbiega ochroniarz w średnim wieku, mocno kulejąc.

– Proszę zatrzymać tego mężczyznę – krzyczę, wskazując leżącego na podłodze pracownika WIN Security. Słyszę, jak krzyczy do telefonu, opisując komuś mój wygląd. Na szczęście biblioteczny ochroniarz nie ma tak dobrego słuchu jak ja. – Napastował jakąś kobietę, a ona popchnęła na niego wózek z książkami. – Niby po co miałabym wspominać, że to ja jestem tą kobietą?

Nie czekam, by sprawdzić, co będzie dalej. Zjeżdżam schodami na dół z nadzieją, że ochroniarz będzie wyjaśniał sprawę na tyle długo, bym mogła bezpiecznie opuścić budynek.

Przy wejściu do biblioteki zauważam krótko ostrzyżonego, atletycznie zbudowanego mężczyznę. Zmierza prosto w moją stronę, to nie może być przypadek. Na szczęście ten młodzieniec, który mógłby reklamować każdą siłownię, jeszcze mnie nie namierzył. Udało mi się przemknąć do drzwi wychodzących na południową stronę, ale niestety od Howe Street zbliża się kolejny napakowany przystojniak, a w stronę drugiego wejścia energicznie kroczy inny koleś na sterydach. Skoro obstawili wszystkie drogi ucieczki, muszę wrócić na górę. Skręcam w lewo, wchodzę na ruchome schody, które prowadzą do pomieszczeń biurowych.

Któryś z napakowanych facetów musiał mnie dostrzec, bo słyszę, jak krzyczy do pozostałych.

Biegną tuż za moimi plecami, niebezpiecznie blisko. Są w lepszej kondycji niż ja, mają dłuższe nogi, ich przewaga jest oczywista. Gdy dojeżdżam na pierwsze piętro, pędzę na korytarz biurowca. Zza rogu wyłania się facet, którego przed chwilą widziałam w holu, drugi dyszy mi w kark. Jestem w pułapce. Teraz znów muszę dostać się na dół. Powoli rozpinam i zdejmuję pasek. Niestety w tej chwili nie mam pod ręką nic lepszego.

– Nie bój się, chcemy tylko pogadać – mówi ten przede mną takim tonem, jakby uspokajał rozbrykanego szczeniaka. Rzuca spojrzenie na dwóch kolegów, którzy czają się za moimi plecami. Poruszają się ostrożnie, na wypadek, gdybym jednak miała coś groźniejszego od paska.

– Nic ci nie zrobimy – mówi ten za moimi plecami, trochę za głośno i niezbyt przekonująco.

– Chodź z nami po dobroci, a my nie zgłosimy włamania na policję – dodaje ten najbardziej napakowany.

Jezu, uważają mnie za pierwszą naiwną?

Kłamią tak bezczelnie, jakby mieli do czynienia z kompletną idiotką.

Wysłuchuję się w ich głosy i dochodzę do wniosku, że żaden z nich nie odwiedził naszego biura. Leo i Seb rozmawiali z kimś innym. Gorączkowo szukam pomysłu, jak wybrnąć z sytuacji. Mrużę oczy i wpatruję się w twarz napastnika przede mną.

– Nie bój się – mówi, i jest to najgorsza rzecz, jaką mógł w tych okolicznościach powiedzieć. Strach to nasz system alarmowy. To on utrzymuje nas przy życiu.

Gdyby ten facet powiedział:

– Powinnaś się bać, bo masz mizerne szanse, że wyjdiesz z tego bez szwanku – zastanowiłabym się nad jego słowami.

Pewna kobieta w Stanach miała uszkodzony ten obszar mózgu, w którym znajduje się ośrodek strachu. Przez to nieustannie poruszała się na granicy życia i śmierci, bo nie była w stanie dostrzec i ocenić żadnego zagrożenia. A jeżeli nigdy nie odczuwasz lęku, nieustannie narażasz się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Strach, wbrew temu, co głoszą różni nawiedzeni mądrze, to bardzo zdrowy i prawidłowy odruch. Teraz jest mi potrzebny, może mnie uratować. Czuję go w sztywniejących plecach i ramionach. Nie pamiętam, jaką krzywdę mi wyrządzono, ale moje ciało nie zapomniało. Nieczęsto wracam myślami do koszmaru z przeszłości, może tylko tuż przed zaśnięciem, gdy zamykam oczy i próbuję się odprężyć. Ale moje ciało pamięta, jest czujne, szybko reaguje na każdy sygnał. W razie niebezpieczeństwa nakazuje mi się bronić lub uciekać, nie ufa mojej ocenie sytuacji. Dlatego nie mam sobie za złe tego, co zaraz zrobię. To moje ciało rozważa różne opcje i wybiera ten ból, który będzie łatwiejszy do zniesienia. Decyduje za mnie.

Przez przeszklone ściany biblioteki gapi się na nas coraz więcej ludzi. Otwarta przestrzeń aż się prosi o jakieś przedstawienie i wszyscy mają nadzieję, że zaraz będą świadkami wydarzenia, o którym będą mogli opowiedzieć znajomym. Większość nawet przerwała rozmowy i odłożyła komórki. Napakowanym facetom niezbyt się to podoba, ja też wolałabym mniejszą widownię. Ochroniarz biblioteczny pilnujący wejścia na parterze wydaje się równie zaszokowany jak reszta ludzi. Obawiam się, że zaraz sięgnie po telefon i wezwie pomoc.

Spoglądam na baner na parterze. Pięknie namalowana wyciągnięta dłoń symbolizuje nie tylko powitanie, ale też gest pojednania. To bardzo dalekie od intencji faceta, który gapi się na mnie z obleśnym uśmiechem i mówi:

– Daj spokój, kotku, nie masz dokąd uciekać.

Może gdyby mnie tak nie nazwał, wypadki potoczyłyby się inaczej.

Słyszę chóralne westchnienie, gdy przerzucam pasek przez poręcz i zawisam na nim, trzymając się jedną ręką. Facet z WIN Security próbuje złapać mnie za bluzę, ale materiał prześlizguje mu się między palcami. Pasek nie jest zbyt długi, ale daję radę drugą ręką, na szczęście w rękawiczce, złapać się krawędzi banera. Kiedy puszczam pasek, baner się przechyla, a ja razem z nim. Zamierzałam zsunąć się po nim do holu, ale wszystko dzieje się zbyt szybko. Uderzam plecami w ścianę i wiszę na banerze, który trzyma się teraz tylko na jednym mocowaniu. Zsuwam się po nim i skaczę na parter, wykonując asekuracyjny przewrót.

– Cholera jasna! – wrzeszczy facet, któremu się wymknęłam.

Napastnicy patrzą na mnie z góry, ale oczywiście nie zamierzają pójść w moje ślady. To profesjonaliści, nie robią takich ryzykownych głupot. Moja kostka pulsuje jak diabli, ale jeszcze nie czuję bólu. Na razie napędza mnie potężna dawka adrenaliny. Biegnę do schodów przeciwpożarowych, to moja jedyna szansa. Mam teraz lekką przewagę, jednak jeśli choć trochę zwolnię, bez trudu mnie dogonią.

Słyszę krzyki, moi prześladowcy próbują odciąć mi drogę ucieczki, jednak tym razem to ja jestem górą. Gdy wybiegam na ulicę, wiem, że jestem uratowana. To mój teren, umiem zniknąć, dosłownie rozpląnąć się w powietrzu. Znam wszystkie zaułki, alejki i sekretne przejścia. Spałam na tych ulicach, przemierzałam je o każdej porze dnia i nocy. Tutaj jestem u siebie, staję się prawie niewidoczna. Mżawka i mgła są moimi sprzymierzeńcami. Ruszam w miasto, omijając brudne kałuże, ludzkie wymiociny i psie kupy. Zapuszczam się w rejony, które pozostali omijają szerokim łukiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Siedzę w alejce na tyłach biura, tuż przy pojemniku na odpady, i czekam, aż zapadnie zmrok. W sklepie na końcu ulicy kupiłam worki, gazety i bandaż nasączony środkiem dezynfekującym. Po obwiązaniu kostki rozłożyłam na ziemi kilka worków na śmieci, a pod bluzę włożyłam kulkę ze zmiętych gazet. To naprawdę świetna izolacja.

Deszcz wydaje się niezmordowany, to siąpi, to zamienia się w zimny prysznic. O tej porze roku zawsze tak pada, ale ponieważ mam podły nastrój, dzisiaj wyjątkowo mnie to irytuje. Jak zwykle, gdy jestem rozżalona, zaczynam myśleć o siostrze.

Nie pamiętam dokładnie, ile miałam lat, gdy do mnie dotarło, jak bardzo się różnimy, i zrozumiałam, że tak już będzie zawsze. Jesteśmy wprowadzić biologicznymi siostrami, no, prawdopodobnie. Prawdopodobnie więc czerpałyśmy z tej samej puli genów, ale to jedyne, co nas łączy. Nad nią zawsze świeciło słońce, mnie spowijała mroczna chmura. Gdziekolwiek się pojawia, ludzie natychmiast się odsuwają, jakbym mogła ich zarazić swoim nieszczęściem. Na Lorelei reagują zupełnie inaczej, próbują się do niej jeszcze bardziej zbliżyć, by ogrzać się w blasku, który wokół siebie roztacza. Moja chmura nigdy mnie nie opuszcza. Wędruje za mną, przywykłam do tego. Właściwie to nawet lubię, kiedy zimne krople deszczu obmywają mi twarz. Tak, jestem zwiastunem wszelkich opadów, deszcz i śnieg zawsze kroczą ze mną. Niestety niebo nie płacze nad moim losem, jedynie ostrzega, bym nie popadła w samozadowolenie, nie poczuła się zbyt pewnie i bezpiecznie. Moja chmura po prostu od czasu do czasu przypomina o swoim istnieniu, dzięki niej nigdy nie tracę czujności.

Obserwuję tylne wejście do budynku, pomimo gazet pod ubraniem trzęsę się jak osika, a moja kostka coraz bardziej puchnie i boli jak cholera. Przy śmietniku pojawia się włóczęga, któremu rano dałam baton z ziaren i suszonych owoców. Grzebie w pojemniku, a potem pyta:

– Kotku, może dasz mi jeszcze jeden batonik?

Co ich wszystkich napadło z tym „kotkiem”? Nie słyszę w jego głosie protekcyjnego tonu, dlatego wyciągam z kieszeni i podaję mu baton. Natychmiast go odwija, przełamuje, zatrzymuje połowę, a resztę mi oddaje. Naciąga głębiej obszarpany kapelusz i odchodzi. Zostaję sama, ściskając w dłoni coraz bardziej rozmiękły kawałek batonika. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś zwrócił się do mnie pieszczotliwie, tak szczerze, z głębi serca. Chyba bardzo dawno temu, skoro nie pamiętam.

Deszcz się wzmacnia, to chyba początek potopu. Nie mogę tu dłużej tkwić. Sapka pewnie już się obudziła i przy drzwiach nerwowo przestępuje z łapy na łapę.

Jeśli jej niedługo nie wypuszczę, nasika tam, gdzie ją przypili. Wślizguję się do budynku, ale zamiast ruszyć prosto do piwnicy, jak początkowo zamierzałam, wiedziona niezrozumiałym impulsem idę w kierunku biura. Drzwi są zamknięte, ale w środku pali się światło, widoczne przez szparę przy podłodze. Tylko ja kręcę się tu o tak późnej porze, zresztą tylko dlatego, że mieszkam kilka kroków dalej, w piwnicy.

W środku siedzi Seb. Popija whisky, którą trzyma w górnej szufladzie biurka. Nieźle mu idzie, wypił już ponad połowę. Gdy wchodzę, patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami. Na biurku leży koperta z abaki, na której ktoś odręcznie napisał moje imię.

Nie komentuje mojego wyglądu. Jakby nie zauważył, że mocno kuleję, jestem przemoczona do suchej nitki, a bluzę mam wypchaną zmiętymi gazetami.

– Usiądź, Noro.

Chociaż mówi cicho i raczej prosi, niż rozkazuje, wiem, że powinnam posłuchać. Rzadko mu się podporządkowuję, ale jestem mu coś winna, a on sobie świetnie z tego zdaje sprawę. No więc siadam i patrzę, jak poprawia się w fotelu i próbuje zebrać myśli. Popycha w moją stronę butelkę whisky, a ja odruchowo wyciągam dłoń, na szczęście w porę sobie przypominam, że to nie moment, kiedy mogę ulec słabości. Mam pod opieką Sapkę, no i muszę odszukać pewną nastolatkę. Nagle do mnie dociera, że wcale nie chciał się ze mną napić, to był tylko test. Chociaż nigdy mu nie opowiadałam o mojej chorobie alkoholowej, sam się domyślił, jest naprawdę bardzo bystry.

– Znamy się już jakiś czas – mówi, stosując technikę sprawdzoną podczas wielu przesłuchań. Trzeba zacząć od czegoś oczywistego, ale zarazem niezobowiązującego. Sprawić, by przesłuchiwana osoba poczuła się pewniej.

Potakuję, ale nadal milczę.

– Nigdy nie pytałem, skąd znacie się z Mikiem Starlingiem z „Post”. Powiedział tylko, że może polecić mi kogoś, kto pomoże w sprawie Rebeki Pruitt. Pamiętasz?

Jasne, że pamiętam, zapewne nawet lepiej od niego. To było po drugim nawrocie mojej choroby, ale przed trzecim.

– Tak, molestowanie seksualne w firmie East Van.

Uśmiecha się tak ciepło, że czuję się nieswojo. Nie zasługuję na tyle życzliwości.

– Wykonałaś wtedy kawał dobrej roboty.

Nie komentuję tego, bo gdybym się wtedy nie postarała, nie zatrudniłby mnie. To oczywiste.

– Nie zaproponowałbym ci pracy, gdyby Starling się za tobą nie wstawił.

O cholera, a już myślałam, że docenił moje umiejętności. Ale jednak dodał coś w tym stylu:

– Nigdy nie żałowałem tej decyzji. – I znów ten ciepły, życzliwy uśmiech. – Potem Starling został korespondentem zagranicznym i całe wieki go nie widziałem. Aż tu nagle zupełnie niespodziewanie zadzwonił w zeszłym tygodniu i poprosił o twój numer. Nie chciał przyjść do biura, bo podobno ktoś go śledził. No więc dałem mu numer twojej komórki i... – Seb przerywa, już nie zachowuje się jak przyjaciel, patrzy na mnie zimno i mruży oczy. – I Starling zaginął. Czy coś ci o tym wiadomo?

Waham się, ale to nie kwestia braku zaufania. Seb jest jedną z nielicznych osób, którym ufam. Po pierwsze, jeszcze sama właściwie nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Jeżeli powiem mu, co wiem i co podejrzewam, to sądząc po incydencie w bibliotece, narażę jego i Leo na duże niebezpieczeństwo.

– Chciał się ze mną spotkać, umówiliśmy się, ale nie przyszedł – mówię.
– Dlaczego cię szukał?
– Nie mam pojęcia.
– Dlaczego włamałaś się do WIN Security? Czego szukałaś?
– Jeszcze nie wiem.
– Co to jest? – Podsuwa mi kopertę. Jest otwarta, w środku zauważam klucz.
– Kto to przysłał? – pytam zszokowana.
– Starling – pada odpowiedź, której się spodziewałam. Pracowaliśmy razem, dobrze znam charakter jego pisma. – Noro, do czego jest ten klucz? Co otwiera?
– Nie wiem, nigdy przedtem go nie widziałam.
– Coś za dużo tych niewiadomych – komentuje tak nieprzyjemnym tonem, jakim zazwyczaj zwraca się jedynie do Melissy.

A więc to tak, spadłam do poziomu byłej żony, stałam się równie paskudnym cierniem w tyłku jak ona. Zdejmuje okulary i czyści je połą koszuli, wsuwa na nos. I tak siedzimy, milcząc i gapiąc się na jego nagrody i dyplomy, które z dumą powiesił na ścianie. Trzy nagrody Kanadyjskiego Stowarzyszenia Prasowego, dyplom ukończenia Queen's University, dyplom ukończenia francuskiego kursu cukierniczego w szkole kulinarnej w Montrealu.

Seb przeczesuje dłonią włosy i kieruje wzrok na mnie.

– Kocham moją pracę, jest dla mnie bardzo ważna – mówi wreszcie. – Przez wiele lat tylko ona trzymała mnie przy życiu i dawała mi szczęście.

Dzisiaj, w czasach internetu, każdy uważa się za dziennikarza. Wszyscy mają w komórkach aparaty, mogą zrobić zdjęcie, kiedy chcą. Prawdziwe dobre dziennikarstwo upada, nikt już nie chce płacić za informacje, które może dostać za darmo. Zaangażowany reportaż, poprzedzony zbieraniem materiałów, to prawdziwa sztuka. Tylko dzięki takim tekstom uzyskujemy pogłębione spojrzenie na świat. Seb jest artystą, umie pisać tak, by poruszyć czytelników, wyrywa ich z obojętności. Nawet gdy opisuje sensacyjną sprawę, trzyma się faktów, nie brnie w spekulacje, nie stosuje tanich chwytów. Etyka zawodowa to dla niego coś więcej

niż górnolotne pojęcie. To dlatego redakcje wciąż zamawiają u niego teksty, a środowisko go szanuje. Teraz uznał, że mogę być zagrożeniem dla jego reputacji.

– Czy według ciebie powinienem zlecać zbieranie materiałów osobie oskarżonej o włamanie, która w dodatku kłamie jak z nut? Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Gdybyś chociaż mogła powiedzieć... – Patrzy na mnie oczami pełnymi bólu i smutku.

W tej chwili widzę w nim jedynie faceta, którego małżeństwo zakończyło się katastrofą, któremu nie wolno widywać jedyne dziecko tak często, jak by chciał, który jest w trudnym związku z ekscentrycznym facetem. Czerpie przyjemność z pracy, to jedyne chwile, kiedy jest naprawdę szczęśliwy, ucieka w ten sposób od trudnej codzienności. Gdy zbiera materiał, jest bardziej dociekliwy niż niejeden naukowiec i poświęca temu mnóstwo czasu. Zamieszanie wokół mojej osoby traktuje jak wtargnięcie do azylu, bez którego nie umiałby żyć.

– Odejdę – mówię po chwili milczenia i chowam klucz od Starlinga w kieszeni.

– Nie, nie o to mi chodzi. Próbuję tylko... Nora, co się do cholery dzieje?

– Nie wiem – powtarzam zgodnie z prawdą, chociaż wiem, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Możesz mi zaufać.

– Wiem – szepczę. – Ufam ci, ale nie możesz mi pomóc. Nie w tej sprawie.

Ruszam w stronę drzwi, ale głos Seba zatrzymuje mnie w miejscu.

– Zadzwoń do dziennikarza, z którym kiedyś pracowałem. Od tygodnia nie mogą nigdzie znaleźć Mike'a Starlinga. Nie przychodzi na spotkania, nie odbiera telefonu. Wiesz coś na ten temat? Co mogło się z nim stać?

– Nie wiem.

– Posłuchaj, jeśli do jutra się nie pojawi, zgłoś jego zaginięcie na policję. Jeśli policja będzie mnie przesłuchiwać, zeznam, że cię szukał.

Znów odwracam się w stronę drzwi. Nic z tego, co powiedział Seb, nie zachęca mnie do zostania. Idę powoli, coraz bardziej kulejąc, jak zawiedziona kochanka, która czeka na to jedno słowo, po którym wszystko zmieni się na lepsze. Seb poprosi, żebym została, a potem serdecznie mnie uściska. Oczywiście nic takiego się nie dzieje. Czuję smutek, ale też złość, a przecież powinnam już przywyknąć. Nikt nigdy nie błagał, żebym go nie opuszczała.

W piwnicy długo gładzę futro Sapki, przestaję, dopiero gdy słyszę dźwięk przychodzącego SMS-a. Seb przysłał mi adres kolejnego klienta. A więc mimo wszystko postanowił dać mi jeszcze jedną szansę. Nie mogłam sobie wymarzyć lepszego pracodawcy, właściwie to cud, że ktoś taki jak ja miał tyle szczęścia.

– Chodź, mamy robotę – mówię do Sapki.

Corolla nie chce zapalić, na szczęście nie muszę iść daleko, dotrę na miejsce za mniej więcej półtorej godziny. Sapka przeciąga się, zadowolona, że wreszcie

rozprostuje kości. Nie dba o pogodę ani o urodę ulic, którymi zaraz ruszymy do celu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nie zazdroszczę losu dziennikarzom śledczym, właściwie nawet im współczuję. Muszą korzystać z usług różnej maści detektywów, nie zawsze z zadowalającym skutkiem. Jeśli im się poszczęści, odkryją jakąś potężną aferę lub spisek i czasem dostaną za to nagrodę. Mogą zyskać uznanie i ewentualnie napisać książkę na temat swojego śledztwa, ale mogą się też pośliznąć. Uważają się za obiektywnych obserwatorów wydarzeń, szczytą nerwami ze stali i wierzą, że innym imponuje ich niezawodny kompas moralny i bezkompromisowość. Stają w obronie sprawiedliwości i bez względu na wszystko, czy to trzęsienie ziemi, powódź czy tsunami, podają nam na talerzu prawdę, bo właśnie do prawdy niezłomnie dążą. Oni tak, ale inni niekoniecznie. To ekscytujące zajęcie, bo chociaż dziennikarze śledczy nie zarabiają dużo, to ciężko pracują i zawsze wyglądają na szalenie zaaferowanych i ważnych, jakby byli w trakcie misji, która uchroni świat przed zagładą. Jednak jeżeli im się nie poszczęści, kończą jako nałogowi rozwodnicy i alkoholicy. Jeśli relacjonowali konflikt wojenny i byli na polu bitwy, na ogół dopada ich syndrom stresu pourazowego. Zgorzkniali i rozżaleni, bez końca rozpamiętują historie, które im umknęły.

Ten konkretny dziennikarz, o którym teraz myślę, był zawsze opryskliwy. Sztywny jakby kij połknął, z nieodłącznym papierosem w ustach. Kiedy zastanawiam się, dlaczego moja sprawa zatacza coraz szersze kręgi, zaczynam się nad nim litować. Kiedyś wielki, teraz na tropie szurniętej kobiety. Cóż za upadek.

Kiedy docieram pod adres przysłany przez Seba, najpierw wkładam do zamka klucz z koperty. Nie pasuje, ale to bez znaczenia, bo drzwi są otwarte. Ktoś dotarł tu przede mną, zostawiając brudne ślady na progu i w korytarzu. Świetnie, przynajmniej ślady ubłoconych łap Sapki nie będą tak bardzo rzucać się w oczy. Przez chwilę stoimy w wejściu. Coś jest nie tak. Nie wyczuwam niczyjej obecności, mimo to ogarnia mnie niepokój. Uważnie nasłuchuję, ale nie słyszę żadnych podejrzanych dźwięków. Nic, absolutna cisza. Sapka rusza przodem, intensywnie wężąc. Po chwili znika w łazience. Oczywiście.

Rozglądam się po mieszkaniu Mike'a Starlinga. Kartony z pożółkłymi fiszkami zajmują każdy wolny kąt. A zatem nie pozbył się swoich demonów, nadal go ścigają. Co więcej, pozwolił im wejść do domu i rozpanoszyć się w miejscu, które powinno być jego azylem. W zlewku stoi sporo brudnych naczyń, cuchnące śmieci za chwilę same wypełzną z kosza. Mleko na blacie jest od tygodnia przeterminowane, na lodówce pełno przyklejonych notatek z ważnymi terminami. W tym tygodniu był umówiony z kręgarzem, miał też spotkać się z prawnikiem, żeby podpisać papiery rozwodowe. Nad tą ostatnią notatką nabazgrał:

Zapytać Amy, gdzie do diabła podziała się ta fioletowa koldra.

Nie przerywam poszukiwań. Po pobieżnym przejrzeniu fiszek dochodzę do wniosku, że Starling miał obsesję na temat korupcji. Wietrzył ją wszędzie, na rynku nieruchomości, w służbie zdrowia, polityce i biznesie. Fiszki są posegregowane według dat, w kartonach znalazłam też sterty gazet i sporo notesów.

Daję sobie spokój z kartonami, staję plecami do drzwi i rozglądam się po pokoju. Puste ściany, ani jednego obrazu, mało mebli. Telewizor stoi na podłodze, biurko pełni rolę stołu kuchennego, a stara i popękana skórzana kanapa udaje łóżko do spania. Tak, z pewnością tutaj ktoś mieszka, o czym świadczy również charakterystyczny zapach, jednak trudno nazwać to miejsce domem. Żadnych ozdobnych bibelotów, osobistych pamiątek, wszędzie zakurzone kartony z papierami. Na skórzanej kanapie leży zmięty zmechacony koc. No tak, w tej sytuacji fioletowa kołdra byłaby pożądanym akcentem dekoracyjnym.

Przybiega Sapka i niecierpliwie trąca mnie nosem. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że w mieszkaniu oprócz smrodu śmieci, zapachu utraconych marzeń i kurzu, wyczuwam coś jeszcze. Dobiega z łazienki, to fetor rozkładu, fetor śmierci.

Wchodzę do łazienki. W wannie, która jest pełna wody czerwonej od krwi, leży Mike Starling.

Kiedy mieszkałam w schronisku dla bezdomnych, często wolałam spać na dworze, bo tam czułam się bezpieczniej. Jeżeli nie padało zbyt mocno, szłam do parku, układałam się w gęstych zaroślach lub pod rozłożystym drzewem. Pewnej nocy znalazłam w krzakach owiniętego w szmaty mężczyznę. Miał na twarzy spokojny, pogodny uśmiech, dlatego od razu wiedziałam, że nie żyje. Ludzie, którzy spią w miejskich parkach, rzadko śnią przyjemne sny. Obok mężczyzny leżała opróżniona do połowy butelka whisky, którą oczywiście zabrałam. Nie jestem aniołem. To przeżycie wcale nie było tak straszne, jak mogłoby się niektórym wydawać. Martwy mężczyzna nie mógł mnie skrzywdzić, no i zyskałam darmowego drinka, dzięki któremu szybko otrząsnęłam się z szoku. Tak, ten człowiek umarł w samotności, ale przynajmniej znalazł pocieszenie w butelce.

Mike Starling to zupełnie inna historia. Nie umarł spokojnie z uśmiechem na twarzy. Każdemu się wydaje, że łatwo popełnić w ten sposób samobójstwo. Wystarczy wejść do wanny z gorącą wodą, przeciąć skórę, a potem żyły na nadgarstkach. Nieprawda, to wymaga wysiłku. Gdyby Starling chciał się zabić, wybrałby mniej uciążliwy sposób. Albo połknąłby mnóstwo pigułek, albo włożył do ust pistolet i pociągnął za spust.

Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, gdy stoję bez ruchu na środku łazienki. Nie jestem specjalistką w dziedzinie kryminologii i nie oglądam zbyt wielu seriali kryminalnych, więc nie uda mi się dokładnie określić daty śmierci. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to się stało pomiędzy dniem, w którym umówiliśmy się na spotkanie w bibliotece, a dniem, w którym goniło mnie tam stado napakowanych zbirów.

Wychodzimy z Sapką z łazienki, a potem z mieszkania. Gdy przestaje nas już gonić fetor śmierci, siadam na ławce, by spokojnie zebrać myśli. Moja spuchnięta kostka na pewno jest mi wdzięczna za chwilę odpoczynku, niestety nie mam dużo czasu. Wyszukuję w telefonie wszystkie okoliczne magazyny do wynajęcia. Najbliższy jest kawałek stąd, czynny całą dobę.

Kiedy tam idziemy, Sapka zauważa po drugiej stronie ulicy naprawdę paskudnego kundla. Wrywa się tak mocno, że nie udaje mi się utrzymać smyczy. Pędzi na spotkanie z kochankiem, a ja nawet nie próbuję jej przywoływać. Po pierwsze, i tak mnie nie posłucha, a po drugie, nie chcę zwracać na siebie uwagi. Psy przez chwilę czujnie krążą wokół siebie, ale zanim przeszłam przez ulicę, kundel zdążył wskoczyć na Sapkę i dać upust rozwiązłości. Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Sapka wraca do mnie z podkulonym ogonem i spuszczonego łbem. Nie karzę jej, bo i po co, skoro wiadomo, że przy najbliższej okazji zrobi to samo, tylko czyszcze z kurzu smycz i owijam mocniej wokół dłoni. Koniec seksu na dzisiaj, postanawiam. Dzień pomału się kończy, a nas jeszcze czeka mnóstwo roboty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– Bardzo mi przykro, proszę pani – mówi młody ochroniarz i świeci mi latarką prosto w oczy. Stoi kilkanaście metrów ode mnie, tuż przed budynkiem. – Nie może pani tego zrobić.

Z cienia wynurza się Sapka, ale na widok ochroniarza zatrzymuje się i zaczyna cicho warczeć. Wciąż ma wyrzuty sumienia po tym, jak zapomniała się z paskudnym kundlem, i teraz próbuje zyskać kilka plusów, udając psa obronnego. Kiedy ochroniarz ją zauważa, Sapka zatrzymuje się przed nim, na tyle blisko, by w razie czego zaatakować. Rezygnuję z pomysłu, by pokazać ochroniarzowi klucz, który według mnie na pewno pasuje do któregoś magazynu. Zamiast tego uspokajam Sapkę, klepiąc ją delikatnie po grzbiecie. Cholera, miałam nadzieję, że ochroniarz smacznie chrapie i bez trudu dostanę się do środka, ale nic z tego. Dlatego postanawiam wyłożyć kawę na ławę:

– Szukam magazynu wynajętego na nazwisko Starling. Mike Starling.

Ochroniarz zerka na Sapkę. Wolną ręką osłania krocze, pewnie na wypadek ataku.

– Nie udzielamy takich informacji, chyba że ma pani upoważnienie od pana Starlinga. Tak na wszelki wypadek wszyscy wynajmujący muszą podać osobę, która ma prawo działać w ich imieniu, gdyby sami nie mogli, na przykład gdyby coś im się stało.

Może pracuje dopiero od tygodnia, a może przestraszył się Sapki, w każdym razie chce mi pomóc. Miło z jego strony, ale niezbyt rozsądnie. Właśnie udzielił mi informacji, o którą mi chodziło.

– A upoważnił Amy Starling? – pytam. Oby nie zwrócił uwagi, że nie tyle się przedstawiłam, co zadałam pytanie. Nie umiałabym aż tak jawnie skłamać, czuję się już wystarczająco nieswojo. Jednak jeśli chcę sprawdzić, co jest w magazynie, muszę trochę nagiąć swoje zasady. Ta sprawa wymaga poświęceń. Zaginęła młoda dziewczyna, ktoś zamordował dziennikarza, i oboje byli ze mną powiązani. Zwykły zbieg okoliczności? Bardzo wątpię.

Ochroniarz wyciąga z kieszeni cieniutki tablet i sprawdza coś na monitorze.

– No tak, znalazłem pani nazwisko, pani Starling. Powinienem poprosić o jakiś dowód tożsamości, ale... – Zerka na Sapkę, przez chwilę się waha. – Kiedy będzie pani wychodzić, proszę wstąpić do biura, tylko bez psa. Proszę go zostawić przed drzwiami, a ja wtedy skseruję pani dowód tożsamości.

– Świetny plan – szczebiocę radośnie. Chyba przesadzam z entuzjazmem, ten facet zaraz się domyśli, że coś jest nie tak. Nie, na szczęście jest zbyt zajęty zerkaniem na Sapkę, która ani na chwilę nie spuszcza z niego wzroku.

– To magazyn numer sto osiem, pani Starling. Proszę tędy. – Wskazuje drugi

koniec budynku, bardzo odległy od biura ochrony, a potem znów zerka na Sapkę i pyta: – Mam pani towarzyszyć?

– Nie, dam sobie radę – zapewniam z tak szerokim uśmiechem, że prawie wypada mi zuchwa. Do diabła z tym udawaniem, do diabła z tym wszystkim. Nie mam powodów do radości. Muszę przeszukać magazyn martwego faceta, zanim jego śmierć wyjdzie na jaw. Co powiem, jeśli to się wyda? Jak się wytłumaczę?

– No to świetnie – odpowiada ochroniarz i widzę w jego oczach prawdziwą ulgę. Marzy, by jak najszybciej pozbyć się i mnie, i mojego psa. – Proszę potem wstąpić do biura. Nie zapomni pani, prawda?

Sapka wreszcie się uspokaja i posłusznie drepce za mną, gdy ruszam na poszukiwanie magazynu sto osiem.

Klucz pasuje. Otwieram drzwi i zapalam światło.

Tak jak w mieszkaniu Starlinga, również w wynajmowanym przez niego magazynie jest mnóstwo kartonów z fiskami. O ile jednak tam panował bałagan, o tyle tutaj pudła stoją w określonym porządku, nie piętrzą się w bezładnych stertach. Każde jest opisane, dzięki czemu od razu się orientuję, jakiej sprawy dotyczą i z jakiego okresu pochodzą. Stoi tu też biurko, na nim działająca lampka, obok mały grzejnik. Na blacie biurka leży laptop i przenośny modem. A więc to tutaj Starling prowadził swoje prywatne śledztwa.

Zanim zaczynamy przeszukiwanie, dzielimy się z Sapką wodą z butelki. Piję pierwsza, bo Sapka zawsze brudzi butelkę śliną. Siadam przy biurku Starlinga. W porę sobie przypominam o włożeniu rękawiczek i włączam laptop. Ostatnie śledztwa Starlinga wcale nie dotyczyły korupcji. Interesował się placówkami dokonującymi przeszczepu szpiku kostnego, jest też dużo materiałów o zarodkowych komórkach macierzystych. Zastanawiam się, czy Starling był chory i czekał na przeszczep. Jeżeli tak, to rozwód mógł się dla niego okazać wyjątkowo bolesnym ciosem i pierwszym krokiem do poważnej depresji. Jednak jestem niemal pewna, że to nie choroba go zabiła. Ktoś sprytnie zaaranżował samobójstwo, ale nie na tyle dobrze, by ukryć morderstwo. Przypominam sobie wiadomość, którą mi zostawił w poczcie głosowej. Był naprawdę przerażony, nie udawał.

Szukam dalej. Po mniej więcej godzinie wreszcie trafiam na coś bardzo interesującego.

Już wiem, czym Starling się zajmował, tylko nie mam pojęcia dlaczego. Jego badania nad przestępczymi związkami polityki i biznesu skupiły się na kanadyjskiej firmie Syntamar Industries zajmującej się wydobywaniem surowców, głównie ropy naftowej. Działali spokojnie, bez skandali, żadnych klęsk ekologicznych, wycieku ropy do oceanu czy pogłosek o dewastacji środowiska naturalnego. Byli też współwłaścicielami kilku międzynarodowych przedsiębiorstw, ale wszystko wydawało się w idealnym porządku.

Kolumbia Brytyjska to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Cudowne

góry, ocean i mnóstwo jezior. Wybrzeże jest chyba częściej odwiedzane przez turystów niż Vancouver, ekonomiczne centrum prowincji. Większość tutejszych terenów jest trudno dostępna i może dzięki temu rządzeniu losu stanowi naturalną zaporę dla ciężkiego przemysłu. Tak jakby miejscowy ekosystem postanowił bronić się przed ludzką ingerencją, jakby nie pozwalał sobie wydrzeć skarbów. Lorelei wielokrotnie próbowała namówić mnie do udziału w demonstracji przeciwko budowaniu na tych terenach kolejnej kopalni czy rafinerii, ale nigdy nie zdołała mnie znaleźć odpowiednio szybko. Nie żeby się za bardzo starała. Starling musiał się na nią wielokrotnie natknąć i pewnie byłby bardzo zdumiony, gdyby wiedział, że czołowa działaczka ruchu ochrony środowiska naturalnego jest moją siostrą. Pewnie aż by go świerzbily ręce, żeby opisać naszą historię rodzinną. W takim razie lepiej dla mnie, że nigdy tego nie odkrył.

Zastanawiam się, dlaczego Starling zakreślił na czerwono zdjęcie członków zarządu Syntamar Industries opublikowane w jednej z gazet około dwudziestu lat temu. Przy konferencyjnym stole faceci rasy kaukaskiej o różnych rysach twarzy i sylwetkach, ale wszyscy w podobnym wieku – między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką, no i wszyscy w ciemnych garniturach i krawatach. Szczęrzą się do obiektywu, zadowoleni z siebie, bo przecież chyba widać na pierwszy rzut oka, jak bardzo są bogaci i ważni. Najdalej na zdjęciu, u szczytu stołu siedzi jedyny w tym towarzystwie Azjata, również około pięćdziesięcioletni. Uśmiecha się grzecznie, ale wyraz jego twarzy jest nieodgadniony. Nie wiadomo, czy władza i bogactwo są dla niego powodem do dumy. Próbuje znaleźć coś o tym zdjęciu w internecie, ale nigdzie nie ma informacji na temat Azjaty.

Na marginesie gazety Starling nabazgrał nazwisko. Składam ją ostrożnie i chowam do kieszeni.

Oprócz Syntamar Industries Starling badał również imigrację z Hongkongu, głównie w latach dziewięćdziesiątych. Zaczyna mi coś świtać, ale mam za mało materiału, by wyciągnąć sensowne wnioski.

O trzeciej wychodzimy z Sapką z magazynu. Zamykam drzwi i przemykam na palcach obok biura ochrony. Nie zamierzam przywiązywać Sapki na dworze ani tym bardziej wdawać się w pogawędkę z młodym i miłym ochroniarzem. Ktoś powinien go solidnie podszkolić z ochrony danych osobowych, dzisiaj to ja wystąpiłam w roli nauczycielki.

Kiedy wracamy do domu, co prawda nie pada, ale chodniki wciąż są mokre po wcześniejszym deszczu. Lśnią w świetle ulicznych latarni, a potem roztapiają się w mroku. Pomrukuje pod nosem, ale jestem w podłym nastroju, dlatego po kilku tonach rezygnuję z próby zanucenia „Back Door Man”. Nie chcę, by Howlin’ Wolf przewracał się w grobie. Poza tym ta metoda okazała się nieskuteczna, nie udało mi się przegonić myśli, które niemal rozsadzają mi czaszkę. Tkwią tam od lat, ale rozpoczęły dziki taniec, od kiedy zobaczyłam w zakrwawionej wodzie

martwego dziennikarza. Nieprawda, kogo próbuję oszukać? Zaczęły mnie nękać ze zdwojoną siłą w dniu, kiedy pewien facet wypytywał o mnie Seba i Leo. Czy to było wczoraj? Nie wiem, dzisiaj nie umiem się na niczym skupić, jestem roztrzęsiona i przestraszona.

– Zabierzcie ją stąd – powiedział ten głos piętnaście lat temu. A może szesnaście? Trudno to dokładnie policzyć, nie mam pojęcia, ile czasu byłam nieprzytomna.

Jakiś głos z drugiego końca pokoju o coś zapytał, ale nie zrozumiałam słów, miałam zakrytą głowę.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi? – mówił dalej głos, który rozpoznałam w biurze. – Owiń ją w prześcieradło, bo wszystko jeszcze bardziej pobrudzi. I tak już wystarczająco naświniłeś, ty pieprzony kretynie. Wyrzućcie ją gdzieś, nieważne gdzie, byle za miastem. I przestań dawać im to świństwo, bo wreszcie sprawa się rypnie. Co zrobisz, jeśli dowie się o wszystkim twój kochany tatuś?

Ta druga osoba zaczęła się żałośnie tłumaczyć i przeproszać. Ten, który wydawał rozkazy, wyszedł z pokoju. To były spokojne, pewne kroki człowieka, który wie, że nikt nie odważy mu się sprzeciwić. Że ten drugi zrobi ze mną to, co mu kazano.

I tak oto znalazłam się na odludziu za miastem, w miejscu, gdzie nikt by mnie nigdy nie szukał.

A jednak ktoś mnie znalazł.

Mike Starling.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

O świcie docieramy z Sapką do domu. Postanawiam wypić filiżankę mocnej kawy, bo i tak jestem za bardzo nakręcona, żeby zasnąć. Trzęsą mi się ręce, po raz pierwszy od wielu lat. Pewnie dlatego, że dawno nie widziałam zamordowanego człowieka. Drzę i odchodzę od zmysłów przerażona tym, co dzisiaj zobaczyłam.

Starling nie żyje.

Mam wrażenie, że jego szeroko otwarte, puste oczy wciąż mnie śledzą. Czy ktoś chociaż przez sekundę zastanowi się, czy naprawdę popełnił samobójstwo? Przegrany rozwodnik, który mieszka w norze i wspomina stare dobre czasy, kiedy był prawdziwym dziennikarzem. Jednym z tych, których internet, a zwłaszcza media społecznościowe, posłał do lamusa. Nikogo nie zdziwi, że podciął sobie żyły. Niby co innego mu pozostało? Ale Starling nigdy nie zdecydowałby się na taki krok. Był chodzącym zdrowym rozsądkiem i nadal uważał, że jest o co walczyć. Ale czy ktokolwiek wspomni o tym policji? Wątpię.

Włączam laptop i rozpoczynam poszukiwania. Od powrotu do domu Sapka jest smutna i unika mojego wzroku. Żałuje swojego seksualnego wyskoku z paskudnym ulicznym kundlem. Myje się z takim zapamiętaniem, że aż graniczy to z obsesją. Zaczyna od przednich łap i stopniowo przesuwa się w stronę grzbietu. Nie martwię się, zawsze się tak zachowuje, gdy coś przeszkobie. Po kilku dniach wszystko wraca do normy i Sapka znowu sobie przypomina, kto tu rządzi.

Po kilku minutach udaje mi się ustalić, że Syntamar, kiedyś z siedzibą w Vancouver, działa teraz na pół gwizdka. W sieci nie ma wielu informacji o firmie, nie dowiaduję się więcej niż z materiałów zgromadzonych przez Starlinga. Znajduję artykuł o dywersyfikacji ich działalności wydobywczej, kilka notek o wspólnych przedsięwzięciach z kilkoma kanadyjskimi firmami i o kopalni metali ziem rzadkich w Kongu. Nic, co mogłoby wytłumaczyć, dlaczego Starling tak bacznie przyglądał się tej firmie, że aż przypłacił to życiem.

Sprawdzam w wyszukiwarce nazwisko, które zapisał na marginesie gazety. To profesor w uniwersyteckim Instytucie Zrównoważonego Rozwoju Środowiska Naturalnego. Super. Bez trudu odnajduję go na stronie internetowej instytutu i dzwonię do sekretariatu. Łączą mnie po kilku sekundach. Biorę się w garść, bo przecież znów będę musiała zmyślać. Jednak zważywszy na wszystkie okoliczności, nie mam wyboru.

- Pracuje pani z Sebastianem Crowem? – pyta miły męski głos.
- Tak, zbieram dla niego materiały. – Na razie nie muszę kłamać.
- I szuka pani informacji o konkretnej firmie?
- Tak, o Syntamar Industries. – Nadal nie mijam się z prawdą.
- Cóż, mogę pani pomóc – mówi po krótkim wahaniu. – Bardzo cenię

artykuły pana Crowa.

W sumie to niezwykle, że w dzisiejszych czasach ktoś nie tylko kojarzy nazwisko dziennikarza śledczego, ale nawet czytał jego artykuły. No tak, ale to naukowiec, który choćby z racji zawodu interesuje się sprawami, które nudzą zwykłych śmiertelników.

Umawiamy się na jutro na terenie uniwersytetu, przed wykładami. Jestem podekscytowana, chociaż powód spotkania w żaden sposób nie skłania do radosnych myśli. Uwielbiam uniwersytet, wiele razy spacerowałam po jego imponująco dużym terenie. To inny świat, otoczony piękną zielenią i starymi budynkami. Uczelnia już dawno przestała być dostępna tylko dla elit, ale i tak panuje tam niepowtarzalna, trochę podniosła atmosfera. Działa nawet na mnie, chociaż od lat mam serce skute lodem. Poddaję się nastrojowi, widząc tylu młodych ludzi. Jeszcze są głodni wiedzy, nie stracili marzeń ani wiary w lepszą przyszłość. Pełni nadziei, które stopniowo tracimy z upływem czasu, gdy los coraz mocniej zaciska nam dłonie na krtani.

– Czy na spotkaniu będzie też pan Crow? – pada pytanie.

– Nie, musiał wyjechać, ale bardzo prosił, bym się z panem skontaktowała. Przeczytał pana ostatni artykuł w „Science” i jest pod wielkim wrażeniem. Ten materiał go zainspirował do kolejnego artykułu.

Moje pochlebstwa zupełnie go rozbrajają. Zmienia mu się głos, oczami wyobraźni już widzi zawodowe, a być może też prywatne korzyści płynące z nawiązania współpracy ze znanym dziennikarzem. Konferencje, konsultacje, wywiady, a wszystko oczywiście za odpowiednie honorarium. Życie jak w Madrycie.

– Chętnie się z nim spotkam, kiedy wróci. Tymczasem cieszę się na spotkanie z panią, Noro – mówi na pożegnanie.

Coś takiego! A wydawałoby się, że nawet jeśli ktoś nie zna osobiście Seba, powinien choć trochę się orientować w regułach jego zawodu. Po pierwsze, owszem, dziennikarze śledczy czasami korzystają z czyjeś pomocy przy zbieraniu materiałów, ale nigdy nie zlecają przeprowadzenia wywiadów. Wolą robić to osobiście. Profesor powinien się domyślić, że beczelnie go okłamuję.

A skoro już mowa o zasadach, to po drugie, tylko ci kompletnie pozbawieni skrupułów bez żadnego wstydu i zażenowania okłamują i obsypują pochlebstwami ludzi, od których chcą wyciągnąć informacje. No i po trzecie, i to jest najważniejsze, rzadko chowają do kogoś urazę.

Wykorzystując bez pozwolenia nazwisko Seba, przekroczyłam granicę, zza której będzie mi potem trudno wrócić. Jest mi przykro, bo postąpiłam tak wobec człowieka, który naprawdę dał mi duży kredyt zaufania.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Resztę dnia przesypiam, budzę się dopiero o zmierzchu. Muszę się przygotować na spotkanie z profesorem, dlatego po wyjściu Seba i Leo wślizguję się do biura. Na szczęście nie zmienili zamków. Po ostatniej rozmowie z Sebem muszę być ostrożna, bo co prawda nie powiedział wprost, że nie chce mnie więcej widzieć, ale oczekuje wyjaśnień, których nie jestem w stanie mu udzielić.

Wchodzę do środka i zastanawiam się, czy Seb już wypił całą whisky, czy może zostało trochę na dnie butelki. Po zaczerpnięciu głębokiego oddechu przechodzę szybko do gabinetu Leo. Po co kusić los? Na oparciu fotela zauważam ciemnozielony sweter, na wieszaku mięciutki szary szalik. Zabieram jedno i drugie, a wychodząc, biorę jeszcze eleganckie skórzane buty, które zostawił w biurze, kiedy przebierał się w kalosze.

Po powrocie do piwnicy kładę się z kluczem do opon pod ręką i zagrzebuję pod kocami. Sapka mości się w moich nogach. Chociaż łóżko jest bardzo wąskie, starcza miejsca dla nas obu. Może Sapka wyczuwa, jak bardzo jestem przerażona, a może tylko szuka ciepła. Nieważne, dobrze, że się we mnie wtuliła. Już po kilku sekundach zapadam w sen.

Następnego ranka wyprowadzam Sapkę na spacer, potem wkładam zielony sweter i szalik na moją najmniej zniszczoną koszulkę i najczystsze dżinsy. Na koniec wkładam buty Leo i przyglądam się sobie z zadowoleniem. Wyglądam jak dociekliwa i nudna jędrza skupiona wyłącznie na pracy, ale przecież właśnie o taki efekt mi chodziło.

Żegnam Sapkę, która nawet nie raczy podnieść łba. Nie życzy sobie, bym zakłócała jej drzemkę. Wychodzę z piwnicy w świetnym nastroju. Ubrania Leo leciutko pachną drzewem sandałowym, czuję się elegancka, lepsza i bardziej pewna siebie, w dodatku zaraz wypiję kawę z prawdziwym profesorem. W ostatniej chwili udaje mi się złapać autobus dojeżdżający na uniwersytet, zadowolona siadam na miejscu przy oknie. Rozluźniam się coraz bardziej, bo czemu nie? Mam na sobie ciuchy w dobrym gatunku i pachnę drogą wodą kolońską. O tej porze dnia ruch jest niewielki. Chociaż znów zaczęło padać, ludzie krążą po ulicach jak mrówki, zaaferowani i zajęci swoimi sprawami.

Przepełniona pozytywnymi emocjami, na chwilę wracam myślami do czasów młodości, a to już naprawdę rzadkość. Na ogół dzielę swoje życie na okres „przed” i okres „potem”. „Potem” upłynęło mi na alkoholowych ciągach. Morze alkoholu, dlatego bez wstydu przyznaję, że niewiele pamiętam. A „przed” to cudowna kraina, w której jestem naiwna i czysta jak łza, dlatego pamiętam aż za dużo. Siostra mojego ojca, zanim poważnie zachorowała, pracowała u bogatej rodziny z Winnipeg, właścicieli sieci sklepów warzywniczych. Gotowała dla nich,

czasami też pilnowała dzieci. Często przynosiła dla mnie i siostry książki, które jej pracodawcy uznali za niepotrzebne. Dawałam wszystkie najpierw Lorelei, bo i tak wiedziałam, że poprosi, żebym je jej przeczytała. Jedne z moich najwspanialszych wspomnień dotyczą momentu, gdy niecierpliwie otwierałam torbę i z nabożeństwem wyjmowałam rzeczy bogatych dzieciaków, których nawet nie znałam. Przez jakiś czas traktowałyśmy z siostrą te używane zabawki i książki jak uśmiech losu, ale potem Lorelei dorosła. Zrozumiała, że to nie tyle prezenty, co dary dla ubogich, dlatego odmówiła ich przyjmowania. Poparłam ją, jednak kiedy zasypiała i nie mogła już przytaczać kolejnych argumentów, nadal ukradkiem czytałam książki. Chociaż często wypadały z nich strony, niektóre były poplamione, a rogi pozaginane, nigdy nie mieliśmy w domu cenniejszych rzeczy. Przynajmniej ja nie miałam, natomiast Lorelei zawsze uważała, że zasługuje na lepsze życie. Dzięki silnej woli i nieprzeciętnej urodzie udało jej się osiągnąć ten cel.

Autobus sunie świetnie utrzymanymi drogami w kierunku uniwersytetu. Kiedy wysiadam, miłe wrażenie, że jestem kimś innym, lepszym i szczęśliwszym, rozwiewa się jak poranna mgła. Przez chwilę stoję na chodniku i próbuję zebrać myśli. Muszę mówić jasno i z przekonaniem, żadnego wahania czy zbyt długich pauz. Kawiarnia, w której się umówiliśmy, pełni też rolę galerii sztuki. Obrazy na ścianach przedstawiają zalane słońcem miasto, co teraz, kiedy od kilku tygodni pada, wydaje mi się szczególnie okrutnym żartem. Ponieważ na stronie uniwersytetu widziałam zdjęcie profesora, bez trudu go rozpoznaję. Kiedy podchodzę do stolika, profesor wstaje i zaczyna energicznie potrząsać moją dłońią. Na blacie leżą w porządnym stosiku segregatory i stoi filiżanka z kawą.

– Pani to zapewne Nora? Nazywam się Angus Holland – mówi, wciąż potrząsając moją dłońią. Ma wysokie czoło, jasną karnację i nordyckie rysy. Jego oczy wydają się kompletnie pozbawione koloru, jakby wyblakłe. Chociaż pomieszczenie jest świetnie oświetlone – zapewne ukłon w stronę wielbicieli sztuki – nie umiem powiedzieć, czy są szare, czy jasnoniebieskie. Gdyby nie zaróżowione jak u dziecka policzki, chyba nie byłoby go wcale widać na tle śnieżnobiałej ściany. Oczy błyszczą mu z powodu podekscytowania, a ja z trudem powstrzymuję śmiech.

Pochylam lekko głowę w przyjacielskim, lecz niezbyt zażyłym geście powitania. Nie chcę psuć atmosfery, jedynie dać do zrozumienia, że do cholery, powinien wreszcie puścić moją dłoń.

– Miło mi pana poznać – mówię.

– A mnie panią, pani... a może panno Watts?

Zerka ukradkiem na miejsce, w którym powinnam mieć biust. Nic z tego, od mniej więcej dwudziestu lat jestem płaska jak deska. Facet, jeśli chcesz się napawać moimi apetycznymi krągłościami, spójrz na mój tyłek. Okej, może daleko

mi do celebrytek, które zrobiły karierę dzięki tej części ciała, ale i tak jest na czym zawiesić oko.

– Tak, jestem panną – odpowiadam.

– Ma pani bardzo głęboki głos.

Oczywiście, dzięki temu ludzie chętnie słuchali moich wykonań bluesa, ale nigdy nie komentowali barwy mojego głosu. Kiedy siadamy przy stoliku, zauważam, że profesor Holland wpatruje się intensywnie w coś za moimi plecami. Odwracam się i widzę młodą osobę w kolarskim kasku i czarnych legginsach, tak obcisłych, że wyraźnie odznaczają się genitalia. Niby facet, jednak zdają się temu przeczyć bardzo mocny makijaż i wystające spod kasku dość długie kucyki. I nagle dociera do mnie, dlaczego profesor pytał, czy jestem panną, i skomentował barwę mojego głosu. Nie moja wina, że mam struny głosowe grubsze niż większość kobiet. Jest przekonany, że go oszukałam w kwestii mojej płci, tymczasem okłamałam go w zupełnie innej sprawie.

– Kampus to bardzo bezpieczne miejsce – zapewnia, gdy zauważa, jak przyglądam się rowerzyście o nieokreślonej płci. – Tutaj nikt nie musi ukrywać swojej prawdziwej natury.

– Z wyjątkiem firm wydobywczych, prawda? – komentuję ze sztucznym ożywieniem, by skierować rozmowę na inne tory niż kwestia gender i moja tożsamość płciowa. Może rzeczywiście trochę przesadziłam, ubierając się w ciuchy Leo. Zdejmuję szalik, żeby profesor mógł zobaczyć mój jakże kobiecy obojczyk. Niestety chwilowo nie dysponuję lepszą bronią. – Pewnie was nie lubią, bo dobrze znacie ich wszystkie grzeszki?

Odchrząkuje i przybiera poważny wyraz twarzy.

– Ależ wręcz przeciwnie, mamy na uczelni ceniony przez nich kierunek. Zajmujemy się wpływem przemysłu, głównie wydobywczego, na środowisko i życie lokalnych społeczności. Czy pan Crow pracuje nad artykułem, czy może przymierza się do napisania książki?

– Trudno powiedzieć, na razie jesteśmy na etapie zbierania materiałów. Jeżeli znajdziemy sponsorów, może rzeczywiście powstanie książka, na razie pan Crow jeszcze nie rozmawiał z żadnym wydawcą.

– Dlaczego zainteresował się akurat Syntamarem? Wiele kanadyjskich firm ma o wiele więcej na sumieniu w kwestii dewastacji środowiska naturalnego, i to nie tylko w naszym kraju. Akurat Syntamar Industries nie znalazłby się na szczycie mojej czarnej listy.

– Naprawdę nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Ja tylko zbieram materiały, o które prosi pan Crow. – Okazałam się na tyle pomocna, że w wielu opublikowanych materiałach Seb umieścił zdanie: „Dziękuję za współpracę i cenny wkład N. Watts”. Może to najważniejszy powód, dla którego Holland zgodził się na rozmowę.

Tym prostym stwierdzeniem o mojej pośledniej roli w procesie twórczym Seba od razu zdobywam jego sympatię i zaufanie.

– No właśnie, wiem coś na ten temat. – Wyraźnie się ożywia, jego policzki przybierają jeszcze intensywniejszy odcień czerwieni. – W mojej pracy jest tak samo. Ucz tego, o tamtym zapomnij. Masz pieniądze na takie badania, a pozostałe finansuj z własnej kieszeni. Napije się pani kawy? – pyta, wskazując swoją filiżankę, jakby proponował, bym upiła kilka łyków.

– Nie, dziękuję, trochę goni mnie czas.

– Oczywiście. A zatem, wracając do Syntamaru, co konkretnie chce pani wiedzieć?

– Może zacznijmy od ich kopalni w Kongu. To było, o ile wiem, jedyne zagraniczne przedsięwzięcie Syntamaru.

– Dobrze. – Patrzy na leżące przed nim segregatory, ale ich nie otwiera. Nie musi, na pewno świetnie zna wszystkie fakty. – Syntamar potrzebował pieniędzy na badania geologiczne poza terytorium Kanady. Kilka razy wzięli pieniądze od nieco podejrzanych inwestorów. No cóż, w wersji oficjalnej dorobili się na projektach, które nie mogły być rentowne. To oczywiście było możliwe, zanim Kanada wdrożyła zarządzenie czterdzieści trzy-sto jeden. Przepraszam – mówi ma widok mojej miny. – Nie wiem, jak bardzo jest pani zorientowana w temacie. W każdym razie chodziło o to, by każde inwestowane pieniądze pochodziły z legalnego, niebudzącego podejrzeń źródła. Syntamar poniósł poważne straty, ponieważ dużo planowanych projektów w ogóle nie doszło do skutku. Odnieśli kilka sukcesów, ale popełnili jeszcze więcej błędów i podjęli sporo złych decyzji. Byli naprawdę w kiepskiej kondycji, przynajmniej zanim zdecydowali się na inwestycję w Kongu.

– Mogli zbankrutować?

– Tak, grali o wszystko. – Patrzy na jeden z obrazów utrzymany w tonacji czerwieni, na którym widnieją pochłonięci żarliwym pocałunkiem młodzi kochankowie. – Wie pani, co stanowi największy problem w procesie wydobycia surowców? – Nie czeka na odpowiedź, już wszedł w rytm wykładu, a mnie pozostaje jedynie słuchać. Poprawiam się na krześle, zdumiona, że profesor tak szybko popada w zmienne nastroje. Przed chwilą pełen entuzjazmu, teraz nagle dziwnie ponury peroruje z zaciętą miną: – Nie chodzi o zakup specjalistycznego sprzętu czy znalezienie wykwalifikowanych fachowców. Najgorzej zrównoważyć ewentualny zysk ze stratami, jakie poniesie lokalna społeczność i środowisko naturalne. Ogromne pieniądze idą na to, by wykopać surowce, których być może lepiej było nie ruszać. Każda działalność wydobywcza powoduje nieodwracalne szkody w środowisku, niszczy miejscową przyrodę, to niepodważalny, stwierdzony naukowo fakt. Może być zabójcza, czasami w dosłownym znaczeniu tego słowa, również z innego powodu.

– Chodzi o koszty, jakie z tego tytułu ponoszą mieszkańcy danego terenu?

– Właśnie! Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce, by tuż za jego płotem działała kopalnia. Dlatego lokalne władze, zazwyczaj przekupione przez ludzi z sektora przemysłowego, wciskają ludziom kit. Rzucają im jakieś ochłapy, na przykład dodatkowe miejsca pracy, szumnie ogłaszają wzrost zatrudnienia w regionie. Ludzie są na początku nieufni, ale muszą z czegoś żyć, no a nawet mały dochód jest lepszy niż zero dochodu, prawda? Ale potem nagle zaczyna padać coraz więcej zwierzyny, ludzie atakują dziwne choroby, a woda już nie nadaje się do picia.

– I nie zawsze właściwie traktują lokalnych pracowników, tak?

Wzdycha i dopija kawę.

– Nie zawsze, chociaż w Kanadzie nie jest najgorzej. Co prawda nasze związki zawodowe nie są wystarczająco silne i wpływowe, by wiele zwojować, ale mamy inne środki zabezpieczające. Jednak poza granicami Kanady to zupełnie inna bajka. Nasze firmy mają wiele na sumieniu, zwłaszcza w dziedzinie przestrzegania praw człowieka. Raport jednej z pozarządowych organizacji ujawnił, że pod tym względem kanadyjskie firmy należą do najgorszych. Da pani wiarę? A tak bardzo się szczycimy naszym wizerunkiem grzecznej i pokojowo nastawionej nacji, prawda?

Interesujące stwierdzenie, jednak dalekie od moich aktualnych zainteresowań.

– A jak na tym tle wypada Syntamar? – pytam.

– Jak już powiedziałem, nie najgorzej, ale kto jest w stanie ocenić, co jest naprawdę złe, a co jeszcze do przyjęcia? W Kongu działa kilka międzynarodowych firm wydobywczych. Na terenie, na którym znajduje się kopalnia złota Syntamaru, działają jeszcze dwie amerykańskie spółki i jedna chińska. Kanadyjska jest najmniejsza i szybko weszła w konflikt zarówno z miejscowymi pracownikami, jak i z okolicznymi mieszkańcami. Strajki, protesty, częste zamieszki. Tracili mnóstwo pieniędzy, więc zaczęli korzystać z usług prywatnej armii ochroniarzy, która już interweniowała podczas strajku w innej kopalni. Miejscowe raporty nie pozostawiają złudzeń. Sposób, w jaki traktowano protestujących i strajkujących, trudno opisać słowami. Brutalne, wołające o pomstę do nieba metody. Bezprzykładne okrucieństwo. Nie chcę narażać na szwank pani psychiki. – Na kilka minut zatapia się w myślach.

Jestem speszona, ale z innego powodu, niż mógłby przypuszczać. Kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, źle go oceniłam. Cóż, wszyscy czasami popełniamy błędy.

– Zatem Syntamar i pozostałe firmy korzystały z usług tej samej firmy ochroniarskiej?

– Tak. Przez jakiś czas kopalnia przynosiła dochód, ale po kilku latach

została we wrogi sposób przejęta przez jedną z amerykańskich firm. Syntamar zaczął się wyprzedawać, w tej chwili mają udziały, ale tylko mniejszościowe, jedynie w dwóch kanadyjskich przedsiębiorstwach. Jedno działa na północy i jest solą w oku wszystkich ekologów, a drugie to kopalnia miedzi na wyspie Vancouver.

– Czy to nie dziwne, że wszystko sprzedali, ale kupili udziały w tych dwóch przedsiębiorstwach?

– Nie, wcale nie jest dziwne. Co prawda chodziły pogłoski, że nabywając te udziały, nie zawsze grali czysto i zgodnie z prawem, ale obie spółki, w które zainwestowali, mają duży potencjał i według mnie na dłuższą metę okażą się bardzo rentowne.

– Czy pan sugeruje, że Syntamar zainwestował w te dwa projekty gospodarcze w zamian za pomoc przy tłumieniu strajków w Kongu?

– Trudno o jednoznaczną odpowiedź. – Wzdycha ciężko. – Nie ma żadnych dokumentów na temat finansowania tej firmy ochroniarskiej. Nie wiadomo, kto ich opłacał, ale... tak, może być tak, jak pani powiedziała.

– Skoro tak ostro konkurowali z Amerykanami, pozostają Chińczycy.

– Nieźle pani kombinuje – stwierdza z uśmiechem. – Kiedy Syntamarowi zaczął się w Kongu palić grunt pod stopami, poprosili o pomoc Zhang-Wei Industries, która w latach dziewięćdziesiątych przeniosła główną siedzibę do Vancouver. Tak naprawdę niewiele o nich wiadomo, nigdy się nie reklamowali.

Przez chwilę patrzy mi prosto w oczy, tak jakby o coś prosił.

– Muszę już iść, czekają na mnie studenci – powiedział wreszcie. – Jeżeli będzie pani potrzebowała więcej informacji, proszę się ze mną bez wahania skontaktować. Jestem wielbicielem pana Crowa, cenię go jako dziennikarza, bo sporo się dzięki niemu nauczyłem. Nie ślizga się po powierzchni, umie dobrze naświetlić istotę zagadnienia. Jak pani wie, większość ludzi z naszej prowincji z obawą odnosi się do powstającego rurociągu i martwią ich plany uruchomienia kolejnych kopalni. Na szczęście w Kanadzie można o tym głośno mówić, poza tym tutaj nikt nie odważy się zamordować, pobić czy zgwałcić protestujących robotników. Ale są miejsca, gdzie to nie jest takie oczywiste, gdzie lepiej milczeć, jeśli człowiek nie chce stracić życia. Mam nadzieję, że dzięki pracy pani i pana Crowa świat stanie się trochę lepszy.

Podaję mu rękę na pożegnanie i wychodzę. Długo będę pamiętał jego błyszczące z przejęcia oczy i zapał, z jakim rozprawiał. Wciąż mi głupio, że tak pochopnie go oceniłam. To żaden karierowicz marzący o dodatkowych dochodach i medialnej sławie, a prawdziwy społecznik, pełen współczucia, żarliwy obrońca ludzkich praw. Chyba zbyt często widzę tylko ciemną stronę życia i poszczególnych spraw, bo zbyt długo tkwiłam w mroku.

Pewnie szybko znalazłby wspólny język z moją siostrą, jak bratnia dusza

z bratnią duszą. Nigdy nie zabrakłoby im tematów do dyskusji. Ochrona środowiska naturalnego i temu podobne ekogadki. Chodziliby razem na demonstracje i krzyczeli, że pora zmienić świat. I co równie ważne, nigdy, ale to nigdy nie męczyłyby go wątpliwości, czy Lorelei jest prawdziwą kobietą, czy przebrany facetem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Moja siostra uwielbia zbawiać świat w najbardziej irytujący sposób, przede wszystkim głośno i na pokaz. Przez większość życia działała jako aktywistka w różnych organizacjach ekologicznych. Szczerze wierzy, że dzięki jej działalności bituminy i inne paskudne toksyczne substancje przestaną płynąć rurociągiem i zagrażać środowisku. Zdjęcia wielorybów, niedźwiedzi, wilków i łososi wzruszają ją do łez, a walkę o przetrwanie tych gatunków uważa za swój obowiązek.

Niestety nigdy nie poruszył jej mój los.

Kiedy otwiera drzwi swojego luksusowego domu we wschodnim Vancouver, na mój widok wyraz zdziwienia na jej twarzy szybko ustępuje miejsca wrogości. Nie życzy sobie żadnych kontaktów z osobami mojego pokroju i żeby to zademonstrować, blokuje ramionami drzwi wejściowe. Obrzuca spojrzeniem moje pochłapane farbą dzinsy i zniszczony sweter, a potem cedzi przez zęby:

– Armia Zbawienia jest na końcu ulicy.

Ostatnio widziałyśmy się rok temu.

Czas płynie, ale Lorelei się nie zmienia. Twarz anioła i język rozwścieczonej harpii. Zawsze uważałam, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych. Zyskała narzędzia do walki ze złem tego świata, umiała się odpowiednio ustawić. Wyszła za nijakiego, ale bogatego faceta i szybko nawiązała kontakt z najważniejszymi organizacjami ekologicznymi w prowincji. Od kiedy politycy zaczęli rozmawiać z ekologami, Lorelei rozpycha się łokciami w drodze do pierwszego szeregu. Walczy o pozycję, być może otwiera się przed nią świetlana kariera, a ja, według niej, mogę pokrzyżować te plany. Jestem jak wrzód na tyłku.

Pewnie dlatego woli udawać, że w ogóle nie istnieję.

– Czy ostatnio doszło do jakiegoś toksycznego wycieku? – pytam grzecznie.

Dobrze wiem, że nie ma nic za darmo, jeśli czegoś chcesz, zaproponuj coś w zamian. Na Lorelei działa uprzejmy sposób bycia i docenienie mozolnie zbudowanego wizerunku. Wizerunku zbudowanego na pochodzeniu i historii życia, która jest czytankowym przykładem kanadyjskiej polityki kolonialnej. Dziedzictwa, które według jednych zostało zbudowane na zagładzie tubylców, a według innych opiera się po prostu na nieuniknionej asymilacji. Lorelei świeci jak najjaśniejsza gwiazda, która dzięki inteligencji i silnej woli nie tylko wyrwała się z patologicznego środowiska, ale też rości sobie prawa do reprezentowania pokrzywdzonych przez los z powodu pochodzenia. Chętnie i często mówi o ojcu, podkreśla te rodzinne związki, które dla mnie wraz z upływem czasu stają się coraz mniej istotne. Dzieje się tak, bo nauczyła się ignorować fakty, nad którymi ja nie mogę przejść do porządku dziennego. Dla niej wygodniej jest mieć tylko jednego

rodzica, nigdy nie wspomina o matce, o której wiemy tylko tyle, że była cudzoziemką i porzuciła nas przed śmiercią naszego ojca. Nigdy nie próbowała nawiązać z nami kontaktu.

Siostra patrzy na mnie wrogo, zaciskając mocno usta. Wiele osób reaguje tak na mój widok, ale ona jest w tym niedościgłą mistrzynią.

– Po co przyszłaś, Noro? – Wychodzi na werandę, zatrzasnąwszy drzwi do domu. – Potrzebujesz pieniędzy?

Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? Może jednak warto zainwestować w kilka nowych ciuchów.

– Chcę pożyczyć samochód. – Patrzę na lśniącego srebrnego SUV-a na podjeździe. Mąż Lorelei jest prawnikiem, ale dwa razy do roku ucieka od cywilizacji i wyjeżdża pod namiot. Właśnie tym uzasadnia i usprawiedliwia korzystanie z tego niezbyt ekologicznego auta. Nie mam mu tego za złe. Nikt nie jest doskonały.

– Daj spokój, Noro. Bądź realistką. – Lorelei po kilku sekundach wahania wybucha gromkim śmiechem.

– Jestem. – Zadała mi cios prosto w serce. Znow jesteśmy dziećmi, mam siedem lat, siostra cztery. Ściskam w dłoni roztopiającą się tabliczkę skradzionej czekolady, a Lorelei biegnie na skargę do ciotki, wyzywając mnie od złodziejek. Patrzy na mnie z naganą, zmuszając się do coraz głośniejszego płaczu. Ciotka wyprowadziła mnie przed dom i zbiła pasem. Pamiętam, jak gorące były łzy ściekające po moich policzkach. Nie znosiłam czekolady, to Lorelei za nią przepadała.

– Noro – mówi z fałszywym przejęciem i współczuciem. – Jesteś alkoholiczką, nawet nie masz prawa jazdy. Nie mogę ci pożyczyć tego samochodu, David potrzebuje go do pracy.

Patrzę na nią nieufnie, jak zwykle. Kłamie, zresztą właśnie tego się spodziewałam. Jej mąż jest młodszym partnerem w firmie prawniczej, do pracy jeździ pociągiem, by uniknąć porannych korków. Lorelei byłaby zdziwiona, jak wiele wiem o jej życiu, ale nie zamierzam jej tego uświadamiać. Mam na nią oko od chwili, gdy się urodziła, pilnowanie jej weszło mi w krew.

– Dobra. – Odwracam się, zbierając się do wyjścia. Czy naprawdę sądziłam, że się zgodzi? Mogłam jej powiedzieć o Bonnie i o moich kłopotach, ale coś mnie przed tym powstrzymuje.

– Noro, poczekaj.

Zatrzymuję się, ale nie odwracam. Kiedy zbyt długo patrzę na Lorelei, czuję nieznośny ucisk w gardle i sercu, to niemal fizyczny ból.

– Po co ci samochód? – pyta szczerze zainteresowana i trochę zdziwiona. Nie tym, że proszę o pomoc, przywykła, że nigdy tego nie robię, ale tym, że proszę o samochód.

Przez chwilę rozważam, czy powiedzieć jej prawdę. Nie, to bez sensu, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Nieważne, zapomnij – mówię.

Obie wiemy, że to nieprawda. Obie zdajemy sobie sprawę, że moja prośba może być punktem przełomowym w naszych stosunkach. Jeżeli mi odmówi, znów zepchnie mnie na margines i ochroni swoją pozycję. Nie miałabym jej tego za złe, tak już jest urządzony ten świat. Rozumiem, dlaczego tak postępuje. Kurczowo trzyma się tego, co osiągnęła, próbuje się wpasować w nowe środowisko. Ja złożyłam broń dawno temu. Jesteśmy jak patchwork zszyty z zupełnie innych skrawków materiału. Jej są ładniejsze, ale równie postrzępione na brzegach jak te moje. Być może jestem jedyną osobą na świecie, która o tym wie. Ona ukrywa wszystkie szwy, ja je chętnie pokazuję. Chyba właśnie dlatego tak rzadko się kontaktujemy.

W nocy, gdy gasną wszystkie światła w oknach, włamuję się do jej domu przez boczną furtkę. Najpierw kradnę z garażu zapasowe kluczyki do SUV-a, potem biorę z kuchni kawałek chleba. Co tam, przecież każdy musi coś jeść. Gdyby Lorelei wiedziała, że znam kod do jej alarmu, już dawno by go zmieniła. Między nami mówiąc, to po prostu data jej ślubu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pukam do drzwi Seba, trzymając w ręce czerwone futrzane boa, które ktoś zostawił w autobusie. Na mój widok dosłownie zamiera ze zdumienia. Nigdy nie odwiedzałam go w domu, on też nigdy nawet nie wspomniał, że mogłabym go zaprosić na przykład na kolację.

– To prezent dla ciebie. – Wręczam mu wściekle czerwony szal.

– Dziękuję, to... – Milknie, nie wiedząc, co powiedzieć. Uznał, że go zaszufładowałam, nie wyzwoliłam się z okowów stereotypowego myślenia. Chociaż nasza ostatnia rozmowa nie należała do przyjemnych, ceni mnie jako pracownika, dlatego teraz waży słowa.

Leo odpycha go łokciem od drzwi, bierze boa i zarzuca sobie na szyję.

– Nora, ależ to prawdziwe cudencko. Skąd wiedziałas, że zgubiłem szal? Był co prawda niebieski... Nieważne, dzięki za fantastyczny prezent.

Nie wiedziałam, ale teraz za nic bym się do tego nie przyznała. Zapraszają mnie do środka, jednak wolę zostać na werandzie.

– Muszę na kilka dni wyjechać – mówię.

– Nora, jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy. Wczoraj policja znalazła ciało Mike’a Starlinga. Chyba jesteś w niebezpieczeństwie. I kim był facet, który wypytywał o ciebie w naszym biurze?

Czyli wypatrzyli mnie jakimś cudem, kiedy podsłuchiwałam.

Seb marszczy brwi, jest coraz bardziej zdenerwowany, a Leo, który nie lubi być wyłączony z konwersacji, pyta:

– Naprawdę włamałaś się do firmy ochroniarskiej?

Seb rzuca mu wymowne spojrzenie, przez chwilę mierzą się wzrokiem.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o mieszkanie w piwnicy, możemy ci znaleźć bezpieczniejszą kryjówkę – proponuje Seb.

– Nie trzeba, dziękuję – odpowiadam zaskoczona. A więc wiedzą również i to, gdzie mieszkam. Postanawiam skorzystać z okazji i pytam: – Moglibyście zaopiekować się moim psem?

Cicho gwizdzą. Na ten sygnał Sapka wyskakuje z „pożyczonego” od męża Lorelei SUV-a i wdzięcznie ląduje na przydomowym trawniku.

– O matko, to wilk? – pyta zszokowany Leo.

– Chwila moment – interweniuje Seb, cofając się o krok. – Mieszkasz w naszej piwnicy z psem? Cały czas?

– Coś takiego. – Leo nie tylko się nie cofa, wydaje się wręcz zuroczony Sapką.

– Jest bardzo spokojna. – Patrzą prosząco na Seba. – Powiedziałaś, że mogę ci zaufać.

Sapka podchodzi do nas, zachowując czujność. Seb kuca i wyciąga rękę, suczka obwąchuje jego dłoń, a potem przejeżdża po niej językiem. Po chwili wtula łeb w krocze Leo, zupełnie jakby załapała, że musi pokazać się od jak najlepszej strony i szybko zdobyć serce tych facetów.

– Rzeczywiście tak powiedziałem, ale nie było mowy o psie. – Seb długo patrzy mi w oczy.

– Rozumiem – odpowiadam spokojnie, ale nie udaje mi się ukryć rozczarowania.

– Wiesz co, Noro? – Seb wzdycha głośno. – Czasami naprawdę mnie zadziwiasz. W porządku, zajmijmy się psem, ale jeśli za tydzień nie wrócisz, oddamy go do schroniska.

Leo otwiera usta, by zaprotestować, jednak Seb kładzie mu w uspokajającym geście rękę na ramieniu i dodaje:

– Masz tydzień, pamiętaj.

Przez chwilę drapię Sapkę za uszami, tak mięciutkimi, jakby były z aksamitu. Seb nigdy nie oddałby mojego psa do przytułku, dobrze wie, że Leo by mu na to nie pozwolił. Chce mi uzmysłwić, że jeśli się po tygodniu nie pojawię, zacznie mnie szukać. Tydzień na odnalezienie zaginionej nastolatki. Mnóstwo czasu, zwłaszcza że znając moje szczęście, już dzisiejszej nocy mogę być martwa. Wyjmuję z kieszeni smycz i podaję Leo.

– Zgoda. Nazywa się Sapka, nie jest wybredna. Zje wszystko, co jej dacie, ale najbardziej lubi steki i pieczonego kurczaka. – Po chwili postanawiam zaufać im w jeszcze jednej kwestii: – Co wiecie o emigracji do Kanady w latach dziewięćdziesiątych?

– To dosyć obszerny temat – mówi Leo. – A o co konkretnie pytasz?

Analizuję fakty z fiszek Starlinga i wszystko, co powiedział mi profesor Holland.

– Chodzi o emigrację z Azji.

– Na Zachodnim Wybrzeżu jest mnóstwo emigrantów z Azji. Co cię interesuje? – dopytuje się Leo.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem, czego szukam, ale może przychodzi wam do głowy coś, o czym warto wspomnieć.

Seb przez chwilę się zastanawia, a potem mówi:

– Tak, pamiętam jedną głośną sprawę. Pracowałem wtedy w „Post”. Wybuchł skandal, kiedy okazało się, że urzędnicy z kanadyjskiego konsulatu w Los Angeles mają lepkie ręce. Wydawali pozwolenie na wjazd każdemu, kto dobrze zapłacił, pomijając wymagane procedury. Dzięki temu do Kanady udało się legalnie wjechać sporej grupie ludzi z kryminalną przeszłością. Pościągali tu swoje rodziny i nie tylko nie zakończyli działalności w kraju pochodzenia, ale prowadzili podejrzane interesy również w Kanadzie.

– A jakieś nazwiska? Ktoś, kim interesował się Starling?

– Najgłośniejsze było o facecie, który podobno na Tajwanie stał na czele potężnej przestępczej organizacji, ale to tylko kropla w morzu. Przez lata nikt nie sprawdzał, jak działa konsulat w Los Angeles, bardzo popularny wśród wszystkich mętów. Właśnie tam załatwiali odpowiednie dokumenty ci, którzy mieli coś na sumieniu, głównie w latach dziewięćdziesiątych, dopóki nie wybuchła afera korupcyjna. Podobno właśnie tak powstała azjatycka mafia na naszym Zachodnim Wybrzeżu. Można powiedzieć, że sami nawarzyliśmy sobie piwa. – Seb na chwilę milknie, zastanawia się. – Wiesz, Starling rzeczywiście interesował się tym tematem, teraz sobie przypominam. Niemal obsesyjnie zbierał materiały o pewnym biznesmenie z Hongkongu, podobno powiązany z triadą. Nie udało mu się zdobyć niepodważalnych dowodów, chociaż bardzo się starał. To odbiło się na jakości jego pracy przy innych tematach i w końcu musiał odejść. Kiedy wrócił do redakcji, dostał polecenie, by zajmować się sprawami łamania praw pracowniczych i lokalną kroniką kryminalną. Był rozgoryczony, ale nie miał wyboru.

– Rzeczywiście – wtrąca Leo. – Dużo pisał o ofiarach przemocy seksualnej. Za serię reportaży o brutalnie zgwałconej dziewczynie, którą odnalazł porzuconą w lesie, chyba nawet dostał nagrodę Kanadyjskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Ależ mu wtedy zazdrościłeś.

– Był tylko nominowany do nagrody – prostuje ponuro Seb, starannie unikając mojego wzroku.

– To dlatego poprosiłeś go o pomoc, gdy badałeś sprawę Rebeki Pruitt – ciągnie Leo. – Wtedy poznałeś Norę.

Leo rozpromienia się, ale po chwili uśmiech na jego twarzy gaśnie. Oboje z Sebem wpatrujemy się intensywnie w sufit. Leo uświadamia sobie, że przez lata nie widział tego, co miał tuż przed nosem.

– O matko – szepcze zszokowany.

Ludzie zawsze tak reagują, kiedy dociera do nich prawda i poznają szczegóły z mojej przeszłości. Najpierw widzę na ich twarzach współczucie, potem próbują udawać, że są w stanie zaakceptować fakty, przejść nad nimi do porządku dziennego. Tylko że to się nigdy nie udaje, nasze stosunki zmieniają się na zawsze. Starling nigdy nie zdradził Sebowi, w jakich okolicznościach mnie poznał, ja też unikałam tego tematu, ale Seb musiał się domyślić prawdy, i to dawno temu. Leo nadal milczy, jest bardzo skupiony. Chyba wreszcie rozjaśniło mu się w głowie, znalazł wytłumaczenie mojego dziwnego zachowania i stylu życia.

– A co ze sprawą, którą zleciła nam Melissa? – pyta Seb. – Znalazłaś Baichwala?

– Niestety nie. – Potrząsam głową. – Może Stevie będzie miał więcej szczęścia.

– Zajmuje się teraz inną sprawą. – Leo wzdycha ciężko. – Niedobrze,

naprawę potrzebujemy pieniędzy.

Seb uważnie mi się przygląda, marszcząc brwi. Może i zachowuję się jak dziwaczka, ale nigdy nie odpuszczałam spraw, które mi zlecał. Jednak ja nadal pamiętam przerażenie w oczach Harrisona Baichwala. Jego strach o najbliższych. To mnie poruszyło bardziej, niż chciałabym przyznać.

Odchodzę, nie oglądając się za siebie. Nie żegnam się z Sapką, to byłoby zbyt bolesne, mogłoby wpłynąć na zmianę mojej decyzji. Zanim ją przygarnęłam, śmieszyli mnie ludzie, którzy traktują psy jak najlepszych przyjaciół. Nie rozumiałam tej więzi, uważałam ją za przejaw niedojrzałości czy nawet lekkiego szaleństwa. Wiem, że Sapka siedzi na werandzie i patrzy smętnie, jak wsiadam do SUV-a. Kiedy naciskam pedał gazu, spuchnięta kostka pulsuje nieznośnym bólem. I dobrze, dzięki temu mogę się skupić na tym, co przede mną i zostawić za sobą przeszłość. Odjeżdżam, krzycząc jak potępieniec. Głośny, pełen złości i smutku skowyt sprawia, że wreszcie udaje mi się trochę rozluźnić napięte mięśnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Dziewczyna już sobie przypominała, jak się nazywa.

Imię nie chciało do niej przyjść, gdy przemarznięta i wyczerpana kuliła się w koronie rozłożystego drzewa, chwilowo bezpieczna w swojej kryjówce. Kiedy biegła z nadbrzeżnych skał do lasu, nie pamiętała, jak się nazywa, kim jest i skąd się tu wzięła. Tylko jakieś niejasne przebłyski, niedookreślone pragnienie, by skryć się w wodzie, zanurzyć w toni, zmusić obolałe ramiona do wysiłku.

Jej imię... Nie miała siły go wypowiedzieć, ale przynajmniej wiedziała, jak brzmi. Ten fakt napawa ją dumą, ale tylko na krótką chwilę, bo przecież jest tyle innych spraw, które powinna sobie przypomnieć, które powinna zrozumieć. Pytania, wieczne pytania. Krążą po jej głowie jak rój natrętnych pszczoł, żądłą boleśnie zwoje w mózgu. Układa się wygodniej na konarze drzewa, próbuje wcisnąć się głębiej w szczelinę w pniu i zamyka oczy. Ale nagle gwałtownie unosi powieki. Słyszy jakiś hałas, dlatego kuli się do pozycji embrionalnej i czeka przepelniona narastającą paniką. Zaczyna sobie przypominać, kim są jej prześladowcy, ludzie, którzy zamknęli ją w pokoju bez okien, w domu, którego ściany zdawały się nieustannie drżeć od przeraźliwych krzyków...

Jeśli ją znajdą, znów ją tam zabiorą. Wkrótce będzie tak wyczerpana, że nawet strach nie zmusi jej do działania. Potem znów zacznie się bać, ale teraz nie ma siły walczyć ze zmęczeniem.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ach, te bezkresne drogi przez pustkowia. Jadąc nimi, dociera do ciebie, dlaczego Kanada w pełni zasłużyła na miano drugiego co do powierzchni państwa na świecie. Jedna szosa prowadzi do drugiej, ta do pustej autostrady, potem znów wracasz do szosy na kompletnym odludziu. Żadne zabudowania nie zasłaniają ci pięknych widoków. Widzisz góry tak wysokie i majestatyczne, lasy tak zielone i jeziora tak krystalicznie czyste, że czujesz się, jakbyś podróżował po folderze turystycznym, który nagle ożył. Kiedy tak jak ja, stopniowo oddalasz się od wybrzeża, mijasz tyle niezabudowanych terenów, że po jakimś czasie ta pustka zaczyna cię przytłaczać, tracisz poczucie rzeczywistości. Zieleń migająca za oknami samochodu przechodzi w szarość, potem pojawiają się opromienione słońcem białe połacie śniegu. Jak dobrze, że ukradłam Davidowi SUV-a, zamiast kusić los w zdezelowanej corolli. Potężne opony są przystosowane do zimowych warunków, nie grozi mi katastrofa. Chociaż facet, który o mnie wypytywał, na pewno już mnie ściga, to mam nadzieję, że jeszcze nie dotarł do Tommy'ego. Nie, to nie tyle nadzieja, co wiedza. Jednak od kiedy wyruszyłam w drogę, nie mogę czuć się bezpieczna.

Podjęłam duże ryzyko, oby opłacalne.

Co kilka minut przecieram oczy, powieki coraz bardziej mi ciążyą. Wlałam w siebie tyle kawy, że w kącikach ust utworzyły się zabarwione na brązowo zmarszczki. Żeby zabić czas, zaczynam grać w „Widzę”. Grałyśmy w to z Lorelei, kiedy nas wieźli z domu ciotki do pierwszej rodziny zastępczej. Intuicyjnie wyczuwałam, że od tego momentu nasze życie zmieni się na zawsze, ale siostra była za mała, by to zrozumieć. Przez dwadzieścia minut wykrzykiwała, że jako pierwsza zauważyła światła jadącego przed nami samochodu, dlatego szybko się znużyłam i przestałam zwracać na nią uwagę. Była coraz bardziej zła, w końcu zaczęła mnie mocno szczypać. Przestała, dopiero gdy skóra mocno się zaczerwieniła, a ramię trochę spuchło. Pocałowała potem to miejsce, by sprawdzić, czy w ten sposób mnie uleczy. Przez resztę podróży milczała.

Teraz, siedząc za kierownicą samochodu, który ukradłam jej mężowi, gram sama ze sobą. Przede mną długa droga do Kelowny.

Zauważam, że w okolicy jest trochę więcej drzew.

Widzę coś na N. Jadący przede mną niebieski samochód dostawczy. Widzę coś na S. Jadącego za mną srebrnego sedana.

Widzę coś na G po prawej stronie i coś na J po lewej. Górę i jezioro. Jadę z dużą prędkością, ponad setkę na godzinę, SUV Davida spisuje się bez zarzutu, a ja wreszcie mam wrażenie, że nad czymś panuję. Ta myśl dodaje mi skrzydeł.

Zauważam, że droga jest tak prosta, że widzę kilometry przede mną

i kilometry za mną.

Zauważam, że srebrny sedan zwalnia i po chwili jest tylko punkcikiem w moim lusterku wstecznym. Mijam długi prosty odcinek szosy i wjeżdżam na górską serpentynę. Sedan bawi się ze mną w chowanego, to chowając się, to pojawiając zza kolejnego zakrętu.

Zauważam, że im dalej na północ, tym mniej zieleni, a więcej śniegu.

Tutaj nie ma zbyt wielu stacji benzynowych, dlatego lepiej tankować, gdy tylko na jakąś się natkniesz. W przeciwnym wypadku utkniesz na pustkowiu, przeklinając własną głupotę i licząc na życzliwość innego kierowcy. Zatrzymuję się przed kolejną stacją i zastanawiam się, czy Sapka będzie szczęśliwa u ludzi, którzy jej mogą zaofiarować o wiele więcej niż ja. Seb i Leo mają dobre serca, są odpowiedzialni, będą ją dobrze karmić, zadbają o nią. Wyobrażam sobie, jak Sapka przeciąga się leniwie przed kominkiem, a potem smacznie zasypia, chociaż nawet nie wiem, czy mają kominek. Seb delikatnie gładzi ją po brzuszku, Leo zaczyna szcztokować. Ta wizja sytej i pieszczonej Sapki jest jak miód na moje serce, chętnie pozostałabym w przytulnej krainie fantazji, gdyby nie...

Gdyby nie Bonnie. Dobrze wiem, co trzeba robić, by uzyskać pewność, czy komuś nie dzieje się krzywda. Musisz wszystkiego osobiście doglądać. Nie ufać wrywkowym kontrolom ani opiekunom, choćby mieli tysiące listów polecających i nieposzlakowaną opinię. Ja zawierzyłam Sebowi i Leo, zostawiając u nich Sappkę, ale sama wiara to zazwyczaj o wiele za mało.

Po piętnastu minutach srebrny sedan odjeżdża spod stacji i kieruje się w stronę autostrady. Tankuję i niemal mdleję na widok kwoty, którą mam zapłacić. Od razu tracę pewność siebie, czuję się podle oszukana i najchętniej wyładowałabym na kimś złość. Odjeżdżam, klnąc pod nosem, i od razu przyśpieszam. Zwalniam, dopiero gdy widzę przed sobą światła sedana. Spokojnie pozwalam mu się oddalić na tyle, by zniknął mi z oczu. Nie ma sensu działać pochopnie, zresztą lepiej być łowcą niż zwierzyną łowną. To zbyt długa i pusta droga na wyrafinowane zagrywki, po co od razu ustawiać się na pozycji ofiary?

Po czasie, który wydaje mi się mgnieniem oka, bak jest znowu prawie pusty. Na szczęście, niczym oaza na pustyni, wyrasta przede mną kolejna stacja. Ulokowana tuż u podnóża góry, tak naprawdę bardziej przypomina miraż. Droga wiodąca do stacji jest słabo widoczna, zasłania i ocienia ją szpaler drzew. Powolutku podjeżdżam i czujnie się rozglądam. W sklepiku nie ma nikogo oprócz sprzedawcy, ale obok budynku stoi srebrny sedan. Robię zdjęcie tablicy rejestracyjnej i wysyłam MMS do Leo, po namyśle również do Brazuki. Potem przeszukuję schowki i bagażnik. Jest wszystko, czego mogę potrzebować. Dzięki bogu David to poukładany facet, nic nie pozostawia przypadkowi.

Skrećam za róg budynku i znajduję łazienkę. Nad wejściem pali się tylko jedna słaba żarówka. Nagle drzwi otwierają się gwałtownie i z ledwie oświetlonego

wnętrza wypada facet ze wzrokiem utkwionym w wyświetlacz komórki. Już otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale on przeklina głośno i odwraca się na pięcie, by zgasić światło.

Staję tuż za nim.

W momencie gdy dotknął wyłącznika, mrok pomieszczenia rozświetlił błysk klucza do opon, którym go zderzyłam. Przez jeden mrozący krew w żyłach moment przyciska mnie twarzą do lustra, ale w ciemnym i małym pomieszczeniu jest z góry skazany na porażkę. Wpada na suszarkę do rąk i zrzuca ją ze ściany, rozlega się głośny łomot. Facet wije się na podłodze, jest zdezorientowany, w dodatku prawie nic nie widzi. Chcąc mu ulżyć w cierpieniu, litościwie zapalam światło. Może dzięki temu uda mu się ominąć największe skupiska zarazków.

Siada, opierając się plecami o ścianę, prostuje nogi, prawie rozbijając malutką umywalkę. Ścisną dłońmi obolałą głowę. A ja nabieram głęboko powietrza, by nabrać sił do kolejnego starcia.

Ten facet to Brazuka.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Kurwa mać, Nora – mówi po minucie, w czasie której gapiliśmy się na siebie jak dwoje inteligentnych inaczej. On mrugał gwałtownie w drażniącym oczy blasku świetlówki, ja bezskutecznie próbowałam ukryć zaskoczenie.

Jest późno, siedziałam cały dzień za kierownicą, dlatego stać mnie jedynie na niezbyt pochlebne spojrzenie i niezbyt wyrafinowane pytanie:

– Dlaczego mnie śledzisz?

Mój głos brzmi oskarżycielsko, ale w rzeczywistości jestem zadowolona. Odczuwam absurdalną radość na widok Brazuki, naprawdę się cieszę, że to właśnie na nim wypróbowałam przydatność klucza do opon.

– Bo się o ciebie martwię!

– Lepiej martw się o siebie.

Uderzyłam go na tyle mocno, że zwałił się na podłogę i pewnie będzie miał wielkiego guza, ale nie krwawi, zatem obrażenia nie są zbyt poważne. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale przecież nie jestem ekspertem.

– Co ty powiesz. Serio? – Próbuje wstać, ale ma nogi jak z galarety.

Chowam klucz do kieszeni dzinsów i podaję mu rękę.

– Jeśli uważasz, że znów zaczęłam...

– Cholera, przymknij się na chwilę, dobra? Przyłożyłaś mi pieprzonym kluczem do opon. – Łapie się za skronie i pojękuje cicho.

– Mogłam cię walnąć jeszcze mocniej.

– Ale nie walnęłaś, bo chciałaś mi zadać kilka pytań, a trudno się gada z nieprzytomnym facetem, zgadłem? Jasny gwint! Zauważyłaś, że ktoś cię śledzi. Zaczaiłaś się i przyłożyłaś mi, ale nie ogłuszyłaś. Nie bałaś się, że się odwinę i zrobię ci krzywdę. Pieprzona bohaterka... Taki strach jest ci zupełnie obcy, co? Chcesz zdobyć informację, nieważne za jaką cenę. Na litość boską, czy nigdy nie potrafisz się zdobyć na odrobinę współczucia?

Przyglądam mu się zafascynowana. Nigdy nie słyszałam, by przeklinał. Z mojego doświadczenia wynika, że sponsorzy bardzo się pilnują, nie używają bluzgów, nawet delikatnych, chociaż nieraz musi ich świerzbic język. Ze sterczącymi włosami, mocno zaczerwienionymi oczami i rosnącym guzem na potylicy Brazuka wygląda jak szaleniec. Wyciera rękawem strużkę śliny wyciekającą z kącika ust.

Prowadzę go do umywalki, gdzie zaczyna dokładnie szorować twarz i dłonie mydłem i gorącą wodą. Podpieram mu plecy, by nie stracił równowagi, a przy okazji zauważam, że w jego wełnianym płaszczu są tylko dwie niewielkie kieszenie. Pomagam mu, ponieważ przeszedł drogę podobną do mojej. I on jest jednym z ocalonych. Wyzwolił się z nałogu, przeżył postrzał, uporał się

z rozwodem, a teraz była podopieczna prawie rozłupała mu głowę. Tak, ten facet potrzebuje wsparcia, zasługuje na nie.

– Dlaczego mnie śledzisz? – pytam ponownie, gdy dochodzę do wniosku, że już się trochę pozbierał.

Wzdycha ciężko, patrzy w lustrze na moje odbicie i mówi:

– Przynies mi trochę lodu, to pogadamy.

Pracownik stacji cierpliwie czekał, aż wreszcie łaskawie podejść z wybranym towarem do kasy. Wzięłam najmniejszą dostępną torebkę lodu, najmniejszą puszkę napoju energetycznego i zapłaciłam awansem za paliwo. Podczas tankowania rozjaśniło mi się w głowie. Kiedy docieram z lodem do łazienki, Brazuka wygląda o wiele lepiej. Opiera się o umywalkę i patrzy na mnie znużonym wzrokiem. Uśmiecha się lekko, co mnie natychmiast wkurza. Niby co takiego zabawnego zobaczył w tej sytuacji? Pokonała go kobieta o połowę lżejsza od niego. I to ma być powód do radości? Dziwny facet.

Bierze ode mnie lód i owija bawełnianym T-shirtem, który musiał przed chwilą wyciągnąć spod koszuli, i przykłada kompres do potylicy.

– Jezu, od razu lepiej.

– Często dostawałeś lanie, co?

– Tak, głównie od wściekłych bab.

– Wystarczy wziąć rozwód, wiesz?

Śmieje się, ale w nieco wymuszony sposób.

– Dobra, przyniosłam ci lód, teraz twój ruch. – Patrzę wymownie na drzwi.

– Dokąd jedziesz?

– Chwila, to tak nie działa. Ty pierwszy.

Długo milczymy i długo patrzymy sobie w oczy. Byłoby romantycznie, gdyby nie to, że przed chwilą walnęłam go w łeb kluczem do opon skradzionym z bagażnika samochodu, zresztą też skradzionego, należącego do szwagra.

– WIN Security zgłosiło włamanie – zaczyna Brazuka, odwracając wzrok.

Podnoszę z podłogi jego komórkę, delikatnie, dotykając jej tylko czubkami palców, i wsuwam mu do kieszeni tuż obok kluczyków do samochodu. Przez chwilę nie wyjmuję ręki, dotykam lekko jego bioder. Nic nie zauważył, tak mi się przynajmniej wydaje.

– No i co? – pytam.

– No i przypomniałem sobie, że wypytywałaś mnie o tę firmę. Poprosiłem kolegę, który zajmuje się sprawą, żeby pokazał mi taśmy z monitoringu. – Znowu na chwilę odwraca głowę. Może ma lekkie wyrzuty sumienia, że od razu skojarzył tę sprawę ze mną, a to tylko objaw lekkiego wstrząśnienia mózgu, kto go tam wie. – Włamywacz wyglądał jak ty, tylko przebrana za kuriera rowerowego. Nie miałem pojęcia, że umiesz śpiewać.

Zbynam ostatni komentarz machnięciem ręki i pytam:

– To nie wyjaśnia, dlaczego mnie śledzisz.
– Interesowało cię, dlaczego obserwują ten dom, prawda? – Wzdycha ciężko.
– Chciałaś poznać listę ich klientów i akta sprawy. Znalazłaś te informacje w skradzionym laptopie?

– Nie. – Nagle czuję się zmęczona rozmową z Brazuką, tymi półsłówkami i gierkami. To był długi i męczący dzień, marzę o zimnym kompresie na spuchniętą kostkę, gorącym prysznicu i olbrzymiej tłustej pizzy, a obecność Brazuki jest jedynie przeszkodą w dotarciu do tych wymarzonych rozkoszy.

– Jeżeli chcesz zdobyć informacje, na których ci zależy, czasami musisz kopać naprawdę głęboko. – Uśmiecha się szeroko, znów jest sobą, czarującym, chociaż czasami nadmiernie wylewnym facetem.

Ma nieskazitelne, nieprawdopodobnie białe zęby, które wydają się jeszcze bielsze na tle co najmniej dwudniowego zarostu. Cóż, pewnie obsesyjnie dba o uzębienie, bo wypija hektolitry kawy, a jednak na szkliwie nie ma żadnych przebarwień.

– Właśnie dlatego ukradłam laptop.

– Kopałaś za płytko.

– Jak to?

– No i co ci z tego przyszło? Nic. Rozmawiamy o potężnej firmie ochroniarskiej. Połowa ich zleceń to sprawy na pograniczu prawa. Nikt nie trzyma takich danych w służbowym laptopie.

Nie znoszę, kiedy zamiast od razu przejść do rzeczy, zaczyna teoretyzować. Cholera, nie jesteśmy w szkole. Jego mentorski ton coraz bardziej mnie męczy, pomалу tracę cierpliwość. Krzyżuję ramiona i wzdycham cicho.

– Czasami, zamiast od razu grzebać w dokumentach firmy, dobrze jest pogadać z właścicielem. WIN Security należy do dwóch facetów, Jamesa Whitehalla i Lestera Nymana. Jeden z nich wybiera się do ośrodka narciarskiego niedaleko Kamloops, będzie tam jakiś spęd biznesmenów. Mały luksusowy hotelik i małe zlecenie dla WIN Security. Kilku osiłków, których zadaniem jest ochrona szczególnie ważnych hotelowych gości. Mogłabyś tam zasięgnąć języka.

– Nie umiem rozmawiać z ludźmi.

– No to masz szczęście, że ja jestem w tym dobry – mówi bez cienia fałszywej skromności.

– Który z właścicieli się tam wybiera?

– A co za różnica? Nie jestem pewien, ale podobno jeden z nich musi poklepać kilku miejscowych waśniaków po ramieniu, może pocałować ich w tyłek, a może coś pomiędzy.

Pobył w rodzinach zastępczych odciska na ludziach trwałe piętno. Uczysz się kilku cennych zasad, które mogą uratować ci życie. Zjadaj wszystko, co dostaniesz, nie zostawiaj resztek na talerzu, bo nie wiadomo, kiedy znów cię nakarmią. Bądź

czujny, nasłuchuj, czy ktoś nie kręci się pod drzwiami twojej sypialni. Nie ufaj ludziom, którzy są dla ciebie mili, nie oczekując niczego w zamian. Z całą pewnością czegoś oczekują, im szybciej się domyślisz, o co chodzi, tym lepiej dla ciebie. Wpatruję się w Brazukę i gorączkowo się zastanawiam, czego mógłby ode mnie chcieć. Nie mam aż tak rozbuchanej fantazji, by coś wymyślić. Działa bezinteresownie? I nagle doznaję olśnienia. Ach, wymarzył sobie zabawę w Sherlocka Holmesa i doktora Watsona. Będziemy jak Butch Cassidy i Sundance Kid, jak Nancy Drew i Hardy Boys. Partnerstwo, współdziałanie, propozycja wsparcia. Patrzę na tego zmęczonego faceta i jestem równie poruszona, co przestraszona jego propozycją pomocy. Przez ostatnie pół godziny zamieniliśmy ze sobą więcej słów niż przez pierwszy rok znajomości. Tym razem nie próbuje mnie przekonać, że powinnam jak najszybciej zejść z wąskiej górskiej półki, tylko proponuje wspólną wspinaczkę bez względu na to, jak trudna może się okazać.

– No co ci szkodzi? Co masz do stracenia? – Patrzy na mnie tak ciepło, że nie umiem wymyślić żadnej zgryźliwej odpowiedzi. Zupełnie mnie rozbroił, przynajmniej na chwilę.

– Doprowadź się do porządku – mówię, wskazując na kompres, który zsunął mu się na szyję. – Poczekam na zewnątrz.

– Dobra, zaraz wychodzę.

Za progiem łazienki zatrzymuję się na chwilę, wzdycham głęboko i przesuwam palcami po kluczykach do samochodu, które ukradłam mu z kieszeni. Waham się. Chętnie skorzystałabym z pomocy Brazuki, fajniej jest podróżować w towarzystwie, ale moja wrodzona nieufność bierze górę. Okej, stałam się podłą suką, nic na to nie poradzę. Ciskam kluczyki Brazuki w stronę lasu rozciągającego się tuż za stacją benzynową.

Kiedy SUV Davida wjeżdża z przytupem na autostradę, próbuję zwalczyć ogarniające mnie rozczarowanie. Nie podoba mi się to, jak postąpiłam, i jestem zła, że życie zmusza mnie do odgrywania różnych ról, często sprzecznych z moim charakterem. Tyle dobrego, że wyłączyłam Brazukę z gry. Trochę potrwa, zanim znajdzie kluczyki. Nie tylko kuleje, ale jest w kiepskim stanie fizycznym, no i będzie wściekły, że go wystawiłam, a wściekłość jest wrogiem zdrowego rozsądku.

Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stanie. To takie ciepłe myśli byłej alkoholiczki, której nie jest obojętny los byłego alkoholika.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tożsamość to śliska sprawa. Już myślisz, że trzymasz ją mocno w garści, i nagle trach, wymyka ci się z rąk i roztrzaskuje na drobne kawałki. Choćbyś nie wiem jak próbował ponownie ją poskładać, nagle okazuje się, że dziwnym trafem nie jesteś w stanie ułożyć z fragmentów spójnej całości. Kiedy Bonnie była dzieckiem, na wszystkich fotografiach uśmiechała się radośnie wprost do obiektywu, ale z biegiem lat uśmiech stawał się ostrożniejszy, bardziej wymuszony. Prawdopodobnie uświadamiała sobie pewne ograniczenia, być może żałowała niektórych decyzji. Ale możliwe też, że tylko przechodziła okres buntu, jak każda nabuzowana hormonami nastolatka. Uciekła z chłopakiem, by zrobić na złość rodzicom, jeszcze bardziej im dokopać. Jakkolwiek było, jedno jest pewne – im więcej się o niej dowiaduję, tym wyraźniej widzę, jak bardzo jest do mnie podobna, co mnie wcale nie cieszy. Bądźmy szczerzy, na myśl o tym wpadam w przerażenie.

Obserwuję, jak Tommy Jones wychodzi ze szkoły. Od stóp do głów w czerni, długie włosy zasłaniają całe czoło i brwi. Idzie pewnym siebie, takim trochę leniwym krokiem. Wiem, że to on, widziałam go na filmiku w komórce Mandy. Chłopak jest przystojny i na pewno bystry. Wrócił do rodzinnego miasteczka zaledwie kilka tygodni temu, ale nie wydaje się, aby miał z tego powodu kłopoty lub popadł w depresję. Teraz jawnie zrywa się z lekcji, a nawet salutuje obserwującemu go przez okno nauczycielowi. Odnajduje się w każdym środowisku, zresztą nie tylko dzięki urodzie. Ma wdzięk, otacza go aura niegrzecznego chłopca, a tacy bez trudu łamią serca naiwnych nastolatek. Na szczęście większość dziewcząt szybko dojrzewa i leczy się z fatalnego zauroczenia. Tylko nieliczne zachodzą w ciążę i lądują z mrocznym wybrankiem serca w piwnicy jego matki.

Od trzech godzin sterczę przed szkołą i marznę jak diabli w wychłodzonym SUV-ie. Tommy wsiada do starego pikapa i odjeżdża. Na szczęście w Enderby jest tylko jedna szkoła średnia, co bardzo ułatwiło sprawę. Miałam też szczęście, że chłopak w ogóle raczył zaszczyścić świątynię edukacji swoją obecnością. Dzięki Bogu nie musiałam jeździć po miasteczku w poszukiwaniu samotnej matki wychowującej nastoletniego syna. Bardzo możliwe, że zaraz znajdę Bonnie, która zaszyła się w jego sypialni.

W Enderby jest tylko jedna główna ulica, która prowadzi do autostrady. Wjazd jest bardzo dobrze oznakowany, ale Tommy nie kieruje się ani na autostradę, ani w stronę domu. Przejeżdża przez rzekę Shuswap i skręca w Mabel Lake Road. Na szczęście kupiłam na stacji benzynowej mapę okolicy, dlatego od razu domyślałam się, że Tommy zmierza na usiane klifami nabrzeże. Wiem, że to

ulubione miejsce nastolatków z takich małych kanadyjskich miasteczek. To tam piją piwo, palą gówniane zioło i tracą dziewictwo. To również, przypominam sobie nagle, ulubione miejsce niedźwiedzi, zwłaszcza tych wygłodzonych, poszukujących łatwego łupu. Parkuję na prywatnej działce przy drodze prowadzącej na klif, naprzeciwko starego pikapa. Tommy'ego już nie ma w samochodzie. Ruszam ścieżką prowadzącą w głąb lasu. Moje ciuchy były wystarczająco ciepłe na łagodne zimy w Vancouver, ale teraz jestem przemarznięta do szpiku kości. Wśród ośnieżonych drzew i na kompletnym pustkowiu czuję się bardzo nieswojo. To miejskie ulice są moim domem, tam czuję się bezpieczna. Po raz kolejny dochodzę do wniosku, że nadmiar świeżego powietrza i dzikiej przyrody szkodzi zdrowiu. Nadal nie do końca rozumiem, dlaczego z takim uporem szukam Bonnie i nie mogę przestać o niej myśleć, skoro nawet jej nie znam. Czy naprawdę obchodzi mnie jej los, czy uważam, że nikogo poza mną nie interesuje?

Szczerze mówiąc, ta kwestia nie daje mi spokoju, odkąd zauważyłam ochroniarza przed domem Walshów, i nadal nie znam odpowiedzi. I pewnie nie poznam po rozmowie z Tommym. Jasne, że go przycisnę, i może dzięki temu dowiem się więcej o zniknięciu Bonnie, ale nadal nie będę w stanie rozeznaczyć się lepiej we własnych emocjach. Może rozjaśni mi się w głowie, dopiero gdy odnajdę córkę.

Kilkadziesiąt metrów dalej zza potężnej jodły po prawej stronie ścieżki dobiega mnie dźwięk odbezpieczanej broni. Schylam się i chowam za drzewo po lewej stronie.

– Jeśli powiesz, kim jesteś i czego tu, do kurwy nędzy, szukasz, może nie zrobię ci krzywdy! – wrzeszczy Tommy. Bardzo się stara, by jego chłopięcy głos brzmiał doroślej i groźniej.

Analizuję sytuację i dochodzę do wniosku, że nie powinnam go okłamywać, bo lepiej nie lekceważyć uzbrojonego nastolatka.

– Chcę ci tylko zadać kilka pytań – mówię.

– Czyżby? Paniusiu, nie mam ochoty odpowiadać na twoje pytania. Przestańcie mnie śledzić, ty i twoi pierdoleni kolesie.

Zatem facet z WIN Security dotarł tu przede mną. Tommy musiał go zauważyć, dlatego i mnie tak łatwo namierzył. Wie, co jest grane.

– Oni nie są moimi kolesiami, działałam na własną rękę. Przysięgam.

Tommy strzela w pobliskie drzewo, od hałasu przez chwilę dzwoni mi w uszach.

– Tommy, naprawdę zamierzasz zabić matkę twojej dziewczyny? – krzyczę, z trudem zachowując spokój.

Po raz drugi przyznaję się do macierzyństwa, po raz drugi przed osobą blisko związaną z Bonnie. Ale kiedy ktoś do ciebie celuje z broni, masz prawo wpaść w panikę i chwycić się każdego argumentu.

Cisza, która zapada po moim oświadczeniu, trwa nieskończenie długo, tak mi się przynajmniej zdaje. Wreszcie słyszę szelest, potem skrzypienie butów na zaśnieżonej ścieżce, aż wreszcie Tommy wyłania się zza drzewa. Próbuje zachować spokój i pewnie by mu się udało, gdybyśmy nie byli w lesie sami i nie stali tak blisko siebie. Wchodzę trochę głębiej w las, rozglądam się dookoła i po cichu podchodzę do Tommy'ego. Nie dostrzega mnie, patrzy w kierunku, z którego dobiegał go mój głos. Zagapił się, a potem jest już za późno, dlatego bez trudu odbieram mu broń i mocno uderzam łokciem w twarz. Dopiero wtedy cofam się o kilka kroków. Opuszczam broń, to browning 9 mm, mój dobry znajomy.

Nos Tommy'ego sterczy z twarzy pod bardzo dziwnym kątem, ale nie czuję wyrzutów sumienia. Nienawidzę broni, chociaż jestem z nią obyta. Myśl, że ten chłopak miał czelność do mnie celować, doprowadza mnie do szału. Co więcej, wystrzelił w moim kierunku. Tommy patrzy na mnie zmrużonymi oczami, krew z rozbitego nosa ścieka mu po brodzie, kilka kropli barwi na czerwono nieskazitelną biel śniegu na ścieżce.

– Kurwa, paniusiu, złamałaś mi nos – charczy.

– Nic ci nie będzie, przeżyjesz. Gdzie jest Bonnie?

– Nie wiem.

– Dzwoniła do ciebie ostatnio?

Patrzy na powiększającą się plamę krwi na śniegu i zaczyna cicho jęczeć.

– Jezu, nie. Coś jeszcze? Oddaj mi broń.

– Broń to nie zabawka dla dzieci – mówię, cofając się jeszcze o kilka kroków. – Wiesz, gdzie jest Bonnie?

– Nie jestem dzieckiem – odpowiada płacząco. – Zawieź mnie do lekarza.

– Gdzie jest Bonnie? – pytam ponownie. – Pomogę ci, ale najpierw ty musisz pomóc mnie.

– Dobra, a co tam. Jest... – Nagle milknie i zerka przez ramię. Pewnie chce zyskać na czasie, ale po chwili i ja słyszę ten dźwięk. Odgłos kroków na zbitym, zamrażającym śniegu.

Mamy towarzystwo.

Przyciągam do siebie Tommy'ego.

– Oddaj mi... – zaczyna, próbując się odsunąć, ale nie pozwalam mu skończyć.

– Umówiłeś się z kimś? – szepczę mu prosto do ucha.

– Nie, ale przychodzi tu mnóstwo ludzi – odpowiada cicho. Bystry chłopak, szybko wszystko łapie. – Niekoniecznie jak jest tak zimno. Rano przychodzą głównie ludzie z psami.

No tak, ale już minęło południe. Wprowadzam go głębiej w las, byle dalej od widocznych na śniegu naszych śladów. Zauważył, w jaki sposób trzymam broń, i pyta:

– Umiesz strzelać?

Jasne, ale nie zamierzam go o tym informować. Kładę palec na ustach, nakazując milczenie. Po głowie błąka mi się szalona myśl, że może obudziliśmy głodnego niedźwiedzia, ale to oczywisty absurd. Jeżeli idzie za nami zwierzak, to chyba tylko wychudzony wilk. Niedobrze, mamy tylko jeden pistolet, a wokół żadnych ludzi, którzy mogliby pomóc.

Północnoamerykańskie wilki szare potrafią osiągnąć prędkość około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. To o wiele szybciej niż najszybszy olimpijski rekordzista. Jakie szanse ma zniszczona życiem kobieta w średnim wieku i odważny, ale niezbyt rozsądny nastolatek? Zwłaszcza że musielibyśmy biec wśród drzew i przez głęboki śnieg. Owszem, mogę strzelić do biegnącego wilka, o ile wiem, z której strony mnie zaatakuje.

– Oprócz mnie depczą ci po piętach jeszcze jacyś faceci, tak? – pytam szeptem.

– Tak. Zauważyłem ich przed szkołą i domem mamy. Nie próbowali ze mną rozmawiać, tylko obserwowali. Myślałem, że to fagas mamy naraził się jakimś gościom. Był kiedyś w gangu motocyklowym.

– Kimkolwiek są, teraz prawdopodobnie posuną się do czegoś więcej niż obserwacja.

Tommy trąca mnie w ramię i pokazuje wąską przecinkę. Stroma ścieżka jest częściowo zakryta rozłożystymi drzewami.

– Tędy można dojść do szosy – mówi.

Kiedy zbliżamy się do ścieżki, na śniegu pojawia się wiązka czerwonego światła. Zatrzymuje się na gałęzi tuż nad moją głową. Uskakuję w bok, słyszę świst powietrza, a potem obsypują mnie kawałki odłupanej kory.

– Ożeż! – krzyczy Tommy, zatrzymuje się i patrzy przerażony na dziurę w pniu drzewa. Pociągam go głębiej w las. – Co to za faceci? Myśliwi?

Intuicja mi podpowiada, że to nie myśliwi, którzy przyszli sobie postrzelać, a przy okazji może upolować coś smacznego na kolację. Do diabła, przecież nie wyglądam jak zagubiony jelonek, Tommy też nie wygląda jak zwierzyna łowna. Popycham chłopaka do przodu i biegnę za nim. Już nie próbujemy zachowywać się cicho ani nie sprawdzamy, co się dzieje za naszymi plecami. Co za różnica, kto nas goni, skoro z pewnością nie ma dobrych zamiarów? Szpaler drzew wzdłuż ścieżki bardzo się przerzedza, ale Tommy wskazuje inną dróżkę, węższą i gęsto porośniętą. Kiedy wszystko wokół kwitnie i wypuszcza liście, trudno tędy przejść, teraz nie musimy się przez nic przedzierać, jednak zarazem jesteśmy o wiele bardziej widoczni.

Imponuje mi kondycja Tommy'ego, naprawdę jestem pod wrażeniem. Ja już rzęzę jak astmatyk, do dalszego biegu zmusza mnie jedynie krążąca w krwiobiegu adrenalina, a on się nawet nie zasapał. Ostre i przenikliwie zimne powietrze prawie

rozrywa mi płuca. Jeżeli właśnie na tym polega dobroczynne działanie spacerów pośród cudów przyrody, wolę do końca życia wdychać spaliny. Jezu, zaraz tu zejść na zawał.

Tommy zatrzymuje się gwałtownie przy oszronionych krzewach jeżyn. Patrzę na kolczaste gałęzie i modlę się w duchu, by nie kazał mi się przez nie przedzierać. Ale on opada na kolana i zaczyna kopać. Trudno usunąć tak mocno zmarznięty śnieg, tracimy cenny czas. Już mam to powiedzieć, gdy szepcze:

– Zasypało ścieżkę, pomóż mi kopać, szybko.

Kłękam obok niego i zaczynam odgarniać śnieg, oboje pewnie wyglądamy jak szaleńcy. Wkrótce wąziutkim tunelem przedostajemy się do szerszej drogi. Słyszę świst kuli przelatującej tuż obok mojej głowy. Popycham Tommy'ego do przodu, a sama niezdarnie wstaję z klęczek. Przez chwilę chwięję się na boki, noga ze spuchniętą kostką podłamuje się pod moim ciężarem, ale udaje mi się zachować równowagę. Na razie nie czuję zimna, ze wszystkich sił próbuję zwiększyć dystans między mną a prześladowcami. Z tego miejsca mam bliżej do pikapa Tommy'ego, ale to gruchot. Między naszymi samochodami stoi czarny SUV, niestety nie widzę, czy ktoś siedzi w środku. Unoszę pistolet i strzelam w tylną oponę samochodu, tak na wszelki wypadek. Chyba nie mamy zapasowych naboji, ale trudno, chwilowo nic na to nie poradzę.

– Wsiadaj – wrzeszczę do Tommy'ego, który patrzy na mnie tak zszokowany, jakby nagle wyrosły mi na plecach anielskie skrzydła. Cóż, byłoby miło stąd odlecieć, może w innym życiu. Wskakuję do SUV-a Davida, Tommy wreszcie przestaje się na mnie gapić i siada na sąsiednim fotelu. Kiedy odjeżdżamy, w karoserię z tyłu samochodu trafiają dwie kule.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Za szybami samochodu przepływają z oszłamiającą prędkością kolejne zaśnieżone drzewa. Dopiero gdy wjeżdżamy na autostradę, Tommy dochodzi do siebie po przygodzie, która mogła być ostatnią w jego życiu, i odzyskuje głos.

– Kim, do diabła, jesteś? – pyta.

– Już mówiłam, jestem...

– Matka Bonnie ma rude włosy. Raz ją widziałem, kiedy podrzuciła Bonnie do Metrotown. – Przez chwilę przypatruje mi się uważnie. – Zaraz... jesteś jej biologiczną matką?

– Tak.

Sypie coraz gęstszy śnieg. Jadę tak prędko, jak tylko dam radę. Jestem zdołowana, bo dzisiaj dwukrotnie do mnie strzelano. Najpierw Tommy oddał w moim kierunku strzał ostrzegawczy, a potem ci faceci w lesie potraktowali mnie jak zwierzynę łowną. Z minuty na minutę pogarszają się warunki jazdy, nawet napęd na cztery koła nie pomaga. Wkrótce autostrada będzie nieprzejezdna.

– Gdzie nauczyłaś się tak dobrze strzelać?

– Nieważne.

– Dla mnie ważne. Trafiłaś w oponę z odległości stu metrów, a nawet się nie zatrzymałaś, żeby porządnie wycelować.

– Wycelowałam.

– Tak potrafią strzelać tylko... zawodowcy.

– Słuchaj, pogadamy o tym później, dobra? Szukam Bonnie, skupmy się na tej sprawie. Przyjechała cię odwiedzić?

Milczy, zastanawia się, ile mi powiedzieć.

– To z jej powodu ci faceci mnie śledzą? Co takiego zrobiła? Znam ją, sama nie wpakowałaby się w tak poważne kłopoty. To pewnie sprawka Mandy, jej najlepszej przyjaciółki.

Zerkam na niego ukradkiem. Trzęsie się z zimna, musi mieć kompletnie przemoczone buty, jego dłonie przypominają sinoczerwone ochłapy mięsa.

– Nie, to na pewno nie dotyczy Mandy – mówię. – Właściwie w ogóle nie mam pojęcia, o co w tej sprawie chodzi, wiem tylko, że Bonnie uciekła z domu, a ci faceci jej szukają.

– No ale ma kłopoty, tak?

– Tak podejrzewam. – Waham się przez chwilę. Nie chcę go przestraszyć, ale jeśli skłamię, od razu to wyczuje, dzieciaki są w te klocki najlepsze, dopiero z biegiem lat tracą wrodzoną zdolność odróżniania prawdy od kłamstwa. – Wiesz, dlaczego uciekła? – pytam i patrzę w lusterko wsteczne. Nie widzę czarnego SUV-a, przynajmniej na razie za nami nie jedzie. Gdybym się tak nie śpieszyła,

przestrzeliłabym drugą oponę, bo jedną szybko wymienią, na pewno mają w bagażniku zapasowe koło. Ile im to zajmie? Kilkanaście minut?

– Ostatnio kiepsko się dogadywała z rodzicami. Odkryła, że matka zdradza ojca, a on nie ma o tym pojęcia. Jej ojciec dużo pracuje, prawie nigdy nie ma go w domu. A w domu trwała wojna podjazdowa, jej starzy naprawdę się nienawidzą. Bonnie doszła do wniosku, że matka jej też nie znosi, bo bez przerwy o coś się czepia. To znaczy ta druga matka, wiesz...

Autostrada przechodzi w jednopasmówkę, na krętej drodze widzę z przodu samochód wyłaniający się zza kolejnego zakrętu, który traci przyczepność i staje. Cholera. Próbuję mówić normalnym głosem i opanować rozedrgane nerwy, ale wciąż jestem zbyt podminowana. Z powodu fatalnych warunków straciliśmy stanowczo za dużo czasu, a teraz jeszcze być może utkniemy na zatarasowanej szosie.

– Przyjechała do ciebie, do tego miasteczka? – pytam.

– Tak planowała, ale nie pojawiła się. Dziwne, bo chciała mi powiedzieć coś ważnego. Pomyślałem...

– Że jest w ciąży?

Policzki Tommy'ego stają się czerwone jak dojrzałe pomidory.

– Tak pomyślałem, ale zawsze używaliśmy... no wiesz...

– Wiem.

– Kiedy się nie pojawiła, zorientowałem się, że to pewnie był fałszywy alarm i zrobiło się jej głupio.

– Nawet do ciebie nie dzwoniła?

– Nie, dostałem tylko SMS-a od Mandy z informacją o zaginięciu Bonnie. Podobno jej rodzice odchodzą od zmysłów. Nie za bardzo się przejąłem, bo Mandy zawsze przesadza, robi wszystko, byle zwrócić na siebie uwagę. Jezu, o co tu chodzi? Dlaczego ci faceci do nas strzelali?

Samochód, który rozkraczył się przed nami, zjeżdża na bok, więc szosa znów jest dwupasmowa. Wykorzystuję to i cisnęę gaz do dechy. Jest poniżej zera, śnieg przymarza do asfaltu, ślisko jak diabli.

– Nie wiem, ale lepiej się nie wychylaj, Tommy. – Patrzę mu prosto w oczy.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Jasne, nie musisz mi dwa razy powtarzać. Co prawda mierzyłem do ciebie z broni, która należy do faceta mojej matki, ale nie umiem strzelać. Może mnie nauczysz?

Nawija jak nakręcony, ale nie dociera do mnie sens jego słów. Ktoś siedzi nam na ogonie, nie mam co do tego wątpliwości. Owszem, czarny SUV trzyma się trzy samochody za nami, ale i tak go wypatrzyłam. Nawet biorąc pod uwagę fatalne warunki na drodze i wlokące się przede mną samochody, których nie mam jak wyprzedzić, dogonili nas za szybko. W takim tempie daliby radę zmienić oponę

wyłącznie mechanicy zatrudnieni przy wyścigach Formuły1, i to pod karą chłosty.

Czuję, jak mój strach rośnie, pęcznieje i nadyma się do niebotycznych rozmiarów.

SUV wcale się nie ukrywa, siedzący w nim ludzie chcą, bym ich zauważyła. Zależy im, żebym się bała, bo panika jest złym doradcą i w końcu popełnię błąd. Zbliża się kolejny zjazd, samochody między mną a SUV-em skręcają, teraz na szosie jesteśmy tylko ja i moi prześladowcy.

– Czy to oni? – pyta przestraszony Tommy, a jego głos przywraca mnie do rzeczywistości. – Przecież przestreliliś im oponę.

– Mają specjalne, tak zwane *run flat*, na tej przestrzelonej mogą jeszcze przejechać około osiemdziesięciu kilometrów. Takie same są w wozach opancerzonych i w niektórych wysokiej klasy samochodach.

– Kurwa mać!

– Skup się i uważnie słuchaj, bo mamy mało czasu. Kiedy zwolnię i każę ci skakać, nie zadawaj pytań, tylko skacz. Okej?

– O czym ty, do cholery, mówisz? – Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Słuchaj, co do ciebie mówię! Długo nie będzie żadnego zjazdu, a zaraz zaczną się serpentyny, więc nie mogę jechać szybciej, zaraz mnie dogonią. Kiedy mnie złapią, muszę być sama. To niebezpieczni ludzie, strzelali do nas. Rób, co każę, a wyjdiesz z tego cało. Rozumiesz?

Kręci głową, ale wiem, że mnie posłucha.

– Kiedy zwolnię, otwórz drzwi, skocz, zwiń się i zacznij turlać. Leż skulony na poboczu, dopóki nie usłyszysz, że cię minęli, a potem najszybciej jak potrafisz, uciekaj w przeciwnym kierunku.

– Z powrotem do miasta?

– Gdziekolwiek. Wyrzuć baterię z komórki, pożycz od kogoś telefon albo ukradnij. Nie dzwoń do mamy, tylko do jej chłopaka i poproś, żeby po ciebie przyjechał. Spakuj się i wyjedź z miasta. Mówiłeś, że facet twojej matki ma dużo znajomych ze starych czasów, tak? – Kiedy przytakuje, kontynuuje: – Poproś go o pomoc, przynajmniej na kilka tygodni znajdź dobrą kryjówkę. Nie mam pojęcia, czy będą cię szukać, ale przygotuj się na najgorsze.

– A co ze szkołą?

– Chyba i tak nie jesteś prymusem, prawda? – śmieję się.

– Co się dzieje? O co chodzi? – pyta nieskładnie coraz bardziej wystraszony.

– Ci ludzie szukają Bonnie i trochę im się znudziła sama obserwacja, która zresztą nie doprowadziła ich do żadnych cennych informacji. Nie musisz wiedzieć więcej, tyle wystarczy.

– Czy ona... żyje?

– Nie mam pojęcia, ale znajdę ją bez względu na wszystko – obiecuję

zaskoczona, że wcale nie kłamię. To musiało się tak skończyć, zaczęło mi zależeć. Właśnie na to liczył Everett Walsh, kiedy do mnie zadzwonił.

Tuż przed nami wyrasta spora góra, kręta droga pnie się coraz wyżej. Przyśpieszam i łagodnie wchodzę w pierwszy zakręt. Samochód przechyla się lekko na wirażu, czarny SUV na chwilę niknie mi z oczu. Przed kolejnym zakrętem maksymalnie zwalniam.

– Teraz! – Lekko popycham Tommy'ego.

Gdy chłopak ląduje na śniegu, zerkam na niego w lusterku wstecznym, by się upewnić, że doturlał się na pobocze, dopiero potem mocno przyśpieszam. Drzwi po stronie pasażera są wciąż otwarte, szarpane porywami wiatru, przy którymś szczególnie mocnym podmuchu zatrzasują się z hukiem. Nie są dobrze zamknięte, o czym informuje mnie mrugająca na czerwono kontrolka, ale dobre i to. Ci, którzy mnie gonią, nie będą mieli pewności, czy ktoś był ze mną w samochodzie.

Jadę dalej, wciąż bardzo spięta, zerkając często w lusterko wsteczne. Uspokajam się, kiedy wreszcie dostrzegam z tyłu czarnego SUV-a. Świetnie, Tommy nie jest bez szans. Nie mogę przyśpieszyć, bo na górskiej drodze jest mnóstwo zakrętów i mało względnie prostych odcinków. Na jednym z nich czarny SUV wyraźnie przyśpiesza. Widzę w lusterku wstecznym błysk metalu i nagle mój samochód zaczyna tańczyć na śliskiej nawierzchni. Cholera, przestrelili mi oponę. Chwytam kurczowo kierownicę, próbuję hamować, ale rozpedzony samochód mnie nie słucha, koła zaczynają buksować. Czarny SUV mnie dogonił, niemal siedzi mi na bagażniku. Droga jest zdradliwie wąska, teraz to dwukierunkowa jednopasmówka.

Pojawia się kolejny zakręt, ale zanim dałam radę chociaż na sekundę zniknąć, słyszę strzał. Druga opona mojego samochodu pęka z hukiem. Wiem, że moja podróż zaraz dobiegnie końca. Kimkolwiek jest strzelec, radzi sobie z bronią o wiele lepiej niż ten z lasu. Najrozsądniej byłoby zatrzymać samochód, wywiesić białą flagę i zdać się łaskę facetów, którzy wypowiedzieli mi wojnę. To jednak zupełnie nie w moim stylu. Po pierwsze, chyba nigdy w życiu nie miałam nic białego. Poza tym wątpię, by okazali mi jakąkolwiek łaskę. Skoro przestrelili dwie opony, chodzi o coś więcej niż zadanie kilku pytań. Podczas porywistego wiatru, bez trudu mogą zepchnąć mnie z tej oblodzonej drogi. I zaraz to pewnie zrobią, bo wcale już nie chcą ze mną gadać. Za późno na białą flagę. Dlatego zamiast zwolnić, najpierw przyśpieszam tuż przed następnym zakrętem, a potem zwalniam i robię dokładnie to, co kazałam zrobić Tommy'emu.

Lodowate powietrze smaga mnie po twarzy, brakuje mi powietrza, bo w ustach mam pełno śniegu. Ból w skręconej przed tygodniem kostce staje się nie do zniesienia. Nowiutki SUV Davida z upiornym zgrzytem przelatuje przez przydrożną barierkę i leci prosto w przepaść. Wypuszczam z dłoni rewolwer, który

pięknym długim ślizgiem podąża za samochodem. Po chwili rozlega się głośny wybuch.

Leżę tuż za niewielką zaspą pomiędzy szosą a barierką ochronną, odczuwając się dalej i chowam w większej zaspie. Dosłownie sekundę później czarny SUV się zatrzymuje i ktoś otwiera drzwi.

Kulę się jeszcze bardziej, przemarznięta i przemoczona, boję się nawet oddychać, bo przecież może mnie zdradzić obłoczek pary. W zasięgu wzroku pojawiają się nogi w ciężkich buciorach. Podchodzą do barierki w miejscu, z którego rozpoczął ostatnią podróż mój samochód.

– Kurwa! – krzyczy mężczyzna. – Co za pieprzona suka. To ona była w lesie z tym dzieciakiem? I włąła się do naszej firmy, tak? Jesteś pewien?

Po krótkiej chwili ciszy rozlega się głos, który prześladowuje mnie w snach.

– Jestem pewien – mówi tak obojętnym, wypranym z emocji tonem, jakby wcale się nie zdenerwował, jakby przywykł do zabijania kobiet i dzieci, a dzisiaj po prostu miał pecha. Bywa, to nic wielkiego. – Jedźmy już.

– Nie chcesz sprawdzić, czy przeżyła i co z dzieciakiem?

– Nie, nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Lepiej, żeby nikt nas tu nie widział. Będziemy trzymać rękę na pulsie i spokojnie poczekamy na informacje.

Wsiadają do samochodu, a ja leżę jeszcze chwilę, i dopiero gdy przestaję słyszeć pomruk silnika, wygrzebuję się spod śniegu. Staję na drżących nogach i rozglądam się wokół. Szosa jest kompletnie pusta, nie ma szans na podwózkę. Tak mocno szcękam zębami, że zaraz pewnie przegryzę sobie język, a chwilę potem umrę z wychłodzenia. Wchodzę na szosę i ruszam przed siebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po tym, jak próbowano mnie zabić, moje myśli krążą w głowie z oszalamiającą prędkością, bez chwili wytchnienia. Co takiego odkryłam lub mogłam jeszcze odkryć podczas poszukiwań zaginionej nastolatki, że warto mnie raz na zawsze uciszyć? Narkotyki, seks i alkohol to spirala, po której staczała się Bonnie. Uciekła z domu, bo chciała być z chłopakiem, a nie dlatego, że zaczęła się nią interesować firma ochroniarska stosująca metody typowe dla najemników. Składałam kawałek do kawałka, łączę strzępy informacji i uzyskuję coraz wyraźniejszy i pełniejszy obraz. A im więcej widzę, tym mniej mi się to podoba. Bonnie jest w niebezpieczeństwie.

Przez kilka godzin kręcę się w pobliżu Kelowny, czekam, aż tutejsze służby uprzątną miejsce po wypadku. Już wiadomo, że w rozbitym samochodzie nie było kierowcy, żadnych zakrwawionych i zmasakrowanych zwłok na fotelu kierowcy ani na pobliskich skałach. Dzwonię do Seba. Ludzie z WIN Security to fachowcy, więc na pewno założyli podsłuch w naszej firmie, dlatego mówię, że jestem w szpitalu, ale nie mogę powiedzieć gdzie. Jestem ranna, więc niestety wrócę później, niż obiecałam. Kiedy Seb już trochę dochodzi do siebie, zaczyna w krótkich przerwach między przekleństwami pytać, gdzie do diabła jestem i czy ma po mnie przyjechać. Odpowiadam, że na zachodzie, potem się rozłączam i wyjmuję baterię z komórki.

Oby znów zaczęli mnie szukać. Im więcej czasu zmarnują na mnie, tym mniej im zostanie na Bonnie.

O ile ona jeszcze żyje.

Stary husky wyje żałośnie, gdy odjeżdżam spod kliniki i schroniska dla zwierząt starą hondą, którą ukradłam z pobliskiego parkingu. Pies uznał mnie za swoją nową panią i dreptał za mną po całej zamkniętej do poniedziałku klinice, ale przecież nie mogę go zabrać. Zostawiłam mu wodę i karmę, gdy po weekendzie ludzie wrócą do pracy, na pewno się nim zajmą. W szufladzie jednego z biurków znalazłam zapasowe klucze do hondy, można powiedzieć, że tym razem dopisało mi szczęście.

W zasadzie nie okłamałam Seba. Byłam w szpitalu i na zachodzie. Z tym że zachód to oczywiście względne i bardzo ogólne pojęcie, ale po co mieszać Sebowi w głowie.

Myślę o czekającej mnie drodze i jakoś nie umiem się cieszyć, że bardzo długo będę wdychać świeże powietrze i cieszyć oczy piękną przyrodą. Pochmurne deszczowe dni i przesiąknięte wilgocią ulice to być może nie najlepsze warunki do życia, ale tutaj jeszcze bardziej mi się nie podoba. Stanowczo za dużo śniegu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bonnie, nazywa się Bonnie.

Wymawia imię kilka razy cicho i chrapliwie, jej głos w tym miejscu brzmi dziwnie i obco. Od kiedy tu jest, nie słyszała innego ludzkiego głosu, wśród liści rozlegają się tylko głośnie nawoływania ptaków. Ze znalezionych gałęzi zbudowała prowizoryczny szałas, dzięki czemu przestała tak bardzo bać się dzikich zwierząt. Wie, że to niedostateczna ochrona, ot, sterta zwykłych patyków, przez które łatwo dostać się do środka. Jednak w tej kryjówce, tuż obok strumienia, w którym może ugasić pragnienie, czuje się w miarę bezpieczna. Wie, że każdy zwierzak ją tu z łatwością wywęszy, jednak jest szansa, że nie znajdzie jej tu żaden człowiek.

Tęskni za matką i ojcem, ale rodzice nawet nie wiedzą, gdzie jej szukać. Kiedy rozmawiała z nimi tuż przed uciezką, okłamała ich. Pamięta, że nawet nie pożegnała się z mamą, na którą ostatnio zaczęła mówić Lynn. Tego ranka Lynn siedziała w kuchni, popijając kawę, i czekała na Bonnie. Na blacie stał talerz z gorącymi naleśnikami. Kiedy Bonnie jadła śniadanie, milczały, ale gdy Bonnie wstawiała talerz do zmywarki, czuła na plecach wzrok Lynn. Normalka, Lynn na ogół obserwowała córkę ukradkiem, dlatego kiedy Bonnie się odwróciła, szybko umknęła wzrokiem. Od ponad roku nie była w stanie spojrzeć córce prosto w oczy.

Ale Bonnie wie, że ma jeszcze inną mamę. Gdy skończyła dwanaście lat, napisała do niej list, niestety nie miała pojęcia, na jaki adres go wysłać. Długo nad tym myślała, ważyła każde słowo, nawet po latach może wyrecytować go z pamięci. Później wyrzuciła list do śmieci, jak wszystkie kolejne, ale nie zapomniała, co w nim było.

Kochana Mamo,

wiem, że mnie nie znasz. Nazywam się Bronwyn, ale możesz mówić do mnie Bonnie. Lubię muzykę i sport. Moi rodzice, ci, u których mieszkam, nazywają się Everett i Lynn. Nie są tacy źli, tylko w ogóle mnie nie rozumieją. Nic nie rozumieją. Kiedy gdzieś razem idziemy, wszyscy się na nas gapią, dlatego nie lubię nigdzie z nimi chodzić. Nie znoszę tych wlepionych we mnie oczu.

Nigdy mnie nie szukałaś, ale ja próbowałam Cię znaleźć. Nie wiem, dlaczego mnie oddałaś, wierzę, że musiałaś mieć ważny powód i nie mogłaś postąpić inaczej.

Nie mam Ci tego za złe, naprawdę, ale bardzo chciałabym z Tobą pogadać.

Twoja córka

Bronwyn (Bonnie)

Po namyśle dopisała na górze adres mejlowy i numer komórki. Tak na wszelki wypadek.

Teraz jest zadowolona, że wyrzuciła list do kosza. Stek bzdur i kłamstw, tak to wygląda. Nigdy tak naprawdę nie lubiła muzyki i sportu, no i oczywiście była

wściekła na biologiczną matkę, ale to chyba naturalne, każdy w jej sytuacji czułby to samo. Jak można oddać dziecko? Tylko Tommy ją rozumiał, bo wychowywał się właściwie bez ojca. Jego rodzice się rozstali, kiedy był bardzo mały. Tylko że Tommy jest teraz daleko, zupełnie jakby żyli na dwóch różnych planetach.

Zamyka oczy i wkrótce zasypia. Skulona, z policzkiem przyciśniętym do ziemi, nie słyszy cichych kroków, które zbliżają się do jej kryjówki. Nie widzi człowieka, który wpatruje się w wejście do jej szałas, a potem na palcach odchodzi i wyjmuję z kieszeni komórkę.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nieprzyzwoicie bogaci ludzie prowadzą życie pozbawione wielu trosk nękających biedaków.

Na przykład w każdym wypasionym ośrodku narciarskim, gdzie oczekuje się gości z wypchanym portfelem, możesz podjechać odpicowanym bugatti aż pod wejście do hotelu. Dajesz napiwek chłopakowi, który parkuje twoje cudo na czterech kółkach i idziesz do pokoju, by napić się czegoś gorącego, zanim zaczniesz szusować po stokach. Jednak takie ośrodki są tylko dla zwykłych milionerów, dla miliarderów to byłoby zbyt banalne. Oni przede wszystkim wyszukują takie ośrodki, które mają w nazwie słowo „szałas”. Można się tam dostać jedynie prywatnym samolotem lub jeżeli ktoś woli podróżować samochodem, szofer dowozi gościa do określonego miejsca, skąd odbiera go samochód należący do hotelu. Nie dojedziesz do ośrodka swoim bugatti, bo droga jest pilnie strzeżona, dostępna jedynie dla pługów śnieżnych i pojazdów personelu hotelowego, który jest zazwyczaj rekrutowany w pobliskich miasteczkach. Jedyne, co można by zrobić, żeby jeszcze bardziej utrudnić dojazd zwykłym śmiertelnikom, to wykopać fosę, w której pokazowo gniłyby trupy śmiałków, którzy mimo wszystko próbowali szczęścia.

Poobijana i przemarznięta zatrzymuję się w małym miasteczku w pobliżu ośrodka. Potworny ból rozsadza mi czaszkę, opuchlizna z kostki pewnie już nigdy nie ustąpi, przy skoku z jadącego samochodu poobcierałam sobie dłoń i ramiona. W moich ciuchach jakoś bym przeżyła w wilgotnym Vancouver, ale tutejsza okolica szczyli się największymi i najczęstszymi opadami śniegu w kraju. Kurtka właściwie przymarzła do ciała, w każdym razie ani trochę nie chroni przed lodowatym wiatrem.

Parkuję hondę przed barem między samochodem osobowym a pikapem. Trzęsę się jak osika, ale dzielnie docieram do drzwi baru. Kiedy wchodzę do środka, w sali robi się cicho jak makiem zasiał. Kobieta za ladą przestaje parzyć kawę, a dwóch mężczyzn w średnim wieku obraca się na krzesłach, by mnie lepiej widzieć. Są w grubych kurtkach i nieprzemakalnych ocieplanych spodniach, a kobieta ma na sobie gruby czerwony sweter.

– To ty jesteś tą nową sprzątaczką? – pyta jeden z mężczyzn, wstając od stołu. – Będiesz miała co robić, ostatnio w hotelu była niezła popijawa.

– Ja... – Owszem, próbuję przytaknąć, ale jestem w tak kiepskim stanie, że stoję jak zamurowana i charczę niezrozumiale.

Jednak mężczyzna uznaje to za potwierdzenie i mówi zdziwiony:

– Zazwyczaj przyjmują babki z większym... – Milknie bezradnie, prosząc wzrokiem o pomoc kobietę za ladą.

– Z większymi cyckami? – odpowiada usłużnie.
– Z dłuższymi włosami? – wtrąca równie usłużnie drugi facet.
– Długowłose i cycate? – zdobywam się na podsumowanie, bo już jest mi trochę cieplej i struny głosowe znów zaczęły mnie słuchać.

Mężczyzna przestępuje z nogi na nogę i mruczy coś niezrozumiale.

– Co powiedziałaś? – pytam głośno. – Nie dosłyszałam.

– Mówiłem, że mogę cię podwieźć do ośrodka, jestem tam kierownikiem nocnej zmiany. Nie dojedziesz tam tą hondą, paniusiu, nie na tych łysych oponach.
– Przez chwilę patrzy na parking. – Co za pomysł, żeby pchać się w góry takim gratem. Kompletny brak wyobraźni. A tak na marginesie, to mam na imię Carl.

Uznaję tę wypowiedź za rodzaj przeprosin za grubiańskie komentarze na temat moich cycków i włosów. Cóż, Carl też nie wygląda jak model.

– Nie przejmuj się, kotku – mówi kobieta za ladą. – Carl ma niewyparzoną gębę, nikt nie traktuje serio jego gadaniny. Naprawdę chętnie cię podwiezie.

– Zostaw tutaj hondę, nie ryzykuj – dodaje drugi mężczyzna.

– Nie zabijesz mnie po drodze i nie wrzucisz w zaspę, prawda? – pytam Carla.

Carl, dzięki ci, Boże, za jego prostolinijność, czerwienieje jak burak i krzyczy:

– Jasne, że nie! No co ty – odpowiada natychmiast, co utwierdza mnie w przekonaniu, że nie kłamie. Nie miał czasu nic wymyślić, zareagował instynktownie i żywiołowo. A zresztą nawet gdyby miał złe intencje, i tak bym z nim pojechała. W górskim ośrodku jest ważniak, który może coś wiedzieć o losie Bonnie, mam też nadzieję, że mi powie, dlaczego tak bardzo interesuje się nią WIN Security.

– Carl miałby kogoś zabić i wyrzucić ciało? – Kobieta za ladą zachichotała. Śmiech przez chwilę wstrząsa jej ciałem, platynowe pukle na głowie komicznie podrygują, ale po chwili wzdycha i wraca do czyszczenia blatu.

– Pora jechać. – Carl dopija kawę i rusza do drzwi. – Lucy z kadr mówiła, że nie zdążysz dziś dotrzeć, ale na wszelki wypadek postanowiłem tu poczekać.

Parkuję hondę na tyłach budynku i wsiadam do starego pikapa Carla załadowanego choinkami. Jedziemy w stronę gór w kompletnej ciszy. Milczący towarzysz podróży to moja ulubiona bajka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Carl wcale nie przesadzał, kiedy wątpił, bym dojechała do ośrodka starą hondą. Już na autostradzie miałam olbrzymie kłopoty, a na tej bocznej drodze walczyłabym o życie. Przynajmniej tak podejrzewam, ponieważ widoczność nie przekracza kilkunastu metrów. Ale nawet to, co udaje mi się zobaczyć, zapiera dech w piersiach. Co chwila ściskam kurczowo podłokietniki przekonana, że zaraz spadniemy w przepaść.

Milczenie Carla wydaje się jak najbardziej na miejscu, bo komu chciałoby się gadać podczas jazdy oblodzonymi górskimi serpentynami. Jakby tego było mało, zaczyna znowu padać śnieg. Widzimy tylko ten kawałek drogi, który oświetlają nasze światła. Carl włącza stację z muzyką country i zaczyna pomrukiwać, niestety niezbyt melodyjnie, a ja zaczynam się w duchu modlić o szczęśliwe zakończenie podróży. Wiem, zawracanie Bogu głowy tylko wtedy, gdy jesteśmy w opałach, jest przejawem skrajnego egoizmu, dlatego z ulgą przerywam rozmowę ze Stwórcą i oddycham z podobną ulgą, kiedy wyrasta przed nami budynek tak mocno oświetlony, że wyraźnie widać otaczającą go dolinę. Carl parkuje przy tylnym wejściu.

Nie mam pojęcia, która jest godzina. Może późne popołudnie, może środek nocy, trudno powiedzieć.

Głos Carla wyrywa mnie z zamyślenia.

– Pięć sprzątaczek pracuje na dziennej zmianie, dwie na nocnej. Maria brała tylko zastępstwa, gdy ktoś zachorował, ale w zeszłym tygodniu złożyła wymówienie. Trudno znaleźć ludzi do pracy na takim odludziu. Większość mieszka w służbowych kwaterach lub wynajmuje coś w pobliskich miasteczkach. Ja marnuję na dojazdy w obie strony około czterech godzin. Prawie nigdy nie ma mnie w domu, żona jest coraz bardziej niezadowolona. Masz wszystkie wymagane dokumenty?

Kiwam głową i wysiadam z samochodu. Walcząc z podmuchami lodowatego wiatru, człapię do służbowego wejścia.

– Będzie dobrze, przyzwyczaisz się – rzuca Carl, gdy już jesteśmy w środku.
– Chodźmy – dodaje, widząc, że wciąż stoję bez ruchu oszołomiona nagłym ciepłem. Potrzebuję sekundy, by odtajać.

Zmuszam się do wykonania pierwszego kroku, potem następnych. Stopy nie chcą współpracować z mięśniami nóg, obolałymi po ostatnich kaskaderskich wyczynach.

– Lucy, nasza kadrowa, wzięła dzisiaj wolne, ale ja też mogę ci wydać uniform i kartę hotelową – mówi dalej. – Zgłoś się do niej rano z papierami, jak skończysz nocną zmianę. Zazwyczaj nowi nie zaczynają od nocek, ale teraz jest

więcej roboty, bo korporacyjna góra wynajęła cały hotel.

– Korporacyjna góra? – powtarzam, gdy kierujemy się do małego pomieszczenia służbowego na końcu bardzo długiego korytarza.

– Taa... Szykują jakiś zjazd, sami ważniacy. Zarezerwowali wszystkie pokoje, pewnie żeby wyłudzić promocyjną cenę, chociaż tak naprawdę to nie jest taki duży hotel. U nas zawsze mieszkają same VIP-y, ale teraz to poważniejsza sprawa. Dyrekcja wyłazi ze skóry, żeby wszystko było zapięte na ostatni guzik. Na lądowisku na dachu był większy ruch niż w niejednym porcie lotniczym. Wszystkie szychy przyleciały z goryłami, to naprawdę rzadkość. – Od kiedy wysiedliśmy z pikapa, Carl trajkocze jak najęty, choć widać, że ta nadprogramowa aktywność go męczy. Grzebie w szafie i po chwili podaje mi czarne spodnie i czarną koszulkę z wyszytym monogramem. – Łazienki są po drugiej stronie korytarza. Doprowadź się do porządku i przyjdź do biura po klucz. To twój cały bagaż? – pyta, wskazując na plecak.

– Tak.

– W takim razie zostaw go tutaj, nie ma sensu iść na kwaterę, szkoda czasu. Zmiana zaczyna się za dziesięć minut. I... hm, wszystkie kobiety muszą mieć porządnie związane lub upięte włosy. – Ostatnie zdanie wypowiada, patrząc na moje lewe ramię.

Minutę później spoglądam na swoje odbicie w łazienkowym lustrze i rozumiem, dlaczego Carl wydawał się zakłopotany. Z jednej strony mam kilka przylizanych strąków, za to z drugiej bardzo rozbudowane wronie gniazdo, z którego tu i ówdzie sterczą cienkie kosmyki przypominające szczurze ogony. No tak, bywało lepiej, i nie każdy fryzjer potrafiłby z tego wyczarować w miarę porządną fryzurę. Dziesięć minut zajmuje mi upięcie niezbyt imponującego koczka, potem myję się w umywalce i sięgam po dezodorant. Każda dziewczyna wie, że dezodorantu nigdy za wiele. Wkładam służbowy uniform z ciepłego i miłego w dotyku materiału. Z całą pewnością jest ładniejszy od ciuchów, które noszę na co dzień. Trudno będzie mi się z nim rozstać, dlatego gdy to wszystko już się zakończy, z pewnością go zabiorę.

Wracam do biura, gdzie czeka na mnie Carl, też już w służbowym uniformie. Zauważył, że kuleję i mam nienaturalnie sztywne ramiona, ale nie komentuje tego, jest zbyt dobrze wychowany. Nietrudno jednak zgadnąć, co myśli. Kadrowa musiała być naprawdę zdesperowana, skoro zatrudniła kogoś takiego jak ja. Jej sprawa, Carl nie odpowiada za zatrudnienie, tym łatwiej więc przechodzi nad sprawą do porządku dziennego. Wręcza mi elektroniczny klucz i oprowadza po budynku. Rozpaczynam wycieczkę po najbardziej luksusowym szafasie po tej stronie Pacyfiku. Wysokie sufity, łukowe sklepienia, dużo drewna, okna na całą ścianę, z których rozpościera się zapierający w piersiach widok na dolinę i góry. Przechodzimy przez lobby, mijamy kolejne pokoje, łazienki i kuchnie. Wnętrza są

przytulne i gustownie urządzone, ale zarazem z dużym rozmachem. Wszystkie pokoje są zajęte, zresztą i tak ich sprzątaniami zajmuje się ekipa z dziennej zmiany. Nocna sprząta pozostałe pomieszczenia, wyjaśnia Carl.

Pytam, czy ma listę gości.

– Po co? Przecież mówiłem, że na nocnej zmianie tam nie sprzątam. Poza tym to poufna informacja. Dziewczyny z dziennej zmiany znają numery pokoi, w których mają sprzątać, ale nie wiedzą, kto je zajmuje.

– A tak naprawdę co za spęd tu się odbywa? – dopytuję, bo Brazuka udzielił mi na ten temat bardzo mglistych informacji.

– Coroczny zjazd najwyższych przedstawicieli Azjatyckiej Spółki Kontroli i Stopniowego Przejmowania Miejscowych Zasobów... albo jakoś podobnie.

Uśmiecha się, próbuje pokryć żartem rozgoryczenie i złość. Biorąc pod uwagę powszechnie znane problemy w Vancouver, obecnie imigracja jest gorącym tematem w całej prowincji. W Vancouver bogaci imigranci zachowują się jak kolonizatorzy. Kupują lub wynajmują najdroższe domy i mieszkania, w których spędzają zaledwie kilka dni w roku. Przez nich ceny poszybowały w górę, co mocno rozregulowało rynek nieruchomości. Zaniżają zagraniczne dochody i notorycznie oszukują urząd skarbowy, by załapać się na ulgi podatkowe. To jedyna grupa, którą stać na wypasione rezydencje w Vancouver, kanadyjska klasa średnia to przy nich biedacy. Co prawda Carl tam nie mieszka, ale dobrze wie, że z takimi przychodami mógłby kupić co najwyżej szopę na narzędzia.

– Cholerny rząd wpuszcza wszystkich jak leci, bez żadnej kontroli – denerwuje się. Może jest naprawdę zły, może musi się tylko wyładować, a może chce mnie sprowokować. Tylko że mnie nigdy nie było stać na kupno żadnej nieruchomości, i to bez względu na liczbę osiedlających się w Kanadzie imigrantów, więc nie podejmuję dyskusji. Chociaż właściwie... cóż, ostatnio zaczęłam oszczędzać, żeby przenieść się z Sapką do jakiegoś milutkiego mieszkanca, najlepiej z balkonem.

Kiwam głową, jakbym właśnie usłyszała prawdę objawioną, i trzymam język za zębami. Wreszcie Carl przestaje się upajać dźwiękiem swego głosu i milknie. Daje mi kartę do wszystkich pomieszczeń z wyjątkiem pokoi dla gości, a ja spędzam noc, myjąc, polerując i wycierając. Nie jestem mistrzynią mopa i ścierki, ale techniczne braki rekompensuję szczodrym wykorzystaniem środków czyszczących. Punkt po punkcie wykonuję polecenia z listy wręczonej przez Carla, który zamiast mi pomóc, zapewne smacznie drzemie w biurze. Miło zlecić całą brudną robotę komuś innemu. Jestem tak zmęczona, że ledwie trzymam się na nogach, a nadal nie wiem, który z właścicieli WIN Security jest w hotelu i jak uda mi się do niego dotrzeć.

Na dworze powoli dnieje, sprzątam kabiny w męskiej toalecie w lobby, gdy nagle drzwi otwierają się gwałtownie i ktoś wchodzi do środka. Na chwilę

nieruchomieję. Przecież wywiesiłam informację o sprzątanu, a poza tym to dziwne, że o tej porze ktoś szwenda się po korytarzu.

– Teraz tu sprzątam! – wydzieram się.

– Och, bardzo przepraszam – mówi facet i się wycofuje. Niestety ślizga się na mokrej podłodze, chwieje lekko i łapie za brzeg umywalki. Wychodzę z kabiny uzbrojona w szczotkę do czyszczenia sedesów... i patrzymy na swoje odbicia w lustrze.

Brazuka stoi z otwartymi ustami, ja gapię się na niego równie oszołomiona.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Zaczaiłaś się na mnie w łazience? – pyta wreszcie Brazuka, kiedy już trochę dochodzimy do siebie po pierwszym szoku. Ma na sobie te same ciuchy, w których widziałam go ostatnio, teraz wymięte i trochę poplamione. Patrzy na uniform hotelowy, droższy od wszystkich ciuchów z mojej skromnej kolekcji, nieporadnie upięty koczek i wymizerowaną twarz, na której wyraźniej niż zazwyczaj rysują się zmarszczki. Nic dziwnego, jestem nieludzko zmęczona i dodatkowo lekko odurzona oparami ze środków czyszczących. Ponieważ stoję nieruchomo, Brazuka jeszcze nie miał okazji podziwiać mojej spuchniętej kostki, która kształtem przypomina balonik.

Otwieram usta, ale w głowie mam pustkę, nie bardzo wiem, co mogłabym powiedzieć. Przeprzić, że wyrzuciłam jego kluczyki, i to na kompletnym pustkowiu? To chyba nie załatwiłoby sprawy.

– Spójrz, tym razem jestem nieuzbrojona – mruczę.

Patrzy wymownie na szczotkę do czyszczenia sedesu, dlatego odkładam ją i unoszę puste dłonie.

– Co za ulga – stwierdza zgryźliwie, choć przecież powinien odczuwać wdzięczność i ulgę. Pociera potylicę i mówi: – Wiesz, nie powinniśmy się bez przerwy spotykać w męskich toaletach, to trochę dziwnie wygląda.

– Tak, lepiej umawiać się na moście.

– Na pewno bezpieczniej – zgadza się. – Przynajmniej dla mnie.

Wzdychamy ciężko, niemal unisono. Pamiętam czasy, kiedy byliśmy po prostu milczącymi i posepnymi alkoholikami, nie spotykaliśmy się w podejrzanych miejscach i nie poruszaliśmy niebezpiecznych tematów. Brazuka bez wątpienia gorzko żałuje, że zgodził się zostać moim sponsorem. Czasami jedna błędna decyzja zamienia życie w koszmar, coś o tym wiem.

– Daj mi chwilę. – Obmywa twarz zimną wodą, potem wyciera puszystym ręcznikiem zwiniętym w zgrabny wałeczek.

To oczywiście dzieło innej sprzątaczkii, ja raczej nigdy nie osiągnę takiego mistrzostwa. Kiedy Brazuka wrzuca ręcznik do kosza przy umywalce, wyjmuję go, przekładam do kosza na brudy i wieszam przy umywalce czysty. Postępuję zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami na liście od Carla.

– Musiałem poczekać na tej stacji, aż zrobi się jasno. Po ciemku nigdy nie znalazłbym kluczyków – mówi dalej Brazuka. – O ile cię to w ogóle interesuje.

Oho, zaczyna się, pomyślałam, milcząc przy tym.

– Facet ze stacji był bardzo zdziwiony, że zgubiłem je w lesie. Zamierzał zadzwonić na policję, by poinformować ich o podejrzanej kobiecie jadącej SUV-em, ale przekonałem go, żeby tego nie robił. Wiesz dlaczego?

– Bo jesteś dobrym chrześcijaninem? – próbuję odgadnąć.

– Moi rodzice byli buddystami.

Wszystko jasne, to przecież Zachodnie Wybrzeże. Jeżeli jego rodzice byli hippisami, musiał skończyć jako alkoholik.

– I co z tego? Ty możesz być chrześcijaninem.

– Poprosiłem go, żeby nie dzwonił na policję, bo nie chciałem wpakować cię w kłopoty – mówi, ignorując mój wywód o religii.

– Dzięki.

– Och, nie ma za co, drobiazg – odpowiada głosem słodkim jak ulepek.

Niedobrze, jest naprawdę wściekły. Zawsze potrafił być czarujący, ale nigdy w stosunku do mnie. I chociaż teraz się uśmiecha, jego oczy są zimne jak lód.

– Przyjrzałem się sprawie, o której wspomniałaś – mówi dalej Brazuka. – Zaginięcie tej dziewczyny zgłaszano trzykrotnie. Odkryłem, że została oddana do adopcji tuż po urodzeniu.

Mrugam gwałtownie. No tak, raczej nie powinnam próbować szczęścia przy stoliku pokerowym.

– Tak, ja też byłem zaskoczony – dodaje Brazuka. – Pogadałem z jej rodzicami. Ojciec powiedział, że skontaktował się z biologiczną matką dziewczyny, ale odmówiła pomocy. Nie krył rozczarowania, według niego wydawała się kompletnie niezainteresowana sprawą. Tylko że on jej właściwie nie zna, prawda?

Czeka na odpowiedź, jednak ja uparcie milczę. Ponieważ milcząc, nie zaprzeczam, Brazuka wie, że trafił w dziesiątkę.

– Biologiczna matka zaginionej dziewczyny to niesłychanie ciekawa postać – mówi dalej. – Dzieciństwo spędzone w licznych rodzinach zastępczych. Wstąpiła do Kanadyjskich Sił Specjalnych, z których odeszła zaraz po ukończeniu szkolenia. A dalej równia pochyła. Wykroczenia, podejrzanе towarzystwo. Aresztowana za udział w bójce i zaraz potem nagle rozplywa się w powietrzu. Jesteś ciekawa, co się z nią stało?

– Pierdol się.

– Tak myślałem. Otóż znaleziono ją nieprzytomną w lesie. Nagą, owiniętą w zakrwawione prześcieradło, zgwałconą i mocno pobitą. Powinna umrzeć, ale przeżyła. Sześć miesięcy leżała w śpiączce, nigdy nie udało się ustalić, kto ją tak urządził. Kiedy odzyskała przytomność, dowiedziała się, że jest w ciąży, ale w naszej prowincji refundowane aborcje przeprowadza się do piątego miesiąca ciąży, więc ten termin już minął. Kobieta nie była zbyt rozmowna, nie prosiła nikogo o pomoc. Próbowiła popełnić samobójstwo, więc uznano, że stanowi zagrożenie dla siebie samej i dziecka, dlatego do końca ciąży trzymano ją w szpitalu. Urodziła, oddała dziecko do adopcji i znów rozplynęła się w powietrzu.

Nadal milczę. Powoli przetaczam wózek ze środkami czyszczącymi

w kierunku drzwi.

– Widzisz, ojciec dziewczyny źle ją ocenił – kontynuuje Brazuka. – Większość ludzi po takich koszmarnych przeżyciach wpadłaby w depresję, ale ta kobieta to wojowniczką, która nigdy się nie poddaje. Miałaby machnąć ręką na los tej dziewczyny? Nie wchodzi w rachubę, zwłaszcza jeżeli uważa, że nikogo poza nią nie obchodzi los zaginionej nastolatki. W dodatku nie ufa policji, dlatego postanowiła działać na własną rękę. Tak to wygląda.

Na szczęście ktoś energicznie otwiera drzwi do łazienki. Carl wchodzi do środka, niemal mnie przewracając. Spogląda na moją twarz, w tym momencie kompletnie wypraną z emocji, i dopiero po chwili zauważa Brazukę.

– Przyszedłem sprawdzić, jak sobie radzisz – mówi stanowczo za głośno.
– Wszystko w porządku – mruczę w odpowiedzi.
– Świetnie – komentuje i wkłada kciuki w szlufki paska, patrząc badawczo to na mnie, to na Brazukę.

Brazuka drapie się po zarośniętej brodzie, kiwa głową na pożegnanie i wychodzi.

– Sprawiał jakieś problemy? – pyta Carl z ciężkim westchnieniem.
– Nie takie, o jakich myślisz.

Marszczy brwi, zastanawiając się, co chciałam przez to powiedzieć, ale po chwili uznaje, że nie warto się tym zajmować.

– Może to ja powinienem sprzątać męskie toalety.
– Tak byłoby najlepiej – zgadzam się.

Wytaczam wózek z łazienki i przechodzę do jadalni, kolejnej pozycji na mojej liście zadań. Wycieram stoły ścierką, która wygląda na potwornie brudną, ale jestem zbyt wytrącona z równowagi, by zawracać sobie głowę takimi szczegółami. Brazuka wyciągnął z rękawa wszystkie asy, jakie udało mu się zdobyć. Okazał się bardziej przenikliwy i zajadły, niż oczekiwałam. Mogę przez niego wpaść w kłopoty, wiem, że nie odpuści. Ma coś, dzięki czemu zyskał nade mną przewagę.

Wiedzę na temat mojej przeszłości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Śni mi się koszmar. Leżę na łóżku przygnieciona poduszką z rękami związanymi za głową. Udaje mi się uwolnić jedną rękę, sięgam po leżący w wezglowiu śrubokręt. Może ktoś go tu zostawił przez niedopatrzanie, a może wypadł mi z pięści, kiedy się szarpałam. Ten szczegół śni mi się za każdym razem inaczej. Jednak to, co następuje potem, zawsze wygląda tak samo. Płuca błagają o tlen, ciało szuka sposobu, by uwolnić się od nacisku, który niemal miażdży mi kości. Nie mam czucia od pasa w dół, jakby ktoś mnie przeciął na pół. Cały czas walczę, dżgam na oślep śrubokrętem, ale natrafiam na pustkę. Oszalała z furii zadaję cios za ciosem i wreszcie w coś trafiam. Wbijam śrubokręt głębiej w czyjeś ciało. Jestem nieludzko wyczerpana, strach nie pozwala mi zebrać myśli. A potem się budzę, gwałtownie łapiąc powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

Kiedyś śniłam ten koszmar każdej nocy, chyba że spałam się do nieprzytomności. Z czasem sen powracał coraz rzadziej, ostatnio najwyżej dwa razy w roku. Przypominał, jak to jest, kiedy zaczynasz się dusić i nikt nie słyszy wołania o pomoc.

Po zmianie Carl odprowadził mnie do mojego pokoju. Padłam ciężko na łóżko, nawet się nie rozebrałam, i od razu zasnęłam. Budzę się po dwóch godzinach mokra od potu i przerażona koszmarem, który nawiedził mnie w tym roku po raz pierwszy. Nie powinnam być zdziwiona, a jednak jestem. Spodziewałam się, że sen powróci, to było jasne już podczas spotkania z Lynn i Everettem, a jednak nie byłam na to przygotowana. Krążę po ciasnym służbowym pokoju i próbuję się otrząsnąć. Działam chyba na jakimś autopilocie, bo nawet nie pamiętam, kiedy jadłam coś oprócz batoników kupowanych na stacjach benzynowych. Batonik i kawa, kawa i batonik, na okrągło.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– To ja – słyszę głos Brazuki.

Przestaję krążyć po pokoju, na chwilę wstrzymuję oddech.

– Wiem, że tam jesteś.

Kiepski argument, nie zachęca do otwarcia drzwi.

– Przyniosłem jedzenie.

– Jak mnie znalazłeś? – Wreszcie wpuszczam go do środka.

– Obserwowałem, jak ten facet prowadzi cię do budynku. Wystarczyło poczekać, aż w którymś oknie zapali się światło.

Kwatery pracownicze są w zachodnim skrzydle, połączone z hotelem wąskim i krótkim korytarzem. Żadnych panoramicznych okien z zapierającym dech w piersi widokiem. Kiedy płacisz krocie za pokój, służba hotelowa musi być na każde skinienie. Nie wiadomo, o której porze dnia lub nocy trzeba będzie

zmienić pościel albo przynieść gorącą kawę.

– Propozycja rozejmu, prosto z baru szybkiej obsługi. – Podsuwa mi pod nos papierową torbę, z której unoszą się smakowite zapachy.

Zaglądam do środka. Tosty, dżem, plastikowy pojemnik z jajecznicą na bekonie. Tłuste pożywne jedzenie, właśnie tego mi trzeba. Pokazuję Brazuce, by usiadł na łóżku, sama sadowię się przy biurku i zaczynam jeść. Brazuka z niekłamanym podziwem obserwuje, jak pochłaniam kolejne kęsy, i pyta:

– Kiedy ostatnio coś jadłeś?

– Trudno powiedzieć. Chyba wczoraj.

– Zostaw tę sprawę, daj sobie spokój.

– I kto to mówi? – pytam, wymachując mu widelcem przed nosem.

– Nora, ustaliłem, że James Whitehall wcale się tu nie wybiera. Mają jakieś poważne problemy w filii w Hongkongu. Ten drugi, Lester Nyman, wyjechał w interesach. WIN Security rzeczywiście będzie ochraniać uczestników konferencji w tym hotelu, a że to zjazd ważniaków, właściciel chciał mieć na wszystko oko. Tę robotę załatwiła im jakaś szycha, jeden z ich najważniejszych klientów, od którego dostali pierwsze zlecenie.

– Jakim cudem dostali na starcie zlecenie od takiej szychy?

– To Nyman jest mózgiem, ale Whitehall ma wojskową przeszłość. Podobno wykonywał jakieś prywatne zlecenia.

– Czyli był najemnikiem.

– Niekoniecznie, chociaż tym fachem trudni się więcej ludzi, niż się wszystkim wydaje. Podobno pracował w Hongkongu dla Zhanga, ale kilkanaście lat temu, dlatego trudno dokopać się do jakichś papierów.

– Dla Zhanga? – powtarzam. Brzmi znajomo, ale mój mózg, otumaniony sporą dawką białka i węglowodanów, pracuje na zwolnionych obrotach.

– Ray Zhang, właściciel Zhang-Wei Industries. Przez kilka lat było o nim głośno. Podejrzewano, że nie zawsze działa zgodnie z prawem i ma powiązania z triadą, ale nigdy nie udało się niczego mu udowodnić.

Przez chwilę milczymy pogrążeni we własnych myślach. Przypominam sobie, skąd znam nazwisko Zhang. Profesor Angus Holland powiedział, że firma Zhang-Wei Industries współpracowała w Kongu z Syntamarem. A to właśnie o Syntamarze zbierał materiały Starling, zanim go na dobre uciszono.

– Przestępczość zorganizowana nie jest teraz dla władzy priorytetem – mówi Brazuka.

Jeszcze nie zauważył, że myślę o czymś innym.

– Jasne – przytakuje. – Wszyscy skupili się na walce z terroryzmem. Gangi złapały wiatr w żagle, robią, co chcą.

– To niezupełnie tak. Zawsze robiły, co chciały, ale nie da się zaprzeczyć, że teraz dzięki politykom mają bardziej sprzyjające warunki. Nie wiem, czy Zhang

jest członkiem triady, czy tylko z nimi współpracuje, czy może w tych pogłoskach nie ma krzty prawdy. Nie sposób tego sprawdzić. Jeżeli Whitehall zamierzał tu przyjechać, to pewnie ze względu na obecność Zhanga. Też chciałem z nim pogadać, bo jestem ciekawy, dlaczego jego firma tak się angażuje w sprawę zaginionej nastolatki.

– No tak, a teraz nici z rozmowy.

– Raczej tak. Ma napięty harmonogram i świetną obstawę, najlepszą z możliwych. Trudno, ale w sumie to był dobry pomysł, by tu przyjechać, taka gra na chybił trafił, która mogła zakończyć się sukcesem.

Często używa tego wyrażenia, dlatego chociaż nie ma brytyjskiego akcentu, podejrzewam, że jakiś czas mieszkał w Anglii. Żaden Kanadyjczyk poniżej sześćdziesiątego roku życia nie użyłby określenia „na chybił trafił”. Brazuka wyciąga się na łóżku w mojej skotłowanej pościeli. Czuję się skrępowana intymnością tej sceny. Jednym mocnym pchnięciem zrzucam go na podłogę. Wściekłość dodaje mi sił. To ja zasłużyłam na łóżko po całonocnej zmianie. On tylko prowadził samochód, ja szorowałam kible i myłam podłogi. Najem się, a potem wreszcie pójdę spać.

– O rany – wzdycha, pocierając potylicę.

No tak, to w sumie moja wina, że jest taki poobijany, uświadamiam sobie nagle. Na ogół nie zastanawiam się nad konsekwencjami moich poczynań, a jeżeli już, to przewidywania bardzo odbiegają od prawdy. Muszę nad tym popracować, przecież bez przerwy wbijają nam do głowy, że na naukę nigdy nie jest za późno.

Gniotę opróżnione pojemniki, wkładam do papierowej torby i wrzucam do kosza przy biurku.

– Co wiesz o Syntamar Industries? – pytam.

– Niewiele – odpowiada zdziwiony moim pytaniem. – Kilka lat temu zaangażowali się w budowę kopalni na północy, były w związku z tym jakieś protesty i blokady dróg.

– Wpompowali spory kapitał w spółki należące do Zhang-Wei, zaraz po tym, jak skorzystali z pomocy Chińczyków w Kongu.

– Skąd wiesz? Jaki to ma związek ze zniknięciem twojej córki?

To właściwy moment na podjęcie decyzji, ile mu powiedzieć. Brazuka wie tyle o mojej przeszłości, że z łatwością powiąże mnie ze Starlingiem, może już to odkrył. Tylko że nie jestem jeszcze gotowa wyznać, że być może nie tyle szukamy zaginionej nastolatki, co raczej porywaczy Bonnie i morderców Starlinga.

– Słyszałam to i owo, ale nic konkretnego.

– Znam kogoś, kto mógłby ci sporo powiedzieć o Zhang-Wei – mówi z namysłem. – I chyba również o Syntamarze.

– Naprawdę?

– Tak mi się wydaje – odpowiada, z trudem powstrzymując ziewanie.

Mam pełny żołądek, jestem coraz bardziej rozleniwiona i ospała. Kładę głowę na biurku. Kiedy budzę się trzy godziny później, Brazuki już nie ma, ale na blacie leży kartka z informacją:

O czternastej w holu na drugim piętrze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy tuż przed drugą wychodzę na drugim piętrze z windy, Brazuka już na mnie czeka. Udaję bardzo zaaferowaną, by nikt mnie przypadkiem nie zaczepił. Zgodnie z harmonogramem wiszącym w biurze Carla właśnie teraz w lobby na pierwszym piętrze odbywa się zebranie pracowników.

– Mój dobry znajomy przyjechał tu na konferencję – mówi Brazuka, od razu przechodząc do rzeczy. – Może wie coś o Syntamarze, bo na razie opieramy się wyłącznie na niepotwierdzonych pogłoskach.

– Jak się nazywa?

– Bernard Lam – odpowiada, gdy wchodzimy z korytarza do holu. W innych okolicznościach zapewne by mnie замуrowało, ale i tak gapię się jak sroka w gnat na faceta, o którym Seb zbierał materiały dwa lata temu.

Bernard Lam jest jedynym dziedzicem niewyobrażalnej fortuny. Skończył studia na Harvardzie i Oksfordzie, a nawet powąchał paryskiego powietrza na Sorbonie. Filantrop, którego podobizna często gości na łamach zarówno poważnych gazet, jak i tabloidów, gwiazda socjety w Vancouver. W jego przypadku bogactwo nie wpłynęło na cechy charakteru, jest szczodrym darczyńcą i dobrym kompanem. Znany z poczucia humoru i życzliwości, facet obdarzony niezaprzeczalną charyzmą.

– Bazuuuka! – krzyczy, a właściwie wrzeszczy na nasz widok.

W cichym i skąpo oświetlonym holu jego głos brzmi jak armatni wystrzał. Na tle aksamitnych zasłon, skórzanych mebli i futrzanych narzut wydaje się dziwnie nie na miejscu. Jednak to nie meble przyciągają naszą uwagę, lecz widok na całą dolinę rozciągający się z okien. Przerwaliśmy Lamowi rozkoszowanie się aromatem unoszącym się z pękatego kieliszka wypełnionego złocistym trunkiem. Uśmiechał się przy tym, jakby wahał najpiękniejszy kwiat i zastanawiał się nad sensem życia albo inną równie wzniosłą sprawą. Lam wydaje się nie zauważać, że Brazuka próbuje uniknąć powitalnego uścisku i nawet trochę się odsuwa. Nic z tego, Lam jest wysoki i potężny jak niedźwiedź, a pucułowate policzki są zaczerwienione od mroźnego górskiego powietrza. I chociaż Lam nie ma braków w uzębieniu, z jakiegoś powodu przypomina mi przerośniętego bobasa. Wreszcie Brazuka się poddaje i pozwala objąć, a mnie staje przed oczami inny i równie absurdalny obrazek. Oto chuderlawy wymoczek wpadł do kadzi z drożdżowym ciastem, które szybko rośnie i wkrótce go z głośnym mlaśnięciem pochłonie.

Po kilku sekundach Lam wypuszcza Brazukę z objęć i odwraca się w moją stronę. Zdjęłam służbowy mundur, włożyłam najlepsze dzinsy i najporządniejszy sweter, jedyny, w którym nie ma dziur. Na plecach jest plama po kawie i chociaż Lam w tej chwili nie może jej widzieć, jestem niemal pewna, że ten grzeczny

i taktowny mężczyzna o wyglądzie niemowlaka i tak wie o jej istnieniu.

– A to na pewno twoja... – zaczyna.

– On jest moim sponsorem – wchodzę mu w słowo.

– Dzisiaj sprawdzamy, czy wytrwa w abstinencji – dodaje Brazuka, zerkając na kieliszek z koniakiem.

Hm, coś mi się wydaje, że dla niego też będzie to test silnej woli.

– Ach tak. – Lam odstawia kieliszek, w który wpatruję się o kilka chwil za długo. Butelka takiego trunku pewnie kosztuje więcej, niż wynosi moja miesięczna pensja. – Tak się cieszę z naszego spotkania. A jak tam twoje sprawy z...

– Pogadamy o tym później – przerywa mu Brazuka, rzucając ostrzegawcze spojrzenie.

Lam uśmiecha się, jakby nic się nie stało, i zwraca się do mnie:

– A więc to z twojego powodu mój przyjaciel dał się wreszcie skusić na wyprawę w góry. Całe lata próbowałem go namówić do wypadu za miasto, ale zawsze odmawiał. Jesteście trochę spięci, rozluźnijcie się.

– Jasne, przyjechaliśmy tu dla rozrywki. Szukam informacji o wpływowych biznesmenach z Azji – mówię.

Brazuka patrzy na mnie ze złością, ale nic sobie z tego nie robię.

– W takim razie nie mogliście lepiej trafić – śmieje się Lam. – Przejdźmy się – proponuje, ujmując mnie za łokieć.

Patrzę tak wymownie na jego dłoń, że wreszcie ją cofa. Po raz kolejny wymieniają się spojrzeniami z Brazuką. Znają się jak łyse konie, rozumieją bez słów, ja jestem tą nie do pary.

– Przepraszam, jeśli byłem zbyt poufały. – Lam cofa się o kilka kroków. – Po prostu znamy się z Jonem tyle lat, że traktuję jego przyjaciół jak swoich. Powiedz, proszę, jak mogę ci pomóc.

– Interesuje mnie Syntamar Industries. – Wyciągam z kieszeni gazetę, którą znalazłam w magazynie wynajmowanym przez Starlinga. – Wiesz, kim jest ten mężczyzna? – Wskazuję na grupowym zdjęciu biznesmenów Azjatę, jedyne, który nie szczyrzy się do obiektywu.

– Nie mam pojęcia – mówi Lam po chwili.

Dobrze być chodzącym wykrywaczem kłamstw, niestety czasami niewiele mi z tego przychodzi.

Zawsze wiem, kiedy ktoś kłamie, ale niby jak mam go zmusić do wyznania prawdy? Wybieram subtelne formy nacisku, zazwyczaj wymownie patrzę w oczy rozmówcy, dając do zrozumienia, że wiem, co jest grane. Zgoda, to niezbyt skuteczna metoda, ale czasami działa. Patrzę więc na Bernarda Lama, który bez wątpienia jest miłym i serdecznym facetem, ale teraz mnie oszukał. Tracę cierpliwość, czuję, jak narasta we mnie złość.

– Zawsze okłamujesz najlepszych przyjaciół? – pytam.

– Co takiego?

– Skoro traktujesz przyjaciół Brazuki jak swoich, można powiedzieć, że jestem twoją przyjaciółką. Dlaczego twierdzisz, że nie znasz tego faceta na zdjęciu? To kłamstwo.

Lam ponad moją głowę patrzy na Brazukę, prosząc wzrokiem o pomoc. Dość tego. Podchodzę do niego na tyle blisko, że czuję zapach drogiej wody po goleniu.

– Nie patrz na niego, tylko na mnie – mówię ze złością. – To poważna sprawa. Próbuje odnaleźć zaginioną nastolatkę, rozumiesz?

Wreszcie koncentruje się wyłącznie na mnie. Naruszyłam jego prywatną przestrzeń, ale zamiast się zdenerwować albo przestraszyć, wydaje się zadowolony. A może po prostu przywykł, że kobiety się do niego kleją. Głównie takie, które się zastanawiają, w której kieszeni trzyma wypchany portfel.

– Rozumiem, ale co to ma wspólnego z Syntamarem? – pyta.

– Jeszcze nie wiem, ale właśnie zamierzam to ustalić. A więc kim jest facet na zdjęciu?

– Kotku – zwraca się do mnie, chociaż prawdopodobnie jestem od niego starsza. – Przejdźmy się po okolicy.

– Wiesz co, słodziaku? Nie chodzę na spacer z kłamcami.

– Fajna jesteś – oświadcza Lam z szerokim uśmiechem. – Nie owijasz w bawełnę. No dobra, skoro się tak upierasz. – Rozgląda się wokół, ale oprócz nas i barmana zajętego ustawianiem kieliszków w drugim końcu holu nikogo więcej tu nie ma. – To niezbyt fortunnie wybrane miejsce na takie rozmowy, ale niech ci będzie. Mężczyzna na zdjęciu to Ray Zhang.

Zerkam na Brazukę, który prawie niezauważalnie kiwa głową.

– Właściciel Zhang-Wei Industries?

– We własnej osobie. W tej chwili to już starzec, chodzą słuchy, że poważnie chory. Dziwne, że pozwolił się sfotografować, bardzo unika rozgłosu. – Milknie na chwilę, rozważając, ile mi powiedzieć. – Nigdy nie grał czysto, zbudował imperium, idąc po trupach, dosłownie i w przenośni, ale wątpię, by miał coś wspólnego z twoją sprawą. To nie w jego stylu.

– Czy jest tu ktoś z jego firmy, z kim mogłabym pogadać?

– Podobno synowa Zhanga ma przyjechać w ten weekend – odpowiada po chwili widocznego wahania. – To ona teraz reprezentuje firmę, ale chociaż mają biuro również w Vancouver, większość czasu spędza w Hongkongu. Zajmują się przede wszystkim wydobywaniem surowców naturalnych, o ile dobrze pamiętam. Swego czasu prowadzili interesy z Syntamarem.

– Na jak długo przyjeżdża?

– Do Kanady? Nie mam bladego pojęcia, nie przyjaźnię się z nią. Na twoim miejscu nie próbowałbym z nią rozmawiać, chyba że nie będziesz miała innego

wyjścia. Jia nie zajmuje się takimi pierdołami jak zaginione nastolatki. Pożarłaby cię żywcem, jak przed laty próbowała zrobić ze spółkami mojego ojca – mówi lekkim, konwersacyjnym tonem, jakbyśmy siedzieli w uroczej knajpce i czekali na zamówione drinki. Wyczuwam w jego głosie respekt wobec Zhangów, chociaż jest jasne, że ich nie lubi.

– Co szkodzi z nią pogadać? – mówię.

Czuję, że cały czas coś mi umyka, nie umiem powiązać różnych wątków pojawiających się w tej sprawie. Nie do końca rozumiem, co naprawdę łączy Zhanga z WIN Security, która z taką determinacją szuka Bonnie. Zhang, jak ustalił Starling, prowadził też interesy z Syntamarem. Jak z tych faktów ułożyć logiczną całość? Chyba powinnam sobie darować rozmowę z Jamesem Whitehallem i Lesterem Nymanem, skoncentrować się na dotarciu do Zhanga, bo to on pociąga za sznurki.

– Może zaszkodzić, każdy kontakt z Jią jest ryzykowny. W Kanadzie cały czas pilnuje jej świetnie wyszkolony ochroniarz, nazywa się Dao. Kiedy ktoś niepokoi jego szefową, staje się... nieco nerwowy. Podobno ma przestępczą przeszłość i stosuje bardzo brutalne metody.

– Jest z triady? – pytam po chwili zastanowienia i przypominam sobie, że Brazuka też wspominał o powiązaniach Zhanga z chińską mafią.

Lam upija łyk koniaku, uśmiecha się błogo i przymyka oczy. Wyobrażam sobie, jak trunek gładko spływa po gardle i rozgrzewa żołądek. Nagle robi mi się stanowczo za gorąco.

– Tak, chodziły takie plotki – przyznaje. – Jednak na twoim miejscu nie poruszałbym tej kwestii.

Brazuka podchodzi do okna i w milczeniu podziwia ośnieżone górskie szczyty. Dopiero teraz Lam zauważa brzydką ranę na jego karku.

– Jezus, Jon! Co ci się stało? – pyta.

– Bliskie spotkanie z kluczem do opon, nic takiego – odpowiada Brazuka pogodnie.

– Rozumiem – mówi wyraźnie przejęty Lam. – Skoro cię tak urządzili, sprawa jest naprawdę poważna.

– Dostałem lekko w łeb, bywało gorzej – odpowiada Brazuka, zerkając na mnie. – Powiedz coś więcej o Rayu Zhangu. Lubi małe dziewczynki?

– Nikt nic nie wie o jego życiu osobistym i upodobaniach, według mnie raczej nie ma takich skłonności.

– Ale...

– Ale po prostu nie wiem. Na jego temat krąży mnóstwo plotek, same spekulacje, zero potwierdzonych faktów. Wiadomo, że jest wdowcem, ma jednego syna i wnuka. Syn nazywa się Kai, spotkałem go ze dwa razy. Zepsuty gówniarz, to i owo o nim wiem. Preferuje zachodni styl życia i ma bzika na punkcie

legendarnych mafiosów, durny wielbiciel oldskulowej gangsterki. Chciałby pójść w ich ślady, ale jest na to za głupi. Być może kiedyś gustował w nieletnich dziewczynach, wcale bym się nie dziwił, tylko że teraz jest trzymany na krótkiej smyczy. – Lam chichocze, niestety tylko on wie, co go tak rozbawiło. Patrzę pytająco na Brazukę, ale tylko wzrusza ramionami. – Natomiast Jia... Nie dziwiłbym się, gdyby na boku prowadziła jakiś podejrzany interes, chociaż Ray cały czas patrzył dzieciom na ręce. To on wszystkim trząsał, był bezwzględny i bardzo nie lubił, kiedy ktoś wściubiał nos w jego sprawy.

– Gdzie możemy go znaleźć? – pyta Brazuka.

Lam chętnie pominąłby pytanie milczeniem, i pewnie by tak zrobił, gdybym to ja je zadała. Jego i Brazukę łączy więź, której nie rozumiem.

– Podobno jego firma uzyskała koncesję na poszukiwanie i wydobywanie miedzi na wyspie Vancouver. Co roku jeżdżę tam na ryby. Chyba dwa lata temu agent nieruchomości powiedział, że Jia interesowała się domem w pobliżu Tofino, który wystawiłem na sprzedaż. Nie kupiła go, pewnie okazał się dla niej za mały i zbyt skromnie urządzone, ale rozglądała się po okolicy. Zaraz potem Ray Zhang prawdopodobnie trochę wycofał się z interesu, w każdym razie od dwóch lat nikt go nie widział.

– A kto przedtem miał tę koncesję? Syntamar? – Przypomniałam sobie, że po tym, jak firma Zhang-Wei pomogła im w Kongu, zaangażowali się w jakiś biznes na wyspie Vancouver.

– Lowell Metals. To mała firma, ale w biznesie wydobywczym liczy się każdy skrawek ziemi, który uda ci się kupić. Firma Lowell Metals przechodziła z rąk do rąk, chyba przez jakiś czas była własnością Syntamaru, ale nie jestem pewien. – Kiedy jego komórka zaczyna wibrować, Lam patrzy przeproszająco na Brazukę i rzuca: – Wybaczcie, obowiązki wzywają.

– Jesteś playboyem, niczym innym się nie zajmujesz, nie masz żadnych obowiązków, nigdy nie pobrudziłeś sobie rąk żadną pracą.

– Brakowało mi ciebie – śmieje się Lam. – Słusznie, nie mam prawdziwej pracy, ale mam bardzo prawdziwą narzeczoną, a to równie uciążliwe.

– Naprawdę? – Brazuka marszczy brwi. – Nie dotarło do mnie zaproszenie na przyjęcie zaręczynowe.

– Mam niewielu przyjaciół, ale bardzo ich cenię. Nie naraziłbym żadnego z nich na takie męczarnie. Wystarczy, że ja musiałem się tam pojawić. – Wzdycha. – Czas na mnie.

Dopija koniak i podnosi ze stolika komórkę. Ma minę zwierzaka, który właśnie wpadł w sidła. Wielu, również ja, uznałoby, że w tym porównaniu wcale nie ma przesady.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po wyjściu z holu Brazuka na chwilę przystaje. Oboje potrzebujemy trochę czasu, by ochłonać i dojść do siebie, byliśmy zbyt blisko raju i piekła, trudnej do odparcia pokusy. Kiedy piłam, to zawsze tylko wódkę, Brazuka natomiast preferował inny środek znieczulający, czyli rum. Jednak takie upodobania odgrywają rolę jedynie na pierwszych odcinkach drogi do piekła. Po jakimś czasie pijesz wszystko, co zawiera alkohol, nieważne, jak smakuje.

– Gdybym pił tylko taki drogi koniak, nigdy nie zostałbym alkoholikiem, nie byłoby mnie stać.

Może wtedy żona nie wystąpiłaby o rozwód, pomyślałam, mówiąc przy tym:

– Gdybyś pił wyłącznie drogie trunki, twoja żona po podziale wspólnego majątku byłaby jeszcze biedniejsza.

– A mówią, że to przede wszystkim faceci są seksistami... Żona zawsze zarabiała o wiele więcej ode mnie.

Ciekawe, nigdy bym nie wpadła na to, że ożenił się z jakąś ważniaczką.

– W takim razie powinieneś od niej wyciągnąć tyle forsy, żebyś mógł do końca życia pić drogie koniaki.

Uśmiecha się, a ja dopiero teraz zauważam, że co prawda ma gładko ogolone policzki, ale za to krótką bródkę. Na jej tle zęby Brazuki wydają się jeszcze bielsze. Korci mnie, by zapytać, jak często chodzi do dentysty i jaką pastę stosuje.

– A może dajmy sobie spokój z tym śledztwem? Co byś powiedziała na małą popijawę? Wiesz, żeby uczcić stare dobre czasy.

Ciekawe, czy wie, jak bardzo kusząco brzmi w moich uszach ta propozycja. Jak miło byłoby wyrzucić wszystkie zasady do kosza i zrobić jedyną rzecz, o której marzę każdego pieprzonego dnia, od kiedy trwam w trzeźwości. Tyle że nie skończyłoby się na jednej popijawie, każdy alkoholik dobrze o tym wie.

Brazuka widzi moją minę i natychmiast przestaje się uśmiechać.

– Spokojnie, tylko żartowałem – mówi cicho.

– Nigdy nie upiliśmy się razem.

– Skąd ta pewność? Nie pamiętam połowy z tego, co robiłem po pijaku.

– Sugerujesz, że nie zapadam w pamięć?

Wreszcie udało mi się wytrącić go z równowagi. No i dobrze, przed chwilą to on mnie zdenerwował.

– To znaczy... no nie, nie to chciałem powiedzieć. Swoją drogą, chyba po raz pierwszy widzę twój uśmiech.

O matko, czy ja się naprawdę uśmiecham? Dość tego, nie pora na głupoty.

– No dobra – zmienia nagle ton. – Nie wiadomo, jak długo uda ci się udawać sprzątaczkę z nocnej zmiany. Wcześniej czy później to się wyda. – Podaje mi kartę

magnetyczną. – Do mojego pokoju, tak na wszelki wypadek.

Patrzę na kartonik z wydrukowanym numerem. Do tej pory nie zastanawiałam się, gdzie Brazuka się zatrzymał.

– Bernard Lam zapłacił za twój pokój? – Żaden gliniarz nie mógłby sobie pozwolić na taki luksus.

– Nora, przestań już, dobra? Przyjechałem, żeby ci pomóc. Nie możesz choć trochę mi zaufać?

– Słuchaj, zaginęła dziewczyna, a ja nie mam powodu, by komukolwiek ufać.

Dwóch eleganckich mężczyzn zmierzających do holu potrąca nas lekko. Jeden z nich posyła mi karcące spojrzenie, zupełnie jakbym to ja wpadła na niego.

– Ale widok – mówię, zerkając wymownie na jego rozporek.

Facet robi się czerwony jak burak i nerwowo patrzy w dół, ale wszystko jest w porządku. Posyła mi mordercze spojrzenie i znika z kolegą w holu.

– Zagranie godne dojrzałej kobiety – komentuje Brazuka, ale uśmiecha się szeroko. Czuję, że odwzajemniam uśmiech, chociaż taki stopień zażyłości do tej pory łączył mnie wyłącznie z Sapką. W sumie czasami dobrze jest odczuwać więź z drugim człowiekiem. – Nora, coś mi mówi, że to się może źle skończyć. – Brazuka nagle poważnieje. – Wracaj do domu, postaram się zdobyć dla ciebie jak najwięcej informacji.

– Nie ma takiej opcji.

– Cholera, chodzi o to, że kiedy zaginęłaś, nikt cię nie szukał? Dlatego nie potrafisz nikomu zaufać?

Mój dobry humor pryska jak bańka mydlana.

– Jezu, daruj sobie to spojrzenie! – niemal wykrzyczał. – Czytałem o tej sprawie w gazetach i widziałem policyjne akta. Wiem, że nikt nie zgłosił twojego zaginięcia. Jeśli nie odpuścisz, może być paskudnie, chyba wiesz, że to cholernie niebezpieczne. Weszłaś w drogę ludziom, którzy się z nikim nie patyczkują. Dlaczego tak się narażasz? Masz wyrzuty sumienia, bo oddałaś córkę do adopcji? Szukasz jej, bo chcesz być dla niej kimś ważnym?

Nie zamierzam odpowiadać. Są sprawy, o których można myśleć jedynie nocą, o których można szeptać jedynie do poduszki, marząc, by dźwięki wyczarowywane przez Raya Charlesa zagłuszyły ten monolog. A potem rankiem znów zwalczyć chwilową słabość i odgonić niechciane myśli jak stado natrętnych much.

– Zapomnij, że pytałem – mówi, gdy po długiej ciszy oboje mamy świadomość, że balansujemy nad przepaścią. – I tak znam odpowiedź. To twoja córka, w głębi duszy bardzo ją kochasz albo przynajmniej nie jest ci obojętna.

Czyżby? Tego rodzaju gadki doprowadzają mnie do szału. Podobno nikt nie potrafi kochać tak mocno jak matki, ale ja nie jestem matką. Wydałam Bonnie na

świat wbrew mojej woli, dostała ode mnie jedynie kilka wątpliwej jakości genów. Matka Bonnie nadal jest w Vancouver i zмага się z potężnym kryzysem małżeńskim. Już od dawna nienawidzi i zdradza męża.

– Chodzi o poczucie odpowiedzialności – mówię. – O to, że nikt nie poczuwa się do odpowiedzialności za jej zniknięcie. Nie na tyle, by coś w tej sprawie zrobić.

Patrzy na mnie smutno i po raz pierwszy sobie uświadamiam, jak musi mnie postrzegać. Widzi kobietę opętaną demonami, nad którymi już dawno przestała panować. Rozpełzły się, zatrwały każdy zakątek duszy, nie ma sposobu, by się ich pozbyć.

– A czym jest miłość, jeśli nie poczuciem odpowiedzialności za drugą osobę? – pyta.

Odwraca się z miną, jakbym go boleśnie rozczarowała. Jakbym otworzyła świeżą, pulsującą bólem ranę i z rozmysłem ją pogłębiała. Pewnie, mogłabym teraz zacząć opowieść o moim trudnym życiu. Uzmysłować Brazuce, że nawet nie wiem, kim była moja matka, jak wyglądała i skąd pochodziła, bo porzuciła mnie, kiedy byłam dzieckiem. Jestem trochę podobna do ojca, a dziewczyny o moim wyglądzie znikają o wiele częściej niż blondynki o porcelanowej cerze, natomiast o wiele rzadziej ktoś jest gotów poruszyć niebo i ziemię, żeby je odszukać.

I może właśnie nieszczęście Bonnie polega na tym, że jest do mnie za bardzo podobna.

Mogłabym to wszystko z siebie wyrzucić, tylko po co? Pewnie by zrozumiał i w jego spojrzeniu pojawiłoby się jeszcze więcej litości, ale ja nie chcę, by ktoś się nade mną litował. To więcej, niż mogłabym znieść, no i jeszcze nie dotarliśmy do tego punktu znajomości.

– Jeśli dowiem się czegoś o Zhangu, wyślę ci SMS-a – mówi, zatrzymując się przy wyjściu z holu.

– Mam wyłączony telefon.

– Sprawdzaj co jakiś czas wiadomości. Będziemy w kontakcie.

Kuśtykając, znika za rogiem. Myślę o obietnicy, którą złożyłam Tommy'emu. Znajdę Bonnie, nic złego jej się nie stanie, nie dopuszczam do siebie myśli, że może być inaczej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ukrywam się w ciasnym służbowym pokoju do czasu, gdy muszę się zgłosić do biura po grafik pracy. Carl wchodzi tuż przede mną, energicznie otrzepując się ze śniegu, który ma dosłownie wszędzie.

- Te dojazdy kiedyś mnie wykończą – mówi.
- To zmień pracę – proponuję nieco zgryźliwie.
- I miałbym spędzać więcej czasu z wiecznie marudzącą żoną? Odpada.
- Ach, doskonale cię rozumiem.
- A co, też masz żonę? – Patrzy na mnie badawczo.

Zauważyłam, że pozostałe pracownice hotelu chodzą w bardzo obcisłych czarnych spódniczkach i szpilkach. Carl dał mi męski mundur i właśnie się zastanawiam, czy powinno mnie to oburzyć. Chociaż z drugiej strony nigdy w życiu nie chodziłam w butach na obcasach. Ciekawe, czy potykając się co chwila, zdobyłabym jakiegokolwiek informacje o losie Bonnie.

- Nie, nie mam żony.
- Przepraszam, nie chciałem, ja tylko...
- Wszystko w porządku, Carl. – Nie życzę sobie dalszych analiz mojej kobiecości. – Na razie nie mam, ale kto wie.

W jednej z moich grup wsparcia była kobieta, która po tym, co ją spotkało, nie mogła współżyć z mężczyznami. Nadal miała potrzeby seksualne, ale gdy tylko do czegoś dochodziło, zamykała się w skorupie. Jej ciało tężało, umysł szybował gdzie indziej, stawała się oziębła i zdystansowana, niezdolna do odczuwania rozkoszy. Zbliżyła się z inną uczestniczką naszych spotkań, chociaż tego typu kontakty były zabronione. Rok później natknęłam się na nie w sklepie. Były zrelaksowane i szczęśliwe. Jedna z kobiet w biurze mruga do mnie porozumiewawczo, jakbyśmy dzieliły jakiś sekret. Może ona i Carl wiedzą coś, o czym ja nie mam pojęcia.

– Widziałaś się z Lucy? – pyta Carl, ściągając buciory na grubej podeszwie. Kiwam głową, ale draży dalej: – Wszystkie papiery w porządku? – Nagle ton jego głosu się zmienia, wychwytyję w nim niepokojące nuty.

Ponownie kiwam głową, chociaż z mniejszym przekonaniem. Polubiłam Carla, łączy nas zamiłowanie do środków czyszczących, tak mi się przynajmniej wydaje.

– A to ciekawe – stwierdza, nie kryjąc rozczarowania. Patrzy mi teraz prosto w oczy. – W drodze do biura spotkałem Lucy i chwilę z nią pogadałem. Powiedziała, że nowa sprzątaczką przyjedzie dopiero dzisiaj rano. To ci dopiero niespodzianka.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Mogę wszystko wyjaśnić – mówię cicho.
– Naprawdę? – Carl krzyżuje ramiona i czeka.
– Nie, właściwie to nie mogę.
– Po prostu powiedz mi prawdę. Zamierzasz zabić jednego z tych bogatych gości?

– Nie.

– Coś ukraść?

– Nie.

– Nie masz gdzie mieszkać, tak? I nagle okazja sama wpada ci w ręce. Biorę cię za nową sprzątaczkę i zawożę do hotelu. Zawsze za dużo gadałem. – Carl potrząsa głową. – Moja żona bez przerwy powtarza, że to mnie kiedyś wpędzi w kłopoty. No i wykrakała. Posłuchaj, wiem, jak to jest, kilka lat temu straciłem świetną robotę na polu naftowym. Było mi trudno, nie mogłem się pozbierać, gdyby nie wsparcie żony, pewnie zupełnie bym się stoczył. Rozumiem, dlaczego mnie okłamałaś, ale nie możesz tu zostać. W sprawach kadrowych nie mam nic do gadania, a kiedy się dowiedzą, że pozwoliłem pracować niesprawdzonej osobie, wywalą mnie na zbity pysk.

– Czy mogę wyjechać dopiero jutro rano?

– No dobra, ale zostań w pokoju, później tam posprzątam. I zatrzymaj uniform, mają ich w nadmiarze, nikt nie zauważy, że jednego brakuje. – Sięga po portfel i wyjmuje dwudziestodolarowy banknot. – To za poprzednią noc. Niewiele, ale więcej nie mam.

Biorę pieniądze, bo odmowa wzbudziłaby podejrzenia. Nie chcę, by Carl zaczął się zagłębiać w prawdziwe motywy mojego postępowania. Uważa, że znalazłam się na dnie, chociaż według mnie nie tylko utrzymałam się nad wodą, ale właśnie dryfuję na fali.

– Dziękuję, Carl. – Ruszam do drzwi.

– Nie ma sprawy. Tylko nie wychodź z pokoju, dobra? I jeszcze coś.

– Tak?

– Oddaj kartę hotelową.

Podaję mu ją, ale wciąż mam w kieszeni kartę do pokoju Brazuki. Tak na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bardzo nie chcę, żeby Carl przeze mnie wyleciał z roboty, mimo to zamiast tak jak prosił, siedzieć cicho w pokoju, wjeżdżam służbową windą na drugie piętro. Po holu kręci się kilku facetów w wełnianych spodniach i kaszmirowych swetrach, którzy w odróżnieniu ode mnie naprawdę należą do hotelowego personelu. Dwóch obsługuje gości przy barze. Nalewają do kieliszków drogie trunki, inkasując w nagrodę sowite napiwki. Panuje tu półmrok, dlatego wszyscy wydają się o dziesięć lat młodsi i przystojniejsi niż w świetle dnia, gdy obserwowałam dyskretnie, jak śpieszą się na zebranie pracownicze. Kiedy jeden z barmanów odwraca się na chwilę, porywam tacę i zaczynam sprzątać stoliki na drugim końcu pomieszczenia. Szczęśliwie dla mnie siedzi tu tylko samotna kobieta. Popijając herbatę, podziwia widok za oknem. Kiedy delikatnie odstawia porcelanową filiżankę na stolik, stawiam ją na tacy i pytam:

– Czy pani już skończyła?

Spogląda na mnie oczami, które od razu kojarzą mi się z polerowanym granitem. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie czują się nieswojo, patrząc w moje oczy, chociaż jej są trochę inne, chłodne, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, puste.

– Filiżanka jest tylko w połowie pusta – mówi.

– To zależy od punktu widzenia.

Unosi wypielęgnowane brwi o idealnym kształcie.

– Rozumiem, jednak skoro jest w połowie pełna, co zdaje się pani sugerować, nie ma sensu jej zabierać, prawda?

– Bardzo przepraszam. – Zginam się w przesadnie niskim ukłonie. – Zachowałam się bezmyślnie.

Przez chwilę patrzy na mnie tymi przerażającymi oczami, a potem odwraca się w stronę okna. Zachodzące słońce oblewa okoliczne szczyty złotą poświatą gdzieś upstrzoną różowymi pasemkami. W górze szybuje samotny orzeł, który z głośnym furkotem skrzydeł wzbija się wysoko i wkrótce znika nam z oczu.

Patrzę na odbicie kobiety w oknie i nagle zauważam plamę na jej bluzce, na wysokości biustu. Jasne, jako jedyna z gości nie pije alkoholu, bo jest karmiącą matką. Przypominam sobie, co nam powiedział Bernard Lam o Rayu Zhangu. Stary gangster doczekał się wnuka.

Stoję przy stoliku stanowczo za długo, zbyt oszołomiona, by zmusić się do wykonania kilku kroków.

Z pogrążonego w mroku kąta wyłania się wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna. Przypomina posturą ochroniarzy z WIN Security, ale ze sposobu, w jaki się porusza, wnioskuję, że jest od nich o klasę lepszy. To spokojne

i wyważone kroki człowieka, który wie, że poradzi sobie z każdym napastnikiem. Widzę w szybie dokładnie jego twarz. Ogolony na łyso Azjata o wydatnej szczęce i pełnych ustach. Trudno wywnioskować, w jakim jest wieku, według mnie, jeśli miał w życiu pod górkę, niedawno przekroczył czterdziestkę. Jeżeli natomiast jego życie nie obfitowało w dramatyczne wydarzenia, może być nawet o dziesięć lat starszy.

– Dao, chciałabym ci coś pokazać – mówi Jia Zhang, gdy ochroniarz staje przy jej stoliku.

Wymieniają spojrzenia ponad moją głowę, zupełnie jak Brazuka i Lam. Co jest, do cholery, dlaczego ciągle mnie to spotyka?

– Oczywiście – odpowiada Dao spokojnie.

Czuję, jak przenikliwy chłód wędruje od stóp w górę ciała. Dostaję gęsiej skórki, wokół serca zaciska się żelazna obręcz.

To głos z moich koszmarów sennych. Głos mężczyzny, który kazał wyrzucić moje zakrwawione ciało do lasu i który wypytywał o mnie Seba i Leo.

Nasze spojrzenia się spotykają. Dao nie podziwia zapierającego dech w piersiach widoku za oknem, patrzy prosto na mnie.

Jego usta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie wiem, czy mnie poznał, przecież od tamtej nocy minęło piętnaście lat, ale nie zamierzam rozwiązywać tej zagadki. Błyskawicznie pakuję skromny dobytek i biegnę do wyjścia. Lodowate powietrze na zewnątrz przygniata mnie jak pokryty szronem koc. Dzięki światłom hotelu droga dojazdowa byłaby nieźle widoczna, niestety w powietrzu wirują olbrzymie płatki śniegu. Carl uspokoił mnie, że wcale nie zanoszą się na burzę, to żadna zamieć, tutaj po prostu zawsze tak pada. Zaczynam maszerować, ale jakiś dźwięk dobiegający z hotelu zmusza mnie do zerknięcia przez ramię. W kręgu światła rzucanym przez hotelowe lampy pojawia się sylwetka mocno utykającego człowieka w grubej parce. Jestem nieuzbrojona, mam tylko plecak. Oboje ślizgamy się na oblodzonej drodze, niestety on radzi sobie znacznie lepiej.

– Dokąd się wybierasz w taką cholerną pogodę? – krzyczy Brazuka. Wiatr porywa część sylab, ale i tak wyłapuję sens słów.

Z determinacją prę przed siebie, chociaż z każdym krokiem ubywa mi sił. Już zapomniałam, jak ciężko chodzi się po śniegu, jakie to męczące, ale jedyne opady, jakimi mogą się cieszyć mieszkańcy Vancouver, to ulewne deszcze. Spuchnięta kostka coraz bardziej mi dokucza, natomiast Brazuka doskonale sobie radzi, zwłaszcza jak na kogoś tak poobijanego. Wielkie płatki śniegu coraz bardziej działają mi na nerwy, pokrywają drogę i szybko zamarzają, coraz trudniej utrzymać mi równowagę. Nie mam szans nawet z kulejącym Brazuką. Stawia o wiele dłuższe kroki, dlatego wreszcie mnie dogania i łapie za ramię.

– Zabieraj łapę – warczę.

– To pakuj łaskawie swoje dupsko z powrotem do hotelu. Zamierzasz dojść na piechotę do miasteczka? W takich warunkach? – krzyczy, wskazując oblodzoną drogę.

– Skądże, planowałam zwinąć jakieś autko.

– Stało się coś złego, tak? Wracajmy do hotelu i spokojnie porozmawiajmy. Proszę, pozwól sobie pomóc.

Waham się, zastanawiam, co zrobić. Kolejny gwałtowny podmuch wiatru zrywa mi z głowy kaptur, prawie nie mam czucia w zziębniętych stopach. Wątpliwe, bym w takim stanie dała radę dotrzeć do miasteczka. Brazuka wyciąga do mnie dłoń w grubej rękawiczce.

W drodze powrotnej do hotelu na szczęście nikogo nie spotykamy.

Kiedy wchodzimy do pokoju Brazuki, przez chwilę rozglądam się dookoła, by oswoić się z wnętrzem. Olbrzymie łóżko, biurko, dwa pokryte pluszem fotele. Wszystkie meble wykonano z lakierowanego drewna tekowego, dywan i zasłony są niebieskie. Podobno ten kolor wpływa kojąco na system nerwowy. Może i tak,

w każdym razie mnie się podoba.

Brazuka podchodzi do stolika i włącza elektryczny czajnik. W takich hotelach możesz zamówić herbatę u obsługi, przynieść ją z restauracji albo zaparzyć samemu w swoim pokoju. Brazuka wybiera ostatnią opcję, po prostu swój człowiek. Parzy dwie imbirowe herbaty i podaje mi jedną z cudownie gorących filiżanek.

– No to powiedz, co się stało – prosi. – Dlaczego uciekałaś na złamanie karku, jakby ci się palił grunt pod stopami?

Potrząsam głową i przez chwilę wdycham aromatyczną parę wydobywającą się z filiżanki.

– Skąd znasz Bernarda Lama? – pytam wreszcie.

Zaciąga zasłony i opada na miękki fotel. Czeką, aż usiądę naprzeciwko, dopiero wtedy zaczyna mówić:

– Pięć lat temu w jednym z nocnych klubów doszło do strzelaniny, zginęła kobieta. Bernard był tam w tym czasie, przesłuchano go, a ponieważ miał poobijany samochód, podejrzewaliśmy, że jest zamieszany w sprawę. Nic na niego nie mieliśmy, więc zaczęliśmy go śledzić. Tydzień później bawił się w innym klubie i tam też wybuchła strzelanina.

– Pięć lat temu?

– Tak.

– Hm... – Patrzę wymownie na jego chorą nogę.

– Już wiesz, prawda? – Uśmiecha się, błyskając tymi irytująco doskonałymi zębami. – Popchnąłem go na ziemię i oberwałem zamiast niego.

A więc to taka historia. Już rozumiem, dlaczego Lam tak po prostu zarezerwował Brazuce pokój w tym nieludzko drogim hotelu. Zawdzięcza mu życie, a to równie dobry powód jak każdy inny.

– Ktoś próbował go zabić? Z jakiego powodu?

– Nadal nie wiadomo. Wynajął potem ludzi do ochrony, ale nic więcej się nie zdarzyło. Tylko te dwa ataki, nie wiemy nawet, czy ktoś działał na własną rękę, czy na czyjeś zlecenie. Nie udało się ustalić motywu, nie mamy żadnych tropów, ale od czasu do czasu wracam do tej sprawy.

Przez chwilę w milczeniu pijamy herbatę.

– No to powiedz, co się stało. Dlaczego wpadłaś w panikę? – pyta Brazuka.

Kobieta ma prawo do sekretów, niektóre sprawy powinna trzymać w tajemnicy tak długo, jak jej wygodnie. Do czego to podobne, by różni natręci nieustannie próbowali zajrzeć jej do głowy i nekali dociekliwymi pytaniami. Jednak sekrety mają to do siebie, że prędzej czy później wypływają na powierzchnię. Pewnie można nadal walczyć, zaprzeczać i udawać, że nie wiemy, o co chodzi, ale... ale mimo wszystko jestem tylko człowiekiem. Odwracam szybko wzrok, nie chcę patrzeć na Brazukę.

– Natknęłam się na mężczyznę, który kazał mnie wyrzucić do lasu. Jest w hotelu. To Dao, osobisty ochroniarz Jii Zhang.

– Czy to on cię...

– Nie, jestem pewna, że tylko wykonywał rozkazy.

Brazuka pochyla się w moją stronę. Nie próbuje mnie dotknąć, tylko zmniejsza dzielący nas dystans i zniża głos do szeptu, co okazuje się o wiele skuteczniejsze. Udało mu się stworzyć intymną atmosferę, która zachęca do zwierzeń.

– Czy to był Ray Zhang? – pyta zaskakująco łagodnym głosem, jakiego gliniarze używają podczas przesłuchań ludzi znajdujących się na skraju załamania nerwowego.

Niepotrzebnie się wysila. Jeżeli przestanę panować nad emocjami, to na pewno nie teraz i nie tutaj. Odleczę później, samotna, gdzieś na poboczu drogi, z butelką wódki w jednej ręce i ostrym narzędziem w drugiej.

– Nie, to nie jest facet ze zdjęcia, które pokazaliśmy Lamowi. Pamiętam tylko, że też był Azjata, ale bardzo młodym, chyba nawet młodszym ode mnie. Tego wieczoru miałam występ, śpiewałam w nielegalnym klubie. Podawali tam bardzo mocne drinki, dlatego co sobota dochodziło do awantur i bijatyk. Nie sądzę, by gość pokroju Raya Zhanga odwiedzał takie przybytki. Skończyłam śpiewać, wypłam kilka drinków, a potem straciłam przytomność i ocknęłam się pół roku później. Tuż przed tym zdarzeniem rozmawiałam przy barze z jakimś młodym Azjata.

– I nikogo więcej nie pamiętasz?

W milczeniu potrząsam głową i upijam łyk herbaty. Czuję, jak po ciele rozchodzi się przyjemne ciepło.

– Nora, tak mi przykro. – Brazuka odstawia filiżankę i zaczyna wyłamywać palce.

– Nic nie pamiętam. Czasami w nagłym przeblysku słyszę głosy i widzę twarze, ale aż do dzisiaj nie wiedziałam, do kogo należą.

– Czyli było tak: tamtej nocy porwał cię i zgwałcił ktoś z otoczenia Zhanga. Piętnaście lat później znika dziecko poczęte z tego gwałtu. Ale dlaczego porwali Bonnie i dlaczego właśnie teraz?

Jakaś natrętna myśl dobija się o uwagę, nie daje mi spokoju, ale gdy próbuję ją uchwycić, umyka.

– W lesie znalazł mnie dziennikarz Mike Starling. Był z kumplami na wycieczce i prawie potknęli się o moje ciało. Zawiózł mnie do szpitala i opisał moją historię. Wydawca był zachwycony, bo słupek sprzedaży poszybował w górę. Kazał Starlingowi kopać głębiej i stworzyć cały cykl reportaży. Mike ustalił, co mi się przytrafiło, ale nigdy nie ujawnił mojej tożsamości. Kilka lat temu polecił mnie Sebowi, dla którego wkrótce zaczęłam pracować, a moje kontakty ze Starlingiem

się urwały. Mike odezwał się dopiero teraz, gdy zaginęła Bonnie. Chciał się ze mną spotkać, ale nie przyszedł w umówione miejsce. Zamiast niego czekało na mnie kilku osiłków z WIN Security. Tylko jedna osoba mogła im powiedzieć, gdzie mnie szukać...

– No dobra, czyli przycisnęli Starlinga. Ktoś musiał odkryć, o kim pisał w reportażach.

– No właśnie. Poszłam pogadać ze Starlingiem, ale już nic nie mógł mi powiedzieć, bo nie żył. Znalazłam go w łazience, wykrwawił się we własnej wannie.

– Jezu...

Opowiadam o materiałach, które znalazłam w magazynie wynajmowanym przez Starlinga, o artykułach na temat komórek macierzystych i Syntamaru.

Brazuka wstaje i zaczyna krążyć po pokoju.

– Co to ma wspólnego z Bonnie?

– W latach osiemdziesiątych zaczęto leczyć pewne schorzenia, na przykład uszkodzenie rdzenia kręgowego, wszczepiając pacjentom embrionalne komórki macierzyste – wyjaśniam naszpikowana informacjami z materiałów Starlinga.

– Myślisz, że właśnie o to chodziło? Żeby ci pobrać krew z pępowiny?

– Nie wiem.

– To może być ślepy zaułek. – Brazuka energicznie potrząsa głową. – Z drugiej strony to właśnie krew łączy ciebie i Bonnie. Dao kazał cię wyrzucić do lasu, ma powiązania z Zhangiem, a Zhang z WIN Security. A to właśnie ludzie z WIN Security szukają Bonnie. A kiedy się do nich włamujesz, Dao zaczyna o ciebie rozpytywać. Ktoś zabija Starlinga, bo wie, że opisał twoją historię i dobrze cię zna. Właśnie z tego powodu go namierzyli. Czyli teraz szukają ciebie.

– Ale Starling napisał, że nic nie pamiętam z tamtej nocy.

– Chcieli mieć pewność, dlatego się z nim skontaktowali. A on jakimś sposobem zdołał ustalić, że są powiązani z Zhangiem, dlatego wyciął jego zdjęcie z gazety. A skoro na fotografii byli członkowie rady nadzorczej Syntamaru, zaczął zbierać materiały również o tej firmie. Musiał temu poświęcić sporo czasu.

– Tak, ale z tego nadal nie wynika, dlaczego szukają Bonnie.

– Według mnie to ona jest kluczem do rozwiązania zagadki. – Brazuka trze oczy i ziewa. Gorąca herbata po spacerze na lodowatym wietrze nie tylko nas rozgrzewa, ale też pomału usypia.

Patrzę na olbrzymie łóżko, w którym bez trudu zmieściłyby się trzy osoby. Nawet sprzątaczkę śpią w tym szalasy, który śmiało można by nazwać zamkiem, na prześcieradłach godnych jeżeli nie księcia, to przynajmniej damy dworu.

– Położę się na podłodze – oznajmiam, gdy czuję, że coraz bardziej kleją mi się oczy.

– Do cholery, to ja jestem w tym towarzystwie facetem – natychmiast

reaguje Brazuka, zresztą według mnie stanowczo za żywiłowo.

Ma ściągnięte brwi i czerwone policzki, jest naprawdę wytrącony z równowagi, co zdarza mu się niezwykle rzadko.

– A co to ma do rzeczy?

– Jestem facetem, więc będę spał na podłodze. Ty jesteś kobietą, dlatego położysz się w łóżku. Kurwa, o czym tu dyskutować?

– Masz chorą nogę – przypominam. – Czułabym się głupio, wiedząc, że nie możesz się wygodnie wyciągnąć.

– Rycerskość umarła. – Wzdycha. – Dobra, śpię w łóżku.

Kuśtyka do łóżka, rzuca mi kapę i poduszkę, a potem siada na brzegu. Odwracam wzrok, gdy zdejmuje buty i pasek, a on zamyka oczy, gdy moszczę się na podłodze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez chwilę leżymy w milczeniu, on na wysokim łóżku, ja na podłodze. W pokoju wciąż pali się światło, ale żadne z nas jakoś się nie kwapi, by je zgasić. Jest chyba tuż po północy, jednak nie ma tu żadnego zegarka, więc mogę tylko zgadywać. Nie wiem, dlaczego czuję się dziwnie nieswojo. Jestem skrajnie wyczerpana, kapa jest bardzo ciepła i mięciutka, a mimo to nie mogę zasnąć. Brazuka też nie śpi, wciąż słyszę jego nierówny oddech.

– Nora, śpisz? – pyta, bo chyba znudziło mu się udawanie, że już zasypia.

– Tak.

– Oboje sporo ostatnio przeszliśmy, więc... Nora, jeśli potrzebujesz dzisiejszej nocy towarzystwa, zgłaszam się na ochotnika. Mówię o tym otwarcie, bo brakuje ci odwagi, by zrobić pierwszy krok.

– O czym ty, do diabła, mówisz? – pytam, gdy już otrząsam się z pierwszego szoku.

– Dobrze wiesz. Źle znosisz towarzystwo mężczyzn, i nic dziwnego, biorąc pod uwagę, co cię spotkało. Ale oboje wiemy, że ci się podobam, więc jeśli mnie potrzebujesz, jestem tutaj, na wyciągnięcie ręki.

– Dlaczego uważasz, że mi się podobasz? – Jestem naprawdę ciekawa, które z moich zachowań uznał za przejaw sympatii i zauroczenia. Czyżby doszedł do wniosku, że napadam w męskiej toalecie tylko na tych facetów, do których czuję słabość?

– Sam nie wiem – odpowiada, z trudem powstrzymując śmiech. – Pewnie dlatego, że często się na mnie ukradkiem gapisz, kiedy myślisz, że tego nie widzę.

– Obserwuję ukradkiem wszystkich, z którymi rozmawiam.

– I zawsze skupiasz się na ich ustach?

Matko, czy naprawdę tak się zachowuję? To bardzo prawdopodobne. Oto wysoka cena, jaką przyszło mi zapłacić za fascynację jego perfekcyjnym uśmiechem. Jestem wściekła, że to zauważył.

– Pierdol się – radzę mu życzliwie.

– Tylko z tobą, jeśli tego chcesz. Jeżeli nie, to idę spać. Tylko pamiętaj, że po pierwsze, nie zawsze będę pod ręką, a po drugie, kto wie, jak skończy się nasze śledztwo. Może to nasza ostatnia wspólna noc? Poza tym zdzieliłaś mnie kluczem do opon, i oboje wiemy, co to znaczy. Trudno o bardziej wyrazisty symbol... – Odwraca się twarzą do mnie, ziewa, uśmiecha się błogo i zamyka oczy.

Z trudnego do wyjaśnienia powodu zupełnie nie wiem, co zrobić z rękami. Wydaje mi się, że zaczynają żyć własnym życiem, wyslizgują się spod kapy, palce prostują się i zginają, jakby coś wyzymały. Nie chcę zrobić nic, czego potem będę żałować, dlatego idę do łazienki. Stojąc pod prysznicem, szoruję się dokładnie, nie

żałując luksusowego mydła o zapachu róż, i próbuję zebrać myśli. Dlaczego od lat unikam seksualnych kontaktów z mężczyznami? Co mną powoduje, wstyd czy strach? Świadomie wybrałam celibat, ale nagle ta decyzja zaczyna mi ciążyć. Czuję się coraz dziwniej, natura upomina się o swoje prawa, a ja nie jestem w stanie stłumić popędu.

Owijam się w puszysty ręcznik, staję w progu i patrzę na wyciągniętego na łóżku Brazukę. Leży na plecach z rękami założonymi za głowę, ale wiem, że nie śpi.

– Dlaczego postanowiłeś mi pomóc? – pytam.

– Czy to ważne?

– Tak.

– Bo chciałem. – Nadal ma zamknięte oczy, jednak z tonu głosu łatwo poznać, że mówi szczerze.

– Czy muszę...

– Przestań gadać, chodź tu wreszcie.

Gaszę wszystkie światła z wyjątkiem tego w łazience, biorę pasek Brazuki i sznur od zasłon. Otwiera oczy, gdy siadam na jego klatce piersiowej, okręcam mu nadgarstki paskiem i przywiązuję do wezgłowia łóżka. Brazuka nie protestuje.

– Zdejmij ręcznik, jest zupełnie mokry – mówi łagodnie.

Waham się. Od ponad dziesięciu lat nikt nie widział mnie bez ubrania, ale jeżeli nie posłucham, zamoczę całą pościel.

Brazuka chyba czyta w moich myślach, bo zamyka oczy. Patrzę na jego spokojną twarz i mam ochotę go pocałować. Wzdycham ciężko i zrzucam ręcznik na podłogę, potem nachylam się nad Brazuką, a nasze oddechy mieszają się przez chwilę. Kiedy mi się wydaje, że już dłużej tego nie wytrzymam, czuję w ustach jego język.

Powinnam się bronić, ale przepelnia mnie rozkosz. Tak cudowna, że aż nierealna.

Po chwili, która wydaje mi się mgnieniem, jest już po wszystkim. Orgazm mnie zaskoczył i po raz pierwszy od lat nie wywołał uczucia wstydu. Trzymam się kurczowo ramy łóżka, bo mam wrażenie, że zaraz odleczę.

Brazuka nie domaga się odwzajemnienia rozkoszy, którą mi sprawił, a ja też nic takiego nie proponuję. Nie jestem pewna, czy zdołałabym go zadowolić, nigdy nie byłam mistrzynią seksu, nawet przed tą straszną nocą. Leżę spokojnie odwrócona plecami do Brazuki i czekam, aż mój puls znowu zwolni. Brazuka wyplątuje się z więzów i znika w łazience. Zastanawiam się, czy uprawiał ze mną seks, bo mnie naprawdę pożądał, czy tylko chciał mi pomóc, ale w sumie to bez znaczenia.

Wyślizguję się z łóżka i wracam na posłanie na podłodze. Kiedy Brazuka przychodzi z łazienki, jestem już ubrana, a wilgotny ręcznik wisi porządknie na

wezłowiui łóżka.

– Założę się, że ten koniak, którym delektował się Lam, wspaniale smakował
– mówię, bo nie mogę przestać o tym myśleć.

– Złocisty trunek wart swojej ceny – zgadza się Brazuka i odwraca twarzą w moją stronę.

– Fatalnie. Brakuje nam samokontroli – stwierdzam, nie patrząc na niego.

– Mów za siebie, mnie jej nie brakuje – odpowiada chrapliwie.

– Powiedział alkoholik.

– Przyganiał kocioł garnkowi. Przyjmij do wiadomości, że wręcz słyng z samokontroli.

Próbuję wymyślić ciętą ripostę, ale dopada mnie senność. Kiedy się budzę, Brazuki nie ma w pokoju, co bardzo mnie cieszy. Podobno niektórzy ludzie nie mają problemu z tym, jak zachować się po wspólnie spędzonej namiętnej nocy, nie są zażenowani ani spięci. Nie wierzę, to nie może być prawda.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czasami czuję się, jakby ktoś nałożył mi na barki nieznośny ciężar, który przygniata mnie do ziemi, a bywają dni, gdy uznaję to jedynie za wytwór mojej chorej wyobraźni. Może to tylko nawracająca depresja, ale kiedy dobrze się nad tym zastanowić, nie mam wielu powodów do narzekań. Żyję, nie tykam alkoholu od tak dawna, że aż trudno mi w to uwierzyć. Mam psa, który przemierza ze mną ulice nocą i nie absorbuje swoją obecnością w ciągu dnia, bo wtedy jak kot chadza własnymi ścieżkami. Pracuję u facetów, którzy nie zadają zbyt wielu pytań i pozwalają mi koczować w ich piwnicy. Czy to mało? Nie, to więcej, niż mają setki tysięcy ludzi.

A jednak czasami jest mi tak ciężko na duszy, że odczuwam fizyczny ból. Dlaczego?

Dla alkoholika depresja to luksus, na który nie może sobie pozwolić, o ile oczywiście chce wytrwać w trzeźwości. Nie wolno dopuścić, by ból istnienia pochłonął twoją ciężko wypracowaną samokontrolę, byś zaczął gubić się w domysłach i wątpliwościach. Dobrze o tym wiem, jednak teraz nie umiem nad tym zapanować. Kiedy dowiedziałam się o zaginięciu Bonnie, pierwszą osobą, której o tym opowiedziałam, był Brazuka. Alkoholika i sponsora łączy specyficzna więź, niepisana umowa, która gwarantuje dyskrecję. Brazuka wywiązał się z niej o niebo lepiej niż ja. W nocy mu zaufałam i chociaż gubię się w wątpliwościach, to więcej, niż komukolwiek wcześniej ofiarowałam.

Wieki temu, kiedy byliśmy nastolatkami, Lorelei zapytała, czy byłam kiedyś zakochana.

Miłość?

Ile musiałabym poświęcić, by poczuć się tak wspaniale jak bohaterowie filmowych romansów? Mówię o pogodnych filmach z happy endem, nie o ponurych dramatach, po których widzowie mają ochotę strzelić sobie w łeb albo spędzić resztę życia samotnie. O dobrej miłości, którą nielicznym udaje się spotkać, która leczy i ożywia ich duszę, która sprawia, że nawet w środku mroźnej zimy udziela im się wiosenny nastrój. Ja mam złamane serce i brudną duszę, to plamy, których nie wywabi najsilniejszy detergent. Brakuje mi pieniędzy, mądrości i łagodności. Co mogłabym zaoferować kochankowi? Pokłady rezerwy, podejrzeń, notoryczny ból serca, dziką rzekę podejrzeń, które niestety zbyt często okazują się uzasadnione.

Gapię się na mejl od Leo. Nieważne, że przeczytałam go już kilkanaście razy, potrzebuję chwili, by zaakceptować fakty.

Srebrny sedan, którym śledził mnie Brazuka.

Zrobiłam komórką zdjęcie i poprosiłam Leo o pomoc.

Samochód jest zarejestrowany na firmę WIN Security.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przypominam sobie nagłówki z gazet, które rozpisywały się o mojej historii:
W LESIE ZNALEZIONO NIEPRZYTOMNĄ KOBIETĘ
O NIEUSTALONEJ TOŻSAMOŚCI. OPRAWCY SKAZALI JĄ NA ŚMIERĆ
POBITA I ZGWAŁCONA KOBIETA PORZUCONA W LESIE
POBITA KOBIETA NADAL JEST W ŚPIĄCZCE. POLICJA
PODEJRZEWA, ŻE MA DOMIESZKĘ KRWI RDZENNYCH MIESZKAŃCÓW
POBITA KOBIETA ZNALEZIONA W LESIE BUDZI SIĘ ZE ŚPIĄCZKI.
NIE PAMIĘTA, JAK SIĘ NAZYWA
KOBIETA ZNALEZIONA W LESIE PO WYBUDZENIU SIĘ ZE
ŚPIĄCZKI ODKRYWA, ŻE JEST W CIĄŻY

Ten ostatni podoba mi się najbardziej, bo wreszcie nie zostałam nazwana pobitą kobietą. Natomiast słowo „podejrzewa” sugeruje, że domieszka krwi rdzennych mieszkańców jest przestępstwem. Powiedziałam Starlingowi, że te nagłówki są idiotyczne, i poprosiłam, by o mnie więcej nie pisał. Głupia prośba, reporter miałby zrezygnować z historii, w której odegrał kluczową rolę? Bo w doniesieniach medialnych wybawca jest zawsze ważniejszy od ofiary, nieważne, że ofiara nie życzy sobie szumu wokół własnej osoby i najchętniej schowałaby się do mysiej dziury. Starling zgodził się ze mną w kwestii nagłówek, owszem, to grafomańskie gówno, ale właśnie na tym polega ten biznes. Im bardziej idiotyczny tekst, tym większa sprzedaż. Poza tym i tak nie miał na to wpływu. Ilekroć chciał zrezygnować z relacjonowania mojej historii, wydawca nalegał, by pogrzebać głębiej, spojrzeć na sprawę z różnych stron. Byłoby super, gdyby udało się dotrzeć do innych kobiet, które spotkał podobny los. Odpowiadałam na jego pytania bardzo zdawkowo, ale jednak odpowiadałam, był jedynym dziennikarzem, z którym zgodziłam się rozmawiać. Stałam się jego najważniejszym tematem i akurat na to żadne z nas nie miało wpływu.

Sytuacja się zmieniła, gdy pewnego dnia Starling zauważył przed szpitalem telewizyjnego dziennikarza, który podobno zamierzał nakręcić o mnie reportaż.

– Próbował mnie zabić – mruknęłam, gdy Starling mi o tym powiedział. – Ten facet, który kazał mnie wyrzucić w lesie. Był pewien, że nie przeżyję.

– Wiem – odparł Starling, opadając ciężko na fotel przy moim szpitalnym łóżku.

– Zgodziłam się z tobą rozmawiać pod warunkiem, że nigdy nikomu nie zdradzisz mojej tożsamości. Taka była umowa, pamiętasz?

Starling ciężko się napracował, bym mu zaufała i zaczęła mówić. Przekonał mnie, że ludzie powinni poznać moją historię. Akurat ten argument w ogóle do mnie nie trafił, zawsze miałam tak zwany ogół społeczeństwa w głębokim

poważaniu, ale byłam coś winna Starlingowi. Ocalił mi życie, a ja zawsze spłacam długi. Jednak nie życzyłam sobie kontaktów z kolejnym dziennikarzem, tego nikt nie miał prawa ode mnie wymagać.

– Nora, mój cykl reportaży uznano za medialne wydarzenie. Może nawet... dostanę nagrodę.

– Pierdolę ciebie i twoją nagrodę. – Zaczęłam nerwowo krążyć po pokoju. Nogi się pode mną uginały, olbrzymi brzuch zasłaniał widok na stopy. – Nie przychodź tu więcej, rozumiesz? Mówię serio.

– Rozumiem. Myślisz... boisz się, że facet, który cię skrzywdził, próbuje cię zabić? Ten, który ci to zrobił? – Zażenowany wskazał mój brzuch.

– A skąd mam, do diabła, wiedzieć? Nawet nie pamiętam, jak wyglądał.

– Czyli powinienem trzymać się na dystans.

– Dla własnego dobra. Zrobiłam, o co prosiłeś. Pomogłam ci napisać reportaż, prawda? Jesteśmy kwita.

– Nora, nigdy nie byłaś mi nic winna.

– Przestań używać mojego imienia. Raz na zawsze, okej? Dostałeś swoją historię, ludzie czytają twoje głupie artykuły, pewnie czeka cię świetlana przyszłość. A teraz spójrz na mnie. Moje życie też się zmieni, tyle że na gorsze.

– Może powinniśmy pogadać z policją – proponuje z wahaniem.

– Czy ty w ogóle słuchałeś, gdy mówiłam, pod jakimi warunkami zgadzam się z tobą rozmawiać? Żadnych psów.

Dużo mu opowiadałam o życiu na ulicy. O tym, dlaczego zawsze lepiej unikać glin. Jeżeli jesteś bezdomny albo zarabiasz jako prostytutka, żaden policjant nie przejmie się twoim zgłoszeniem. Krążą wokół ludzi ulicy jak sępy, przeganiają z miejsca na miejsce, nigdy nie interweniują, gdy tak zwani porządni obywatele traktują cię jak śmiecia lub jawnie krzywdzą. Gliniarze nie uwierzą takiej osobie jak ja, nie ma takiej opcji, choćby moje zeznania poparło kilku dziennikarzy o reputacji Starlinga.

Po przeczytaniu wiadomości od Leo zacznę metodycznie przeszukiwać rzeczy Brazuki. Wyciągam je z torby, a po przejrzaniu wrzucam bez ładu i składu z powrotem. Szukam dowodu, że ufając mu, popełniłam koszmarny błąd. Na przykład mogłabym się natknąć na identyfikator, jaki zapewne WIN Security wydaje pracownikom, oczywiście wystawiony na nazwisko Brazuki. Pomyślałabym wtedy o sobie jak o ciężkiej idiotce, ale trochę by mi ulżyło.

Oczywiście nic takiego nie znajduję. Trochę ubrań, kosmetyczka, zestaw do golenia. Jasne, jest za sprytny, by zostawiać na widoku rzeczy, które mogą go obciążać lub skompromitować.

Nie ma co ukrywać, wiedziałam o tym już wcześniej. Przeszukałam jego rzeczy, gdy był w łazience, zanim dostałam wiadomość od Leo. Powiedzmy szczerze, nigdy nie uda ci się zupełnie zmienić ani pozbyć wszystkich złych

nawyków. W chłodnym świetle poranka, gdy jestem sama i z nikim się nie całuję, jakoś mnie to nie martwi, wręcz przeciwnie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Siedzę w ciemnym pokoju, przez zaciągnięte zasłony do środka nie przedostaje się nawet najmniejszy promyk światła. Kiedy Brazuka wraca, szykuję się do rozmowy, której chyba wołałabym uniknąć.

– Zadzwoń w parę miejsc – mówi, otrzepując się ze śniegu. – Jeden z moich przyjaciół jest lekarzem, zanim przeszedł na emeryturę, pracował w publicznej służbie zdrowia.

– Tak?

– Powiedział, że we krwi pępowinowej jest mnóstwo komórek macierzystych, które zazwyczaj pobiera się ze szpiku kostnego. Są w stanie zróżnicować się w dowolną komórkę ciała, teoretycznie mogą zastąpić każdą uszkodzoną tkankę, dlatego wykorzystuje się je w leczeniu około siedemdziesięciu chorób. Jednak by za ich pomocą leczyć dorosłego człowieka, trzeba pobrać krew co najmniej dwa razy. Jedna średnia porcja wystarcza dla pacjenta o wadze czterdziestu kilogramów.

– A ile krwi trzeba pobrać na leczenie zniedołężniałego starca?

– Co masz na myśli? – Patrzy na mnie zaszokowany.

– Od ponad roku nikt nie widział Raya Zhanga, zgadza się? A jeśli jest chory i czeka na przeszczep? Mogli znaleźć doświadczonego banku krwi pępowinowej i dzięki temu namierzyć zgodnego dawcę.

– Doświadczonego? W jaki sposób?

– Czarny rynek? Prywatne banki krwi pępowinowej? Publiczny bank krwi pępowinowej? Do wyboru, do koloru. Kiedy masz tyle pieniędzy co Zhang, możesz kupić prawie wszystko.

– Czyli szukając zgodnego dawcy, dotarli do Bonnie.

– To tylko spekulacje – odpowiadam, marszcząc brwi.

– Nie, to na razie najbardziej spójna teoria, jaką wymyśliliśmy. – Ziewa głośno. – Większość gości już wyjechała, zostali tylko ci, którzy zamierzają pojechać na nartach. Lecą helikopterem nad stok i skaczą. Można się nieźle połamać.

Jasne, większość uczestników konferencji to ludzie powyżej pięćdziesiątki. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, by gustowali w ryzykownych rozrywkach. Skakać w nartach z helikoptera? Nie, dziękuję.

– Jia Zhang wyjechała godzinę temu – dodaje Brazuka.

– A Lam?

– On też. – Brazuka pada na łóżko. Wstaję z ustawionego przy oknie fotela i podchodzę do niego. Nie protestuje, kiedy przywiązuję mu dłonie do wezglowia, ale tym razem nie zamyka oczu. – Co, znowu? Niech ci będzie. A może teraz

spróbujemy czegoś innego? – proponuje.

– Zapewniam, że będzie zupełnie inaczej. Posłuchaj, czy po tym, jak zostałeś ranny, próbowali uziemić cię przy biurku?

Brazuka unosi brwi. Niepokoi go wyraz mojej twarzy, zauważył, jak bardzo mam rozszerzone źrenice.

– Tak, ale co to ma wspólnego z... Rany, czy to naprawdę konieczne? – pyta, gdy zacieśniam węzeł.

– I pewnie musiałeś chodzić do psychologa, żeby uzyskać pozwolenie na powrót do służby, tak?

– To standardowa procedura – mówi obojętnym tonem, ale równocześnie mruży oczy. Tym razem nie nachylam się nad nim i nie zdejmuję ubrania. Nagle zauważa na podłodze kilka pustych butelek. A niech to. – Piłaś.

– Masz tu świetnie zaopatrzone minibarek. – Śmieję się. – Szkoda tylko, że nie zaczęłam od koniaku. To jedyna rzecz, której żałuję.

Zaczyna rzucać się na boki, próbując poluzować węzeł. Nic z tego, nie spartaczyłam roboty.

– Natychmiast mnie rozwiąż! – krzyczy.

– No więc tak. Zostałeś ranny i psycholog wydaje zaświadczenie, że jesteś zdolny wyłącznie do pracy biurowej. Może też wie, że jesteś alkoholikiem, może cię nie lubi, bo już wcześniej sprawiałeś kłopoty. – Kiedy milczy, mówię dalej: – Nie jesteś w pełni sprawny, za to uzależniony od alkoholu i być może od środków przeciwbólowych. Nie chcesz przez resztę życia zawodowego przekładać papierów na biurku, więc pora pomyśleć o zmianie pracy. Prosisz o pomoc faceta, któremu uratowałeś życie. Od jakiegoś czasu korzysta z usług firmy ochroniarskiej, mógłby im polecić twoje usługi. Zbiegiem okoliczności z usług tej firmy korzysta również Ray Zhang. To WIN Security. Już dawno nie jesteś gliną, prawda?

Brazuka przez chwilę zastanawia się, jak najlepiej wybrnąć z sytuacji, rozważa różne możliwości, ale oboje wiemy, że ta gra dobiegła końca.

– Jak? – pyta.

Tym jednym słowem łamię mi serce. Zero uznania dla mojej inteligencji, żadnych przeprosin, tylko godne pożałowania pytanie, jak odkryłam prawdę.

– Leo sprawdził rejestrację twojego samochodu.

– No dobra. – Wzdycha. – To już wszystko wiesz. Nawet się cieszę, bo strasznie mnie męczyło ukrywanie prawdy. Gdybym ci powiedział, nigdy byś mi nie zaufała. A teraz mnie wreszcie rozwiąż.

– Kiedy spotkaliśmy się na moście, twierdziłeś, że jesteś gliną.

– Tak było prościej. Zaczęłam pracować w WIN Security niedługo po tym, jak zostałam ranny.

– Dlaczego szukają Bonnie?

– Naprawdę nie wiem. Oficjalnie nawet nie zajmują się tą sprawą. Faceci

z WIN Security to prawdziwi profesjonaliści, świetnie wyszkoleni, w większości byli wojskowi. Ale jeżeli chodzi o Bonnie... Coś tu śmierdzi. Uwierz, na ogół działają w granicach prawa, natomiast teraz postępują wyjątkowo brutalnie, nie licząc się z konsekwencjami. Prawdopodobnie dlatego, że szukają Bonnie na polecenie Zhanga, a ten staruch jest niemal wszechmocny. Nora, posłuchaj, co prawda nie pracuję już w policji, ale jestem twoim sprzymierzeńcem, nie wrogiem.

Kłamie czy mówi szczerze? Nie umiem zdecydować.

Podchodzę do niego, w ręce trzymam butelkę.

– Hej, co chcesz zrobić?! – krzyczy i zaczyna się szarpać na łożku, ale dobrze wiem, jak unieruchomić osobę, która sprawia kłopoty. Po pierwsze, należy zawiązać mocny węzeł. Po drugie, zawiązać trzy kolejne. Kiedy wbijam łokieć w jego chorą nogę, zaczyna wrzeszczeć z bólu.

– Przez ciebie musiałam się napić. Wkurwiłeś mnie, Brazuka, a teraz ja wkurwię ciebie. – Alkohol rozwiązał mi język, zdaję sobie sprawę, że mój monolog brzmi jak kwestia z kiepskiego filmu. Słyszeliście kiedyś elokwentnego alkoholika? Jezu, ubaw po pachy.

Brazuka ciągle się szarpie, ale ponieważ chwilowo nie może ruszać prawą nogą, wykorzystuję to, by lewą przywiązać paskiem do ramy łożka.

– Nie rób tego – prosi.

Siadam na jego piersi, by go unieruchomić.

– Proponowałeś wspólną popijawę, pamiętasz? – Chwytam go za żuchwę, siłą otwieram mu usta i przytrzymuję jedną ręką. – Przekonałeś mnie, to naprawdę świetny pomysł. – Drugą ręką wlewam mu do gardła alkohol. Krztusi się, dlatego spokojnie czekam, aż wszystko połknie. – A może strzelimy sobie po koniaczku z twoim przyjacielem Lamem? – Wlewam mu do gardła zawartość kolejnej butelki. Potem wpycham mu do ust jego bokserki. Czyste, przecież nie jestem potworem. Próbuje protestować, ale nie ma szans, by ktoś go usłyszał.

– Cii, spokojnie, zdrzemnij się – mówię na pożegnanie.

Resztę buteleczek z minibarku chowam do plecaka. Do jednej z tych, które wlałam w Brazukę, dodałam kilka bardzo silnych proszków przeciwbólowych skradzionych w klinice weterynaryjnej. Zanim Brazuka się ocknie, będę daleko stąd.

Wychodzę na drogę dojazdową, gdzie czeka na mnie Carl. Jestem zniesmaczona swoją głupotą. Samotność sprawia, że stajemy się nieostrożni. Właśnie dlatego zaufałam człowiekowi, który na to nie zasługiwał.

– Madame, czy mogę spytać o cel pani podróży? – Włączając silnik, Carl uśmiecha się szeroko.

Poranek jest mroźny, ale bardzo pogodny. Śnieg przykrył drzewa i góry puszystą białą pierzynką, przez co krajobraz wydaje się bardziej wyrazisty, zastygły w niemym pięknie. Na szczęście szosa prowadząca do miasteczka jest już

odśnieżona.

– Carl, znowu zaczynasz? Nie pytaj, czasami lepiej nie wiedzieć.

– Jasne, wszyscy mamy sekrety.

Tak, do cholery, szczerą prawdą. Kiedy odkryłam, gdzie naprawdę pracuje Brazuka, wprowadziłam się w stan lekkiego upojenia alkoholowego, co natychmiast poprawiło mi humor. Teraz zaczyna się zjazd, czas ponurych myśli. Dobrze, że mam w plecaku kilka miłych buteleczek. Kiedy dojedziemy do miasteczka, jedną z nich natychmiast opróżnię. Nie teraz, nie przy Carlu. To swój chłop, ale chyba by nie zrozumiał.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jest owinięta kocem, idą przez las. Mężczyzna, który ją niesie, śmierdzi potem, ale też pachnie jak sosnowe igliwie. Całkiem przyjemnie, a już na pewno przyjemniej niż ona. Spędziła pod gołym niebem kilka dni, a może tygodni. Nie wie. Pyta mężczyznę, dokąd idą, jednak on nie odpowiada. Bonnie ma ciężkie powieki, nie jest w stanie ich unieść, ale czuje zapach wilgotnej ziemi, słyszy szum drzew i śpiew ptaków.

Skulona w męskich ramionach, przypomina sobie ojca. Lubił mierzwić jej włosy i śmiał się z jej głupich żartów. Grał z nią w kosza i podrzucał samochodem do szkoły, gdy wstawiała zbyt późno, by zdążyć na autobus. Tak było kiedyś, potem ojciec bardzo się zmienił, stał się taki jak Lynn. Zaczął unikać jej spojrzenia. W ostatnie święta Bożego Narodzenia rozpakowywali gwiazdkowe prezenty w całkowitym milczeniu, potem poszli do kina. To był film o chłopaku, który został superbohaterem i zaprzyjaźnił się z innymi superbohaterami. Rodzice wybrali film ze względu na nią, ale okazało się, że to komedia, i wszyscy świetnie się bawili. Wychodząc z seansu, wciąż chichotali, a potem wrócili do cichego domu i już nikt się nie śmiał.

To wszystko wydaje jej się bardzo odległe, a przecież nie wydarzyło się wieki temu. Teraz obcy mężczyzna niesie ją przez las, jakby była małym dzieckiem. Idą i idą, aż nagle do jej nozdry dociera inny zapach. Rześki, przesycony solą wiatr znad oceanu.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wracałam, czym się dało i jak się dało. Korzystałam z publicznego transportu, ale częściej łapałam stopa. Było trudno, ale okazało się wykonalne, zwłaszcza że byłam dobrze zaopatrzona w buteleczki z pokoju Brazuki. Piłam, by pozbyć się ostrych kantów, by złagodzić i upodobnić się do rozmytego, pokrytego śniegiem krajobrazu. Gdy ciężkie płatki opadają na zmarzniętą ziemię, wszystko wydaje się bardziej obłe i miękkie. Im bliżej miasta, tym ostrzejsze stawały się kontury, śnieg zamieniał się w szarą breję, aż w pewnym momencie zupełnie zniknął.

Na spotkanie mojej dawnej grupy wsparcia stawiałam się po wypiciu trzech piw i trzech kieliszków wódki. Wszystko wlałam w siebie w przeciągu dwóch godzin. Jestem wstawiona, ale nie tak bardzo, by padać na twarz. Trochę płacze mi się język, jednak jestem w stanie prowadzić w miarę sensowną konwersację.

– Hej, dawno tu nie zaglądałaś – wita mnie moja była sponsorka. Zawsze podejrzewałam, że pracuje dla służb wywiadowczych. – Jak tam sprawy?

– Rewelacja! – odpowiadam stanowczo za głośno. Wścibska suka sama jest sobie winna, że teraz dzwoni jej w uszach.

Mruży oczy i patrzy na mnie z troską. Prawdziwą czy udawaną? Nie wiem, kiedy jestem pijana, nie mogę się połapać, czy ktoś jest życzliwy, czy tylko się zgrywa.

– Chyba jesteś trochę wczorajsza, kochanie. Chciałabyś o czymś pogadać?

– Wiesz co, Sierra, możesz mnie cmoknąć. Zejdź ze mnie – mówię nieco bełkotliwie, dumna, że zapamiętałam powiedzonko, którego nagminnie używa bohater popularnego serialu telewizyjnego. Zawsze chciałam tak do kogoś powiedzieć, ale jakoś nie było okazji. Swoją drogą wątpię, żeby ta baba naprawdę nazywała się Sierra. Wybrała taką ksywkę, bo jest nieznośnie pretensjonalna.

– Dobra, wystarczy. – Simone, która nie spuszcza ze mnie wzroku, od kiedy weszłam, postanawia interweniować. – Idziemy. – Ujmuje mnie za łokieć, popycha w stronę schodów, wyciąga na ulicę i prowadzi na pobliski parking. Nie opieram się, jest ode mnie silniejsza i sprawniejsza nawet w butach na idiotycznie wysokich koturnach, które zawsze wkłada na spotkania AA.

O dziwo, nie pada, co o tej porze roku w Vancouver zakrawa na cud. Simone opiera mnie o uliczną latarnię i dokładnie ogląda.

– Ty głupia cipo – mówi po chwili.

Zapach rozpuszczalnej kawy, którą przed chwilą wypiałam, sprawia, że łatwiej znieść zapach mojego oddechu, ale Simone niełatwo oszukać. Jest równie doświadczoną zawodniczką jak ja.

– To nie było miłe – mruczę.

– Nie przychodzimy na spotkania AA, żeby prawić sobie uprzejmości.

– Nie?

Coś takiego, a ja myślałam, że właśnie po to. Żeby miło porozmawiać z ludźmi, których omijasz szerokim łukiem, gdy spotykasz ich na ulicy w środku tygodnia o trzeciej nad ranem. Są równie zalani jak ty, więc patrząc na nich, tak naprawdę widzisz siebie. Na spotkaniach AA masz okazję normalnie z nimi pogadać. Niby czemu innemu miałyby służyć grupy wsparcia?

– Wróć, kiedy wytrzeźwiejesz. Dzisiaj nic tu po tobie – mówi Simone.

Ma rację, nic tu po mnie, tyle że nigdzie nie mam swojego miejsca. Tak samo jak mój wyobcowany ojciec, który nie umiał z tym żyć i pewnego dnia strzelił sobie w łeb. Nie wiem, jak było z matką, ale skoro mnie porzuciła, mam to w głębokim poważaniu.

Pewnie tak samo myśli o mnie Bonnie, uświadamiam sobie nagle i robi mi się przykro.

Ruszam przed siebie, ale Simone zagradza mi drogę.

– Przepraszam, Nora, nie chciałam cię obrazić, ale do diabła, czy pomyślałaś, co się stanie z Sapką? Dasz radę o nią zadbać, kiedy będziesz spita do nieprzytomności?

Tani chwyt, jednak w stylu Simone, która nigdy nie zawracała sobie głowy wyszukanyimi przenośniami.

– Oddałam ją – mówię.

Simone najpierw szeroko otwiera usta, a potem zamyka tak gwałtownie, że słychać, jak górne zęby uderzają o dolne.

– Ach tak... Porzuciłaś jedyną istotę, która bezinteresownie cię kochała. Która ciebie wybrała i bezgranicznie ci zaufała.

Uwielbiam Simone za inteligencję. Jako jedyna zrozumiała, że Sapka nie jest dla mnie jedynie domowym pupilem. Ta suczka spełnia o wiele ważniejszą rolę – trzyma mnie przy życiu.

– Sapka zasługuje na lepszy los.

– Jasne, gdyby każdy dostawał to, na co zasługuje, nasz świat wyglądałby zupełnie inaczej. Ale jest, jak jest, wszyscy musimy z tym żyć. Dobrze wiesz, że Sapka już nigdy nie będzie szczęśliwa. Oddałaś ją do schroniska?

– Co ty mówisz! – No to mnie zdenerwowała. – Nie bądź śmieszna, jest u ludzi, którym ufam.

– Zawsze jakaś pociecha. Szkoda, że nie poprosiłaś mnie o pomoc.

Coś takiego, doczekałam się pochwały. Oszczędnej, ale dobre i to. Właśnie od rozmowy o psach zaczęła się moja dobra znajomość z Simone. Ja jej opowiedziałam o Sapce, ona o jazgotliwym terierze, któremu nadała imię Benedict. Simone wie, że Sapka jest moim przewodnikiem na drodze do trzeźwości. Teraz bez skrępowań uprawia moralny szantaż i muszę przyznać, że odnosi sukces.

Owszem, jestem pijana, ale nagle zaczynam postrzegać rzeczywistość jaśniej, kontury się zaostrzają, przestają się zlewać w bezbarwną plamę. Wsiadamy do piekielnie drogiego samochodu Simone, by spokojnie pogadać. Opowiadam o Bonnie, o śledztwie w luksusowym górskim hotelu. O tym, co mi się przytrafiło po drodze i co udało mi się ustalić. O Starlingu, ochroniarzach z WIN Security, Rayu Zhangu, Jii Zhang i Dao. Tak, przede wszystkim o Dao.

– Cieszę się, że wysłuchałam tego na siedząco – mówi Simone po długiej chwili milczenia, kiedy już trochę dochodzi do siebie.

– A ja się cieszę, że nie musiałam ci najpierw przyłożyć kluczem do opon.

– Co takiego?

– Nic, zapomnij. – Z własnego doświadczenia wiem, że niektórzy nie słuchają, zanim ich przedtem nie ogłuszysz.

– Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób namierzyli Bonnie i pozyskali krew z twojej pępownicy. Piętnaście lat temu badania nad jej właściwościami dopiero raczkowały. Nie było jeszcze państwowego banku komórek macierzystych. Pewnie niektóre prywatne ośrodki zajmowały się już takimi badaniami i miały banki krwi, ale nie mogłoby nic zrobić bez twojej zgody.

– Nikomu nie udzielałam żadnej zgody – stwierdzam stanowczo.

– W takim razie to błędny trop.

– Naprawdę tak uważasz?

– No nie – wzdycha Simone. – Masz rację, nikt nie przejmuje się takimi ludźmi jak my. – A większość takich wyrzutek jak my nawet nie zna swoich praw, dodaję w myślach. Nie Simone, ale ona należy do wyjątków. – Dobra, w takim razie mamy do czynienia z czerwonym rynkiem i...

– Z czym?

– Tak to nazywają. To czarny rynek handlu krwią i organami.

– Jezu...

– To znaczy, że twoja córka jest zgodnym dawcą dla kogoś bardzo ważnego, dlatego używają wszelkich dostępnych metod, by ją znaleźć, łącznie z jawnym łamaniem prawa. Właściwie nie mają wyboru, skoro od ciebie też pobrali krew nielegalnie. A teraz potrzebują więcej, bo dawka, którą dysponują, to za mało. Na przykład osobom po transplantacji wątroby trzeba podać około dziesięciu litrów krwi, tylko wówczas jest szansa, że przeszczep się przyjmie. Po zbadaniu twojej próbki musieli jakoś dotrzeć do Bonnie.

– Jakoś dotarli.

– Wiedzą, że urodziła się po tamtej nocy, co ułatwia sprawę. Albo dotarli do papierów adopcyjnych, albo cały czas mieli ją na oku. Może wykorzystali sprzyjający moment, jej ucieczkę z domu. Wszyscy założyli, że chodzi o chłopaka, o bunt nastolatki, której się wydaje, że spotkała miłość życia. Nikomu nie wpadło do głowy, że ktoś ją porwał, dzięki czemu zyskali sporo czasu. Wiadomo, im

później rozpoczniesz poszukiwania, tym mniejsze szanse na sukces. Zaraz, ale przed domem jej rodziców zauważyłaś ochroniarza z WIN Security, tak?

– Tak.

– Skoro ją porwali, to po co obserwowali dom?

– Może uciekła? Ma w tym dużą wprawę.

Simone wzdycha i popada w głęboką zadumę. Kiedy przerywa milczenie, mówi pomału, waży słowa:

– Bonnie wie, że jej szukają, bo jest dla nich ważna, no i może ich zidentyfikować. Porywacze grają teraz o większą stawkę, chodzi nie tylko o pozyskanie krwi, ale też o odzyskanie kontroli nad sytuacją. Muszą pozacierać ślady, wyeliminować ewentualne zagrożenia, które mogłyby do nich doprowadzić. Ścigają ciebie, zabili dziennikarza, strzelali w lesie do chłopaka Bonnie. Przestali dbać o pozory, bo sprawa wymknęła im się z rąk. Idą na całość, a skoro nawet ja tak uważam, jest naprawdę źle. Wiesz, jak nie znoszę dramatyzowania i hysterii. Niechętnie to przyznaję, ale...

– Żadnych glin – kończę za nią. – W życiu mi nie uwierzą, a w najlepszym przypadku potraktują jak wariatkę, która obejrzała za dużo kiepskich thrillerów.

– A gdybyś...

– Zapomnij.

Nie zdradziłam, jaką rolę odegrał w tej historii Brazuka, i pewnie nigdy nie zdradzę. Nie mam pojęcia, czy wciąż leży przywiązany do łóżka w luksusowym hotelu, czy też zdołał wrócić do miasta i wykonuje kolejne zlecenie dla WIN Security. Nie chcę o nim myśleć, zastanawiać się, czy przypadkiem go nie udusiłam. Kłamcy nie zasługują na współczucie.

– Więc co zamierzasz? – pyta Simone. – Ale się porobiło. Wkurza mnie to – dodaje, gdy milczę.

– A co ja mam powiedzieć?

– Hej, głowa do góry. – Ujmuje moją dłoń, a ja odruchowo się wzdrygam. – Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować. – Natychmiast cofa rękę. – Posłuchaj, Nora, to nie twoja wina, że znalazłaś się w takiej sytuacji i że porwali Bonnie. Rozumiesz? Musisz w to uwierzyć.

Potrząsam głową. Nie jestem gotowa na takie rozumowanie.

– Zrobisz coś dla mnie? Ustal adres Zhanga w Vancouver. – Wsiadam z samochodu i odchodzę.

Simone nie idzie za mną, a to oznacza, że ją zawiodłam i jest rozczarowana moją postawą.

Bez Sapki piwnica wydaje mi się jeszcze bardziej ponura niż zwykle. Kiedy ze mną zamieszkała, wniosła tu tyle życia i radości, że nie pojmuję, jak dawałam radę bez niej. Opada ze mnie sztuczne ożywienie wywołane alkoholem, czuję się potwornie zmęczona. Zabraniam sobie myśleć o Sapce, to zbyt bolesne. Zagrzebuję

się w koc i włączam MP3. No i proszę, jako pierwszy leci soulowy kawałek Billa Withersa „Ain't No Sunshine”. Oczywiście natychmiast wracam myślami do Sapki, bo tak jak w piosence, od kiedy odeszła, przestało dla mnie świecić słońce. Nagle do mnie dociera, że od zniknięcia Bonnie w Vancouver prawie w ogóle nie pada. A może tylko tak mi się wydaje, bo za dużo wypiałam? Nie, od jakiegoś czasu nad miastem wiszą niskie chmury. Żyjemy jak pod kopułą, przez którą nie przenika światło. Może to tylko moja wyobraźnia, ale jestem niemal pewna, że od kiedy Bonnie zniknęła, w Vancouver przestało świecić słońce.

Po przebudzeniu sprawdzam wiadomości i znajduję mejla od Simone zatytułowanego:

To się naprawdę dzieje.

Dwa artykuły, które mi przesłała, dotyczą prywatnych banków krwi pępownikowej z Hongkongu i San Francisco. Pracownicy obu placówek nielegalnie pozyskiwali dane dawców. Jest jeszcze link do forum, którego uczestnicy wymieniają się spostrzeżeniami na temat nielegalnych i pozbawionych skrupułów praktyk medycznych stosowanych na całym świecie, na których zbijają majątki handlarze krwią i organami. To żaden wymysł, że porywa się ludzi, by ukraść im na przykład nerkę. Według Światowej Organizacji Zdrowia rocznie wykonuje się co najmniej dziesięć tysięcy nielegalnych przeszczepów.

To się naprawdę dzieje?

Kurde, na jakim świecie my żyjemy?

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy ocknęłam się po półrocznym śnie, kiedy wypłynęłam z głębin nieświadomości, głowa pękała mi z bólu, zupełnie jakby ktoś przez kilka miesięcy okładał mnie maczugą. Nabrzmiały brzuch był tak wielki, że jako pierwszy wchodził do pomieszczenia, a dopiero za nim reszta ciała. Obolałe kości z trzaskiem wskakiwały na swoje miejsce, wszystkie funkcje motoryczne rozkręcały się powoli jak zardzewiały mechanizm, ale umysł działał bez zarzutu. Właśnie dlatego lekarze nie chcieli mnie wypisać ze szpitala. Obawiali się, że skrzywdzę dziecko, co wydaje się całkiem zrozumiałe. Moje uparte milczenie nie pomagało, wręcz przeciwnie. Gdy po raz drugi próbowałam uciec, jeden z waźniaków w białym fartuchu zaklasyfikował to jako próbę samobójczą i zostałam przeniesiona do małego szpitala psychiatrycznego, gdzie mogli mieć mnie na oku.

Odwiedzał mnie tylko Starling, za to bardzo często. Kiedy już siedzieliśmy naprzeciwko siebie, wielokrotnie próbował mnie przekonać, że powinnam skontaktować się z siostrą. Jasne, to dopiero byłaby wyciskająca łzy historia, w sam raz dla brukowców. Siostrzane pojednanie w obliczu tragedii. Kazałam mu spadać, ale jemu nie chodziło o rozgłos. Kierowała nim szczerą troską o stan mojego zdrowia, bo opowiedziana przeze mnie historia do głębi go poruszyła.

Podczas pobytu w szpitalu lubiłam wyglądać przez okno wychodzące na tylne wejście do szpitala. Patrzyłam na lekarzy i pielęgniarki, którzy wyskakiwali tam na papierosa. Co prawda z mojej perspektywy widziałam tylko czubki głów, ale zawsze bezbłędnie rozpoznawałam mojego lekarza prowadzącego po tupeciku śmiesznie powiewającym na wietrze. Pamiętam dzień, w którym go poznałam. Gdy wszedł do pokoju, poczułam zapach papierosów i Old Spice'a. Przejrzał moją kartę i zapytał, jak się czuję.

– Gdybym się napiła wódki, byłoby o wiele lepiej – odparłam, co skwitował mdłym uśmiechem.

Ta scenka powtarzała się regularnie przez całe trzy miesiące, kiedy byłam tam uwięziona.

Po raz ostatni widziałam go piętnaście lat temu. Pewnego dnia lekarze podali mi narkozę, a kiedy się obudziłam, miałam zupełnie inne ciało. Puste, pozbawione życia, które nosiłam. Byłam obolała, oszołomiona i jeszcze bardziej milcząca niż zazwyczaj. Bonnie urodziła się tuż przed nastaniem świtu. Tego samego dnia wieczorem mój lekarz przyniósł mi ciuchy ze szpitalnego biura rzeczy znalezionych i wyprowadził na zewnątrz. Pokazał, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy, wręczył pieniądze na bilet i dodatkowe dziesięć dolarów na dobry początek. Wygłosił też krótką pogadankę na temat moich błędnych wyborów

życiowych, sugerując, że oto dostałam od losu szansę, by zacząć wszystko od nowa.

– Chcesz wyjść ze szpitala, prawda? – zapytał w pewnym momencie, widząc, że stoję jak słup soli i nie reaguję na jego słowa.

Jasne, bardzo chciałam wyjść, co do tego nie miałam wątpliwości i nie nad tym tak intensywnie rozmyślałam. Po prostu próbowałam się ogarnąć, odnaleźć w nowej sytuacji, a jego zniecierpliwienie nie pozwalało mi się skupić. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, a potem przeszłam przez ulicę i zatrzymałam się na przystanku. Lekarz spojrział na mnie po raz ostatni, lekko wzruszył ramionami i wrócił do środka. Kilka minut później wsiadłam do autobusu i pojechałam do schroniska.

To zadziwiająco, jak wiele z tego dnia zapamiętałam.

Gdy teraz patrzę na lekarza, widzę wyraźnie, jak próbuje sobie przypomnieć, gdzie już mnie widział. Moja twarz wydaje mu się znajoma, ale nie umie jej umiejscowić. Skoro jednak opieram się o jego samochód, muszę mieć do niego jakąś sprawę, czyli prawdopodobnie już się kiedyś spotkaliśmy. Jego lekko zagubione spojrzenie sprawia mi złośliwą satysfakcję. Stoimy na małym parkingu ocienionym wysokimi drzewami. Oprócz nas nie ma tu żywego ducha, pewnie właśnie dlatego Eric Zakarian jest zdenerwowany i lekko zaniepokojony. Patrzy na mnie, potem ocenia odległość dzielącą nas od wejścia do szpitala. Wie, że nie zdąży uciec, palone od trzydziestu lat papierosy i duża nadwaga pozbawiają go szans już na starcie. Dziwne, że jeszcze nie wykorkował na zawał.

– Mój Boże – szepcze, gdy wreszcie mnie poznaje.

Dopiero teraz zaczyna się naprawdę bać. Świetnie, witaj w klubie, dupku. Po raz kolejny zerka na wejście do szpitala.

– Nie dasz rady – mówię.

– Co takiego?

– Złapię cię, zanim tam dotrzesz.

– Co tu robisz? Słuchaj, jeśli chcesz pogadać, poszukajmy jakiegoś lepszego miejsca do rozmowy. – Bardzo się stara ukryć narastający strach, jednak bez powodzenia. Czyżby zapomniał, że dobrze wiem, jak się zachowuje, kiedy jest spokojny? Obserwowałam go przez trzy miesiące, dzień w dzień, czytam w nim jak w otwartej księdze.

– Nie. – Opieram się mocniej o maskę jego bmw. Głównie po to, żeby ulżyć obolałej i nadal spuchniętej kostce, ale on nie musi o tym wiedzieć. – Według mnie trudno o lepsze miejsce do naszej rozmowy.

– Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, dokąd trafiła krew z mojej pępowiny.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz... – Gwałtownie blednie i zaczyna się obficie pocić. – Daj mi spokój, bo... wezwę policję.

– Proszę bardzo, dzwonić po gliniarzy. Opowiem, jak nielegalnie pobrałeś krew z mojej pępownicy i sprzedałeś na czarnym rynku. Nie mogłam wyrazić na to zgody, bo byłam pod narkozą, pamiętasz? Twoja etyka lekarska zwała z nóg.

Zaczyna się trząść jak osika. Typowe dla słabeuszy, którzy nagle stają oko w oko z przykrą prawdą. Reaguje zgodnie z moimi oczekiwaniami, próbuje wszystkiemu zaprzeczać.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – mówi. – Poza tym i tak nikt ci nie uwierzy. Kto chciałby słuchać historyjek o ciężarnej kurwie, która sama wpakowała się w kłopoty, a teraz rzuca bezpodstawne oskarżenia? No już, odejdz od mojego samochodu.

– Kurwa? – pytam, nadal opierając się o jego samochód.

– Zabieraj się stąd! – krzyczy i powoli odzyskuje pewność siebie. – Już mówiłem, że nikt ci nie uwierzy. – Zerka na mnie i marszczy brwi. – Spójrz na siebie, wyglądasz jak ostatnia zdzira. Nic się nie zmieniłaś. Idź się ogarnąć, a teraz zostaw mnie w spokoju.

Głośno wzdycham. Kilka łyków lemoniady, do której hojnie dolałam wódki, nie poprawia mi humoru, raczej popycha do agresji. Roztrzaskuję o maskę bmw pustą już butelkę, a to, co z niej zostało, wciąż trzymam w dłoni. Ostro zakończone krawędzie bez trudu przetną żyłę. Zakarian jest śmiertelnie przerażony, co według mnie jest równoznaczne z przyznaniem się do winy, ale to mi nie wystarcza. Muszę wiedzieć, na czyje zlecenie działał i komu sprzedał moją krew. Kiedy przeciągam rozbitą szyjką butelki po lśniącej karoserii bmw, rozlega się upiorny zgrzyt.

Zakarian nie próbuje mnie powstrzymać, stoi jak skamieniały, rozszerzonymi ze strachu oczami przygląda się tępo, jak niszczy mu samochód.

– A teraz zajmę się tobą, chyba że odpowiesz grzecznie na moje pytania. Wiem, że mnie okłamałeś, a ja chcę usłyszeć prawdę.

– O co konkretnie chodzi? – Nerwowo oblizuje usta.

– Po co komuś moja krew pępownicowa?

– Jest cenna z powodu dużej zawartości komórek macierzystych, które są wykorzystywane przy leczeniu wielu chorób, na przykład białaczki, upośledzonej odporności, chłoniaka, uszkodzonych tkanek – wyjaśnia, ale to wszystko już przeczytałam w materiałach zgromadzonych przez Starlinga. – Dzięki badaniom dowiadujemy się coraz więcej o ich właściwościach, na przykład udało się ustalić, że zarodkowe komórki macierzyste są bardziej wszechstronne niż te pobrane z krwi obwodowej od dorosłego człowieka. Problem w tym, że dawka krwi, którą można pobrać z pępownicy, jest zbyt mała, dlatego szybko powstał czarny rynek. W początkowym stadium badań w ogóle trudno było o takie próbki.

– Ile próbek gwarantuje udaną terapię pacjenta w podeszłym wieku?

– Zależy, co mu dolega i w jakim jest stanie. Posłuchaj, to nie moja dziedzina.

Podchodzę bliżej, patrzę mu prosto w oczy i pytam:

– W takim razie po co to zrobiłeś?

Nawet jeśli Zhang lub któryś z jego goryli czytał artykuły Starlinga i skojarzył, że to ja jestem „pobitą kobietą znaną w lesie”, która urodziła poczęte z gwałtu dziecko, nikt nie mógł przewidzieć, że Zhang poważnie zachoruje i będzie potrzebował przeszczepu komórek macierzystych. A gdyby był już wówczas chory, nie czekałby aż piętnastu lat, by porwać Bonnie. To bez sensu, Zakarian musiał mieć inny powód, żeby zdecydować się na taki ryzykowny krok.

– Moja żona była zaangażowana w badania nad właściwościami komórek macierzystych. Skontaktował się z nią jakiś pośrednik... Jego klient szukał dawców, a w tamtych czasach było o nich naprawdę trudno. Tylko kilka prywatnych klinik miało banki krwi, w których rodzice mogli zdeponować krew zarodkową, na wypadek gdyby była w przyszłości potrzebna do leczenia ich dzieci. Dostaliśmy za to pieniądze, ale nie tak dużo, jak sobie wyobrażasz. – Znów nerwowo oblizuje wargi. – Proszę, nie rób mi krzywdy.

– Mów dalej – nakazuję, podchodząc jeszcze bliżej.

– Żona wiedziała, że jestem twoim lekarzem, i zaproponowała, bym pobrał krew z twojej pępownicy, a potem sprzedała ją pośrednikowi. Próbka miała być wykorzystana do badań naukowych. Tyle że fundacja, którą reprezentował pośrednik, z powodu braku funduszy nigdy nie powstała, a ich bank krwi kilkakrotnie zmieniał właściciela. Nie mam pojęcia, do kogo ostatecznie trafiła twoja próbka.

Dopadają mnie mdłości, na szczęście mam prawie pusty żołądek. Gdybym jednak mimo wszystko zaczęła wymiotować, na pewno bym się postarała, by wszystko trafiło na przednią szybę bmw ze specjalnym uwzględnieniem wycieraczek. Podchodzę jeszcze bliżej.

– A więc ukradłeś moją krew – mówię. Gdy milczy, robię kolejny krok, teraz dzieli nas zaledwie kilka centymetrów. – Dziecko, któremu pomogłeś przyjść na świat, znalazło się przez ciebie w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Porwali je, bo piętnaście lat temu połakomiłeś się na forszę od szemranego pośrednika.

Wzdryga się, gdy owiewa go mój śmierdzący alkoholem oddech. Atak szurniętego alkoholika to najgorsze, co może nam się przytrafić, groźniejszy jest tylko szurnięty ćpun.

– To była próbka do badań, które mogły uratować wiele ludzkich istnień.

Nawet on w to nie wierzy, chyba że jest skończonym idiotą. Przyciskam rozbitą szyjkę butelki do jego policzka, a po chwili na brodę spływa cienka strużka krwi. Kuli się, przywiera plecami do karoserii.

– I ty śmiesz mówić o ratowaniu życia? Skazałeś na śmierć moją córkę.

– Nie, proszę, przysięgam, że działałem w dobrej wierze. Wiązałem duże nadzieje z badaniami nad wykorzystaniem komórek macierzystych, a pośrednik...

Zaczynam się śmiać, i nie jest to dźwięk przyjemny dla ucha.

– Myślałeś, że nigdy się nie dowiem, co? – Przejeżdżam ostrą krawędzią szkła przez jego policzek i zatrzymuję się na szczęce.

Z trudem łapie powietrze, krztusi się i zaczyna szlochać. To nie są łzy wstydu ani żalu, on płacze ze strachu.

– Proszę – szepcze bełkotliwie. – Puść mnie.

Krew z rozciętego policzka nieustannie skapuje mu na brodę, kropla za kroplą.

– Przeprasiny to trochę za mało – szepczę mu prosto do ucha. – Teraz dam ci spokój, ale jeszcze z tobą nie skończyłam. Zapłacisz za to, co zrobiłeś.

Kłamię, ale wątpię, by się połapał.

– Nie zrobiłem tego sam! – krzyczy za mną. – Odszukaj moją byłą żonę, Amandę Notting. Ona też powinna ponieść karę!

Biedna Amanda Notting nie ma pojęcia, że jej były mąż właśnie nastął na nią agresywną alkoholiczkę. Nie pojmuję, co takiego ludzie widzą w małżeństwie, po co tak ochoczo legalizują związki.

Przyśpieszam kroku, nie oglądam się za siebie. Oto ja, nieustraszona i wciąż żywa, gotowa do przekraczania kolejnych granic. Szkoda tylko, że nie ma nikogo, komu mogłabym się pochwalić. Rozglądam się wokół, ale ulica jest ciemna i pusta. Nikt mnie nie woła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jadłodajnia na Hastings wygląda na pierwszy rzut oka obskurnie, ale kawa kosztuje tu tylko dolara, a podgrzane w mikrofali kanapki dostaniesz o każdej porze dnia i nocy. Może to niezbyt zdrowe żarełko, ale dzięki temu w lokalu nie brakuje gości. Dochodzi dziewiąta wieczór, a ja dzielnie zmagam się z tłustym serem, który bezlitośnie zaatakował mój pusty żołądek. Chętnie bym mu ulżyła, jednak dzisiaj oprócz tej przygrzewanej kanapki nic więcej nie jadłam. Skoncentrowana na walce z własnym organizmem, niemal przegapiam informację podawaną przez całodobowy kanał informacyjny, chociaż telewizor wisi tuż nad blatem:

– W parku Stanleya znaleziono dziś ciało prawdopodobnie dziecka lub bardzo drobnej kobiety. Policja nadal próbuje ustalić tożsamość tej osoby.

To wystarczy, bym przegrała walkę z tłuszczem zalegającym w żołądku.

W ostatniej chwili dobiegam do alejki za jadłodajnią i z ulgą zwracam to, co przed chwilą zjadłam. Mija mnie starsza para, która prawdopodobnie wybrała się na cowieczorną przechadzkę. Patrzą na mnie z obrzydzeniem, a kiedy są już kilka metrów dalej, mężczyzna głośno mówi:

– Cholerni pijacy.

Opieram się ciężko o ścianę i z trudem łapię oddech, co jeszcze bardziej podrażnia obolałe gardło. Wilgotne powietrze nie pomaga, działa jak środek odurzający. Ten starszy facet ma rację, pijacy to zakała, ale mnie zaszkodził nie tylko alkohol. Wiem z doświadczenia, naprawdę bogatego, że jeśli już musisz wymiotować w miejscu publicznym, lepiej zrób to na ulicy niż na przykład w barowej toalecie. Unikniesz ściskania ogólnodostępnego sedesu, na którym aż roi się od bakterii. Unikniesz też potępiających spojrzeń właściciela lokalu i agresywnych uwag pracowników, którzy będą musieli po tobie posprzątać. Na ulicy deszcz zmyje większość wymiocin, a to co zostanie, malowniczo się wkomponuje w inne śmieci.

Mogłabym podjechać do parku Stanleya autobusem, jednak prościej i szybciej dotrę tam na piechotę, wystarczy trzymać się nabrzeża. Maszeruję, walcząc z silnymi porywami wiatru, w końcu zaczynam biec. Zazwyczaj jest tu mnóstwo wielbicieli joggingu, dlatego postronnemu obserwatorowi bulwar zapewne przypomina scenografię z filmu katastroficznego, bo co oprócz kataklizmu mogłoby zmusić taką rzeszę ludzi do biegania. Tyle że mało kto biega nocą, w dodatku w ciężkich buciorach i kurtce przeciwdeszczowej. Kilka osób obrzuca mnie zdziwionym spojrzeniem, ale mam to gdzieś. Bardzo nie w porę przypominam sobie zwłoki bezdomnego, na które natknęłam się w parku, a zaraz potem zakrwawione ciało Starlinga. Moja wyobraźnia pracuje pełną parą i te

obrazy już po chwili zastępuje jej kolejny wytwór, jeszcze bardziej przerażający. Leżąca na brudnej ziemi nastolatka, która wpatruje się w nocne niebo martwymi niewidzącymi oczami.

Na pierwszych policjantów trafiam na wysokości Second Beach. I chociaż zasłaniają ich wysokie drzewa, słyszę głosy, a zaraz potem widzę mocne reflektory oświetlające miejsce ogrodzone policyjnymi taśmami. Wokół tej bariery zebrał się spory tłumek gapiów, bo chociaż ciągle mży, jest dość ciepło. No i nie co dzień ktoś natyka się na zwłoki w jednej z największych turystycznych atrakcji miasta, takie wydarzenie trzeba obejrzyć na własne oczy.

Jedna z kobiet, na oko dwudziestoletnia, trzyma się trochę na uboczu, i to do niej kieruję pierwsze kroki. Nie znoszę i panicznie boję się tłumu, dobrze, że trafiłam na pokrewną duszę. Ma buty, które sprawdziłyby się podczas górskich wędrówek, i przeciwdeszczową kurtkę o sportowym kroju. Podoba mi się jej dystans świadczący o wrażliwości, a ciemny strój nie narusza moich standardów estetycznych. Po forsownym biegu, w dodatku na czczo, nie czuję się najlepiej, obym tylko nie zemdląła. Oczywiście ta młoda kobieta, chociaż na pierwszy rzut oka zupełnie normalna, może być wariatką, ale warto spróbować. Muszę się dowiedzieć, czy to ciało Bonnie leży za rozstawionymi przez policję ekranami, czy to nad moją martwą córką pochylają się zaaferowani policjanci.

– Czy pani widziała ciało? – pytam.

Jest tak skupiona na obserwacji działań policji, że obrzuca mnie jedynie przelotnym spojrzeniem. Na wszelki wypadek nie podchodzę bliżej, by nie poczuła mojego cuchnącego wymiocinami oddechu. Nie może się odwrócić, dopóki nie odpowie na kilka pytań.

– Nie, przyszedłam dopiero dziesięć minut temu. Nikt nic nie wie, może z wyjątkiem tego faceta. – Wskazuje mężczyznę w sportowych butach, który trzyma na smyczy psa i rozmawia z jednym z policjantów. – To on znalazł ciało.

Krażę wokół grupki gapiów w nadziei, że coś usłyszę. Kiedy mężczyzna z psem skończy rozmawiać z policją, spróbuję go zagadnąć, ale to wygląda na dłuższą pogawędkę. Gdyby tu był Brazuka, poprosiłabym go o pomoc, ale właściwie dlaczego miałby tu być? Pewnie teraz wykonuje kolejne zlecenie z kolesiami z WIN Security.

Kiedy tłum zaczyna się przerzedzać, mój wzrok przyciąga facet, który rozpychając się łokciami, prze jak taran w kierunku miejsca zbrodni,

Kocham bluesowe kawałki, bo to muzyka serca i duszy. Kiedy śpiewasz, musisz się obnażyć, przekazać prawdziwe emocje. Jeśli tego nie potrafisz i tylko udajesz, zacznij śpiewać coś innego.

To muzyka, w której jest zawarta surowa, pozbawiona ozdobników szczerłość, o jaką trudno w prawdziwym życiu. Patrzę, jak Everett bezpardonowo potraça kolejnych gapiów, a Lynn próbuje za nim nadążyć. Jest blada, wygląda jak

człowiek wyrwany z koszmarnego snu, chwieje się i potyka, z trudem stawia kroki. Zazwyczaj nienagannie uczesana, teraz ma na głowie naprędce upięty koczek, z którego wystaje mnóstwo luźnych pasemek. Everett od naszego ostatniego spotkania stracił kilka kilogramów, nadal ma potężny kark i wydatny brzuch, ale wymizerowaną twarz i chudsze ręce. Ta para od dawna toczy wojnę, a teraz, w takim dramatycznym momencie, jest to jeszcze bardziej widoczne.

– Czy to moja córka? – krzyczy Everett do pierwszego napotkanego gliniarza. – Bronwyn Walsh, zgłosiłem jej zaginięcie...

Gliniarz podnosi ostrzegawczo dłoń, dając do zrozumienia, że Everett nie powinien podchodzić bliżej. W ich kierunku rusza kilku detektywów.

– Czy to ona? Proszę mi po... powiedzieć. – Everettowi łamie się głos, co ponownie przyciąga uwagę gapiów. Wszyscy chcą popatrzeć na załamanego ojca, który zaraz być może dowie się o śmierci swojego dziecka. Powoduje nimi ciekawość, zresztą właśnie po to tu przyszli, by zobaczyć coś interesującego. Nieczęsto mamy okazję być świadkami cudzej tragedii.

Policjant dopiero teraz zauważa Lynn, która przyciskając dłoń do gardła, patrzy na niego oczami rozszerzonymi ze strachu. Z jej gardła wydobywa się piskliwy okrzyk. Próbuje coś powiedzieć, ale usta jej nie słuchają. Nie udaje rozpacz, jest tak samo przerażona jak Everett. Podchodzę bliżej, zwłaszcza że gapie zaczynają się pomалу rozchodzić. Robi się niesmacznie, zbyt dużo zbyt jawnie okazywanych emocji. Nie wiadomo wtedy, jak się zachować, gdzie podziać oczy.

– Proszę pana, w tej chwili nie jesteśmy jeszcze w stanie ustalić tożsamości ofiary, więc...

– Ja się tym zajmę, Ray. – Detektyw w jasnym prochowcu klepie policjanta po ramieniu, a potem odwraca się do Everetta i Lynn: – Detektyw Lee. Czy państwa córka zaginęła?

– Tak, Bronwyn Walsh – odpowiada Everett. – Ma piętnaście lat, jest niższa ode mnie, sięga mi do podbródka. Ciemne włosy, ciemne oczy. Proszę nam powiedzieć, czy to ona.

Lee zniża głos do szeptu, muszę podejść bliżej, by cokolwiek usłyszeć. Potem kładzie i lekko zaciska dłoń na ramieniu Everetta i mówi:

– Ale kiedy odpowiem, wróćcie państwo do domu? Pozwólcie nam spokojnie wykonywać naszą pracę, w porządku?

– Ta...ak – przemówiła wreszcie Lynn, o wiele mocniejszym głosem, niż oczekiwałam. – Nie będziemy wam przeszkadzać.

Lee kiwa głową i odpowiada:

– Z podanego przez pana opisu wynika, że to ktoś inny. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Z Everetta w jednej sekundzie uchodzi całe powietrze, chwieje się na nogach

i potrząsa głową.

– Boże, co za ulga. – Sięga po omacku po dłoń Lynn, ale ona nawet tego nie zauważa. Pozostawiony sam sobie, bez wsparcia dryfuje po oceanie silnych emocji, podczas gdy jego żona stoi tuż obok pogrążona we własnych myślach. Obserwuję, jak szybko zmienia się jej nastrój. Już jest spokojna, bo dziś wieczór umarł ktoś inny, nie Bonnie. Po raz pierwszy do mnie dociera, że Lynn naprawdę kocha córkę. To może nieco trudna miłość, ale prawdziwa.

– I państwo zgłosili zaginięcie? – upewnia się detektyw, obserwując ich równie bacznie jak ja.

– Tak, nasza córka nazywa się Bronwyn Walsh – odpowiada Lynn.

– Kiedy zginęła?

– Prawie trzy tygodnie temu.

Lee waha się przez chwilę, tak krótką, że chyba tylko ja to zauważam. Potem wyjmuje z kieszeni notes i zapisuje informacje uzyskane od Walshów.

– Przyjrzę się tej sprawie – obiecuje. – A teraz proszę już wracać do domu.

Kiedy Walshowie odchodzą, detektyw przypatruje się twarzom w tłumie, po mnie zaledwie prześlizguje się wzrokiem, ale to nic nowego. Szuka kogoś, kto obserwuje wszystko z ubocza, więc jestem bezpieczna. W ciągu kilku najbliższych godzin policja na pewno ustali tożsamość osoby z parku, a potem Lee będzie musiał przekazać smutną wiadomość rodzinie ofiary. W momencie, w którym detektyw na mnie patrzył, wcale mnie nie widząc, wpadłam w panikę. To nie jest zwykły strach, lecz śmiertelne przerażenie.

Ilu ludzi patrzyło w ten sam sposób na Bonnie? Czy jest tak samo niewidzialna jak ja? Czy jestem jej ostatnią szansą na ratunek?

Nie, nawet nie wolno mi tak myśleć, to zbyt okropne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Uciekłam z rodziny zastępczej, gdy tylko skończyłam piętnaście lat. Chociaż rozdzielono mnie z Lorelei dużo wcześniej, zawsze wiedziałam, gdzie jest i co się z nią dzieje. Radziła sobie o niebo lepiej niż ja. Przez jakiś czas żyłam na ulicy, potem zaczęłam się starać o wstąpienie do sił specjalnych. Organizowali nabór, od kandydatów wymagali jedynie dyplomu eksternistycznego ukończenia szkoły średniej, a akurat ten warunek okazał się łatwy do spełnienia. Ta ścieżka kariery okazała się wielkim nieporozumieniem zarówno dla mnie, jak i dla wojska. Wróciłam na ulicę i próbowałam zarobić na życie śpiewaniem. W chwili szczerości przyznałam się do tego Lorelei podczas odwiedzin w jej akademiku. Dostała ataku śmiechu, dlatego nigdy więcej nie poruszałam tego tematu. W sumie miała rację, nie zostałam gwiazdą. Śpiewałam na ulicy muzykę tak odległą od moich korzeni, że wielu ludziom musiało się to wydać komiczne.

Blues to muzyka stworzona przez najniższą warstwę społeczną, niewolników z delty Missisipi. Odzwierciedla ból i cierpienie tych, których pozbawiono wszystkich praw obywatelskich i majątkowych z powodu koloru skóry. Muzyka szybko przekroczyła granicę Południa, a potem granice państwowe i dotarła na kanadyjskie Zachodnie Wybrzeże. Pewnego dnia po kolejnej próbie chóru mieliśmy okazję posłuchać starych i kiepskiej jakości płyt bluesowych. Właśnie wtedy ta muzyka skradła mi serce. Śpiewali ją ludzie tacy jak ja, których jedynym majątkiem był czysty i silny głos. Większość muzyki popularnej w Ameryce Północnej ma bluesowe korzenie. Zasadniczo blues opiera się na dwunastu taktach i trzech podstawowych akordach, jest zbliżony w melodyce do potocznego języka. To przodek gospel, rocka, jazzu, country i folku. Tego wszystkiego dowiedziałam się o wiele później, niż kiedy po raz pierwszy usłyszałam hipnotyzujący głos Johna Lee Hookera. Nie bardzo rozumiałam, o czym śpiewa, ale wcale mi to nie przeszkadzało, właściwie nawet nie było ważne. W tamtych czasach to chór trzymał mnie przy życiu. Ilekroć pastor Franklin po próbie włączał bluesową płytę, dowiadywałam się, jakie to uczucie, gdy można zajrzeć w głąb czyjejś duszy. Nie miałam w sobie ani krzty nadziei, dlatego nie do końca odnajdywałam się w pieśniach religijnych, jednak blues wydawał się dla mnie wprost stworzony.

Nie chcę się chwalić, ale byłam naprawdę niezła. Na jakiś czas wyjechałam na północ i zatrudniłam się na plantacji drzew. Nie zaoszczędziłam dużo pieniędzy, cały czas dorabiałam śpiewaniem na ulicy.

W każdym razie starczyło na wynajęcie pokoju i przeżycie. Nie przejmowałam się stanem konta, chciałam śpiewać, tylko to się liczyło. Jediną dobrą rzeczą, jaka mnie spotkała w pierwszej rodzinie zastępczej, były regularne wizyty w kościele i występy w tamtejszym chórze. To właśnie wtedy doznałam

bluesowego olśnienia.

Po przeprowadzce na zachód zaczęłam śpiewać, oczywiście za darmo, w knajpach, w których do mikrofonu mógł się przykleić każdy chętny. Okej, lepiej było pominąć ten epizod milczeniem, bo niezbyt dobrze świadczy o mojej inteligencji.

Na te występy ubierałam się inaczej niż na co dzień, zawsze wybierałam coś jasnego, licząc, że dzięki temu w kiepsko oświetlonej speluncie ktoś zwróci na mnie uwagę i da mi trochę forsy albo chociaż postawi drinka. Czasami obowiązkową czerń przełamywałam jasnym T-shirtem, swetrem, szalem lub nakryciem głowy. Tej nocy, która okazała się dla mnie początkiem końca, zdecydowałam się na żółtą bejsbolówkę. Podeszłam do mikrofonu i nastroiłam gitarę. Ukradłam ją tydzień wcześniej innemu śpiewakowi ulicznemu, który był na tyle durny, że uciał sobie drzemkę. Zaczęłam od „Hound Dog” w klasycznej wersji Big Mamy Thornton, nie w skoczniejszej aranżacji Presleya, by zachęcić publiczność do śpiewania. Potem płynnie przeszłam do „I Just Wanna Make Love to You”. Polubiłam takie klimaty, a słuchacze też wydawali się zadowoleni. Oczywiście nie osiągnęłam mistrzostwa Ety James, ale mój głos w tym utworze brzmiał naprawdę nieźle. Zanim wykopali mnie ze sceny, udało mi się jeszcze zagrać kilka akordów „Baby Please Don’t Go”, tyle że chyba nie powinnam się porywać na kawałki Big Joego Williamsa, bo chociaż nieźle sobie radzę z gitarą, nie jestem wirtuozem.

Kiedy wspominam tamtą noc, przeklinam własną głupotę i nieostrożność. Co mnie podkusiło, żeby włożyć żółtą czapkę? Zupełnie jakbym się prosiła o kłopoty. Dlaczego po występie nie wyszłam z baru, po co wlałam w siebie tyle alkoholu, no i jak śmiałam marzyć, że występując w takich spelunkach, zaistnieję w show-biznesie? Przez kilka następnych lat katowałam się rozmyślaniami, co by było, gdybym coś zrobiła inaczej, i zawsze dochodziłam do tego samego wniosku. Nie powinnam występować w nielegalnym klubie w podłej dzielnicy ani śpiewać zmysłowych piosenek o miłości.

No i jak już wspomniałam, w takich barach zawsze panuje półmrok, a człowiek instynktownie dostraja się do atmosfery i traci czujność.

Miał gęste czarne włosy, oczy w kształcie migdałów, prawie tak ciemne jak moje, i był przystojny. A może tylko tak mi się wydawało po wypiciu kilku piw. Pozostaje dla mnie zagadką, o czym gadaliśmy. Co go tak zaciekało, że postanowił dosypać mi do drinka narkotyk? Nieważne, pewnie i tak by to zrobił. Miał eleganckie buty i drogi zegarek, dlatego pomyślałam, że dzięki niemu poznam ważniaków, którzy pomogą mi się przebić albo chociaż zostać solistką jakiejś kapeli.

Tak, byłam głupia, naiwna jak gęś z dziewiętnastowiecznej powieści dla służących.

Pamiętam dotyk dłoni, ale nie chodziło o przyjacielski uścisk. Ciepłe palce

głaskały nagą skórę na moim ramieniu. Czy mi to przeszkadzało? Trudno powiedzieć, po prostu nie pamiętam. Wiem natomiast, że teraz nienawidzę żółtego koloru i gorzko żałuję, że ściągnęłam tę cholerną bejsbolówkę nalanej dziewczynie, która dzieliła ze mną pokój w schronisku. Ale wtedy jeszcze byłam na tyle durna, że zapadałam w sen w pomieszczeniach pełnych obcych ludzi, ale czy to mnie tłumaczy?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Moja matka to bardzo tajemnicza postać, nic o niej nie wiem.

Ani ja, ani Lorelei wcale jej nie pamiętamy, bo kiedy nas opuściła, byliśmy bardzo małe. Na pewno nie umarła, jak próbował nam wmówić ojciec, bo nigdy nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co jej się właściwie przytrafiło. Po śmierci ojca przez jakiś czas wychowywała nas ciotka, która konsekwentnie unikała tego tematu, mówiąc wprost, w ogóle nie chciała rozmawiać o naszych rodzicach. Jednak pewnego dnia podsłuchałam jej rozmowę telefoniczną z przyjaciółką. Mówiła o naszej matce „ta cudzoziemka”, a w tym określeniu było mnóstwo nienawiści i jadu. Cudzoziemka, czyli kto i skąd? Często potem podsłuchiwałam rozmowy ciotki, żeby się tego dowiedzieć, niestety nigdy więcej nie wspomniała o naszej matce. Przynajmniej stało się jasne, że matka żyje, bo ludzie nie darzą zmarłych aż tak żywiołową nienawiścią. A gdy potem ciotka ciężko zachorowała i musiała nas oddać opiece społecznej, została mi tylko Lorelei.

Po odzyskaniu przytomności opowiedziałam tę historię Starlingowi, a on nie mógł zrozumieć, dlaczego nie chcę, by powiadomił o moim stanie jedyną bliską mi osobę.

– Potrzebujesz wsparcia – przekonywał. Nie umiałam ukryć, jak bardzo nie życzę sobie kontaktu z siostrą, nie kontrolowałam emocji, bo byłam zbyt nabuzowana hormonami, jak każda ciężarna. – Na pewno nie odmówi ci pomocy, nie po tym, co przeszedłaś.

Nie miałam mu za złe naiwności ani tego, że próbował mnie podejść, stosując tanie psychologiczne chwytaki. Każdemu się wydaje, że sporo wie o ludziach, o ich motywach i potrzebach. To wina programów telewizyjnych, w których kolejne pokolenia nawiedzonych guru gładko rozwiązują wszystkie problemy i wciskają ludziom kit. W idealnym świecie Lorelei wpadłaby w moje ramiona i wyszeptala, jak bardzo mnie kocha i jak bardzo marzy o odnowieniu zerwanej siostrzanej więzi. Tyle że nasz świat jest daleki od ideału, a Starling nie miał okazji poznać Lorelei. Nie wiedział, jak okrutne potrafią być takie nieskazitelnie piękne kobiety. Zawsze dadzą ci odczuć, że są lepsze od innych, a już na pewno od ciebie. Wymierzają ci bolesny policzek za policzkiem, ale ty nie przestajesz ich kochać.

Teraz siedziałam bez ruchu przy kuchennym stole i czekałam, aż Lorelei się obudzi i zejdzie na dół. Próbowałam ukryć narastające zdenerwowanie, ale raczej z marnym skutkiem.

Pierwszy zbiegł ze schodów David. Kiedy mnie zobaczył, zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie stracił równowagę. Przedtem widziałam go tylko raz, na werandzie. Wpadłam do nich, a właściwie włamałam się, by sprawdzić, jak się

miewa Lorelei. Dowiedziałam się, że poślubiła Davida, kiedy byłam w śpiączce. Siostra nie miała pojęcia, gdzie się przez te wszystkie miesiące podziewałam, ale zbyt się mnie wstydziła, by to sprawdzić. Pewnie odetchnęła z ulgą, gdy nie pojawiałam się na ich ślubie.

Teraz David patrzy na mnie niczym na zjawę z horroru, która jakimś cudem zeszała z kart powieści i rozsiadła się w ich kuchni. Biorąc pod uwagę, jak wyglądam, wcale się nie dziwię, że instynktownie się cofa.

– Zniszczyłaś mój samochód – przerywa milczenie. Zaczyna się krzątać po kuchni, włącza ekspres do kawy, wyjmuje chleb, byle tylko zająć czymś ręce i opanować zdenerwowanie.

– Masz ubezpieczenie, prawda?

– Lepiej pójde po swoją siostrę – oznajmia, marszcząc brwi.

Przestaje robić kanapki, biegnie przez hol, a potem na górę do sypialni. Już wiem, na czym polega jego urok. Na początku nie rozumiałam, dlaczego Lorelei wybrała trochę nijakiego, niezbyt przystojnego prawnika, skoro mogła mieć każdego, ale teraz to oczywiste. David jest przyzwoity, rozsądny, pracowity i po uszy zakochany w Lorelei. W weekendy robi zakupy, w wolnym czasie jeździ na ryby na wyspę Vancouver i nie pije nic mocniejszego od piwa. Podobno jeden z jego przodków należał do plemienia Nuu-chah-nulth, a kilku krewnych wciąż mieszka na wyspie. Lorelei zainteresowała się nim właśnie z tego powodu, ale potem musiała docenić również cechy charakteru, uczciwość i niezwykle wewnętrzny spokój. Zaimponował mi, gdy od stanu skrajnego oszołomienia przeszedł płynnie do tak prozaicznej czynności jak przygotowanie śniadania. Ludzie muszą jeść, a on czuje się w kuchni jak ryba w wodzie.

Kilka minut później po schodach zbiega Lorelei. Na bosaka, w T-shircie Davida. Burza włosów okala twarz w kształcie serca niczym aureola, oczy płoną świętym oburzeniem. David podąża za nią krok w krok, jakby prowadziła go na smyczy, ale ja patrzę tylko na nią.

Jest wściekła.

Czuję, jak coś we mnie umiera.

Na Zachodnim Wybrzeżu żyją orki, w których ciałach gromadzi się nieprawdopodobna ilość szkodliwych substancji. Są to najbardziej toksyczne ssaki morskie na świecie. Dzięki truciznie zalegającej między kolejnymi warstwami tłuszczu jest im ciepło, ale gdy ocean wyrzuca martwe zwierzę na plażę, padlina jest tak toksyczna, że ludzie nie powinni się do niej zbliżać. Można tylko spekulować, dlaczego te orki żyją w tak nieprzyjnym środowisku, zamiast odpłynąć na czystsze wody. Według mnie zostają w miejscu, które znają, gdzie czują się u siebie. To ich dom, nieważne, że śmiertelnie niebezpieczny, a właściwie zabójczy. Doskonale to rozumiem. Wychowałam się w Manitobie, jednak ruszyłam na zachód, by być bliżej siostry, bo oprócz niej nie mam żadnej rodziny.

Gdziekolwiek zamieszka Lorelei, podążę za nią, bo może mnie potrzebować. Lubię być blisko, tak na wszelki wypadek. Ona o to nie dba, tak jak nie dba o mnie, dla niej mogłabym nie istnieć. Ale ja jestem jak orka, która woli się zatruć w miejscu, które uważa za dom, niż poszukać bezpieczniejszych wód.

Tutaj wszystko jest swojskie, moje.

Od razu widzę, że przychodząc tu, popełniłam błąd. Cokolwiek spodziewałam się uzyskać – zrozumienie, pojednanie, kilka słów otuchy – nic z tego nie będzie. Nadzieja naprawdę jest matką głupich.

– Znowu zaczęłaś pić – wita mnie Lorelei.

Cóż, trudno tego nie zauważyć, skoro alkohol odcisnął wyraźne piętno na moim wyglądzie. Mam worki pod oczami i poszarzałą cerę. Od dawna żywię się batonikami i pizzą, a stare ciuchy są tak znoszone, że sama zaczęłam się zastanawiać, czy pewnego dnia po prostu ze mnie nie spadną.

– Mogę wszystko wytłumaczyć... – Mówię spokojnie, ważąc każde słowo, jakbym stała oko w oko z rozjuszonym niedźwiedziem. Unoszę dłonie i cofam się o kilka kroków. Powinnam tak zrobić od razu, gdy tylko siostra zbiegła ze schodów. Przyjając obronną postawę, nie drażnić Lorelei zbyt dużą pewnością siebie.

– Proszę, proszę, nagle zebrało ci się na zwierzenia. Trochę za późno, bo nasz SUV już dość dawno wylądował na dnie jakiegoś pieprzonego wąwozu – przerywa mi.

Trudno, muszę jej zdradzić kilka ponurych tajemnic z mojej przeszłości, tylko wtedy ta rozmowa będzie miała sens.

– Kiedy wstąpiłam...

– O czym ty gadasz? – Wybuchła śmiechem. – To było wieki temu. A potem się wypięłaś na wojsko, tak jak na mnóstwo innych spraw. To ty byłaś mądrzejszą siostrą, i co? Do diabła, co się z tobą stało? – Opiera się o futrynę i przygląda mi się zmrużonymi oczami. – Od razu mogłam ci powiedzieć, że popełniasz błąd. Ty i pierdolona armia? Śmiechu warte. Ojciec nabił ci głowę gównianymi gadkami o honorze i ojczyźnie, a ty mu uwierzyłaś. W armii nigdy go nie zaakceptowali, był zwykłym outsiderem. Karmił nas zmyślonymi historyjkami, które łykałaś jak cukierki. Skoro było tak wspaniale, czemu strzelił sobie w łeb? Co chciałaś osiągnąć? Nawet nie skończyłaś szkoły, niby dlaczego miałybyś sobie poradzić w siłach specjalnych?

– Lorrie – mówię łagodnie pełna nadziei, że tę rozmowę jeszcze uda się uratować. Siostra prawidłowo odgadła, dlaczego zaciągnęłam się do wojska i dlaczego poniosłam sromotną klęskę. Równie bliski prawdy był Brazuka, który twierdził, że przeciw wobec wszelkich autorytetów musiałam wyssać z mlekiem matki. Taka osoba nigdy nie będzie posłusznym wykonawcą rozkazów, a zatem nie zostanie dobrym żołnierzem. Jednak miałyśmy tylko ojca, więc jego pełne wzniosłych słów opowieści głęboko zapadły mi w pamięć. Wiedziałam, że czasami

zmyśla, ale chętnie słuchałam o braterstwie broni, poczuciu przynależności, solidarności w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Chłonełam wszystko jak gąbka, a po śmierci ojca karmiłam tymi historyjkami Lorelei. Dopiero gdy zamieszkałyśmy z ciotką, siostrą ojca, poznałyśmy prawdę. Ojciec nigdy i nigdzie nie zaznał szczęścia, a już na pewno nie w armii. Kłamał i koloryzował, bo dzięki temu czuł się lepiej.

Lorelei drgają nozdrza, a ja już wiem, że znów popełniłam błąd. Nie powinnam używać pieszczotliwej formy jej imienia, obecnie tego nienawidzi jeszcze bardziej niż w dzieciństwie. Unosi dłoń, co chyba jest ostrzeżeniem, bym nie podchodziła bliżej. Zupełnie jakbym mogła ją zarazić albo rzucić na nią klątwę.

– Nie, przestań, nie chcę tego słuchać – przerywa mi. – Nie masz prawa tu przychodzić ani tak mnie nazywać. Nie po tym, co zrobiłaś. Za kogo ty się uważasz? Czemu zawracasz mi dupę kolejnymi zmyślonymi historyjkami? Co cię do tego upoważnia?

– Przepraszam.

– Ty chyba nie masz wstydu.

– Bardzo się wstydzę.

– Powinnam wiedzieć, że skoro się zjawiłaś, znów zrobiłaś coś głupiego i wpadłaś w szambo. – Nagle jej nieskazitelnie piękne rysy szpeci brzydki grymas. – O co chodzi tym razem, Mario?

– Jak mnie nazwałaś? – pytam zszokowana.

– Myślałaś, że nie wiem? – Śmieje się gorzko. – Czytałam reportaże o dziewczynie porzuconej w lesie, której dziennikarz nadał imię Maria. Opowiedziałaś temu pasożytowi o naszej rodzinie, i to ze szczegółami. O tym, że ojciec został adoptowany, a po powrocie do Stanów odnalazł siostrę, zresztą równie popierdoloną jak on. O jego samobójstwie, kolejnych rodzinach zastępczych i życiu na ulicy. Maria? Dziwaczny wybór, bo daleko ci do Marii Dziewicy, a już na pewno nigdy nie byłaś święta. Co jest, Nora? Myślałaś, że nie czytam gazet? Wywlekałaś na światło dzienne wszystkie brudne sekrety, by spragnieni wiedzy czytelnicy zobaczyli, jak wygląda życie uzależnionej kurewki...

Wolałabym, żeby mnie spoliczkowała, bo wtedy ból nie byłby tak rozdzierający. Dobrze chociaż, że siedzę, bo skoro tak bardzo drżą mi nogi, pewnie padłabym na podłogę. Lorelei po raz pierwszy przyznała, że od razu wiedziała, kim jest bohaterka reportażu Starlinga. A skoro tak, to wie również, że urodziłam dziecko. Ma siostrzenicę, ale guzik ją to obchodzi.

– Tej nocy dosypali mi czegoś do drinka.

– Przestań, to robi się nudne. Byłaś pijana, jak zawsze. Piłaś i będziesz pić, nie potrafisz żyć inaczej. Trudno znarkotyzować trzeźwą osobę, prawda? Alkohol zrobił z ciebie szmatę, nie ma sensu zaprzeczać.

Gwałtownie odsuwam krzesło od stołu i wstaję. Mój spokój prysł,

wściekłość rośnie jak na drożdżach, tracę kontrolę nad emocjami.

– Ciesz się, że jestem uzależnioną szmatą, bo dzięki temu na moim tle jesteś postrzegana jak chodzący ideał. Gdyby nie ja, historia twojego życia wydałaby się wszystkim beznadziejnie banalna, nie sądzisz?

– Wynocha. Ale już! – Nie każdy potrafi w tak niewielu słowach zawrzeć taki ogrom złości i nienawiści. Lorelei to prawdziwa artystka. Bierze ze stołu komórkę Davida i syczy: – Dzwonię po gliny. Jak Boga kocham.

Czy ona w ogóle wierzy w Boga? Przynajmniej tyle powinnam wiedzieć o rodzonej siostrze, ale oczywiście nie mam bladego pojęcia. Podchodzę do drzwi, drżącą ręką sięgam klamki. Tak bardzo chciałabym powiedzieć coś złośliwego, rzucić słowa pełne nienawiści, których Lorelei nie zapomniałaby do końca życia, które nigdy nie dałyby jej spokoju. Jakieś oskarżenie, które przygniotłoby ją do ziemi i zabolalo równie mocno, jak mnie ranią jej słowa. Chciałabym, ale nie umiem, zresztą ona nawet z bólem radzi sobie lepiej niż ja, a już na pewno o wiele celniej wymierza ciosy. Wiem o tym i dawno się z tym pogodziłam. Dlatego mówię o jedynej sprawie, na której jeszcze potrafię się skupić, zła na siebie, bo drżący głos zdradza mój stan ducha.

– Nie wiesz, jak się czułam, kiedy znalazłam tatę w kałuży krwi. – Rękę wciąż zaciskał na strzelbie, a z czaszki powoli wypływał jego mózg. Nie pozwoliłam Lorelei podejść, nie chciałam, by go zobaczyła, chociaż była taka mała, że być może po latach niewiele by pamiętała. Ale możliwe też, że ten widok nadszarpnąłby jej psychikę, jak stało się ze mną.

– Oszczędź mi tych łzawych kawałków. – Znów mruży oczy. – Słyszałam to milion razy i zaczyna mnie nudzić. Ojciec był słaby. Ty jesteś taka sama.

No właśnie, po co się usprawiedliwiać? Nic dobrego z tego nie wynika, ewentualnie wylądujesz w jeszcze głębszym szambie.

Tak długo wstrzymywałam oddech, że teraz z ulgą wypuszczam powietrze.

– Powinnaś zmienić kod do alarmu. – To może kiepskie pożegnanie z siostrą, niezbyt czule i niedostatecznie dramatyczne, niestety chwilowo nie stać mnie na więcej. Lorelei zawsze doprowadzała mnie do skrajnego wyczerpania emocjonalnego, po każdej kolejnej rozmowie wydawało się, że tym razem to naprawdę koniec i nigdy więcej się nie zobaczymy. A zaczęło się, kiedy miałam trzynaście lat i Lorelei zobaczyła, jak za szkołą obalam z chłopakami kolejną butelkę piwa. Podawaliśmy sobie jointa, jakby to był gorący kartofel.

Nieporuszona patrzy, jak zbieram się do wyjścia.

– Czy to mój klucz do opon? – pyta nagle David. Cholera, zupełnie zapomniałam o żelastwie wystającym zza paska spodni.

– Skądże – odpowiadam i wychodzę. Nikt nie jest w stanie odróżnić jednego klucza do opon od drugiego. Zamierzałam go zwrócić, ale spotkałam się w tym domu z tak wrogim przyjęciem, że nie pora na takie uprzejmości.

Jedno kłamstwo mniej, jedno więcej, co za różnica. W rodzinie to normalka.

Kilka minut później David podjeżdża pod przystanek autobusowy. Siedzę pod daszkiem zupełnie sama. David wysiada i podaje mi kopertę.

– Proszę, weź to. – Zerkam i widzę, że w środku jest osiemset dolarów. – Na pewno ci się przyda, bo chyba wpadłaś w kłopoty. – Na chwilę milknie, szukając właściwych słów. – I... może na jakiś czas przestań do nas wpadać. Twoja siostra teraz... Nieważne, tak będzie lepiej dla wszystkich.

Kiedy Howlin' Wolf zaczął odnosić sukcesy, nagrywać płytę za płytą i zarabiać pieniądze, o jakich wcześniej nie śniło się żadnemu bluesmanowi, postanowił pogodzić się z matką. Wyrzuciła go z domu, bo nie chciał obiecać, że już nigdy nie zagra tej szatańskiej muzyki. Gdy dał matce wypchaną forszą kopertę, ze złością cisnęła mu ją prosto w twarz.

Co prawda mną nie kieruje miłość do Boga, ale jestem tak samo oburzona jak religijna matka Howlin' Wolfa. Wrzucam kopertę z pieniędzmi do samochodu Davida i mówię:

– Nie tak łatwo zerwać więzy krwi. – Patrzę na niego przez chwilę, a potem odwracam się plecami.

Dobrze o tym wiem, bo wiele razy bezskutecznie próbowałam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na dworcu kolejowym udaje mi się znaleźć działający automat telefoniczny. Po trzecim sygnale Simone odpowiada zdecydowanie męskim i poważnym głosem:

– Simon, słucham.

– To ja.

Po chwili milczenia głos w słuchawce staje się ciepły i zmysłowy. Może to świadoma zagrywka, a może tylko kwestia przyzwyczajenia, bo właśnie takim tonem Simone zawsze ze mną rozmawia. Nieważne dlaczego, nigdy o to nie pytałam. Po traumatycznym spotkaniu z siostrą miło pogadać z przyjazną duszą i wrócić na znajomy grunt.

– Gdzie jesteś? – pyta z troską. Słyszę, jak klika w klawiaturę i zaczynam się zastanawiać, czy łatwo namierzyć, z której budki dzwonię.

– Nieważne, lepiej, żebyś nie wiedziała.

– Wydajesz się bardzo roztrzęsiona.

Cholera, bo i jestem. Patrzę na przechodzącego obok kolejarza, który ostrożnie niesie kubek z parującą kawą, i na wszelki wypadek odwracam się do niego plecami.

– Czy ustaliłaś, gdzie mieszka Zhang? – pytam.

– Ma w Vancouver sporo posiadłości, na szczęście udało mi się wejść w dane kilku pośredników nieruchomości. Oddzwonię za dwadzieścia minut.

– Spróbuj za piętnaście.

– Nie naciskaj. – Przerzywa połączenie.

Następnych kilkanaście minut spędzam w publicznej toalecie. Krążę między kabiną a umywalką, próbując doprowadzić się do porządku. Szoruję ręce, czeszę się, myję twarz. Potem dzwonię ponownie do Simone, która dyktuje mi trzy adresy. To dom w Richmond, mieszkanie nad Zatoką Angielską i apartament w zachodnim Vancouver.

– Możesz wyświetlić mapę? – pytam.

– Właśnie na nią patrzę. Co chcesz wiedzieć?

– Gdzie zamieszkałabyś, gdybyś nie chciała rzucać się w oczy? Chyba nie w mieszkaniu nad zatoką. Sąsiedzi, dostawcy... za dużo ludzi.

– Rozumiem – mówi powoli, cały czas stukając w klawiaturę. – Dobra, dom w Richmond nadaje się na kryjówkę, bo sporo okolicznych domów stoi pustych.

– Mimo to wydaje mi się za bardzo na widoku. Ci nieliczni sąsiedzi mogą być bardzo wścibscy.

– Jasne, zawsze ktoś coś wypatrzy. W takim razie pozostaje apartament w zachodnim Vancouver. Posłuchaj, jeżeli Bonnie im uciekła, mało prawdopodobne, by trzymała się blisko miejsca, w którym ją przetrzymywali.

– Nie wróciła do domu, nie kontaktowała się z chłopakiem ani najlepszą przyjaciółką. Gdzie w takim razie powinnam jej szukać?

– Nora, przykro mi to mówić, ale może ona już nie żyje...

– Dzięki, Simone – przerywam jej i delikatnie odkładam słuchawkę.

Nie chcę ciągnąć tej rozmowy. Jeżeli Bonnie nie żyje, moje dotychczasowe działania były pozbawione sensu, a tego nie zamierzam przyjąć do wiadomości. Postanawiam dojechać kolejką do centrum i wykorzystać czas podróży na pozytywną wizualizację. Większość współpasażerów obrzuca mnie zniesmaczonym lub pogardliwym spojrzeniem. Nagle do mnie dociera, że chociaż próbowałam doprowadzić się do porządku, muszę przeraźliwie cuchnąć. Za długo byłam w drodze, a skazana wyłącznie na własne towarzystwo przestałam czuć, jak bardzo śmierdzieć. Może powinnam wstąpić na chwilę do piwnicy i zmienić ubranie, ale bez Sapki moje lokum nie tylko straciło urok, ale wydaje się wręcz odpychające.

Przesiadam się do autobusu dojeżdżającego na północne nabrzeże. Tymczasem miasto niespodziewanie zaatakował zimny front i krople deszczu spadają na ziemię w postaci gradu. Białe kuleczki uderzają wściekle w okno przy moim siedzeniu. Patrzę, jak przechodnie i kierowcy, zaskoczeni nagłym atakiem nieprzyjaznej aury, gorączkowo szukają schronienia. Ale autobus jedzie dalej, musi trzymać się rozkładu. Pół godziny później wysiadam przy Marina Drive i idę w kierunku Water Lane, przy której widzę kilka zaparkowanych samochodów.

Pod adresem podanym przez Simone stoi okazała rezydencja, chroniona przed oczami ciekawskich gęstymi krzakami i ceglany murem. Przed podjazdem stoi tablica z numerem biura nieruchomości. Z zaparkowanego w pobliżu porsche wysiada elegancko ubrana para w średnim wieku i wchodzi na teren posesji, nie zaszczycając mnie nawet przelotnym spojrzeniem.

– No, nareszcie, a już myślałam, że się nie doczekam! – krzyczy ktoś za moimi plecami.

Kiedy się odwracam, widzę opartą o bmw pięćdziesięcioletnią brunetkę w ołówkowej spódnicy i dopasowanym sweterku. Patrzy na mnie tak wrogo, jakbym wymordowała jej pół rodziny. Kiedy już obejrzała mnie od stóp do głów, gasi papierosa i mówi:

– Chyba się nadasz. Chodźmy wreszcie. Mam nadzieję, że wiesz, jak się przycina krzewy.

Taki już mój los, że ludzie zawsze biorą mnie za sprzątaczkę albo specjalistkę od innej fizycznej roboty. Widać mam coś takiego w twarzy, że wszyscy od razu traktują mnie z góry. Przynajmniej tym razem nie usłyszałam komentarza na temat mizernego biustu i potarganych włosów. Na razie.

– No, na co jeszcze czekasz? Ruchy, ruchy – pogania mnie kobieta, dziarsko maszerując przez zadbane trawnik do ścieżki, która prowadzi nas na tyły

posiadłości. Zatrzymuje się przy wyrosniętym krzaku róży i wyraźnie zdegustowana marszczy brwi. – Nie wiem, jak mogliście to ostatnio przeoczyć, w każdym razie potencjalni kupcy byli bardzo niezadowoleni. Zajmij się tym. – Odwraca się i szybko odchodzi.

– Hej! – wołam za nią.

– Co znowu? – pyta, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. – Chyba masz w samochodzie sekator? Nie zamierzam uczyć cię fachu.

– Wynajęli mnie tylko na dzisiaj. Przyjmuję wyłącznie gotówkę.

– Kurwa, zaraz coś mnie trafi. – Zaczyna grzebać w torebce i po chwili podaje mi pięćdziesięciodolarowy banknot. – Jeśli chcesz więcej, wystaw fakturę. Bierz się do roboty.

Chowam pieniądze do kieszeni i uśmiecham się głupkowato.

– Czemu poprzedni właściciele wystawili ten dom na sprzedaż? To taka miła okolica.

Najwyraźniej nie przywykła do konwersacji z robotami i chociaż najchętniej zignorowałaby moje pytanie, postanawia pokazać mi moje miejsce w szeregu.

– Poprzedni lokatorzy mieszkali tu tylko rok, ale to nie twoja sprawa. Sprzedają dom, a ty dzięki temu zarobisz kilka groszy. Nie chcę, by jacyś sztywni milionerzy zgłaszali kolejne zastrzeżenia, więc zajmij się wreszcie tym przerośniętym krzakiem.

Kiwam głową i ruszam ścieżką do wyjścia, powoli doganiając furię w ołówkowej spódnicy.

– Idziesz po narzędzia? – pyta.

– Nie – odpowiadam, mijając ją szybko.

– W takim razie... Zaraz je przywieziesz, tak?

– Zobaczymy.

– Kim jesteś? – Nagle sobie uświadamia, że powiedziała za dużo komuś, kto być może w ogóle nie miał prawa wejść na teren posesji.

– Ja? Jestem nikiem – rzucam przez ramię.

– Hej, złodziejko, oddaj moje pięćdziesiąt dolarów! – krzyczy, ale dobrze wie, że nic nie może mi zrobić. Nie dogoni mnie, bo na idiotycznie wysokich obcasach drobi kroczy jak nakręcana lalka.

Ach, te kobiety.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W naszym biurze przy Hastings są trzy niewielkie okienka, które wychodzą na wiecznie wilgotną zatęchłą alejkę, po jednym oknie w gabinecie szefów i jedno w recepcji. Nie bardzo jest co przez nie oglądać, toteż ani Seb, ani Leo nie poświęcają im wiele uwagi. Co innego Sapka. Dla niej pomieszczenie z widokiem to luksus, dlatego teraz leży wygodnie na parapecie w recepcji i obserwuje okolicę. Stoję w ulewnym deszczu i patrzę, jak w drodze do gabinetu Seb drapie ją za uchem. Chwilę potem zatrzymuje się przy niej Leo. Całuje ją w czubek łba i znika w swoim pokoju.

Długo patrzę na Sapkę, ale nie zamierzam wchodzić do środka, bo na zewnątrz łatwiej mi zebrać myśli. Poza tym zaczęłam kłamać i pić, a przecież obiecałam Sapce, że żadnej z tych rzeczy już nigdy więcej nie zrobię. No i kradnę, a chociaż nigdy nie miałam wielkich oporów przed przywłaszczeniem sobie cudzej własności, nagle tych moich grzeszków robi się za dużo. Pijaczka, oszustka i złodziejka. Trudno, jeszcze nie pora z tym skończyć, jeszcze mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

Leo podchodzi do mojego biurka i grzebie w porzrzuconych na blacie papierach. Znajduje starą karteczkę, potem wybiera w komórce zapisany na niej numer. Gdy czeka, aż zgłosi się rozmówca, do pokoju wchodzi Seb. Rzuca Sapce kawałek suszonego mięsa, który ona ze smakiem pochłania w ciągu kilku sekund.

Od kiedy szukam Bonnie, moja wewnętrzna busola co rusz wychyla się w inną stronę. Nie mogę zdecydować, czy moje miejsce jest w tym biurze, czy może na ulicy. To pytanie coraz bardziej mnie nurtuje, jednak boję się szukać odpowiedzi. Teraz, gdy coraz więcej fragmentów układanki zaczyna wskakiwać na swoje miejsce, jestem pewna, że nawet gdyby Bonnie nie uciekła z domu, wpadłabym w poważne kłopoty. Teraz mam usprawiedliwienie, dlaczego tak łatwo wróciłam do nałogu i zrezygnowałam z mojej małej stabilizacji, którą z takim trudem budowałam. Znowu jestem outsiderką, podglądam i obserwuję, ale trzymam się na uboczu.

Bezdomny, mój stary znajomy, śpi tuż przy śmietniku. Przez dziurawe skarpetki widać gołe stopy. Wyjmuję z plecaka zapasową parę skarpetek i ostrożnie kładę na wysokości jego kolan. Nie chcę go obudzić ani przestraszyć.

Kiedy się odwracam, by po cichu odejść, lekko unosi głowę, przez chwilę mruga, a potem mówi:

– Wciąż tu jestem. – Ma gruby chrapliwy głos człowieka wyrwanego ze snu. Nie wiem, czy mnie rozpoznaje, czy po prostu chce pogadać z kimś, kto nie zamierza go skrzywdzić. – Próbowali mnie stąd wykurzyć...

Wstrząsa nim atak potężnego kaszlu.

– Kto? Kto cię chciał wykurzyć?

– Wciąż tu jestem – odpowiada, zamyka oczy i przewraca się na drugi bok.

Gdy Leo znika w swoim gabinecie, Sapka odwraca się w stronę okna. Patrzy na mnie przez zalewaną strugami deszczu szybę i zaczyna wyć. Leo przybiega sprawdzić, co się dzieje, ale ja natychmiast znikam, nie mam tu nic więcej do roboty. Sapka zachowuje się jak zwykle, nie wygląda na smutną, w dodatku zyskała dwóch przyjaciół, którzy ją kochają i rozpieszczają. Cieszę się, że chociaż w jej przypadku podjęłam słuszną decyzję.

Dopóki nie odnajdę Bonnie, nic więcej nie mogę dla niej zrobić.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bonnie budzi się ze snu przy wtórze jednostajnego pikania aparatu EKG. Ostre światło razi ją w oczy, w ramieniu sterczy kilka cienkich rurek. Wrywa się, szarpie i krzyczy, ale obraz w lustrze opowiada całkiem inną historię. Na szpitalnym łóżku leży cicho nieruchoma dziewczyna. Ma podkrążone, szeroko otwarte oczy, w których widać śmiertelne przerażenie. Dobrze wie, co to za rurki i dlaczego monitorują jej funkcje życiowe. Znowu ją tu przywieźli, bo chcą jej zabrać krew. Mimo to nie płacze. Przeczuwa, że wkrótce będzie po wszystkim.

Jak długo trwa pozbawienie ludzkiego ciała całej krwi? Ma nadzieję, że krótko.

CZEŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeżeli masz za dużo czasu, a zarazem nerwy jak ze stali, wybierz lokalne połączenie promowe. Na wyspę Vancouver można dotrzeć również w inny sposób, ale ten jest o niebo tańszy niż transport lotniczy. Ja niestety nie mam wyboru, ponieważ w ciągu kilku tygodni wydałam więcej niż przez ostatni rok, i nie jestem w nastroju, który pozwalałby spokojnie obserwować topniejące konto bankowe. Dlatego kupuję bilet i wchodzę na pokład.

Mijamy liczne wyspy i wysepki, niewielkie języki lądu wynurzające się z oceanicznej głębi. Gdyby widoku nie szpeciły tankowce, łatwiej byłoby sobie wyobrazić, że jesteśmy pierwszymi Europejczykami żeglującymi po tych wodach. Oszołomieni surowym pięknem krajobrazu, w pełnym zachwyту milczeniu obserwujemy cuda natury. Wszystko wokół spowija gęsta mgła, tworząc atmosferę rodem z baśni. Niestety syreny przeciwmgielne psują nastrój, przypominają, że żyjemy tu i teraz, a romantyzm umarł dawno temu.

Większość półtoragodzinnej podróży spędzam zamknięta w toalecie, popijając wódkę. To równie dobry sposób zabicia czasu jak każdy inny. Podróż jest naprawdę upierdliwa, przynajmniej dla mnie, chociaż wiem, że załoga czuwa na mostku i na pewno nie pomyli kursu ani nie rozbije statku o żadną skalistą wysepkę. Na tej trasie taki wypadek zdarzył się tylko raz, przynajmniej tylko o jednym słyszałam, ale to i tak za dużo, bym czuła się bezpiecznie. Moje środowisko to stały ląd, nie woda. Pocięsam się, że wyspa, na którą zmierzam, jest naprawdę duża i trudno ją przegapić.

Do łazienki wchodzi dwie roześmiane kobiety. Obserwuję je ukradkiem, przystawiając oko do szpary między drzwiami a framugą. Wyjmują kosmetyczki i zaczynają poprawiać makijaż. Są rozluźnione, nie przejmują się tym, że możemy pójść na dno. Tak bardzo chciałabym do nich dołączyć, śmiać się z nimi w chwili ewentualnej katastrofy. Pocięgam z butelki potężny łyk wódki i na szczęście od razu się uspokajam. Kiedy przez głośniki rozlega się komunikat, że dobijamy do celu podróży, nacięgam kaptur i wychodzę na pokład.

Pogoda jest tak wredna, jak oczekiwałam.

Ulewny deszcz i porywisty wiatr bezlitośnie smagają mi twarz. Wraz z innymi tłoczę się przy trapie. Ludzie w kolejce bezwiednie przylegają do pleców osób stojących przed nimi, zupełnie jakby szukali odrobiny ciepła. Wszyscy chcą szybko zejść na ląd. Trzymam się trochę na uboczu, a kiedy wreszcie czuję pod stopami pewny grunt, oddycham z ulgą. Wyspa Vancouver słynie z malowniczej linii brzegowej i dziewiczych lasów deszczowych. Zjeżdżają tu turyści z całego świata, by surfować, obserwować wieloryby, wędrować latem i podziwiać burze zimą. Powinni odwiedzać wyspę, gdy tylko nadarzy się okazja, bo możliwe, że już

wkrótce nie będzie tu czego podziwiać. Mniej więcej co sto lat wyspę nawiedza potężne trzęsienie ziemi i tsunami. Nie wiadomo, kiedy nadejdzie kolejny kataklizm. Większość naukowców jest zdania, że już wkrótce, a większość agentów nieruchomości twierdzi, że jeszcze długo możemy spać spokojnie.

Na razie wyspa wciąż stanowi łakomy kąsek dla biur turystycznych i przemysłu wydobywczego.

Dużo myślałam o wydobyciu surowców. Zaintrygowało mnie, co powiedział na ten temat Bernard Lam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wszyscy zawsze więcej biorą, niż dają, taką już mamy naturę, przecież jesteśmy drapieżnikami. Eksploatacja wyspy zaczęła się w momencie, gdy przyplłynęły tu pierwsze statki z Europy. Kiedy ludzie już zniszczyli kulturowe dziedzictwo, język i dziecięcą niewinność pierwotnych mieszkańców, rozszerzyli napędzane chciwością działania i ograbili wyspę z zasobów węgla oraz miedzi. Umiejscowiona na północno-wschodnim cyplu kopalnia miedzi jest najgłębiej położonym terenem na Ziemi, większej wyrwy już nie dało rady się zrobić. Kiedy o tym pierwszy raz przeczytałam, od razu mnie zszokowało, że ten rekord głębokości nie jest dziełem natury, tylko człowieka.

Można by się z tego pośmiać, ale jest zbyt przerażające.

Sieć tutejszych połączeń autobusowych jest nader skromna, na szczęście czekałam na przystanku dosłownie kilka minut. Dzisiaj mało kto jeździ autobusem, więc mam dla siebie mnóstwo miejsca i mogę się wygodnie wyciągnąć na tylnym siedzeniu. Udaje mi się zdrzemnąć, niestety budzę się już po godzinie, bo we śnie wciąż prześladował mnie głos Dao.

– Wyrzućcie ją gdzieś w lesie – powtarzał raz za razem, jednak mówił nie o mnie, lecz o Bonnie. Zastanawiam się, co intuicja podpowiada Lynn i Everettowi. Czy czują, że Bonnie żyje, czy wiedzieliby, gdyby umarła? Ja nigdy nie miałam żadnych przeczuć związanych z córką, ale też nigdy tego nie żałowałam, przynajmniej do teraz.

Kiedy autobus zatrzymuje się na moim przystanku, jestem tak rozbita i obolała, jakbym pokonała ten dystans na piechotę. Wsiadam przy Cosmos Valley i ruszam przed siebie. Śpieszę się, bo wkrótce zapadnie ciemność. Zastanawiam się, czy przyjazd tutaj nie był zwykłą stratą czasu. Być może niczego się nie dowiem. W dodatku intuicja mi podpowiada, że w całej sprawie chodzi nie tylko o porwanie nastolatki, że jest coś jeszcze, co mi wciąż umyka.

Wąska droga prowadzi na teren należący do Lowell Metals. Kopalnia jeszcze nie istnieje, ale już trwają prace i zaczęto niwelować grunt, o czym świadczą liczne tablice ostrzegawcze. Zastanawiam się, czego tu właściwie szukam, ale coś mnie popycha do przodu. Zaczyna lekko mżyć, wilgotna mgiełka od razu poprawia mi humor. Pół godziny później droga skręca w las, przechodzę przez lekkie wzniesienie i docieram do rozległego i płaskiego terenu. Na poboczu stoi ciężarówka, zza zachlapanych okien przesącza się łagodne dźwięki ballady Neila Younga. Z szoferki wysiada kobieta ubrana w dżinsy, podkoszulek i kurtkę przeciwdeszczową. W długich czarnych włosach jaśnieją pasemka siwizny, jej oczy są niemal tak ciemne jak moje.

– Zgubiłaś się? – pyta.

– Czy pani pracuje na tej budowie?

– Dziewczyno, spadłaś z Księżycy? – reaguje śmiechem. – Tu już nic się nie dzieje. Firma zrezygnowała z budowy kopalni w zeszłym roku. – Przez chwilę próbuję ogarnąć ten przekaz, ale jestem zbyt oszołomiona. Kobieta to zauważa i szybko dodaje: – Czego konkretnie szukasz? Mogę jakoś pomóc?

– Sama nie wiem. – Bezradnie potrząsam głową. – Szukam mężczyzny, właściciela firmy, która zamierzała wybudować tu kopalnię. Chciałam obejrzeć teren.

– A co, jesteś z Greenpeace albo innej organizacji ekologicznej?

– Nie, po prostu szukam informacji.

– A konkretnie?

Nie wiem, dlaczego nagle postanowiłam powiedzieć prawdę. Może skłoniła mnie do tego otwarta i szczerą twarz tej kobiety, a może uznałam, że odnalezienie Bonnie jest ważniejsze niż mój wrodzony brak zaufania. Szukając córki, złamałam tak wiele zasad, że jedna więcej już nie robi różnicy.

– Informacji o zaginionej nastolatce. Wpadłam na trop, który prowadzi do właściciela firmy Lowell Metals. Przyjechałam tu, żeby czegoś się o nim dowiedzieć.

– Kochanie, mój bratanek zaginął dwa lata temu. – Patrzy na mnie ze współczuciem, jej rysy łagodnieją. – Brat wciąż nie może dojść do siebie. Takie bolesne wydarzenia na zawsze nas zmieniają, prawda? – Jasne, moja spuchnięta kostka już zawsze będzie mi przypominać o swoim istnieniu przy każdym zawirowaniu pogody. – Kiedy to się stało?

– Kika tygodni temu.

– Tutaj wszyscy się znają. Gdyby pojawiła się obca dziewczyna, na pewno coś bym o tym słyszała. Pracuję dla gminy, wiem o wszystkim, co się dzieje w okolicy.

– Co możesz powiedzieć o Lowell Metals?

– Niewiele. – Wzrusza ramionami. – Wszystkie firmy wydobywcze są do siebie podobne, działają w ten sam sposób. Najpierw przyjeżdża ekipa budowlana, sprzęt i ochroniarze. Potem przysyłają jakiegoś bubka, który prowadzi rozmowy z mieszkańcami. Lowell Metals niczym się nie wyróżniało. – Milknie na chwilę i marszczy czoło. – Chociaż w tej sprawie rzeczywiście jest coś dziwnego. Przed nimi już dwie firmy zamierzały tu zbudować kopalnię, ale oba projekty upadły. Ludzie nie chcieli sprzedawać ziemi, mimo to Lowell postanowił zaryzykować. Nie prowadzili z nami negocjacji, pojawili się raz, oznajmili, że na pewno się dogadamy, a potem po prostu zniknęli. Otrzymaliśmy informację, że wycofali się z projektu, ale nikt nie wiedział dlaczego. Wpakowali w to sporo forsy, a potem rozplynęli się w powietrzu.

– Ktoś zmienił zdanie.

- I to bardzo wpływowa persona, skoro tak szybko zrezygnowali.
- Czy ktoś z Lowell Metals kupił w okolicy dom albo ziemię?
- Skąd, kto chciałby mieszkać w sąsiedztwie kopalni?

Odwracam się i powoli schodzę ze wzgórza. W dole rozciąga się widok na dolinę.

– Zapięra dech w piersiach, co? – mówi kobieta, stając tuż obok. – Mieszkam tu całe życie i wciąż się zachwycam. Widzisz rzekę? – Wskazuje srebrzystą nitkę wijącą się wśród skał, otoczoną przez ciemną ścianę lasu. – Łososie składają tam ikrę, a potem płyną w dół nurtu. Naruszenie tarliska miałyby katastrofalne skutki dla całego ekosystemu. Łososie są pożywieniem dla ludzi i zwierząt, a ich organiczne resztki użyźniają leśne poszycie. Byłaś kiedyś w Ukie-Tofino?

Kręcę głową. Ucluelet i Tofino leżą na zachodnim brzegu wyspy i słyną z oszałamiających widoków.

– W takim razie powinnaś tam pojechać i odwiedzić The Pacific Rim National Park. Są tam wspaniałe szlaki, mnóstwo jezior, no i ocean. Jeżeli kogoś szukasz, sprawdź najpierw tamten teren. Cóż, czas na mnie...

– Dziękuję. – Odwracam się, by odejść, bo jak na mój gust ta rozmowa trwa już za długo.

– Poczekaj. – Marszczy z namysłem czoło. – Po wysłuchaniu twojej historii nie pozwolę ci tak po prostu odejść. Podwiozę cię do autostrady, potem ruszysz szlakiem w dół. Bez obaw, jest tam mnóstwo turystów. A poza tym – mierzy mnie uważnym spojrzeniem od stóp do głów – wyglądasz na kogoś, kto umie o sobie zadbać.

Jest późne popołudnie, wkrótce zapadnie zmrok i chociaż nie ma powodów do narzekań na pogodę, na tym terenie wciąż trwa zima. Kto wie, czy niedokuczliwa mżawka nie zamieni się w grad? Postanawiam skorzystać z podwózki, po ciemku i tak niewiele tu wskóram. Bernard Lam wspomniał o domu na wyspie, którym interesowała się Jia Zhang, ale nie wiedział, czy znalazła coś odpowiedniego.

Kobieta wychyla się z szoferki i podaje mi dłoń.

– Nazywam się Trish – mówi.

– Nora.

Waha się, zupełnie jakby toczyła jakąś wewnętrzną walkę. Dopiero po chwili orientuję się, co jest grane. Trish nie wie, czy może mi zaufać, przecież poznała mnie pół godziny temu.

– Posłuchaj – mówi wreszcie. – Masz za sobą męczącą podróż, a zaraz robi się ciemno. O tej porze na szlaku będzie pusto, jeśli coś ci się stanie, będziesz musiała czekać na pomoc do rana. Przenocuj u mnie. Zgoda?

– Nie ma mowy. – Sięgam do klamki w drzwiczkach szoferki. Prywatna

przestrzeń każdej samotnej kobiety to rzecz święta, nienaruszalny azyl.

– Myślisz, że jesteś uparta? – śmieje się Trish i ostro wjeżdża na drogę, ignorując moje oburzone spojrzenie. – Założysz się, że ja bardziej?

Podczas jazdy powoli się uspokajam. Słucham cichego mruczenia silnika i lecącej z radia muzyki folk. Czy mam wystarczająco długą rękę, by walnąć Trish kluczem do opon? Nie umiem tego ocenić, a ponieważ nie umiem też prowadzić niezobowiązującej konwersacji, dalsza podróż przebiega bez zakłóceń i w milczeniu. Docieramy do miasteczka, mijając po drodze zaledwie kilka samochodów. Po chwili Trish skręca w węższą drogę, potem na zwirowy podjazd przed niewielkim bungalowem. Na dworze robi się coraz ciemniej.

– Nic wielkiego – mówi, wyłączając silnik. – Chałupka ciasna, ale własna. Jesteś głodna?

– Tak. – Nie pamiętam, kiedy jadłam coś oprócz batonów z automatu, więc na samą wzmiankę o jedzeniu zaczyna mi głośnie burczeć w żołądku.

Idę za Trish, która zapala światło przy wejściu i prowadzi mnie wąskim korytarzem do małej, ale czystej kuchni. Blat jest niewielki, jednak skoro mieszka tu jedna osoba, na pewno wystarczająco funkcjonalny. Trish wyciąga z piekarnika patelnię i kładzie na nią wyjętego z lodówki zamarynowanego łososia. Potem zaczyna robić sałatkę, a ja siadam przy stole i czekam, aż ryba się upiecze.

Trish wyjmuje dwa talerze i sztućce.

– Łazienka jest na piętrze, drzwi po prawej. Może chcesz się umyć przed kolacją? – mówi niby od niechcienia, ale to nie tyle propozycja, co wyraźna sugestia.

W łazience dokładnie szoruję ręce, myję twarz i związuję włosy. Kiedy wracam do kuchni, Trish już siedzi przy stole, na środku stoi półmisek z rybą i sałatka, przy każdym nakryciu stoi szklanka pełna wody. Wiem, że ma w domu alkohol, zauważyłam kilka butelek, gdy otwierała kredens. Może nie pija do kolacji, a może zauważyła, że ostatnio i tak musiałam wlać w siebie ciut za dużo trunków.

– Bierzmy się do jedzenia, bo chyba obie możemy sobie darować modlitwę, prawda? – Starannie rozkłada na kolanach serwetkę.

Jemy w milczeniu, a ja się zastanawiam, dlaczego ostatnio spotykam tylko ludzi, których zupełnie nie umiem rozgryźć. Taki problem mam również z Trish. Zaproponowała mi dach nad głową, ale zachowuje się powściągliwie, nawet nie próbuje nawiązać konwersacji. Ciekawe, czy żałuje, że wpuściła do domu zupełnie obcą kobietę. W pewnym momencie odkłada widelec i patrzy na mnie uważnie. Jeżeli zamierza mi udzielić kilku cennych życiowych rad, to chyba nie zdołałam utrzymać nerwów na wodzy.

Jednak niepotrzebnie się spinam, bo Trish nie należy do osób, które lubią pouczać. Ruchem głowy kieruje moją uwagę na wiszące na ścianie zdjęcie.

Mężczyzna i kobieta stoją przy ciągniku i uśmiechają się szeroko do obiektywu. Kobieta to Trish, a mężczyzna, sądząc po rysach twarzy i sylwetce, musi być jej krewnym.

– To zdjęcie sprzed dziesięciu lat – mówi. – Ja i mój brat, zanim bratanek uciekł z domu.

– Powiedziałaś, że zaginął.

– A co to za różnica? – Wzrusza ramionami. – Nie ma go i w głębi serca wiem, że nigdy nie wróci. – Gdy na nią ukradkiem zerkam, nagle wydaje mi się stara i zmęczona. – Mam nadzieję, że ty odnajdziesz dziewczynę, której szukasz. Uwierz mi, wiem, przez co przechodzisz. Większość ludzi po takiej traumie już nigdy nie dochodzi do siebie.

– A co zrobił twój brat?

– Kiedy zaginął jego syn? Szukał go przez rok, a potem się poddał. Niedawno przeprowadził się do Victorii. Nadal ma problemy z psychiką, syn był jego oczkiem w głowie. Chłopak miał dopiero szesnaście lat, za mało, by rozpocząć samodzielne życie. Co poradzisz, pewnych rzeczy nie da się zmienić. – Potrząsa głową, jakby chciała odpędzić natrętne myśli, i patrzy na mnie badawczo. – Wielu ludzi zaangażowanych w walkę przeciwko największym firmom nie wierzy w postęp, ale ja wiem, że pewne zmiany są nieuniknione.

Jestem zdziwiona tak nagłą zmianą tematu. Trish musiała to zauważyć, bo uśmiecha się lekko i dodaje:

– Nie można stać w miejscu, świat wciąż pędzi do przodu, nic na to nie poradzisz. – Marszczy czoło i poważnieje. – Myślisz, że nie wiem, jak tu będzie za sto lat? Ile zostanie z dziewiczych lasów i krystalicznie czystych rzek? Nie jestem naiwna, wiele się nauczyłam od naukowców, którzy pisali ekspertyzy, oceniając, jak kolejna inicjatywa gospodarcza wpłynie na środowisko. Każda akcja wywołuje reakcję, a w przypadku ingerencji w ekosystem to reakcja łańcuchowa. A kiedy zetkniesz się z ludzką chciwością, z odwiecznym pragnieniem, by wydrzeć z głębi ziemi wszystko, co można dobrze sprzedać, stoisz na z góry przegranej pozycji.

– Skoro nie wierzysz w sukces, to po co walczysz?

– Przeciwko kopalniom? Bo jestem przekonana, że musi istnieć lepszy, mniej inwazyjny sposób pozyskiwania potrzebnych surowców. Powinniśmy wyciągać wnioski, uczyć się na błędach, szukać innych rozwiązań. Rozwój to nie tylko więcej fabryk i kopalni. – Milknie i patrzy na zdjęcie na ścianie. – Mój brat pracował w kopalni miedzi w Port Hardy. Nienawidził tego przekłętego miejsca, ale zarazem wspierał rozwój przemysłu wydobywczego na wyspie. Wiesz dlaczego? Bo każda kopalnia to miejsca pracy, a jeśli masz na utrzymaniu rodzinę, musisz zarabiać. Skupiał się wyłącznie na wąskim fragmencie rzeczywistości, nie ogarniał całości.

– Niewielu to potrafi.

– Racja – przyznaje z uśmiechem i zaczyna sprzątać ze stołu. Chcę umyć naczynia, ale odpędza mnie machnięciem ręki. – Rozgość się w salonie. Zaraz przyniosę czystą pościel. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie na kanapie.

Jest wygodnie, jeszcze jak, lepiej niż na moim łóżku w piwnicy. Kiedy Trish obleka pościel, dziękuję jej za gościnność, co kwituje wzruszeniem ramion.

– To żaden kłopot – mówi. – Dobrze czasami mieć towarzystwo. Dobranoc, Noro. – Patrzy na mnie przeciągle, a potem znika w korytarzu.

Gaszę światło i około dwóch godzin leżę spokojnie w czystej pościeli na prawie płaskiej poduszce, która pamięta lepsze czasy. Powinam się przespać, ale nie mogę.

Kiedy w domu zapada cisza, składam pościel i wychodzę na palcach z pokoju. Z haczyka przy drzwiach wejściowych zabieram kluczyki Trish.

Miałabym okropne wyrzuty sumienia, gdyby chodziło o kogoś innego, jednak Trish to bardzo mądra kobieta, więc dobrze wie, jakie konsekwencje może mieć jedna zła decyzja. Nigdy nie powinna wpuszczać pod swój dach takiego anarchizującego wyrzutka jak ja. Buntownicy są nieprzewidywalni i aspołeczni, zawsze robią tylko to, co uważają za słuszne, i mają w głębokim poważaniu tych wszystkich nieszczęśników, którym nie starczyło rozumu, by ominąć ich szerokim łukiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nigdy, ale to nigdy i w żadnych okolicznościach nie wybierajcie się samochodem w nocną podróż z Port Alberni do Tofino. A już na pewno nie wsiadajcie do kradzionej ciężarówki, której stan techniczny jest dla was zagadką. Wąskie górskie drogi wyglądają wtedy po prostu upiornie, wydaje się, że za chwilę samochód musi zjechać do lasu albo spaść ze stromej grani do płynącej w dół rzeki. Za dnia to na pewno ciekawa i obfitująca w zapierające dech widoki podróż, jednak nocą monumentalne drzewa wyglądają jak żywe istoty, wściekle i nieprzyjazne, otaczające cię ze wszystkich stron w scenerii rodem z sennego koszmaru. Nie musisz wysilać wyobraźni i wymyślać kolejnych zagrożeń, przecież dobrze wiesz, że w tutejszych lasach żyją wilki i niedźwiedzie, a ty właśnie wtargnąłeś na ich teren. Jesteś intruzem. Jedyna pociecha, że deszcz pada tu częściej niż śnieg, ale czy na pewno jest się z czego cieszyć?

Udało mi się pokonać całą trasę za jednym zamachem, bez żadnego postoju. Siedzę na parkingu przy parku narodowym i patrzę, jak poranne słońce przedziera się przez wierzchołki drzew, zalewając wszystko wokół złocistym blaskiem. Jeśli skręcę w prawo, po około trzydziestu minutach dojadę do ulubionego przez turystów miasteczka Tofino. Skręciwszy w lewo, po dziesięciu minutach dotrę do miasteczka Ucluelet, odwiedzanego znacznie rzadziej, ale równie pięknego. Popijam kawę kupioną przy wejściu do parku narodowego, dolewam do niej trochę wódki i zastanawiam się, gdzie bym zamieszkała, gdybym była bajecznie bogatą bizneswoman szukającą prywatności. Wiem, co wybrałby Kai Zhang, ale to nie on rozdaje karty, o wszystkim decyduje Ray Zhang.

Zostawiam ciężarówkę Trish na parkingu z kluczykami w stacyjce i ruszam drogą skręcającą w lewo.

Po piętnastu minutach zatrzymuje się przy mnie kobieta w małym i zniszczonym volvo.

– Wsiadaj! – krzyczy przez okno.

Nie jestem pierwszą naiwną, kobiety bywają równie groźne jak mężczyźni, w sferze agresywnych zachowań już dawno doszło do równouprawnienia. Jednak ta kobieta wygląda na miejscową, a mnie przydałby się przewodnik. Wsiadam więc do samochodu, w którym piętczą się najróżniejsze pudełeczka i pojemniki do przechowywania żywności. Kobieta jest mniej więcej w moim wieku, tuż po czterdziestce, tyle że wygląda o niebo lepiej niż ja. Ubrana w drogie ciuchy, które zupełnie nie pasują do taniego i starego samochodu. Z długą blond grzywą i promiennym uśmiechem mogłaby reklamować uroki Zachodniego Wybrzeża.

– Hej! Jedziesz do miasta? – pyta.

– Tak, szukam bardzo bogatego faceta.

Śmieje się na całe gardło, tak żywiołowo, że prawie wpadamy na drzewo. Jezu, czy tu w ogóle nie ma prostych szos?

– Wcale mi na taką nie wyglądasz – stwierdza i na szczęście znów skupia się na prowadzeniu.

– A co, jestem nieodpowiednio ubrana?

– Tak jakby. W takim razie życzę powodzenia, słoneczko, ale latem szybciej byś poderwała jakiegoś dzianego faceta. Teraz w miasteczku są tylko stali mieszkańcy, wspólnota rdzennych mieszkańców i trochę hippisów, którzy się tu osiedlili. Jednak niedaleko jest też kilka naprawdę luksusowych rezydencji.

– Naprawdę? Nie zauważyłam.

– Trzymaj się linii brzegowej. Jak wszędzie, tak i tutaj bogacze mają domy blisko wody. Pewnie lubią patrzeć na ocean. Może któryś z właścicieli postanowił tu spędzić zimę, żeby obserwować nasze widowiskowe burze, to kolejna atrakcja turystyczna. Rozejrzyj się po okolicy, a nuż ci się poszczęści.

– Bawią się w łowców burz? – pytam zachwycona, że już mam gotową odpowiedź na pytanie, co do diabła robię o tej porze na wyspie. Ciekawe, czy Sapka pochwaliłaby mnie za ten pomysł. Niepotrzebnie o niej pomyślałam, to nie czas ani miejsce na sentymentalne bzdety.

– Coś w tym stylu, uwielbiają takie dramatyczne spektakle. Tyle że chyba są dla ciebie za starzy. Wiesz, ci dziani faceci. – Zerka na mnie przelotnie. Według mnie z nasuniętym głęboko na czoło kapturem wyglądam jak istota w nieokreślonym wieku.

– Nie szkodzi. – Chyba znowu przesadziłam, ale podczas poszukiwań Bonnie weszło mi to w krew. Ta sympatyczna kobieta gotowa pomyśleć, że w nietwarzowych, kupionych na wyprzedaży ciuchach przemierzam nasz piękny kraj w poszukiwaniu milionerów, których mogłabym uwieść. Obie wiemy, że jestem za stara na takie akcje.

Następnych dziesięć minut spędzamy w milczeniu. Zatrzymujemy się na parkingu przed dużym sklepem, zaraz za centrum miasteczka. Jest tu tylko kilka uliczek, kawiarnie, sklep z pamiątkami i drogowskazy kierujące na szlak prowadzący na pobliski szczyt górski.

– Poradzisz sobie? – pyta zdawkowo kobieta, która najwyraźniej myśli już o czymś innym.

– Jasne. Powiedz mi tylko, gdzie są te wypasione rezydencje.

Śmieje się, chyba do niej nie dotarło, że wcale nie żartuję.

– Powodzenia – mówi. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. A gdyby ci się udało namierzyć kilku bogatych facetów, daj znać, jestem zainteresowana.

W sklepie kupuję ciemnozieloną brezentową płachtę, kilka par skarpetek i ocieplane kalosze. Na chwilę zatrzymuję się przy wyjściu i uważnie czytam

przypięte na tablicy lokalne ogłoszenia, a potem biorę kilka egzemplarzy bezpłatnej lokalnej gazetki.

Później stoję na ulicy, rozglądając się wokół i próbując zebrać myśli. Jak bym postąpiła na miejscu bajecznie bogatego dupka, który porwał nastolatkę, bo potrzebuje jej krwi?

Jakiego domu bym szukała, gdzie nie rzucałabym się w oczy i nie budziła podejrzeń? W mieście wybrałabym coś w samym centrum. Tam zawsze kręci się najwięcej ludzi i najłatwiej ukryć bogactwo. Tyle że teraz jestem w mieście na kompletnym pustkowiu, turyści tu przyjeżdżają na krótko, trudno im się wmieszać w tłum, bo miejscowi świetnie się znają. To oznacza, że szukałabym domu na odludziu, z dala od wścibskich oczu, no i z widokiem na ocean.

Tak, to zdecydowanie dwa najważniejsze kryteria przy przeglądaniu ofert tutejszego biura nieruchomości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Księżyc nadal pozostaje idealnie obojętny wobec wszystkich ludzkich kaprysów. Nie zrozumcie mnie źle, wiem, że wiele rzeczy nauczyliśmy się robić. Możemy przenosić góry, wysadzać je w powietrze, docierać do ich wnętrza, wyciskać z nich żywotne soki i sprzedawać z zyskiem, jak przystało na kapitalistów, którymi się staliśmy. Jednak nadal nie mamy żadnego wpływu na Księżyc, który rządzi pewnymi zjawiskami na naszej planecie, na przykład pływami.

Czy jeśli chcesz dotrzeć gdzieś na czas, wybierzesz transport morski? Bardzo wątpię. Ruszysz wybrzeżem na piechotę, ale najpierw powinieneś poczekać na odpływ, by rozwścieczone fale nie zwały cię z nóg. Powinieneś, ale wcale nie musisz. Czasami, jednak naprawdę w wyjątkowych sytuacjach, obojętność Księżycyca jest nam na rękę.

Już od kilku godzin brnę w ciężkiej kurtce przeciwdeszczowej i kaloszach przez ścieżki i bezdroża wzdłuż linii brzegowej, wypatrując domu z wielkimi oknami zwróconymi w stronę oceanu. Wyobrażam sobie, jak musi się tu czuć człowiek z Hongkongu. Wokół panuje tak idealna cisza, że pomruk fal podczas przyływu może się wydać równie uciążliwy jak remont u najbliższego sąsiada. Tutaj można godzinami nie spotkać innego człowieka, w Hongkongu siedem milionów ludzi, stłoczonych jak sardynki w puszcze, żyje na obszarze około tysiąca stu kilometrów kwadratowych. Jak to jest być Rayem Zhangiem, który może sobie pozwolić na luksus odosobnienia?

Cały czas pada deszcz, ale na szczęście większość drogi udało mi się pokonać podczas odpływu. Na wąskiej plaży, pełnej wyrzuconego przez ocean drewna, kamieni i wodorostów, zauważam dom z wielkimi oknami wychodzącymi na ocean. Gdy opada mgiełka po ataku kolejnej fali, widzę światło w oknie na piętrze. Cieniutkie firanki pozwalają zajrzeć do środka. Dwoje nagich ludzi uprawia seks na ogromnym łóżku, a kiedy już mija pierwsze zażenowanie, wiem, że trafiłam pod właściwy adres.

To dom, którego szukałam.

W sypialni panuje półmrok, jednak na dworze jest już ciemno, dlatego dzięki ustawionej w odległym rogu lampie widzę całą scenę bardzo wyraźnie. Dao ma ogoloną głowę, gęste czarne włosy Jii spływają wzdłuż ramion. Kiedy Dao unosi się nieco nad Jią, przez krótką chwilę mi się wydaje, że sprawia jej ból, ale zaraz potem jej twarz rozjaśnia się w uśmiechu. Widzę dobrze każdy grymas na ich twarzach, ale ja, skulona na skałach otoczonych przez ciemność, jestem dla nich niewidzialna.

Dopiero po kilku minutach zauważam, że w zadaszonej alejce prowadzącej

na plażę siedzi mężczyzna na wózku. Jest zwrócony twarzą do oceanu i owinięty w gruby koc. Patrzy najpierw na mnie, a potem w stronę, z której przyszłam. W pierwszej chwili odbieram to jak rozkaz, by natychmiast stąd zniknąć, ale chodzi o coś innego. Mężczyzna coraz szybciej przenosi wzrok ze mnie na plażę za mną, zupełnie jakby wpadł w trans. Nie mam pojęcia, co się dzieje, tymczasem Dao i Jia gdzieś zniknęli, pewnie poszli spać. Ciekawe, gdzie się podziewa mąż Jii. Czy wie, że jego żona pieprzy się z ochroniarzem?

Mężczyzna na wózku nadal wlepia we mnie wzrok. To ciężkie, nieruchome spojrzenie coraz bardziej mnie deprymuje, przewierca na wylot. Kolejna fala liże moje stopy, powinnam szybko zejść ze skałek i zdecydować, co dalej. Mogę przedrzeć się zarośniętą ścieżką na teren posiadłości albo wrócić, skąd przyszłam.

Po krótkiej chwili wahania schodzę ze skał i podkradam się do domu Zhangów. Nie jest tak duży, jak mi się wydawało, ale na pewno pięknie położony i wygodny, z własną przystanią. Zbudowany z bali, jednak prezentuje się o wiele lepiej niż zwykła chata. Zauważam komórkę z niewielkim oknem. Przez zakurzoną szybę dostrzegam dwa kajaki, ale jest też miejsce na trzeci. Zastanawiam się, czy nastolatka dałaby radę prześlizgnąć się przez to okno.

Zamiast się nad tym głowić, lepiej sprawdzić. Po pierwszej nieudanej próbie udaje mi się sforsować przeszkodę. W środku jest ciemno, o dach z furją uderzają krople deszczu. Słuchając rytmicznego bębnienia, oddycham z ulgą, że znalazłam suchą kryjówkę. Jestem zbyt zmęczona, by zmusić się do dalszego działania. W jednym z kajaków znajduję zapas butelkowanej wody i trochę suszonej żywności. Wyciągam z plecaka koc i moszczę się wygodnie.

Ciekawe, czy ten facet na wózku każe mnie szukać.

Przed snem postanawiam wypić małego drinka. Dolewam do wody odrobinę wódki, niewiele, tylko by trochę podtrzymać się na duchu. Włączam komórkę i sprawdzam wiadomości. Jedna od Seba i Leo, jedna od Brazuki. Nie nagrał ani jednego słowa, ale nie musiał, jego milczenie okazało się wystarczająco wymowne. Wspominam wspólne chwile w luksusowym górskim hotelu, gdy uwierzyłam, że możemy być przyjaciółmi, i przepelnia mnie nieznośny żal.

Chociaż jestem wykończona, długo nie mogę zasnąć. Tak blisko oceanu czuję się nieswojo, przeraża mnie myśl, że od potężnych i zimnych fal dzieli mnie jedynie cienka ściana komórki. Śni mi się olbrzymie drzewo wielkości domu z wieloma oknami w różnych kształtach. Z jednego z nich rozciąga się widok na szepę z kajakami. Wiatr targa gałęziami drzewa, otwarte okna uderzają głośno o pień. Drzwi wejściowe otwierają się gwałtownie, a ja próbuję zajrzeć do środka, ale nie chcę tam wchodzić. Widzę tylko pustkę. Nagły poryw wiatru znów wprawia w ruch skrzydła okien, szyby drżą i wypadają z framug, odłamki szkła sypią się prosto na mnie. Budzę się i przez moment czuję, jak pieką mnie skaleczenia na całym ciele. Chwilę trwa, zanim sobie przypominam, gdzie jestem i po co tu

przyjechałam.

Tuż przed świtem, gdy ocean jest spokojny jak sadzawka i żadna fala nie marszczy powierzchni wody, ciągnę lekki morski kajak do przystani. Wiosłuję rytmicznie, jak mnie tego nauczyli na szkoleniu w siłach specjalnych. Po raz kolejny zastanawiam się, czy Bonnie bardzo się bała, i próbuję zgadnąć, co zrobiłaby w danej sytuacji. Czy zostałaby w tym domu, czy raczej szukała schronienia w lesie lub na plaży? Ja, chociaż nie znoszę wody, wybrałabym najmniej oczywistą drogę ucieczki, czyli ocean. Możliwe, że Bonnie doszła do takiego samego wniosku, może jest do mnie bardziej podobna, niż można by przypuszczać. Jej prześladowcy mają pieniądze i wyszkolonych ochroniarzy, ale ona ma moje geny. Jest moją córką.

A zanim wypływam na otwarte morze, uświadamiam sobie jeszcze jedno. Ta myśl mnie prześladowuje, odkąd zesłam na ląd po upiornej podróży upiornym promem. W okolicy jest mnóstwo bezludnych wysepek, na których łatwo się schować. Mam nadzieję, że Bonnie trafiła na jedną z nich.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na ocean opada gęsta mgła, widoczność jest coraz gorsza, ale wypłynęłam za daleko, by teraz zawrócić. Nie zwracam uwagi na małe wysepki, które są zaledwie ciemniejszymi plamkami na wodzie. Zimą, kiedy szaleją tu potężne sztormy, te spłachetki lądu są smagane ulewami i falami, zapewne wkrótce ocean znów się o nie upomni.

Płynę w kierunku wyspy, którą zauważyłam, zanim wszystko spowiła mgła. Jest najbliżej przystani, na lewo od domu Zhangów. Tuż przy brzegu wysepki widzę wąskie wejście do jaskini. Intuicja mi podpowiada, że Bonnie też zwróciła na to uwagę. Może właśnie tam wysiadła z ukradzionego kajaka, a potem popchnęła go z powrotem do oceanu. W otoczeniu dzikiej przyrody zapewne odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że na tym otoczonym przez wodę skrawku lądu nie ma ani wilków, ani niedźwiedzi, przecież umarłyby tu z głodu. Próbuję ujarzmić wyobraźnię, która podsuwa niepokojący obrazek. Niemal widzę watahę wilków, która dopływa do wysepki, bo zwęszyła bardzo apetyczną przekąskę.

Szukam wokół śladów walki, ale nic nie znajduję. Potem natrafiam na potężne drzewo, podobne do tego z mojego snu.

W starych lasach często można natrafić na cedry czerwone grubości kilkunastu metrów i wysokości nawet czterdziestu. Gdy zaczynają chorować, w pniu powstają otwory, przez które ucieka życie. Taki otwór może być wejściem do wyłożonej boazerią jaskini. Na wyspie są trzy chore olbrzymy, przeszukuję wszystkie i w ostatnim znajduję strzępek zakrwawionego materiału, kilka opakowań po produktach spożywczych i nieliczne ślady dorosłego i dość ciężkiego człowieka. Prowadzą od drzewa na brzeg, a potem rozpływają się w powietrzu.

Dotarłam tu za późno. Teraz mogę już zrobić tylko jedno i pozostało tylko jedno miejsce, w które muszę się udać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sarny żyjące w lesie otaczającym dom Zhanga są zupełnie nieszkodliwe. Przyzwyczyły się do obecności ludzi i chociaż kilka z nich obserwowało, jak przedzieram się przez zarośla, nie zapomniały, że są roślinożercami, i po chwili przestały się mną interesować. Idę od drzewa do drzewa owinięta w brezentową płachtę, a w ubranie wepchnęłam zmięte lokalne gazety, by zatrzymać chociaż trochę ciepła. Mam nadzieję, że nie zwęszy mnie żaden drapieжник. Prawda jest taka, że nawet obecność łagodnych saren dodatkowo rozstraja mi nerwy.

Tutaj, w prawdziwym lesie deszczowym, jest o wiele cieplej niż na otwartej przestrzeni. Trwa zima, nad wyspą często przewalają się burze, mimo to temperatura rzadko spada poniżej zera. Zaczynam powoli przyzwyczajać się do zapachu lasu, a nawet coraz bardziej mi się podoba.

Tylna część domu jest świetnie widoczna z plaży, a olbrzymie okna pozwalają każdemu intruzowi zajrzeć do środka. Jednak od frontu posesja jest o wiele lepiej chroniona przed wścibskimi spojrzeniami, bo zasłania ją szpaler wysokich drzew. Siedzę w krzakach i wpatruję się w drzwi wejściowe. Ani śladu Bonnie, ale to przecież nie znaczy, że jej tu nie ma.

Obserwuję dom od kilku godzin i powoli tracę cierpliwość, bo niewiele się dzieje. Rano na podjazd wtoczył się granatowy SUV, potem już go nie widziałam. Po posesji kręca się tylko Jia i Dao, który jest tu chyba jedynym ochroniarzem. Nic dziwnego, to wielofunkcyjna maszyna do zabijania, ochrony i uprawiania seksu. Tak, bardzo wszechstronny facet. Rano pojawia się też sprzątaczką i zostaje w domu aż do wczesnego popołudnia. Niedługo potem Dao i Jia wsiadają do lśniącego brązowego samochodu z napędem na cztery koła i wyjeżdżają. Ciekawe, czy na tapicerce tego wychuchanego pojazdu są ślady dziewczęcych łez.

Nie wiem, kiedy wrócą, jednak postanawiam zaryzykować. Okrążam gęste zarośla i drzewa, po czym wchodzę na teren posesji. Łatwo się tu dostać, nie jest ogrodzona. Boczne drzwi są zamknięte, ale te z tyłu domu, wychodzące na werandę, otwierają się już po naciśnięciu klamki. Waham się, wiem, co to oznacza. W domu jest jeszcze ktoś, kto opiekuje się starym facetem na wózku. Po co tracić czas na rozważanie, kto to może być? Nie ma sensu się oszukiwać, przecież znam odpowiedź na to pytanie.

Wszystko poszło za łatwo, ale może wreszcie i ja wygrałam los na loterii? Może ten jeden jedyny raz po prostu dopisało mi szczęście? Cóż, chciałabym w to wierzyć, jednak na wszelki wypadek wyciągam zza paska klucz do opon. Zatrzymałam go jako przypomnienie, by zawsze ufać instynktowi i pierwszemu wrażeniu, a poza tym dobrze leży w ręce i zawsze może się przydać. Na przykład gdyby postanowił mnie zaatakować jakiś napalony seksoholik.

Wchodzę do cichego domu, dobrze naoliwione drzwi zamykają się za mną bezgłośnie. Przez chwilę stoję nieruchomo i uważnie i nasłuchuję. Może starzec i jego opiekun ucieli sobie drzemkę?

Zaczynam analizować sytuację i chociaż to tylko kolejne spekulacje, właśnie dzięki nim dotarłam tak daleko. No dobrze, gdybym porwała dziewczynę, na pewno nie więziłabym jej w pokoju, do którego można zajrzeć przez olbrzymie okna, mogę zatem ominąć pomieszczenia na tyłach budynku. Ostrożnie ruszam naprzód, podziwiając eleganckie wyposażenie. Proste, ale gustowne meble, dużo dzieł sztuki, również lokalnych artystów. Coś mi tu nie pasuje. Czy właśnie tak urządziłby dom pozbawiony skrupułów właściciel licznych kopalni? Zero ekstrawagancji, nic na pokaz. Osoba, która tu mieszka, naprawdę kocha ten region, a przynajmniej jest z nim emocjonalnie związana. Otrząsam się z tych myśli i próbuję się skupić. Nie włamałam się, by oceniać wyposażenie wnętrza i gust lokatorów, ale by odnaleźć zaginioną dziewczynę.

Albo przynajmniej to, co z niej zostało, szepcze upiornie zgryźliwy głos w mojej głowie.

Otoczona ogromnymi oknami, zaglądam do pomieszczeń za zamkniętymi drzwiami, ale nigdzie nikogo nie ma. Za kolejnymi są drewniane schody stylizowane na surowe deski, które prowadzą do piwnicy. Wzdłuż ciemnego korytarza odnajduję mnóstwo kolejnych drzwi, jak w jakimś cholernym horrorze. W jednym pomieszczeniu stoją środki czyszczące, w drugim sprzęt medyczny, jakiego w życiu nie widziałam, reszta jest pusta.

Słyszę tylko bicie własnego serca i odgłos moich kroków, poza tym panuje tu upiorna cisza. Może powinnam zdjąć buty, by poruszać się bezszelestnie, ale rezygnuję z tego pomysłu. Jeśli będę musiała uciekać, w samych skarpetkach nie dotrę zbyt daleko. Podchodzę do ostatniego pomieszczenia, jedyne, które można zamknąć na klucz. To chyba oczywiste dlaczego. W środku stoi wąskie szpitalne łóżko, aparatura do monitorowania pracy serca i ciśnienia oraz stojak medyczny. W pokoju jest sterylnie czysto, to nie może być magazynek, sprzęt zgromadzono tu w określonym celu. Na drewnianej podłodze, tuż przy łóżku, zauważam ciemną plamę. Tarasuję drzwi plecakiem, by się za mną nie zatrzasnęły, wchodzę do środka i oglądam plamę na podłodze. To na pewno krew, i mogę się założyć o wszystkie pieniądze, że jest to krew Bonnie. Muskam zastygłą kroplę dłonią i próbuję się pocieszać, że może moja córka przynajmniej nie cierpiała. Bzdura, jasne, że cierpiała, a teraz obie jesteśmy w głębokim szambie.

Przez chwilę nie podnoszę się z klęczek i pewnie dlatego udaje mi się dostrzec pod łóżkiem cienką książeczkę. Wyciągam ją, kartkuję, a potem na sekundę wstrzymuję oddech. Pamiętnik nastolatki. A zatem moje spekulacje okazały się trafne. Właśnie odnalazłam miejsce, w którym przetrzymywano Bonnie. Lata węszenia i grzebania w cudzych sprawach pozbawiły mnie poczucia

wstydu, dlatego bez wahania zaczynam czytać zapiski z pierwszej strony:

Mandy to wredna i tłusta suka. Ciekawe, kiedy zamierza oddać moją różową bluzę z kapturem. Zresztą na pewno ją tak rozciągnie, że będę musiała kupić nową. Jezu, już nigdy jej nic nie pożyczę.

Pół strony kwękania na przyjaciółkę. Trochę staroświecki sposób wyładowania frustracji, większość nastolatek wykorzystałaby do tego celu media społecznościowe. Zatrzymuję wzrok na ósmej stronie. To wpis przed jedną z jej ucieczek z domu, chociaż nie tą ostatnią:

Dziś dzwoniłam do taty, ale włączyła się poczta głosowa, bo on ostatnio dużo pracuje. Pewnie wróci do domu późno, ale nie będę na niego czekać. W życiu! Pożegnaj się z Lynn, która wcale nie jest moją matką. Przejrzałam wiadomości w jej komórce. Jak może robić coś takiego tacie i mnie? Powiedziała, że powinnam jeszcze poczekać z uprawianiem seksu, a sama bzyka się z jakimś dupkiem z pracy. PIEPRZYĆ JĄ!

Młodzi ludzie są nadwrażliwi i bezkompromisowi. Analizują każde spojrzenie i każde słowo, szukają drugiego dna i w ten sposób kształtują własną tożsamość. Dominującą cechą Bonnie jest wojowniczość. Świetnie, pewnie odziedziczyła to po mnie. Uciekła z domu, gdy odkryła, że została adoptowana. Uciekła, gdy dowiedziała się o romansie Lynn. A ostatni raz uciekła, żeby być z chłopakiem, którego pokochała.

W pamiętniku jest dużo notatek o Tommym, o tym, jak się poznali, jaki jest wspaniały i temu podobne ple, ple. Szczenięca miłość jak z powieści, po prostu modelowa. Potem dwie strony o tym, jaki był ich pierwszy raz, jak bardzo bolało i że wcale nie było super. Było źle również za drugim, trzecim, czwartym, piątym i szóstym razem. Dopiero podczas siódmego i ósmego spotkania w łóżku oboje się rozluźnili i zaczęli czerpać przyjemność z seksu. Dziewiątej randki nie było, bo Tommy został odesłany do matki.

Przeczytałam notatkę Bonnie sporządzoną trzy dni przed ostatnią ucieczką:

Dzisiaj dzwoniłam do taty i najpierw odebrała jakaś kobieta. Kiedy zaczął ze mną rozmawiać, udawał, że nic się nie stało, ale za dobrze go znam. Zapytałam, kim jest ta kobieta, odpowiedział, że nikim. Kłamał, bo dobrze słyszałam, jak mówiła do niego „kotku”.

Lynn i Everett. Cholerni kłamcy i oszuści, którym bardzo daleko do idealnych rodziców. Przypomniałam sobie sformułowania z ich podania o adopcję. Słodkie pitu, pitu, piękny obrazek na pokaz, a pod spodem kupa gnoju. To oni swoim zachowaniem prowokowali Bonnie do kolejnych ucieczek, a tego nigdy im nie wybaczę. Gdyby należycie wywiązali się z rodzicielskich obowiązków, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Na końcu pamiętnika po około dwudziestu pustych stronach znajduję ostatnią notatkę. Bonnie musiała pisać w pośpiechu, bo trudno rozpoznać litery,

jakby była zbyt zdenerwowana, by zebrać myśli:

Dostałam odpowiedź z portalu internetowego, na którym się zarejestrowałam. Zero informacji o mojej prawdziwej mamie. Wiadomo tylko, że nigdy nawet nie próbowała mnie odnaleźć. Odezwał się facet, który twierdzi, że jest moim ojcem. Chce się ze mną spotkać.

Szelest za plecami dociera do mnie za późno. Nie zdążę wyciągnąć zza paska klucza do opon, po sekundzie czuję ostry ból z tyłu głowy. Kontury wszystkiego wokół tracą ostrość, rozmywają się. Czy właśnie tak czuł się Brazuka po moim ciosie? Osuwam się bezwładnie na podłogę.

Ląduję twarzą na plamie krwi, która szybko się powiększa, bo krwawię z nosa. W ostatnim przebłysku świadomości formułuję nieco patetyczną myśl, że tutaj została przelana krew dwóch pokoleń, matki i córki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy odzyskuję przytomność, do mych uszu dociera miarowe kapanie.

Kap, kap.

Krew Tommy'ego na białym śniegu...

Myśli odzyskują wyrazistość, stają się bardziej spójne. Las. Śnieg. Przejmujący chłód.

Kap, kap.

Krew Bonnie, którą ktoś próbuje ukraść...

Jasne, przecież widziałam płamę na podłodze.

Kap, kap.

Krew z mojego nosa, powiększająca się kałuża.

Zgadza się. Najpierw upadłam na twarz. Te obrazy nabierają sensu.

Kap, kap.

Krople deszczu uderzające o dach.

Po chwili słyszę też deszcz spływający po szybach. Dlaczego dopiero teraz zauważyłam, że pada? Na dworze szaleje prawdziwa ulewa. Odgłosy padającego deszczu podnoszą mnie na duchu. Skoro w tym pomieszczeniu są okna, nie uwięzili mnie w piwnicy, nie w tym jedynym pokoju, który można zamknąć od zewnątrz.

Skupiam się i próbuję wychwycić inne dźwięki. Po chwili słyszę trzaskanie ognia, więc musi tu być kominek. I słyszę też czyjś oddech, nie tuż przy mnie, jednak niezbyt daleko.

Nie jestem w tym pokoju sama.

Zabrali mi klucz do opon, tył głowy i kark pulsują bólem. Mięśnie nieznacznie ciężą, jednak kiedy otwieram oczy, okazuje się, że nic mnie nie przygniata, przynajmniej w dosłownym znaczeniu tego słowa. To psychologiczny napór, odczuwam żal z powodu... nie umiem tego dokładnie określić, po prostu po raz kolejny okazało się, że nie uczę się na błędach i bardzo łatwo mnie podejść. Cholernie irytujące, bo podobno wraz z upływem czasu zdobywamy doświadczenie. Może inni, ja raczej nie.

Leżę na drewnianej podłodze niedaleko rozpalonego kominka. Szybko oceniam swoje położenie, na szczęście wciąż jestem ubrana, a brzuch mam nadal płaski. Z ulgą wypuszczam powietrze, które przez kilka sekund wstrzymywałam. A zatem to nie powtórka z najgorszej nocy mojego życia, tym razem chodzi o coś innego. Po przeciwległej stronie pokoju, tuż przy oknie, stoi mężczyzna. Wnętrze jest piękne, urządzone z dużym smakiem, taki sam wyrafinowany luksus, jaki miałam okazję zobaczyć w górskim hotelu. Tam rozciągał się z okien wspaniały widok na górskie szczyty, stąd widać spienione fale oceanu. Nie przywykłam do

tych miejsc, w innej sytuacji czułabym się tu nieswojo, ale przecież zapłaciłam za pobyt rozbitym nosem i bolącą głową, więc należy mi się coś w zamian.

– A wszystko przez jedną kurwę – mówi mężczyzna, obserwując ocean.

Zmierzch przykrył niebo płaszczem w kolorze fuksji, plaża powoli niknie w mroku. Chociaż straciłam przytomność na krótko, widok za oknem jest teraz zupełnie inny. Wysokie fale z głośnym łoskotem rozbijają się o skały, deszcz nadal bębni o szyby, ale chyba zmienił się kierunek wiatru. Uznaję załamanie pogody za zły znak, bo jest odzwierciedleniem mojego kiepskiego samopoczucia. Ból rozsadza mi skronie, mam wrażenie, że nie tylko z powodu ciosu, jaki zainkasowałam. Może to skutek przygnębiania, które nieuchronnie przekształca się w depresję, może chodzi o coś innego, w każdym razie czuję się bardzo dziwnie. Coś jest nie tak.

Mężczyzna przy oknie nie odwraca się w moją stronę, widzę tylko tył jego głowy. Ma gęste czarne włosy, świetnie ostrzyżone. Rany, musiał wydać na fryzjera kupę kasy.

– Tylko że miała anielski głos. Upadły, nie, paskudny anioł... Ten głos zapadł mi w serce, przeniknął w głąb duszy. – W jakiś niepojęty sposób wyczułam, że odzyskałam przytomność. Przyzwyczytałam się do niepocholebnych uwag na temat mojego wyglądu, dlatego jego słowa mnie nie ranią. Jestem paskudna? Też mi nowina. – Cóż, potem daleko jej było do anioła. Śmieć, który wyrzuciliśmy do lasu, zbędny pakunek zawinięty w białe prześcieradło zapaskudzone krwią.

Mrugam raz, potem znowu, wreszcie po trzecim mrugnięciu trochę rozjaśnia mi się w głowie, na tyle, bym poczuła przypływ instynktu samozachowawczego. Rozglądam się wokół w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Gdybym go walnęła tą wielką wazą, na pewno by zemdlał, ale jest za duża, by ją ukryć pod ubraniem. Dźwigam się na kolana i opieram dłonie o ścianę, walcząc o zachowanie równowagi. Nie potrafię sobie wyobrazić dobrego wyjścia z tej sytuacji. Ta wizja powoduje nagły przypływ paniki, nogi trzęsą mi się jak galareta. Na chwilę zamykam oczy, a kiedy je otwieram, dostrzegam, że mężczyzna przygląda się mojemu odbiciu w szybie okiennej, jak niedawno Dao podczas spotkania w górskim hotelu.

– Ta kurwa zasłużyła na wszystko, co ją spotkało. Tamtej nocy powinna umrzeć. Tak to zaplanowałam.

– Co mi zrobiłeś? – Wydaje mi się, że wykrzyczałam to pytanie, jednak w rzeczywistości głos z trudem wydobywa się z zaciśniętej krtani, brzmi ochryple i chropowato. Czuję, jak w ustach zbiera się krew. Spluwam, na podłodze pojawia się krwawa plama, a w środku coś białego. Ząb. Zaraz, upadłam na twarz, zgoda, ale przecież nikt nie wybijał mi zębów. A jednak jeden straciłam.

Kai Zhang śmieje się głośno i odwraca w moją stronę. Najpierw rzuca mi się w oczy podłużna szrama na jego policzku. To moja robota, przypominam sobie

nagle. Pamiętam nawet, że zdarłam sobie dwa paznokcie, które później całe wieki odrastały. Równie malownicza szrama widnieje na jego czole, ale to już niestety nie moja zasługa. Blizny na twarzy powinny go szpecić, a jednak wciąż wydaje mi się cholernie przystojny.

– Już mnie kiedyś o to pytałaś, pamiętasz? – Sięga do kieszeni i wyciąga foliową torebkę pełną małych pigułek.

Zagryzam mocno wargi, gdy dociera do mnie okrutna prawda. Nawet nie umiałabym opisać strachu, który teraz odczuwam. To dlatego mam takie ciężkie, bezwładne mięśnie.

– Tak, dobrze kombinujesz. – Płomień tańczący w kominku dodaje jego oczom złowieszczygo blasku. – Ty durna suko. Miałaś czelność włamać się do mojego domu? Już zapomniałaś, jak potraktowałem cię poprzednio? Marzysz o powtórce? – Podchodzi, uderza mnie mocno otwartą dłonią, a ja ponownie ląduję na podłodze.

– Pamiętam, że próbowałaś mnie zabić. Nie udało się, co? – chrypię i czuję, jak do ust znów napływa mi krew.

Kilka kropli skapuje na podłogę tuż przy jego stopach. Kai zanurza palec w mojej krwi, potem wkłada do ust. Oblizuje się, a ja czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Na szczęście zjadłam tylko kolejny batonik i wypłam trochę wódki, więc nie mam czym wymiotować.

– Tak myślisz? To się jeszcze okaże. – Łapie mnie za ramię i podnosi.

Kiedy próbuję wbić paznokcie w jego twarz, ciska mnie gwałtownie w stronę okna, niemal frunę w powietrzu. Uderzam ciężko w szybę i ląduję na podłodze. Huczy mi w głowie, zwichnięta wcześniej kostka, teraz wykręcona pod dziwnym kątem, wygląda strasznie.

– Ojejku. – Kai kiwa głową i marszczy brwi. – Pocałuję, żeby trochę mniej bolało.

Kiedy podchodzi, próbuję go kopnąć zdrową nogą, jednak brakuje mi punktu oparcia. Trafiam go lekko w biodro, ale to nie tyle cios, co muśnięcie. Kai łapie mnie za uszkodzoną kostkę i jeszcze mocniej wykręca.

Potworny ból niemal pozbawia mnie tchu, jednak nie krzyczę, bo właśnie to sprawiłoby Zhangowi przyjemność. Niewiele pamiętam z nocy sprzed piętnastu lat, ale wiem, że Kai należy właśnie do tej kategorii oprawców. Lubi dręczyć i poniżać innych, tak jak inni lubią czytać książki.

Teraz ból okazuje się moim sprzymierzeńcem, dzięki niemu łatwiej mi zebrać myśli.

– A gdzie się podziewa szanowny tatuś? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Może śpi, a może umarł. Co to za różnica? – Wzrusza ramionami.

– Tyle zachodu, żeby porwać dziewczynę i wpompować jej krew w starego, a ty twierdzisz, że jego los guzik cię obchodzi?

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem wybucha głośnym śmiechem.

– Ciekawe, czy udałoby mi się nastawić twoją kostkę – mówi. – Może warto spróbować?

– Chyba i tak masz trochę za dużo spraw na głowie. Skup się na najważniejszych.

– Ojciec też wciąż mi to powtarzał. Wiesz, przed wylewem był silnym facetem, z którym wszyscy się liczyli, ale teraz... Nie chodzi, nie mówi, po prostu siedzi w fotelu jak jakiś pieprzony pomarszczony osesek.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem i gównu mnie to obchodzi. To nie był mój pomysł.

Mrugam gwałtownie, by lepiej go widzieć.

On nie kłamie.

– Rzygać mi się chce, kiedy o tym wszystkim myślę – dodaje, krzywiąc się z niesmakiem. – A wszystko przez moją żonę. Można to było załatwić inaczej, poszłoby jak po maśle, jak kiedyś z tobą.

– Odurzyłeś mnie narkotykami.

– Nawet nie musiałem, bo byłaś zalana w trupa.

Wzdrygam się. Dokładnie to samo powiedziała mi kiedyś Lorelei. Kai jednak nie zwraca uwagi na moją reakcję, tylko mówi dalej:

– O czym to gadaliśmy? Ach tak, o tej małej suce. To ona mnie szukała, dasz wiarę? Bez trudu ją namierzyłem na jednym z tych nielegalnych chatów, gdzie ludzie szukają biologicznych rodziców. Napisała, że i tak zamierza uciec z chłopakiem, więc przy okazji może się ze mną spotkać. A wiesz, co było dalej? – Ujmuje moją skrzyżowaną kostkę i mocno ściska.

Chyba dłużej nie wytrzymam tego bólu, zaraz zemdleję.

– Co? – pytam resztką sił.

– Rzuciła mi się w ramiona – mówi z obrzydliwym rechem. – Potem wsiadła grzecznie do samochodu, nawet nie musiałem jej odurzać. Gdy powiedziałem, że zawiozę ją do mamy, od razu połknęła haczyk. Ależ była podekscytowana... Rany, niezły ubaw. – Znowu zaczyna się śmiać, i to tak gwałtownie, że w kącikach oczu pojawiają się łzy. – Wiesz co, muszę się napić.

Podchodzi do barku, a ja zaczynam się zastanawiać, kiedy znowu stracę przytomność po narkotyku, którym mnie nafaszerował. Swoją drogą, to niesamowite, jak wiele jest w stanie znieść ludzki organizm. Mam zmasakrowaną kostkę, mięśnie ciężkie jak z ołowiu, ale nadal jestem przytomna, więc zanim spowije mnie mrok, zdążę jeszcze coś wymyślić. Mocno zaciskam zęby, obejmuję dłońmi kostkę i korzystając z tego, że Kai jest odwrócony plecami, wyciągam z buta sznurowadło.

– Co było dalej? – pytam.

– Wstąpiliśmy do kawiarni na gorącą czekoladę. – Upija kilka łyków brandy

i uśmiecha się błogo. – Wsyłałem coś do jej filiżanki, a potem już było z góry. Od razu straciła przytomność, szast-prast i po sprawie, jakby ktoś wyłączył prąd. No i przywieźliśmy ją tutaj na testy. Wyobraź sobie, że na wyniki trzeba było czekać dwa tygodnie. – Nie miałam pojęcia, że to tyle trwa. Cóż, człowiek uczy się całe życie. – Cały czas ją faszrowaliśmy środkami nasennymi, ale i tak ta mała suka zwała, zanim przyszły wyniki. Wszyscy zrzucają winę na mnie, ale niesłusznie, bo akurat ten pomysł od początku mi się nie podobał. – Upija kolejny łyk i podchodzi bliżej.

Przyglądam się bliźnie na jego czole i stwierdzam z satysfakcją:

– O, widzę, że też ci dokopała. – A potem, żeby go wkurzyć, dodaję: – O ile pamiętam, to nic trudnego.

Marszczy brwi i ciska szklanką o ścianę, ale szklanka nie pęka, tylko zsuwa się na podłogę. Jedyne, co zyskał przez ten wybuch złości, to dezynfekcja pięknej podłogi markowym alkoholem.

– Czy ty zawsze wszystko musisz spieprzyć? – pytam i wybucham śmiechem.

Łapie mnie za kołnierz i podnosi, więc stoimy twarzą w twarz. Zaczyna mnie całować, wpycha mi język do ust, owiewa gorącym, przesiąkniętym alkoholem oddechem. Teraz albo nigdy. Kopię go kolanem w krocze, nie z całej siły, ale na tyle mocno, by odruchowo się cofnął. Rzucam się na niego całym ciałem i powalam na podłogę. Oczywiście upadam razem z nim, ale nie martwię się, jak tę gimnastykę znieśie zwichnięta kostka. Ważne, że nie muszę dłużej stać.

Kai zaciska dłonie na mojej krtani, ale zdążyłam mu wcześniej zarzucić na szyję sznurowadło, które teraz zawiązuję na mocny supeł. Kiepska broń, ale chwilowo jedyna dostępna. Kai zaczyna lekko charczeć, niestety udaje mu się zwalczyć odruch, by puścić moją krtani i spróbować rozluźnić sznurowadło. Jest silny i nikt go nie odurzył. Jego twarz nabiega krwią, moja pewnie też, zaczyna nam obojgu brakować tlenu. Potrząsa mną lekko, na sekundę tracę równowagę i odrywam dłonie od sznurowadła. Przed oczami wirują mi ciemne mroczki, wiem, że za chwilę stracę przytomność. Zdobywam się na być może ostatni wysiłek i wciskam kciuki w jego gałki oczne, najmocniej, jak dam radę. Wrzeszczy i odpycha mnie, no i dobrze, przynajmniej przestał mnie dusić i mogę zaczerpnąć haust powietrza. Leżymy nieruchomo na podłodze, oddychając ciężko.

– Kurwa, nic nie widzę! Ty pieprzona suko! – krzyczy.

Przesuwam dłonie po podłodze, próbując znaleźć pozycję, z której dam radę wstać. Natrafiam na szklankę, którą Kai cisnął o ścianę. Kiedy uderzam nią o podłogę, szkło pęka, duży ostry odłamek, który wciąż tkwi w mojej dłoni, przecina mi skórę. Jest śliski od krwi, więc ściskam go z całych sił i pełzną w stronę Zhanga, który na czworakach przesuwają się w stronę ściany. Bezwładna noga pulsuje bólem, z trudem łapię powietrze, ale prędo przodu. Strasznie

hałasuję, jednak jakie to ma teraz znaczenie, skoro z oczu Zhanga została krwawa miazga?

– Gdzie ona jest? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada między kolejnymi okrzykami bólu.

Coraz trudniej mi utrzymać śliski od krwi odłamek szklanki. Im mocniej go ściskam, tym bardziej ranię sobie dłoń, ale to mój najmniejszy kłopot. Łapię Zhanga za włosy i unoszę jego głowę na wysokość mojej twarzy. Chce sięgnąć mojego gardła, jednak przewidziałam ten ruch. Przystawiam ostry szklany odłamek do jego grdyki.

– Prześcieradło wcale nie było białe – mówię powoli. Nigdy nie powinien o tym zapomnieć, to ostatni fakt, który ma obowiązek zapamiętać. Najpierw mnie zgwałcił i pobił, a potem kazał zawiązać w czerwone prześcieradło, na którym plamy krwi wydawały się czarne. Nie pozwolę mu odejść z tego świata, zanim sobie tego nie wbije do głowy. Mocno krwawi, jego krew miesza się z moją. Otwiera usta do krzyku, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Powieki mu opadają, widzę, jak powoli uchodzi z niego życie. Ciężko opadam na jego martwe ciało i na krótko odpływam w niebyt.

Uszy rani mi jakiś dziwny dźwięk. Podpełzam do ściany, podpieram się mocno dłońmi i chwiejnie wstaję. Jestem dumna, że zabiłam jednego z prześladowców Bonnie, czuję się jak święty Jerzy po walce ze smokiem, ale to jeszcze nie koniec. Kai wiedział, gdzie ona jest, okłamał mnie, usłyszałam fałsz w jego głosie. Przytrzymując się ściany, na której zostawiam krwawe odciski palców, przesuwam się w stronę drzwi. Po drodze biorę z barku butelkę brandy i upijam solidny łyk. Muszę zmyć smak wymuszonego i brutalnego pocałunku.

Potem znów opieram dłonie o ścianę.

Do drzwi już niedaleko.

I nagle do mnie dociera, że coś jest nie tak. Wysoki krzyk dobiega z elektronicznej niani leżącej na podłodze. Mrugam zdezorientowana, próbując zrozumieć, co tu jest grane. Krzyk przybiera na sile i w pokoju, gdzie na podłodze lepkiej od krwi leży martwy mężczyzna, brzmi absurdalnie, zupełnie nie na miejscu.

Wychodzę na korytarz i brnę do drzwi wejściowych, po drodze pstrykając niechcący wyłączniki światła. Na wszystkim, czego dotykam, zostawiam krwawe ślady. Uciekam, na przekór chemii, biologii i ograniczeniom ludzkiego organizmu.

I nagle znów ten przenikliwy krzyk.

Ostatnie drzwi w korytarzu prowadzą do olbrzymiej sypialni. Stary mężczyzna na wózku siedzi przy dziecięcym łóżeczku i wszystko staje się jasne. Nie porwali Bonnie, by wyleczyć starca. Ray Zhang pokochał to miejsce tak mocno, że nawet zrezygnował z budowy kopalni. To on urządził ten dom, ze smakiem wyposażył wnętrze, kupując prace lokalnych artystów. A teraz, po

wylewie, tkwił tu niczym w pułapce.

Potrzebowali krwi dla młodszego brata Bonnie.

Nie chodziło o Raya, jej dziadka. Nagle przypominam sobie, co powiedział mi Kai. To żona zmusiła go do działania, by ratować ich dziecko.

Osuwam się po ścianie, siadam na podłodze oszołomiona i wyczerpana. Patrzę na starca, który jest równie jak ja bezradny wobec dziecięcego płaczu. Na zdjęciu z gazety, które znalazłam w rzeczach Mike'a Starlinga, Ray Zhang był silnym i dumnym mężczyzną, ale czas i choroba zrobiły swoje. Teraz w jego oczach widzę tylko żal i współczucie. Swoją drogą, ciekawe, nad kim się lituje, nad sobą czy nade mną? Mrugam i mrugam, ale to wcale nie pomaga, wciąż widzę wszystko na czerwono.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bonnie śni o głosie, który od kilku dni ją prześladowuje. Nie może otworzyć oczu, a zatem wciąż jest pogrążona we śnie, a mimo to panicznie się boi. Ten zimny głos o ostrym brzmieniu coś do niej czule szepcze. Sen jest tak realny, że Bonnie czuje czyjś oddech na skroniach, dotyk dłoni zakładającej pasemko włosów za jej ucho, długie paznokcie, które od czasu do czasu skrobią ją po brodzie. Nie umie dopasować tego głosu do konkretnej twarzy, a przecież to nie powinno być trudne. Zaczyna krzyczeć, krzyczy coraz głośniej, aż wreszcie słyszy odgłos zbliżających się kroków. Skoro to tylko sen, to może tym razem ktoś ją uratuje?

Słyszysz, jak ktoś protestuje, upiera się, że Bonnie jest bliska śmierci. Ten natrętny głos oskarża kogoś ze szpitala, twierdzi, że czegoś zaniedbano i dlatego Bonnie teraz cierpi. Czyżby śniła, że jest w szpitalu? Bonnie wie, że ten głos kłamie. Skąd to wie? Trudno powiedzieć. Głos jest na pozór przepełniony troską i pewny siebie, jednak pod powierzchnią słów ukrywa się drugie dno.

– Proszę pani, proszę wyjść – mówi jakiś mężczyzna. – Zawołamy panią, kiedy odzyska przytomność.

– Oczywiście – odpowiada kobieta, której głos prześladowuje Bonnie w snach.
– Proszę się nią należycie zająć, bo w przeciwnym wypadku podam was do sądu. Dobrze, teraz wyjdę, ale niedługo wrócę.

Bonnie zaczyna oddychać spokojniej. Teraz jest bezpieczna, ale ta okropna kobieta na pewno po nią wróci. Przed chwilą to powiedziała, i tym razem nie kłamała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudził mnie lodowaty podmuch wiatru.

Coś ciężkiego przygniata mi brzuch, ziemia jest dziwnie blisko mojej twarzy, ale nie wiem, gdzie podziały się nogi. Co gorsza, w ogóle nie mam w nich czucia. Wpadam w panikę, jestem niemal pewna, że znów śnię ten sam koszmar. Jednak już po chwili przypominam sobie zakrwawioną twarz Zhanga. To nie sen, ja go naprawdę zabiłam. Powoli przytomnieję, otrząsam się z otępienia. Jestem na zewnątrz, zwisam głową w dół z muskularnego ramienia. Mężczyzna, który mnie niesie, idzie po piasku, co wnioskuję po sposobie, w jaki stawia stopy. Po chwili jego krok się stabilizuje, czyli wszedł na twarde podłoże. Zbliżyliśmy się do przystani, na ciemnym niebie błyszczy olbrzymi srebrny księżyc, deszcz łaskawie chwilowo odpuścił. Rozglądam się na boki i zauważam, że tuż za niosącym mnie mężczyzną podąża kobieta, która mówi:

– Odzyskała przytomność.

Rozpoznaję ten głos, słyszałam go w holu luksusowego górskiego hotelu, z którego rozciągał się wspaniały widok na pobliskie szczyty. Na moment ląduję na czymś twardym i przestaję widzieć wszystko do góry nogami. Jednak obraz się rozmywa, i najpewniej jest to efekt pigułek, którymi mnie nafaszerował jej mąż. Na szczęście już po minucie odzyskuję ostrość widzenia. Jestem na łodzi, obserwuję, jak Dao pomaga wsiąść Jii, a potem wnosi na pokład jakieś worki.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy z nią w hotelu? Mówiłam ci, że to ona – zwraca się do niego Jia.

– Byłem pewien, że nie żyje – odpowiada Dao kwaśno. – Widziałem na własne oczy, jak jej samochód runął w przepaść.

Jia siada z gracją na ławeczce i uważnie mi się przygląda.

– Zabiłaś mojego męża – stwierdza lekkim tonem, jakby rozmawiała o pogodzie.

– Wyświadczyłam ci przysługę, ale nie musisz mi dziękować – chrypię w odpowiedzi. – Wreszcie będziesz szczęśliwa z kochasiem.

Dao, który właśnie odwiązuje cumę, odwraca się zaskoczony. Przez chwilę panuje cisza, potem Jia wzrusza ramionami i mówi:

– Wie o nas, wielkie rzeczy. I tak niedługo umrze, już nam nic nie zrobi. Najważniejsze, że mamy dziewczynę. – Na widok mojej przerażonej miny wybucha śmiechem. – Znalazł ją w lesie jakiś nawiedzony naukowiec, z tych, co to rzucają kłody pod nogi biznesmenom, liczą zwierzątka i drzewa. Odwiózł ją do szpitala, gdzie stwierdzono, że jest skrajnie odwodniona. Trochę trwało, zanim to ustaliliśmy – stwierdza z przekąsem, patrząc oskarżycielsko na Dao. – Nie wiem, komu zleciłeś obserwację szpitala, ale raczej się nie popisał.

– Później się z nim policzę.

– Mam nadzieję. Kiedy jutro odbierzemy dziewczynę, dopilnuj, żeby była spokojna, i nie pozwól jej więcej uciec. Już i tak za bardzo rzucamy się w oczy. Niepotrzebnie pojechałam dzisiaj do szpitala.

– Wydawało mi się, że prędzej uwierzą kobiecie – odpowiada Dao i staje za sterem.

– Mylne założenie.

– Owszem – bez zwłoki posłusznie przyznaje Dao, jak na idealnego pracownika przystało. – Jutro wszystkim się zajmę.

Kiedy wypływamy z przystani, próbuję zebrać myśli. Nie podoba mi się sposób, w jaki powiedział, że wszystkim się zajmie. Zamierzają zabić Bonnie? Szybko rozjaśnia mi się w głowie.

– A co, jej krew nie nadaje się dla małego gnojka? – pytam.

W nagłym napadzie furii Jia uderza mnie w szczękę, i tym oto sposobem tracę kolejny ząb. Krzywię się i wypluwam go na pokład.

– Wykorzystaliście krew pępownikową, rezultaty okazały się obiecujące, ale było jej za mało. Więc potem pobraliście Bonnie szpik, tak? – wyrzucam z siebie, a w myślach rekonstruuje resztę. Gdy się okazało się, że jednak Bonnie nie jest odpowiednim dawcą, postanowili się jej pozbyć. Gdyby było inaczej, zachowaliby ją przy życiu, traktując jako podręczny materiał genetyczny, z którego można pobierać dowolne tkanki i organy. – Na co choruje twoje dziecko? Na białaczkę?

– To takie niesprawiedliwe – szepcze Jia, a ból łagodzi jej rysy. – To przecież tylko dziecko, dlaczego musi tak cierpieć? Mój mały aniołek... Nie ma rzeczy, której bym dla niego nie zrobiła. – Głos jej się coraz bardziej załamuje, ale mówi dalej: – Było tak, jak przypuszczasz. W rejestrze transplantacyjnym znaleźliśmy odpowiednią krew pępownikową, ale tylko jedną. – Teraz już łyzy płyną jej ciurkiem po policzkach. – Ani ja, ani Kai nie mogliśmy być dawcami. Teść zawsze podejrzewał, że Kai ma jakieś nieślubne dzieci, zwłaszcza od kiedy przeczytał o tobie w gazetach. Namierzaliśmy twoją córkę, ale ona też nie nadaje się na dawcę, jest tylko przyrodnią siostrą mojego synka. Tyle zachodu i wszystko na nic.

Milknie, pogrąża się w myślach. Widzę, jak bardzo jest rozżalona i zdesperowana, tak samo jak Everett, gdy opowiadał o zniknięciu Bonnie.

– A więc twój syn umrze – mówię.

– Zamknij się – rzuca ostro, nagle znów twarda i bezwzględna.

– Skoro krew Bonnie się nie nadaje, a nie ma innego dawcy, to nieuniknione. Ciekawe, ile czasu mu zostało.

– Zamknij się.

– Dziecko chore na raka. – Potrząsam głową. – Wydawało ci się, że skoro masz pieniądze, możesz wszystko kupić. Bogacze są przekonani o swojej

wszechwładzy, a tu taka przykra niespodzianka.

Przygląda mi się uważnie, a potem cedzi przez zęby:

– Tak się zastanawiam... Kai był idiotą, nawet jego ojciec nie mówił o nim inaczej, ale mimo wszystko zupełnie nie rozumiem, co takiego w tobie zobaczył. Nie tknęłabym cię za żadne pieniądze.

Trudno powiedzieć, dlaczego jej słowa wydają mi się komiczne. Uśmiecham się, chociaż równocześnie poczułam się dotknięta.

– Mówią, że kiedy żyjesz na ulicy, nie ma rzeczy, której nie zrobisz za pieniądze. – Co prawda nigdy nie słyszałam, by ktoś coś takiego powiedział, ale chyba nie mijam się z prawdą.

Jia wymierza mi kolejny policzek, tym razem mocniejszy. Mam wrażenie, że mózg obija mi się po kościach czaszki i dopiero po chwili wraca na miejsce. Dobrze chociaż, że tym razem nie straciłam zęba.

– Już wiem, dlaczego zamykacie starego. Chciał zrezygnować z biznesu, może nawet przeznaczyć część pieniędzy na cele dobroczynne, ale ty jesteś chciwą suką, więc jego choroba była ci na rękę. Przejęłaś nad wszystkim kontrolę.

Jia znów zamienia się w furię, ścisła mocno moją twarz i krzyczy:

– Jak śmiesz! Rodzina jest dla mnie najważniejsza, zawsze na pierwszym miejscu. Staremu zaczęło odbijać już przed wylewem. Chciał wstrzymać większość naszych projektów, zrezygnował nawet z budowy kopalni na tej cholernej wyspie. Dowiedziałam się o tym, jak już było za późno.

– Jia – próbuje ją uspokoić Dao. Ledwie go słyhać, ryk silnika zagłusza prawie wszystkie dźwięki.

– No co, przecież ona i tak dzisiaj umrze. Co za różnica, ile jej powiem? Skup się na tym, co robisz, musimy odpłynąć jak najdalej od domu.

Robi mi się niedobrze. Skarcony Dao posłusznie wraca do steru. I chociaż wygląda jak zbity pies, wcale mu nie współczuję. Widziały gały, co brały.

– Kiedy się zestarzał, nagle doszedł do wniosku, że kocha ten przeklęty las – ciągnie Jia.

Wreszcie wszystko zaczyna się układać w logiczną całość, ale coraz trudniej zebrać mi myśli. Nie wiem, czym nafaszerował mnie Kai, ale działa jak diabli.

– Kopalnia. Wydobycie surowców – udaje mi się wyszeptać.

– Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz – stwierdza Jia i mruży oczy. – Przez dziesięciolecia wydobywaliśmy metale ziem rzadkich w Afryce i wtedy stary miał w dupie środowisko naturalne. Kiedy zakończyliśmy interesy w Kongu, postanowiliśmy zbudować kilka kopalni w Kanadzie, w tym również na tej wyspie, i wtedy stary nagle uznał, że podążamy w złym kierunku i trzeba zmienić priorytety oraz strategię firmy.

– No tak, ale przecież wykupiliście licencję.

– Co z tego, skoro nie pozwalał nam z niej korzystać? Chciał tu stworzyć

jakieś pieprzone sanktuarium, ale i tak będziemy kopać. Właśnie tym zajmuje się nasza firma, a nie tworzeniem rezerwatów.

– Jak to? Skoro oficjalnie odstąpiliście od zamiaru...

– No i co z tego? Nie powstrzymają mnie żadni nawiedzeni miłośnicy drzew. Wystarczy znać odpowiednich ludzi, a załatwisz dowolne pozwolenie. Może będzie trudno, ale to nie pierwsza ostra jazda w moim życiu.

Siłą woli powstrzymuję kolejny atak senności. Płacze mi się język, jednak daję radę powiedzieć:

– Ale jeśli to nie wypali, ucierpią na tym inne interesy.

– A żebyś wiedziała! – Wiatr rozwiewa jej kruczoczarne włosy, kilka pasemek opada na twarz. Jia wygląda, jakby oszalała, a częste zmiany jej nastrojów coraz bardziej mnie niepokoją. Czy to ta sama kobieta, z którą rozmawiałam kilka dni, a może tygodni – już nie pamiętam – temu? Wtedy nigdy bym nie powiedziała, że kiedykolwiek podnosi głos lub przeklina. Nie uwierzyłabym, że w ogóle umie płakać. No, ale teraz wszystko jest inaczej. Płyniemy łodzią, z której pewnie wrzucą mnie do oceanu.

– Mamy kopalnie na całym świecie, rozumiesz? – gorączkuje się. – Opuścimy jeden projekt, to od razu pojawią się problemy z pozostałymi. Zaczną się pytania, naciski, cały ten ekologiczny syf. W Chinach i Kanadzie wydobywa się najwięcej surowców, Zhang-Wei Industries buduje most między tymi mocarstwami, mój syn będzie się cieszył owocami naszej pracy. Zrobię wszystko, żeby utrzymać go przy życiu.

Widzę, że porusza ustami, jednak nie chce mi się skupiać na sensie jej wypowiedzi. Jia jest banalna, jak zła postać z komiksu. Nie ma nic nudniejszego niż ludzka chciwość. To punkt, w którym Wschód spotyka się z Zachodem, a Południe z Północą, a w centrum zawsze znajdują się pieniądze. Temat stary jak świat i opisany na wszelkie możliwe sposoby. Jeszcze przed chwilą było mi żal Jii, zrozpaczonej matki śmiertelnie chorego dziecka, teraz nią tylko pogardzam. Zamykam oczy, a kiedy je po chwili otwieram, Jia trzyma strzelbę. Wiele razy zastanawiałam się, w jaki sposób pożegnanię się z życiem, ale nie starczyło mi fantazji, by pomyśleć, że ktoś mnie zastrzeli na łodzi, w dodatku na otwartym oceanie. Uśmiecham się, co sprawia mi przewrotną przyjemność. Skoro mam zginąć, to trudno, niech tak będzie. Nie odczuwam smutku, jest mi dziwnie lekko na duszy.

Patrzę Jii prosto w oczy, otwieram usta i zaczynam śpiewać.

Marzyłam o tym od pamiętnego występu w firmie ochroniarskiej, zbyt długo odmawiałam sobie tej przyjemności. To będzie moja ostatnia, pożegnalna pieśń, utwór, który mogłabym nazwać prywatną mantrą, chociaż do teraz nie miałam śmiałości go wykonać. Zbierałam się na odwagę, odkąd po raz pierwszy go usłyszałam, co stało się po próbie chóru prowadzonej przez pastora Franklina. To

„I'm Feeling Good” Niny Simone. Kiedyś wydawało mi się, że nie mogę tego śpiewać, bo nie wiem, czym jest szczęście, ale teraz naprawdę czuję się wspaniale. Za kilka minut będę wolna, Jia i Dao znikną, wreszcie nie będę musiała na nich patrzeć ani ich słuchać. Cisza, spokój, zero trosk, tego mi potrzeba. Gdzieś z tyłu głowy pojawia się obraz dziewczyny, która ma równie ciemne oczy jak ja, tyle że już nic więcej nie mogę dla niej zrobić.

Śpiewam coraz głośniejsze, pozwalam, by głos uzyskał surowe brzmienie w każdej pojedynczej nucie, moją chrypą zachwyciłby się nawet Louis Armstrong. Wiatr próbuje porwać słowa i dźwięki, ale dzisiaj to ja jestem górą. Ten wieczór należy do mnie. Śpiewam i czuję się coraz lepiej. Naprawdę wspaniale.

Jia patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Strzał, który oddaje, jest wynikiem szoku, moje zachowanie zupełnie wytrąciło ją z równowagi.

Czuję piekący ból w lewym ramieniu, siłą bezwładu przetaczam się na rufę. Dao, słysząc huk, wyłącza silnik. Jakiś ostry przedmiot wbija mi się w biodro, ale to bułka z masłem w porównaniu z raną w ramieniu. Zaciskam zęby, gramolę się na ławeczkę i znów zaczynam śpiewać. Opuszczam głowę i zamykam oczy, bo nie chcę patrzeć na wariatkę z bronią.

Jia ponownie unosi strzelbę, ale nagle jej uwagę przykuwa coś za moimi plecami. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch, więc powoli odwracam głowę. W mrocznej oceanicznej głębi formuje się olbrzymi wir, rośnie, wybrzusza taflę wody i strzela w górę.

Na kilka sekund czas staje w miejscu.

Nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego. Zza chmur wyłania się księżyc, który oblewa wszystko wokół srebrzystym blaskiem, woda lśni tak mocno, jakby ktoś obsypał ją cekinami. Ciemny wir – bo cóż innego mogłoby to być? – jest moim zbawcą. Łódź chwieje się pod naporem rosnącej fali, Jia upuszcza strzelbę, Dao się potyka. Jeżeli ten wir to mój wieloryb, muszę być Jonaszem, nie wolno zmarnować takiej szansy.

Wyciągam z biodra haczyk na ryby, ściskam mocno w dłoni i gramolę się w stronę żony mojego gwałciciela. Wzywa na pomoc Dao, ale już jestem przy niej, z całej siły wbijam ubrudzony moją krwią haczyk w jej szyję. Jia wyciąga rękę, zaciska dłoń na moim lewym ramieniu, tym, w które mnie postrzeliła. Tak jak wcześniej Kai, dobrze wie, gdzie będzie najbardziej bolało. Udaje mi się powstrzymać krzyk, sięgam po leżącą nieopodal strzelbę. Broń wypada mi z zakrwawionych dłoni, gdy w moją stronę idzie uzbrojony Dao. Dopóki stał przy sterze, nie mógł pomóc Jii, ale teraz jest blisko, nie ma mowy, by chybił. Łódź przechyla się na prawą burtę i Dao potyka się na śliskim od krwi pokładzie. Znów sięgam po strzelbę i tym razem udaje mi się utrzymać ją w dłoniach. Trafiam Dao w brzuch i patrzę, jak upada. Siła odrzutu na chwilę zapiera mi dech w piersiach, a ręce pulsują nieznośnym bólem. Strzelba wypada mi z rąk i toczy się z głośnym

hurkotem po pokładzie.

Słyszę za plecami kroki, odwracam się i patrzę na Jię. Haczyk wciąż tkwi w jej szyi, czarne włosy powiewają na wietrze jak zasłona. Jestem bezbronna, zbyt bolą mnie ręce, bym dała radę zadać cios. Wstaję, chociaż skręcona kostka boli jak diabli, odsuwam jak najdalej zranioną rękę, stoję bokiem i popycham Jię w stronę relingu. Traci równowagę i wypada za burtę. O dziwo, znalazła w sobie jeszcze dość siły, by złapać mnie za kurtkę i pociągnąć za sobą.

Uderza mnie nawałnica lodowatej wody, zaszokowana obracam się wokół własnej osi, machając rękami, szukając jakiegokolwiek oparcia, ale widzę tylko Jię wciąż uczeponą mojej kurtki. Obie idziemy na dno, w nieprzeniknioną ciemność. Czuję, że Jia słabnie, a skoro mam jeszcze jedną zdrową nogę, pora ją wykorzystać. Przyciskam kolano do brzucha Jii i mocno kopię. Udało się, jestem wolna.

Wynurzam głowę i łapczywie łapię powietrze. Lodowata woda mnie otrzeźwiła, wreszcie mogę zebrać myśli. Muszę się śpieszyć, bo straciłam mnóstwo krwi i niedługo znów zemdleję. Albo się utopię, albo ulegnę hipotermii. Będę płynąć, dopóki starczy mi sił, a potem niech pochłonie mnie mrok. Przez chwilę mi się wydaje, że widzę jakieś światełko na horyzoncie, ale to pewnie wytwór mojego udręczonego umysłu.

Zamykam oczy, a umysł podsuwa kolejną kuszącą wizję. Czy to możliwe, że natrafiłam na ciepły prąd i naprawdę przestało mi być tak strasznie zimno?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mężczyzna i pies prowadzili poszukiwania cały dzień.

Powoli zapadał zmrok, dlatego coraz trudniej było dojrzeć ślady, które zaprowadziły ich na skaliste wybrzeże. Paskudny teren, zwłaszcza że noga, w którą go kiedyś postrzelono, coraz częściej dawała o sobie znać. Najrozsądniej byłoby zawrócić i wznowić poszukiwania jutro, jednak coś gnało go do przodu. Przeczucie, że jeszcze nie powinni rezygnować.

Nagle pies się zatrzymał, przez chwilę intensywnie węszył, a potem pognął przed siebie jak szalony. Wkrótce zniknął z oczu, nie było sposobu, by go powstrzymać. Mężczyzna kulał coraz bardziej, wędrownka po skałach mocno dała mu się we znaki, bolały go nawet stopy.

Kiedy zadzwoniła Simone, Brazuka zrozumiał, że dopadło go przeznaczenie. Nie wówczas, gdy dostał w głowę kluczem do opon. To się stało w luksusowym hotelowym pokoju, gdy zniszczył kruche zaufanie, którym obdarzyła go Nora. Był jej coś winien, a on zawsze spłacał długi.

– Jon, za późno na to wpadłam, dałam ciała – powiedziała Simone. Brazuka nigdy wcześniej nie słyszał, by była tak zdenerwowana. – Trochę trwało, nim namierzyłam ten dom, widać padło mi na mózg. Szukałam posiadłości Zhanga w Vancouver, nie pomyślałam o wyspie. Czuję, że Nora tam jest i coś jej się stało. Musisz tam pojechać, a ja spróbuję zdobyć więcej informacji.

– Simone...

– Po prostu ją znajdź. Proszę.

Podeszła go tym „proszę”, nie umiał odmówić.

Ani Crow, ani Krushnik nie mieli pojęcia, czy Nora rzeczywiście pojechała na wyspę. Martwili się, chcieli jechać z Brazuką, ale stanowczo zaprotestował. Był już w połowie korytarza, gdy usłyszał za plecami lekkie kroki i stukot pazurków.

– Weź ją z sobą, może się przydać – powiedział Crow, obserwując psa z progu gabinetu.

– Chwila, to chyba kiepski pomysł – zdenerwował się Krushnik.

Tylko że suczka przypięła się do Brazuki jak kleszcz. Płynęli razem promem, a potem odbyli długą podróż pod adres, który znalazła Simone. Dzisiaj rano dotarli wreszcie do domu. Był pusty i cichy, a Brazukę od razu dopadły złe przecucia. A kiedy zobaczył zakrwawione ściany, zaczął naprawdę się bać. Mnóstwo krwi i ani śladu Nory.

Powoli doczłapał do suczki, która stała na skraju stromego wąwozu. Już miał ją zawołać, gdy zauważył, że postawiła uszy i węszy. Zaczęła powoli schodzić w dół wąwozu, ale mniej więcej w połowie drogi trafiła na obluzowany kamień. Próbowwała wbić pazurki w ziemię, znaleźć jakiś punkt zaczepienia, niestety

bezszykownie. Z szeroko rozstawionymi tylnymi łapami sunęła w dół jak po zjeżdżalni.

– Hej! – zawołał Brazuka, nachylając się nad skrajem wąwozu. – Wracaj tu, ty parszywy kundlu.

Udawała, że nie słyszy.

– Cholera jasna – mruknął i ruszył za nią. Schodził powoli, ostrożnie stawiając stopy, by się nie potknąć. To trwało całe wieki, ale dotarł bezpiecznie na dół. Rozglądając się wokół, zrozumiał, co wywęszyła suczka. Coś leżało za wielkim głazem, tuż przy oceanie. Pies obiegł to kilka razy, powąchał, a potem chwycił zębami i mocno pociągnął. Ludzkie ramię.

– Jezu – szepnął Brazuka.

Nagle pies znów postawił uszy.

Brazuka zobaczył ruch na skraju lasu. Kot, największy, jakiego kiedykolwiek widział, obserwował ich uważnie z góry, szczerząc zęby i powarkując cicho.

Sapka wyprostowała się, stanęła przed ciałem Nory i również zaczęła warczeć. Chociaż była mniejsza, nie zamierzała uciekać. Kot podszedł bliżej, szykując się do skoku. Brazuka wreszcie otrząsnął się z szoku, uniósł ręce i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Klaskał w dłonie i wydierał się, ile sił w płucach.

Wielki kot zawahał się, a potem pięknym, eleganckim susem wrócił do lasu.

Przez chwilę Brazuka stał jak zamurowany, obserwując las, wreszcie odwrócił głowę, by spojrzeć na Norę.

Sapka opadła ciężko na skały, kładąc pysk na ramieniu swej pani.

– Kuguar – mruknął Brazuka, przykładając palce do szyi Nory, by wyczuć puls. – Pieprzony kuguar... – A potem wyciągnął z kieszeni komórkę, wybrał numer i powiedział: – Proszę natychmiast przysłać karetkę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Budzę się z głębokiego snu w słabo oświetlonym szpitalnym pokoju. Widzę siebie jako nastolatkę. Te same ciemne oczy, lecz o nieco innym kształcie. Gęste, obcięte na krótko włosy. Śniada karnacja, jakby brąz rozjaśniony złotem. Mam trochę inne rysy twarzy, ale tak naprawdę kto pamięta, jak wyglądał w wieku kilkunastu lat? Męczy mnie wrażenie, że ktoś próbował złożyć roztrzaskany obraz, ale przy układaniu nie dopasował dokładnie wszystkich elementów. Mam zatroskany wyraz twarzy, to się zgadza, jednak oprócz tego zauważam też podekscytowanie i nadzieję, których teraz absolutnie nie odczuwam. Zamykam oczy, by pozbyć się tego obrazu, jednak to wcale nie pomaga.

– Mamo – mówi prześladowający mnie obraz.

– Nie masz matki – wyprowadzam z błędu mój nastoletni klon. – Porzuciła cię. Nienawidzi cię, bez niej będzie ci lepiej.

– Nieprawda.

– Prawda. Nikt cię nie kocha, nawet rodzona siostra, ale co za różnica? Zawsze była wredną suką. – Nie rozumiem, dlaczego nagle przed oczami pojawia się obraz SUV-a.

– Gadasz bzdury – irytuje się moja młodsza wersja. – Mam dwie.

– Nie, tylko jedną siostrę.

– Dwie matki. Obie mnie kochają, obie mnie szukały.

Wybucham śmiechem, ale w moim wyschniętym na wiór gardle śmiech szybko przeradza się w potworny kaszel. Boli mnie całe ciało, nawet oczy, zupełnie jakby widziały zbyt wiele zła. W tym problem, że zupełnie nie pamiętam, co to było, jakich wydarzeń nie chciałyby już nigdy więcej oglądać.

– Nikt cię nie kocha – upieram się. – Nikt...

– Mamo – mówi głos, który na próżno próbuję wygnać z obolałej głowy. Jak mogę być matką samej siebie? Dostałam pomieszania zmysłów? Próbuję to powiedzieć, ale usta odmawiają współpracy. – Mamo, proszę, zostań ze mną... – prosi moja młodsza wersja. Boże, rzeczywiście w tym wieku często zebrałam o uwagę i miłość innych. Ile razy powtarzałam: Proszę, nie odchodź. Proszę pokochaj mnie. Przecież już powiedziałam, że nikt jej nie kocha. Czego jeszcze ode mnie chce?

– Mamo, zostań ze mną...

No nie, znowu? Moja młodsza wersja myśli, że ma matkę, a nawet upiera się, że dwie. Co za cholerne bzdury. Absurd. Młoda Nora Watts ma tylko głos, który zresztą sprowadzi ją na manowce i będzie źródłem kłopotów.

– Daj spokój, kochanie – mówi jakiś męski głos, który na pewno już słyszałam, ale nie wiem, gdzie i kiedy. – Musi odpocząć, przyjdziemy później.

Zapewne już nigdy więcej nie zobaczę swojej młodszej wersji, bo moje koszmary rządzą się określonymi prawami, ale nie mam siły tego powiedzieć. Zniknij i nigdy nie wracaj, polecam w myślach, gdy czuję, że zimny i wilgotny nos dotyka mojej ręki zwisającej z wąskiego szpitalnego łóżka. Powoli zapadam w sen, a czyjś język delikatnie muska moje palce.

Ależ dziwaczny sen.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Otwieram oczy i zastanawiam się, która może być godzina. Przytłumione światło przenika przez pojedyncze piwniczne okno, lecz trudno z tego faktu cokolwiek wywnioskować. Może być zarówno poranek, jak i wieczór, a może nawet środek dnia. Na wyświetlaczu komórki widnieje szesnasta, czyli przespałam prawie całą dobę i chętnie spałabym dłużej, gdyby nie dziwne mrowienie w karku.

Słyszę, że ktoś idzie po schodach.

Sapka, otumaniona środkami przeciwbólowymi po uszkodzeniu wiązadła, nie reaguje na hałas. Poza tym jest wyczerpana, bo długo próbowała usunąć opatrunek na łapie, na szczęście bez powodzenia. Nie zwracam uwagi na piekący ból w ramieniu, biorę klucz do opon, stoję przy drzwiach, uchylam je dosłownie na kilka centymetrów, by sprawdzić, co się dzieje. Widzę schodzącą po schodach kobietę o kasztanowych włosach. Na pewno ją znam, jednak trochę czasu zajmuje mi przypomnienie sobie jej imienia. Lynn. Ma ciemniejsze włosy, niż kiedy ją poznałam, no i wygląda o niebo lepiej, bo wyraźnie przybrała na wadze, co w jej przypadku było mądrą decyzją.

Kicha kilka razy, pewnie ma alergię na kurz, którego tutaj nie brakuje. Na mój widok przystaje.

– Cześć – mówi po długiej chwili, kiedy już dokładnie się sobie przyjrzałyśmy.

– O co chodzi? – Odkładam klucz do opon. Może nie jestem zbyt gościnna, ale towarzyskie wizyty to ostatnia rzecz, o której teraz marzę.

– Twój przyjaciel Leo powiedział, że znajdzie cię w... tej piwnicy. Przeszłam ci podziękować za odnalezienie Bonnie. Właściwie nadal nie wiemy, co się wydarzyło, ale udało ci się ją odnaleźć. Odkryłaś, gdzie była więziona i do którego szpitala ją odwieźli. Lekarze powiedzieli, że jakaś kobieta pytała o stan Bonnie i chciała ją stamtąd zabrać, ale nigdy więcej się nie pojawiła. Pewnie Jia Zhang. To na pewno twoja zasługa, Bonnie zawdzięcza ci życie. – Wyrzuca z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, zupełnie jakby długo układała tę wypowiedź i chciała mieć to wreszcie z głowy.

– Gdzie jest Everett?

– On... Wyprowadził się. Tak będzie lepiej dla... wszystkich – jąka się wytrącona z rytmu i zdziwiona moim pytaniem.

– Do tej kobiety, która pachnie jaśminem?

– Co? Aha, no tak, jaśmin. – Uśmiecha się smutno. – A ja tak długo się zastanawiałam, co to za zapach. Ona ma na imię Adele i jest jego szefową. Dasz wiarę? Mój mąż pieprzący na biurku własną szefową. Przynajmniej czekali, aż pozostali pójdą do domu. Ładne mi nadgodziny.

Potrząsam głową, bo moja wyobraźnia nie sięga aż tak daleko. Nie umiem sobie wyobrazić Everetta nachylnego nad biurkiem i posuwającego starszą paniusią używającą za mocnych kwiatowych perfum. Przez chwilę obie milczymy. Ja próbuję zobaczyć oczami wyobraźni perwersyjną scenę erotyczną z Everettem w roli głównej, ona chce ten obraz jak najszybciej wymazać z pamięci.

Najwyraźniej nie wie, co zrobić z rękami, bez przerwy poprawia włosy albo ubranie, wreszcie wkłada dłonie do kieszeni i pyta:

– Mogę wejść?

Waham się. To byłaby pierwsza wizyta w mojej piwnicy, bo my z Sapką nie jesteśmy skore do zapraszania gości. Jednak czuję, że Lynn bardzo na tym zależy, ma do wypełnienia ważną misję. Uchylam więc szerzej drzwi, wpuszczając ją do środka. Lynn kieruje się w stronę kanapy z gabinetu Leo, którą polecił mi sprzedać mniej więcej cztery lata temu. Patrzy na rury na suficie i mówi:

– Bardzo industrialne wnętrze. Ten styl znów jest trendy, wiesz?

Potakuję i czekam, co jeszcze ma do powiedzenia. Przecież nie będziemy gadać o zapuszczonej piwnicy. Nawet ja wiem, że to wnętrze nie zachwyciłoby żadnego hipstera.

– Ten facet, z którym romansowałam, to mój kolega z pracy. Ale banał, co? Oboje z Everettem byliśmy pracoholikami, nawet nie mieliśmy czasu poznać kogoś poza współpracownikami.

– Kiedy zaginęła Bonnie, byłaś z kochankiem?

– Skąd wiesz?

– Bo kiedy o to pytałam, skłamałaś.

– Niezwykła z ciebie babka – mówi po chwili. – Może w innym czasie i innych okolicznościach...

Wybucham śmiechem, bo jestem pewna, że bez względu na okoliczności nigdy nie zaprzyjaźniłabym się z kimś takim jak Lynn.

– No dobra, przesadziłam, pewnie masz rację – kwituje z uśmiechem. – Obie mamy paskudne charakterki i nie jesteśmy zbyt przyjazne. Poza tym sporo wiesz o moim małżeństwie... o naszej rodzinie. Musieliśmy ci się wydać nieźle porębani, nie zaprzeczaj – mówi, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru. – I mnie, i Everettowi daleko do ideału, ale chcę, żebyś coś wiedziała. Oboje kochamy Bonnie, tylko ona trzymała nas razem. Gdyby jej nie było, już dawno byśmy się rozwiedli.

Nie wybucham płaczem, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna. Nigdy nie wiem, jak się wtedy zachować. Pocieszać łkającą kobietę? A może lepiej zostawić w spokoju? Kiedy to ja się rozryczałam na spotkaniu grupy wsparcia, po prostu wyszłam i nigdy już tam nie wróciłam. Lynn wyciąga z torebki i podaje mi plik fotografii.

– To dla ciebie – szepcze. – Nie musisz ich teraz oglądać, ale może kiedyś...

kiedy będziesz gotowa. Zrób z nimi, co chcesz, zachowaj, wyrzuć...

Kładzie zdjęcia na kanapie, a ja milczę, bo niby co można w takiej sytuacji powiedzieć? Sapka budzi się, przeciąga i kuśtyka w naszą stronę. Dokładnie obwąchuje Lynn, a potem kładzie się przy moich stopach i opuszcza łeb. Mogłoby się wydawać, że ponownie zasnęła, ale mnie nie oszuka, wiem, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

Lynn patrzy przyjaźnie na Sapkę, a potem pogrąża się w myślach. Nie daje mi spokoju pytanie, którego nawet nie miałam śmiałości sformułować, a co dopiero wypowiedzieć, ale może to najlepszy moment, by je zadać.

– Czy mogłabym... – chrypię z trudem i mam wrażenie, że ktoś próbuje wcisnąć mi słowa z powrotem do krtani. – Czy mogę się z nią spotkać?

Lynn napina ramiona i odwraca wzrok.

– Ona nie... Była u ciebie w szpitalu. Nie pamiętasz? – pyta.

– Nie.

– Mówiłaś takie okropne rzeczy... Posłuchaj, wiem, przez co musiałś przejść, żeby ją odnaleźć, ale... Była wstrząśnięta waszym spotkaniem, powinna odpocząć, odzyskać spokój. Nabrać dystansu...

– Nie wiesz – mówię, kiedy cisza zaczyna nam obu zbyt ciężać.

– Co takiego?

– Nie wiesz, przez co musiałam przejść. – To oczywiste, bo sama nie wszystko pamiętam. Normalka, kiedy ktoś nafaszeruje cię narkotykami, a potem upuści sporo krwi.

– No dobra... – Wzdycha. – Powiem wprost. Bonnie długo nie mogła się otrząsnąć po wizycie w szpitalu. Miała pewne wyobrażenie na twój temat, ale rzeczywistość... Nadal nie umie sobie tego wszystkiego poukładać w głowie, potrzebuje czasu. Rozumiesz?

Nie wiem, co na to powiedzieć, więc tylko kiwam głową.

Lynn chrząka, otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nagle znów je zamyka. Spokojnie czekam.

– Kiedyś bardzo chciała się dowiedzieć, kto jest jej biologiczną matką – mówi wreszcie. – Może za jakiś czas znów zapragnie się dowiedzieć...

– Przecież już to wie.

Lynn patrzy mi w oczy, potem wstaje i idzie do drzwi. Waha się jeszcze, zatrzymuje i mówi:

– Posłuchaj, dostałam świetną ofertę pracy z Toronto. Przyjmę ją, chcę zacząć wszystko od nowa, Bonnie też tego potrzebuje. Pojedzie ze mną, chociaż Everett nie jest tym zachwycony. Na szczęście rozumie, że zmiana otoczenia wyjdzie mi na dobre. Niedługo wyjeżdżamy, ale jestem pewna, że Bonnie się do ciebie odezwie. Wie, że my z Everettem nie mamy nic przeciwko, nie będziemy stwarzać problemów. – Kiwa głową i znika za drzwiami.

Biorę plik fotografii i czekam, aż umilkną kroki na schodach i trzasną drzwi wejściowe. Potem drapię Sapkę za uchem i mówię:

– Wstawaj, oszustko. Idziemy na spacer.

Wychodzimy na brudne ulice, na których czuję się tak bardzo swojsko. Cieszę mnie nawet unoszone przez wiatr śmieci, bo są świadectwem ludzkiej obecności. Już niedługo w okolicy powstanie kolejny apartamentowiec i wszyscy będą się skarżyć na pył i hałas. Mnie to nie przeszkadza, lubię ruch i miejski bałagan. Idziemy z Sapką w stronę oceanu, kuśtykamy zgodnie i docieramy na ulubioną nadmorską promenadę. Przystajemy przy balustradzie i patrzymy na Pacyfik, który wydaje mi się jeszcze bardziej tajemniczy i nieprzewidywalny, ale już przestałam się go bać, wiem, że może być również sprzymierzeńcem. Wychyłam się, ale nie udaje mi się zobaczyć podwodnego wiru.

Sapka zaczęła warczeć, chrapliwy gulgot stawał się z sekundy na sekundę coraz głośniejszy. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam siedzącego na pobliskiej ławeczce Brazukę.

– A więc jednak żyjesz – stwierdza, oglądając mnie od stóp do głów.

Nie reaguję oburzeniem. Tak naprawdę jestem chodzącym katalogiem wszelakich ran i obrażeń. Odwracam się ponownie w stronę barierki, ale intuicyjnie wiem, że Brazuka i tak powie wszystko, co ma do powiedzenia. Nie odczuwam niepokoju, dobrze wiem, że Sapka nie spuści go z oczu.

– Wiesz, masz cholerne szczęście, że policja kompletnie nie potrafi sobie poradzić z bajzłem, którego narobiłaś. Zasięgnąłem języka, chyba nawet nie postawią ci żadnych zarzutów.

Kiedy już doszłam do siebie, bałam się, że prosto ze szpitalnego łóżka zabiorą mnie do aresztu. Uniknęłam tego dzięki interwencji Seba oraz obecności narkotyków we krwi. Powiedzieli, że zabiłam faceta, w domu którego znaleziono mnóstwo mojej krwi, zostałam postrzelona i wyrzucona przez fale na przybrzeżne skały. Nie umiałam wyjaśnić, w jaki sposób tam dotarłam. Ciało Jii Zhang wypłynęło kilka kilometrów dalej, w jej szyi wciąż tkwił haczyk wędkarski. Skąpany w mojej krwi dom Zhangów był pusty, niedołączny starzec i niemowlę zniknęli. Ustalono, że krew na podłodze piwnicy należała do Bonnie.

Śledczy długo mnie przesłuchiwali, zasypywali faktami, krzyczeli i grozili, ale obstawałam przy swoim:

– Przykro mi, nie wiem, nic nie pamiętam.

Teraz zaczynam się zastanawiać, czy Brazuka też interweniował w mojej sprawie, jednak biorąc pod uwagę, na co go naraziłam, byłoby dziwne, gdyby chciał choćby kiwnąć palcem.

– Nora, jak znalazłaś się w wodzie? – pyta.

– Jak dotarłam z domu na plażę? Nie mam pojęcia. – Wzruszam ramionami.

– Nie pamiętam.

- Co stało się z Dao, ochroniarzem Jii Zhang?
- Wiesz na ten temat więcej ode mnie.
- Szukałem go, ale zapadł się pod ziemię. Od tamtej nocy nikt go nie widział. Zniknął również Ray Zhang i jego wnuczek. W tej sprawie zapewne też nic ci nie wiadomo. Dobrze zgaduję?
- Owszem. – Niedobrze. Jeśli Dao przeżył, to już nigdy nie zaznam spokoju.
- Nie wiem, gdzie jest.

Zamierzam trzymać się tej wersji do końca świata. Zawsze mogę się zasłonić wynikami badań toksykologicznych. Czy to dziwne, że kobieta nafaszerowana narkotykami nic nie pamięta?

- Posłuchaj, ja tylko próbuję ci pomóc – mówi łagodnie po chwili milczenia.
- Chciałem kilka spraw wyjaśnić. Tak, pracowałem w WIN Security, ale kiedy poprosiłaś o sprawdzenie rejestracji, nie miałem pojęcia, że Zhang jest w jakikolwiek sposób powiązany z twoją sprawą. A gdy już to odkryłem, nie mogłem tak po prostu zadawać pytań, to byłoby niebezpieczne.

Milczę, bo chociaż Brazuka być może mówi prawdę, nigdy mu nie wybaczę. To jedyny mężczyzna, któremu zaufałam, jedyny, którego kłamstw nie umiałam przejrzeć.

Przez chwilę trwamy nieruchomo i w milczeniu, potem słyszę szelest płaszcza, gdy Brazuka wstaje z ławki.

- Chciałem ci jeszcze powiedzieć, że znów chodzę na spotkania AA. Po tym, jak potraktowałaś mnie w hotelu... Wiesz, ofiary gwałtu często odtwarzają to, co im się przytrafiło. Rozumiem, dlaczego mnie związałaś i otumaniałaś, dzięki temu uzyskałaś kontrolę nad sytuacją, której tamtej strasznej nocy nie miałaś. Nie usprawiedliwiam takiego zachowania, ale rozumiem.

- Ocalona – rzucam w stronę jego oddalających się pleców.
- Co takiego?
- Nie jestem ofiarą, ocalałam.

Gliniarz zawsze pozostanie gliniarzem. Jedyna pożyteczna rzecz, jakiej nauczyły mnie kontakty z tą grupą zawodową, to świadomy dobór określeń. Słowa są ważne.

- Jasne, ocalona, ależ ze mnie idiota – śmieje się cicho. – Zwłaszcza teraz to określenie idealnie do ciebie pasuje. Dbaj o siebie, Noro, naprawdę warto. Przykro mi, że cię zawiodłem.

Słucham jego oddalających się kroków i odnoszę wrażenie, że bardziej utyka niż kiedyś. Opieram się o barierkę i rozmyślam o rewelacjach, którymi mnie uraczył. Dobrze, że znów chodzi na spotkania AA, miałabym wyrzuty sumienia, gdyby przeze mnie wrócił do nałogu. Sapka wyczuwa, że się rozluźniam, i też się uspokaja.

Okłamałam Brazukę, coś jednak z tamtej nocy pamiętam.

W oceanicznej głębi są korytarze, przestrzenie, w których dźwięk przenosi się na nieprawdopodobną odległość. To ułatwia żyjącym tam stworzeniom komunikację, zwłaszcza wielorybom, które tylko muszą odpowiednio głęboko zanurkować. Ich czaszki są jak anteny wychwytyjące dźwięki o częstotliwości niesłyszalnej dla ludzkiego ucha. Jak przez mgłę pamiętam, że gdy zaczęłam śpiewać, z głębin wynurzył się obły kształt, który po wykonaniu pełnego gracji skoku wrócił do wody. Odwłókł moment mojej egzekucji i uratował mi życie. Może mój śpiew dotarł do tego podwodnego komunikacyjnego kanału i przywołał wybawcę. Przez tak wiele lat wpatrywałam się w wodę, marząc, by ta nieprzenikniona toń okazała mi choć odrobinę zainteresowania i miłości, a wystarczyło zaśpiewać.

Jeszcze długo po odejściu Brazuki wpatrywałam się w niespokojne wody oceanu.

Bywa tak, że nagle nawet przez najgęstsza mgłę przedziera się słońce, wprowadzie tylko na chwilę, ale dobre i to. Mam ochotę się napić, jak zawsze. Zaciskam mocno palce na bolesnej ranie na dłoni, to pomaga mi oderwać myśli od alkoholu. Kiedy rana się zagoi, będę miała bliznę, ale na razie często ją celowo jątrzę. Przestanę, gdy choć trochę się pozbieram, ale to jeszcze potrwa.

Sapka ociera się o moje nogi, a potem zlizuje krople krwi z mojej dłoni. Siada i spogląda w dal. Podążam za jej wzrokiem i wpatruję się w punkt na niebie, gdzie słońce zdołało się przedrzeć przez skłębione chmury, rozjaśniając zmierzch i oblewając złotym blaskiem wszystko dookoła.

